

Ty też marzysz
o własnych czterech
kątach za miastem?

Paweł
Mossakowski

Pod drugiej
stronie ściany

Prószyński i S-ka

Paweł
Mossakowski

Po drugiej
stronie ściany

Prószyński i S-ka

Copyright © Paweł Mossakowski, 2015

Projekt okładki

www.studio-kreacji.pl

Agencja Interaktywna Studio Kreacji

Zdjęcie na okładce

© Paige Nelson/Trevillion Images

Redaktor prowadzący

Michał Nalewski

Redakcja

Aneta Kanabrodzka

Korekta

Małgorzata Denys

ISBN 978-83-8069-816-1

Warszawa 2015

Wydawca

Prószyński Media Sp. z o.o.

02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28

www.proszynski.pl

Część I

To było zupełne zaskoczenie. Górzańscy nic im nie powiedzieli, nie wspomnieli nawet słowem, choć przecież spotykali się na ulicze, w drodze do sklepu, i wymieniali krótkie powitania. I teraz nagle okazało się, że wyprowadzają się do Starczewa, do jego matki, a swoją połówkę bliźniaka już sprzedali. Fakt, nie musieli oficjalnie ich zawiadamiać, nie utrzymywali ze sobą kontaktów towarzyskich i poza „Dzień dobry. Dzień dobry” właściwie nie rozmawiali. Ale jednak wypadało.

Tak przynajmniej uważał Henryk.

Dowiedział się o tym w poniedziałek, zaraz po powrocie z uniwersytetu. To był normalny, zwykły dzień, taki, który nie zapowiada żadnych nieoczekiwanych wydarzeń. Tyle że wyjątkowo mroźny, nawet jak na tę zimę. Rano Henryk musiał wrócić do domu i przebrać się w puchową kurtkę, a wieczorem, po zakończeniu zajęć, nie mógł uruchomić samochodu. Silnik na przemian wył i stękał, i trzeba było w końcu poprosić o pomoc studentów, co było krępujące, gdyż wytwarzało niewyraźną atmosferę zobowiązania. Na szczęście na ulicy, przy której mieścił się jego instytut, był duży spadek, auto pchane przez wesoło pokrzykujących młodzieńców szybko nabrało prędkości i silnik prawie natychmiast zaskoczył. Henryk pomachał im ręką na pożegnanie, ale wciąż czuł się nieswojo: nie lubił nikogo o nic prosić, a już zwłaszcza gdy były to osoby służbowo mu podległe.

Dochodziła szósta, godzina wieczornego szczytu komunikacyjnego, ale miasto było puste. Mróz i porywisty wiatr wymiotły ludzi z ulic, samochodów też było niewiele. Jechał więc przez zamarłą, przedwcześnie uśpioną Warszawę całkiem szybko, nie natrafił na żaden korek. Komfortowa jazda skończyła się jednak zaraz po przekroczeniu granic miasta. Na parczewskiej szosie ruch był wprawdzie również niewielki, ale nagle zrobiła się ślizgawica. Droga nie była niczym posypana, ani solą, ani piaskiem, i jej nawierzchnia, gładka i wypolerowana setkami opon, lśniła w świetle księżyca niczym porcelana. Zwolnił do trzydziestki, ale i tak miał dziwne wrażenie, że koła samochodu nie napotykają oporu i obracają się w powietrzu, a toyota unosi się nad jezdnią. „Jutro rano zadzwonię do urzędu gminy – postanowił.

– Spytam, czy zaczną coś robić dopiero, jak dojdzie do wypadku”. W końcu gmina nie była biedna. W ostatnich latach sporo zamożnych ludzi z Warszawy, zwanych przez miejscowych „przesiedleńcami”, postawiło tu domy albo, jak oni, kupiło gotowe. Na ogrodzeniach posesji wisiły tabliczki z nazwami firm i zakładów usługowych, a ich właściciele zapewne płacili spore podatki. „Na co idą te wszystkie pieniądze?” – pomyślał z irytacją.

Gdy ściskając kurczowo kierownicę, dojechał wreszcie do domu, elektroniczny zegar na pulpicie wskazywał za kwadrans siódmą. Droga z instytutu zajęła mu więc czterdzieści minut; bywało już gorzej. W oknach kuchni paliły się światła.

Wysiadł z samochodu i smagany lodowatym wiatrem podszedł do bramy. Gdy ją otwierał, metalowe pręty parzyły go w ręce, choć miał na nich grube, zamszowe rękawiczki. „Trzeba będzie w końcu zamontować automat – pomyślał. – Może w tej samej firmie, która założyła sterowane pilotem drzwi do garażu”. Ale to oznaczało duży wydatek, a ich sytuacja finansowa nie była ostatnio najlepsza.

Skrzypnięcie żelastwa obudziło psa Kulczyków, z którymi sąsiedowali przez obsadzone tujami ogrodzenie. Mały, biały jak śnieżna kula kundelek podleciał pod płot, piskliwie ujadając. Henryk nie zwracał jednak uwagi na jego jazgot; to był stały akompaniament wieczornych powrotów do domu. Wrócił do samochodu i wprowadził go na podjazd. Garaż mieli mały, ledwo na jeden wóz, i teraz zajmowało go clio Justyny. „Ciekawe, czy rano toyota odpali?” – przemknęło mu przez głowę.

Dźwigając teczkę z papierami, przeciął na ukos niewielki ogródek, w którym Justyna uprawiała krzewy ozdobne, sterczące teraz spod śniegu czarnymi kępkami nagich gałęzi. Pies Kulczyków wreszcie się uspokoił i słychać już było tylko jednostajny szum wiatru w koronach drzew rosnących w pobliskim lesie. Przez chwilę szukał kluczy, obserwując wydobywające się ze swoich ust obłoczki pary, które natychmiast rozplywały się w powietrzu.

Otworzył drzwi i nagromadzone w środku ciepło buchnęło na niego jak z rozgrzanego pieca. To był bardzo przyjemny moment. Za niego gotów był wybaczyć zimie i przeszywający wiatr, i paralizujący, jak dzisiaj, mróz. W gruncie rzeczy lubił ją właśnie za tę jedną chwilę wejścia do domu. No, może jeszcze za to, że dzięki niej mógł pojeździć na nartach.

Powiesił w przedpokoju kurtkę i wszedł do kuchni, skąd dolatywał mocny

zapach podsmażanego czosnku. Poczul przyplyw glodu, raptowny jak uderzenie pieścią w zoladek; obiad w profesorskiej stolowce jadal o pierwszej. Justyna, pochylona nad kuchenka, mieszala cos na zeliwnej patelni.

– Cześć – rzucil, odstawiajac teczke na krzeslo.

– Cześć – odparla, ale nie odwrócila glowy.

Podszedl do niej, objal od tyłu i zajrzal przez ramie. Na patelni pyrkotal brunatny sos. „Spaghetti – pomyslal. – Świetnie”. Justyna nie byla wybitna kucharka, ale włoskie potrawy opanowala do perfekcji.

Nie lubila, gdy krecil sie po kuchni podczas gotowania, oderwal sie wiec od jej pleców i podszedl do okna, za ktorym wisial termometr. Minus osiemnaście stopni; gdy wysiadal z samochodu, wydawalo mu sie, ze jest jeszcze zimniej.

– Niezly mróz – mruknal. Potwierdzila skinieniem glowy, ale nie podjela tematu.

Przyjrzal sie jej uwaznie, wydawala sie unikac jego wzroku. Wzruszyl lekko ramionami i przeszedl do znajdujacej sie obok lazienki. Odkrecil kran. Ręce mial zgrabiale, ciepła woda przyjemnie je ogrzewala; mial wrazenie, jakby rozpuszczala niewidoczną, pokrywajaca jego dlonie skorupe. Skropil twarz i wycierajac ja potem ręcznikami, spojrzal w lustro. Nie byl zachwycony swoim widokiem. Siwizna coraz glębiej zapuszczala mu sie we włosy, a zmarszczki na policzkach zaostrzily sie w dwie glębokie, pionowo biegnace bruzdy. Nie dallo sie ukryc, starzal sie. Ten proces zwykle nasilal sie wlasnie zima, gdy mroźne powietrze na zewnatrz i nagrzane w domu tworzylo zabojcza dla skory mieszanke. Ale coraz bardziej pobielalych włosow nie mogle tłumaczyc juz niczym innym niz wiekiem. Cóz, w grudniu skonczyl pięćdziesiąt siedem lat.

„Co z ta Justyna?” – pomyslal. Zachowala sie dziwnie, ta jej milkiwość, zamkniecie w sobie... zwykle po całym dniu niewidzenia witali sie bardzo serdecznie. Moze spotkala ja jakaś przykrość? W przychodni terapeutycznej dla dzieci, gdzie pracowala, o stresujace sytuacje nie bylo trudno. Jak nie z małymi pacjentami, to z rodzicami. Jak nie z rodzicami, to z koleżankami. Tak, pewnie tak, choc zwykle wtedy mowila o tym od razu. A moze mu sie tylko wydawalo? Moze po prostu byla skoncentrowana na gotowaniu?

Zamknal za soba drzwi i zgasil swiatlo, gdyz bardzo ja drażnilo, gdy zostawial zapalone. Nakladala wlasnie makaron. Bez slowa podala mu butelke włoskiego rossi; otwieranie i nalewanie wina nalezalo do jego

obowiązków. Potem usiedli do stołu, po przeciwnych stronach, daleko.

Spaghetti było znakomite, jak zawsze, ale gdy ją pochwalił, skinęła tylko głową, choć zawsze była łaśa na kulinarne komplementy. Żeby wypełnić czymś krępującą ciszę, zaczął jej opowiadać o śliskiej jezdni, szybko jednak umilkł, gdyż zauważył, że słucha go nieuważnie, z roztargnieniem, jakby przebywała myślami gdzie indziej. No tak, pomyślał, trudno aby ją ten temat zainteresował, w końcu jechała tą samą trasą dwie godziny wcześniej, a o indolencji urzędników z gminy rozmawiali dziesiątki razy. W jej milczeniu było jednak coś niepokojącego, spytał więc wprost, co się stało.

I wtedy właśnie mu powiedziała.

Mówiła niechętnie, opornie, jakby to była jej wina, jakby czegoś nie dopilnowała, nie dopatrzyła, przegapiła. A on już po pierwszych słowach zrozumiał, że te wszystkie jego dzisiejsze powody do irytacji – kapryśny samochód, oblodzona jezdnia, gnuśni urzędnicy – są tylko wydumanymi błażostkami. Ten problem był rzeczywisty. No, może jeszcze nie problem, ale w każdym razie zmiana, a on niezaplanowanych zmian bardzo nie lubił. Jako statystyk cenił przewidywalność i obliczalność, a tu nie wiadomo było, czego się spodziewać. Górzeńscy nie byli wprawdzie ludźmi, z którymi mogliby się zaprzyjaźnić, ale ich sąsiedztwo było ciche, spokojne i nieuciążliwe. Nie awanturowali się, nie mieli małych dzieci, nie słuchali muzyki, nie urządzali imprez towarzyskich. Czasem tylko Górzeńska włączała trochę za głośno telewizor. A teraz? Poczłł nieokreślony lęk.

– Jak to? – wyjąkał. – Tak bez uprzedzenia?

Justyna wzruszyła lekko ramionami. Sięgnęła po kieliszek, upiła łyżeczek wina, po czym odstawiła go na to samo miejsce.

No tak, pomyślał Henryk, w końcu byli dla sąsiadów obcymi ludźmi i ci wcale nie musieli zwierzać im się ze swoich planów. Ale żeby **nic** nie powiedzieć? Mogliby chociaż spytać, czy nie mają kogoś chętnego do kupienia ich połówki. A mieliby! Mieliby, i to wielu. Goście, których zapraszali wiosną czy latem, ale nie zimą – ta pod względem towarzyskim była martwym sezonem – podczas obiadów na tarasie i spacerów zawsze zachwycali się okolicą, urodą lasu, czystością powietrza, ciszą – słowem, wszystkimi najbardziej oczywistymi atutami mieszkania poza miastem. Nieraz dopytywali się, czy nie wiedzą o jakimś domu na sprzedaż. Nawet

ostatnio Witek zagadnął go w tej sprawie w instytucie. Och, to byłoby najlepsze rozwiązanie: mieć przez ścianę bliskiego kolegę, przyjaciela wręcz, któremu można by na czas wakacyjnego wyjazdu powierzyć klucze, a na co dzień cieszyć się sympatycznym towarzystwem jego rodziny i liczyć na pomoc w razie awaryjnej sytuacji. „Cholera! – zaklął w myślach. – A taka była szansa. Co za barany!”

– Komu sprzedali? – spytał ostrzejszym tonem, niż zamierzał.

Justyna spojrzała na niego zaskoczona.

– Jakiemuś małżeństwu z Niechodzina. Z dzieckiem – dodała po chwili.

Z dzieckiem? Niedobrze. Może wrzeszczeć, płakać po nocach, hałasować. Ale z drugiej strony wyglądało na to, że to jakaś ustatkowana rodzina. Więc jeszcze nie najgorzej.

Żona nic więcej na temat przyszłych sąsiadów nie umiała mu powiedzieć, postanowił więc pójść po kolacji do pani Jadzi, mieszkającej na samym końcu uliczki wdowy po kościelnym, która uchodziła za najlepiej poinformowaną osobę w okolicy. Resztę posiłku zjedli w milczeniu. Temat był chwilowo wyczerpany, a na inny, niejako w jego zastępstwie, aby zapełnić ciszę, nie mieli ochoty. Gdy podziękował i wyszedł, Justyna zaczęła sprzątać ze stołu.

Mróz był chyba jeszcze większy, więc dokładnie zapiął kurtkę i szybkim krokiem ruszył w stronę małego parterowego domku, za którym wznosiła się już tylko ciemna ściana lasu. Świecił jasny księżyc; zbliżała się pełnia. Po obu stronach uliczki stały wysokie przyzmy stwardniałego śniegu. Chodnik zrobił się wąski i miejscami bardzo śliski. Gdy mijał pokraczny dom Czapskiego, taksówkarza, z którym jeździli czasem do Warszawy, poślizgnął się i aby nie upaść, przytrzymał się drucianego ogrodzenia. Wylegujący się na betonowym podejździe pies, skundlony wilczur o podpalanej sierści, zerwał się i podbiegł do siatki, głucho ujadając. „Wszędzie te psy – pomyślał z irytacją. – Czy ci ludzie muszą nawet w taki mróz trzymać zwierzaki na zewnątrz?”

Do psa Czapskiego dołączyły wkrótce inne. Przy wtórze szczekania dobiegającego jednocześnie z kilku stron dotarł do przerdzewiałej furtki i nacisnął poźółkły ze starości, kościany guzik dzwonka. „Mam nadzieję, że nie jest jeszcze w łóżku” – pomyślał. Nie było to wcale wykluczone. Pani Jadzia żyła wiejskim rytmem; wstawała wcześniej rano i szła spać po powrocie z wieczornej mszy, zaraz po prognozie pogody. Zerknął na zegarek.

Nie, nie powinna jeszcze, było raptem po siódmej. I rzeczywiście: drzwi się uchyliły i w jasnym prostokącie światła zamajaczyła przygarbiona sylwetka.

– Kto tam? – W głosie pobrzmiewał niepokój.

– To ja, sąsiad! Hiczewski! – odrzyknął. Cofnął się o kilka kroków, aby stanąć w świetle latarni.

Zabręczało. Pchnął furtkę i wysypaną piaskiem ścieżką podszedł do wpółotwartych drzwi, w których stała gospodyni. Zaczął otrzepywać buty ze śniegu.

– Pan wchodzi szybko, bo mrozu naleci – ponagliła go niecierpliwie. Była ubrana w gruby, brązowy serdak, ale na nogach miała kapcie, mogła marznąć.

Wszedł do oświetlonej słabą żarówką sieni. Pani Jadzia nie zamknęła za nim drzwi od razu, tylko wystawiła głowę na zewnątrz i rozejrzała się czujnie na wszystkie strony, jakby chcąc się upewnić, czy nikt nie jest świadkiem jego wieczornej wizyty. Uśmiechnął się lekko pod nosem. Rozbawiła go ta dbałość o reputację u siedemdziesięcioletniej staruszki.

W kuchni, która pełniła zarazem funkcję salonu, było bardzo ciepło, więc szybko zdjął kurtkę i powiesił na oparciu najbliższego krzesła. Wdowa wyłączyła radio, z którego dochodził surowy głos jakiegoś księdza, i zaprosiła gościa do stołu.

– Herbaty?

Pokręcił przecząco głową.

– Nie, dziękuję. Ja tylko na chwilę – odparł, siadając. Na środku stołu, na białej dzierganej serwetce stał kryształowy wazonik z plastikową różą.

Wymienili kilka uwag o trzymającym wciąż mrozie – u nich na wsi, jak w Anglii, każda rozmowa obowiązkowo zaczynała się od pogody – po czym pani Jadzia przykucnęła przy kafłowej kuchni i wrzuciła do rozpalonego wnętrza jeszcze kilka drewniek. „Zaraz zrobi się sauna – pomyślał i zaczął się zastanawiać nad zdjęciem swetra. – Ale nic, wytrzymam”.

Gospodyni taka temperatura widocznie jednak nie przeszkadzała. Usiadła naprzeciwko niego, po czym zastygła w pozie niemego oczekiwania: łokcie oparte o stół, splecione palce, zaciekawione oczy.

– Przepraszam za tak późną wizytę – zaczął. – Ale chciałbym się o coś spytać, a pani jest najlepiej zorientowana w tutejszych sprawach.

Uśmiechnęła się z zadowoleniem. Status osoby dobrze poinformowanej bardzo jej pochlebiał. Popatrzyła na niego zachęcająco.

– Wie pani, oczywiście, że Górzeński sprzedał dom? – spytał prosto z mostu.

Kiwnęła głową.

– Ano sprzedał – potwierdziła. – Nie miał wyjścia.

Spojrzał na nią pytającym wzrokiem. Staruszka ponownie się uśmiechnęła. Błysnęły nienaturalnie białe zęby, dzieło miejscowego protetyka, doktora Idziaka.

– Słabo mu szedł ten jego **byznes**. – Ostatnie słowo wymówiła z pogardą. – Żeby się odkuć, zaczął grać po tych wszystkich kasynach. Zapożyczył się i jeszcze więcej stracił. – W jej głosie słyhać było satysfakcję. – Aż zaczęli go nachodzić, więc musiał szybko chałupę spieniężyć.

Zaskoczyła go ta wiadomość. Nigdy by się czegoś takiego po Górzeńskim nie spodziewał. Sąsiad nie był typem hazardzisty. Spokojny, mrukliwy, trochę tępy, ale solidny i uporządkowany. Prowadził niewielką firmę budowlaną. Nie wydawał się zdolny do jakichkolwiek szaleństw czy ekstrawagancji i z trudem można go było sobie wyobrazić przy ruletce czy blackjacku. „Co my jednak wiemy o ludziach?” – pomyślał.

Przypomniał sobie, jak chyba rok temu sąsiad skarżył mu się, że z tym kryzysem to już nie tylko takie gadanie; że coraz mniej ma zamówień i że w ogóle wszystko jest do dupy. A jakiś czas potem pod jego domem – a właściwie to pod jego częścią ich wspólnego domu – zaczęli się pojawiać dość dziwnie wyglądający ludzie w markowych samochodach. Wtedy Henryk nie zwrócił na to większej uwagi, ponieważ Górzeński miewał różnych klientów. Dopiero teraz się wyjaśniło, że tymi wszystkimi ciemnymi beemwicami i audikami przyjeżdżali egzekutorzy długów, wysłannicy kas pożyczkowych. I choć wciąż był zły na Górzeńskiego, że nic mu nie powiedział, to zrobiło mu się go żal.

– A ci, co przyjdą na jego miejsce, to kto? – spytał, bo po to tu przyszedł, a nie żeby litować się nad sąsiadem.

Pani Jadzia zakręciła się na krześle. Zaskrzypiało.

– Pijaki – stwierdziła krótko. – Mieszkali u jej matki, na Niechodzinie. Ale tak już ich miała dość, że kupiła ten dom, byleby tylko się wynieśli.

„Pijaki – powtórzył w myślach. – No to wspaniale”. Zrobiło mu się jeszcze bardziej gorąco. Przeprosił gospodynię i ściągnął sweter.

– Ta jej matka to niezła szczęściara – ciągnęła staruszka, nie zwracając uwagi na to, co robił. – Rabczewska się nazywa. W gminie pracuje jako

sprzątaczką. W zeszłym roku odrolniła pole i sprzedaje kawałek po kawałku na działki budowlane. Teraz z niej milionerka. – Pani Jadzia prychnęła z mieszaniną pogardy i uznania. – Ale pracy nie rzuciła, to trzeba przyznać.

„Interesujący przypadek – pomyślał Henryk, w którym na chwilę odezwał się socjolog. – Pewno przed wojną jej rodzice czy dziadkowie klepali biedę na podwarszawskich piaskach, a teraz ona, zwykła sprzątaczką, dzięki tym piachom stała się wielką posiadaczką ziemską, kupuje dzieciom domy w drogiej podstołecznej miejscowości, a mimo to dalej pracuje, ciekawe”.

Szybko jednak oderwał się od tych rozważań i wrócił do tematu nowych sąsiadów. Pani Jadzia nie umiała jednak nic bliższego o nich powiedzieć.

– Pijacy, mówię panu – powtarzała tylko z zawziętością w głosie. Miała swoje powody. Jej zmarły mąż, Komasa, potrafił chlać kilka dni z rzędu. Trzeźwiał dopiero wtedy, gdy ksiądz groził, że go zwolni.

– No tak... – mruknął Henryk.

– Oboje. Nic dobrego – dodała wdowa i popatrzyła na niego ze współczuciem; tak mu się przynajmniej wydawało.

Wstał, aby nie przeciągać wizyty, podziękował za informacje i zaczął się ubierać. Gdy wychodził, kobieta znowu bacznie zlustrowała otoczenie, ale tym razem już go to nie rozbawiło. „Czego ona się wstydzi? – pomyślał z lekkim rozdrażnieniem. – Boi się, że Czapski mnie zauważy i będzie jej potem docinał? «Pani Jadzia, ledwo rok, jak męża pochowała, a już naszego profesora wieczorami przyjmuje». Tak, to możliwe. Miał cięty język, jak to taksówkarz”.

Szedł ciężko, jakby niósł worek kamieni. Słowa staruszki – a można było polegać na jej wiedzy – pogłębiły w nim niepokój, który ogarnął go podczas kolacji. „Pijacy. To nie wygląda dobrze. Kłopotliwy element. I nieobliczalny”. Czegoś przynajmniej się dowiedział. „Justyna twierdzi, że skonkretyzowany lęk redukuje się o dwie trzecie, no ale chyba nie zawsze” – pomyślał cierpko.

Gdy wszedł do domu, rozmawiała przez komórkę. Ktoś z pracy prosił ją o zastępstwo na dyżurze i, jak zawsze, się zgodziła. Skrzywił się. Denerwowało go, że tak pozwala się wykorzystywać. Popatrzył na nią ponagląco; chciał jak najszybciej podzielić się z nią tym, co usłyszał, ale wolną ręką wykonała tylko jakiś nieokreślony gest.

– Ta anorektyczka? – Zmarszczyła brwi. – To zeskanuj mi tylko wywiad z nią i prześlij mejlem, żeby wiedziała, co i jak...

Powiesił kurtkę i usiadł przy uprzątniętym już stole. Czekał. Z pokoju telewizyjnego dobiegał podekscytowany głos prezentera *Faktów*. Za oknem znów rozszczękał się jakiś pies.

– Dobra, okej. – Justyna się roześmiała. – Postawisz mi kawę i będziemy kwita. No, na razie. – Rozłączyła się, odłożyła komórkę i popatrzyła na niego pytająco. Nie skomentował jej zadziwiającego, jak na zawodową psycholożkę, braku asertywności i od razu powtórzył, czego się dowiedział. Słuchała w milczeniu, a gdy skończył, przez twarz przebiegł jej krótki skurcz. Usiadła ciężko na krześle naprzeciwko i przez chwilę uważnie mu się przyglądała, jakby chciała się upewnić, że nie zmyśla.

– Cholera – odezwała się w końcu. – To nas załatwił ten Górzeński...

Przytaknął w milczeniu.

– Musiał niby... – bąknął po chwili.

Machnęła tylko ręką.

– My też kogoś byśmy mu znaleźli.

Zamyślił się. Rzeczywiście, dlaczego właściwie nic im nie powiedział? Fakt, nie lubili się specjalnie. Sąsiad dorobił się kiedyś dużych pieniędzy, a ich uważał za zarozumiałych inteligentów z Warszawy, którzy nie wiadomo właściwie czemu tak się wynoszą, skoro mógł trzy razy ich kupić i nie zażądać reszty. Oni uważali go z kolei za wzbogaconego prostaka, niemniej panowały między nimi poprawne stosunki; nie było żadnych poważniejszych konfliktów, może tylko wzajemne lekceważenie. Czy chciał im zrobić na złość za to, że nie odnosili się do niego z należnym bogatemu biznesmenowi szacunkiem? A może odwrotnie – wstydził się, że znalazł się w sytuacji, kiedy musi sprzedać dom, z którego był dumny?

A może to wszystko było prostsze. Może ta milionerka z Niechodzina dała mu od razu dobrą cenę lub była jakąś jego krewną czy znajomą? W końcu oboje byli stąd, a tutaj wszyscy się jakoś tam znali albo byli ze sobą powiązani rodzinnie.

– Zobaczymy, jak to będzie – westchnął.

Kiwnęła tylko głową, po czym wstała i przeszła do pokoju telewizyjnego, żeby obejrzeć końcówkę *Wiadomości*. Nie dołączył do niej. Od pewnego czasu nie oglądał już programów informacyjnych, zadowolając się tym, co usłyszał w samochodzie z radia. Nalał sobie kieliszek wina, które zostało po kolacji, i poszedł na górę, do swojego gabinetu. Tam zawsze mu się najlepiej myślało, a było o czym myśleć.

Spał źle, kilka razy budził się w środku nocy, wypełniony nieokreślonym niepokojem. Wieczorem, jak było do przewidzenia, nic nie wymyślił. Długo leżał w ciemnościach, patrząc z zazdrością na równo oddychającą Justynę, której nawet najbardziej stresujące sytuacje nie zakłócały snu. Dopiero nad ranem udało mu się porządnie zasnąć.

Na szczęście nie zasnął. O dziesiątej miał wykład w Wyższej Szkole Nauk Społecznych, gdzie dorabiał do chudej uniwersyteckiej pensji. Kanclerz uczelni, antypatyczny prawnik nazwiskiem Sowiński, podejrzewał – nie bez racji – że wykładowcy akademicy traktują zajęcia w jego szkole wyłącznie jako chałturę, i był bardzo wyczulony na punkcie dyscypliny. Spóźnienia odbierał jako osobistą zniewagę. Wewnętrzny budzik Henryka jednak zadziałał: gdy otworzył oczy, zegar na szafce nocnej wskazywał wpół do dziewiątej. Justyny już nie było. Zaczynała wcześniej.

Wziął prysznic, ogolił się, zjadł niewielkie śniadanie – z rana zazwyczaj nie miał apetytu – wziął teczkę i ubrany w tę samą ciepłą kurtkę, co wczoraj, wyszedł przez bramę garażową. Mróz na szczęście nieco zelżał i toyota, która stała całą noc na zewnątrz, od razu odpaliła. Kolejne szczęście. Gdyby samochód nawalił, Henryk byłby zdany na rzadko kursujący autobus i zjawiłby się na uczelni w połowie wykładu, a tego Sowiński by mu nie darował.

Nawierzchnia od wczoraj się nie zmieniła, więc przypomniał sobie o telefonie do gminy. Gdy za trzecim razem udało mu się dodzwonić, odebrała jakaś zasnana urzędniczka.

– Tak? – spytała niezbyt przytomnym głosem.

– Dzień dobry. Chciałem się spytać, kiedy państwo zamierzacie coś zrobić z drogą. Drugi dzień jest szklanka.

– Wiemy, wiemy. Dostawaliśmy już sygnały – przerwała mu kobieta. – Niestety, nie możemy się dogadać z MPO. Z dnia na dzień podnieśli ceny o połowę, a nie mamy takich pieniędzy w budżecie, żeby...

Zniecierpliwiał się.

– A co mnie to obchodzi? – przerwał jej niegrzecznie w pół zdania. – To już państwa problem. Nie może być tak, że prawie do samej Warszawy jest gołoledź. Jak się zdarzy wypadek, pójdzie na wasze konto.

Urzędniczka westchnęła głośno.

– Robimy, co możemy, proszę pana.

Spytał jeszcze kąśliwie, czy zamierzają dogadać się z MPO przed nadejściem wiosny, i zakończył rozmowę. Wątpił, czy cokolwiek z niej wyniknie, ale miał przynajmniej poczucie, że **coś** zrobił. Może im więcej będzie takich telefonów, tym szybciej się sprężą.

Jechał spokojnie, nie musiał się śpieszyć. Myślał na przemian o czekającym go wykładzie i o nowych sąsiadach. Noc na szczęście zrobiła swoje, oddzielając go od nieprzyjemnych rewelacji wczorajszego dnia, i był już dużo spokojniejszy, zdystansowany. Co ma być, to będzie. Nie ma sensu martwić się na zapas.

Znał trasę na pamięć, rutyna jazdy nieraz go już nużyła, więc tym bardziej nie był przygotowany na to, co się wydarzyło. Gdy mijał Starczewo, dużą wioskę graniczącą z Warszawą, z bocznej uliczki, niemal wprost przed maskę, wyjechał mu nagle wielki czarny dziup. Henryk przyhamował ostro, samochodem rzuciło w lewo i gdy już, już zsuwał się bezsilnie na pobocze, udało mu się w ostatniej chwili skontrolować kierownicę, przyśpieszyć i wrócić na swój pas. W sumie nic się nie stało, ale gdyby z naprzeciwka jechał jakiś samochód, skończyłoby się czołówką. Wkurzony bezczelnością kierowcy, który spokojnie jechał sobie dalej, kilkakrotnie zatrąbił i popukał się w czoło.

Za chwilę tego pożałował. Światła stopu jadącego przed nim samochodu rozblęły złowieszczym, krwistoczerwonym kolorem. Dziup zjechał na środek jezdni i stanął w poprzek drogi. Był za duży, żeby dało się go wyminąć.

Henryk również się zatrzymał. Zrobiło mu się gorąco, poczuł suchość w gardle, serce zaczęło głośno walić. W pierwszej chwili przyszło mu do głowy, żeby zawrócić, ale zerknął w lusterko i zorientował się, że tuż za nim stanął czerwony fiat punto prowadzony przez młodą kobietę w okularach. Droga ewentualnej ucieczki była zamknięta.

Z dziupa wyskoczył kierowca. Na jego widok Henryk tylko jęknął. Był to potężnie zbudowany młody mężczyzna, ubrany w adidas, luźne dresowe spodnie w turkusowym kolorze i skórzaną kurtkę opinającą muskularną klatkę piersiową. Mimo mrozu nie miał na głowie czapki. Linia krótko ostrzyżonych czarnych włosów układała się w szerokie, symetryczne półkola, jak u Myszki Miki, ale poza tym szczegółem nic już nie przypominało w nim sympatycznej bohaterki disneyowskiej kreskówki; miał szeroką, zaciśniętą jak u psa szczękę, płaski, złamany u nasady nos i małe, nieco skośne oczy, wpatrzone teraz w Henryka. Nie było w nich gniewu, tylko chłodna

bezwzględność. Szedł w jego stronę nieśpiesznym krokiem drapieżnika, spokojnego o to, że ofiara mu nie umknie.

Za jego plecami Henryk dostrzegł innego mężczyznę, który wysiadł z terenówki drugimi drzwiami, od strony pasażera. Miał dobrze po pięćdziesiątce, a więc był mniej więcej w jego wieku. Niski, pękaty, wciśnięty w krótki, barani kozuszek. W ustach trzymał połyskującą w słońcu złocistą fifkę z zapalonym papierosem. Po wyjściu z samochodu oparł się o dżipa i wypuszczając z ust obłoczki dymu, przyglądał się obojętnym wzrokiem działaniom swojego szofera – a zapewne także goryla i nie wiadomo kogo jeszcze. Ten podchodził już do toyoty.

Henryk skulił się w fotelu. Był tak sparalizowany strachem, że nawet nie pomyślał o zablokowaniu drzwi. Zresztą i tak nie miałyby to sensu – Myszka Miki zapewne rozbiłby szybę jednym uderzeniem pięści. Zamiast tego uchylił więc okno i czując, jak fala zimnego powietrza wpada do wnętrza wozu, spytał lekko drżącym głosem:

– O co chodzi?

W odpowiedzi mięśniak otworzył drzwi, złapał go za lewe ramię i jednym szybkim ruchem wyciągnął z auta. Szarpnięcie było tak mocne, że Henryk zatoczył się do tyłu i usiadł z impetem na oblodzonej jezdni. Nie zabolało, poczuł jedynie wilgotny chłód przenikający materiał spodni.

– Przytrąbić ci w ucho?! – wrzasnął osiłek, pochylając się nad nim.

Henryk poczuł ostry zapach czosnkowanej kiełbasy. Milczał – nie dlatego, że pytanie było z gruntu retoryczne, ale po prostu nie mógł wydobyć z siebie głosu, jakby gardło i krtań ścisnęła mu potężna, niewidzialna łapa. Kątem oka zauważył tylko, że z powodu blokady drogi po obu jej stronach ciągnęły się już długie sznury unieruchomionych samochodów. „Ciekawe, czy ktoś przyjdzie mi z pomocą?” – pomyślał. Nie bardzo na to liczył; on sam na widok takiego zajścia zostałby raczej w aucie. Ale może któryś z kierowców zadzwoni na policję, choć pewnie bardziej przydałoby się pogotowie.

Mężczyzna, jakby rozżłoszczony brakiem odpowiedzi, cofnął się o krok i wykonał krótki zamach nogą. Henryk skurczył się w sobie i odruchowo zamknął oczy. „Byle nie w głowę” – pomyślał w ostatniej chwili.

– Zostaw!

Krótki rozkaz, brzmiący jak szczeknięcie, poskutkował – kopniak nie został wymierzony. Henryk otworzył oczy i zobaczył, jak niedoszły oprawca stoi nad nim z nieco komicznie zadartą kończyną i z głową zwróconą w kierunku

terenówki, skąd nieśpiesznie, nie zwracając uwagi na niecierpliwe klaksony, nadchodził mężczyzna w kożusku. Jego twarz wydawała się Henrykowi znajoma. Zmarszczył brwi, natężając pamięć, ale przeszukiwanie plików w głowie nic nie dało. Tamten uśmiechnął się, jakby rozbawiony jego wysiłkami. Ale tylko ustami, oczy pozostały nieruchome i czujne.

– Cześć, Heniu – rzucił wesoło i wyciągnął rękę, aby pomóc mu wstać.

Henryk chwycił dłoń w grubej rękawiczce i dźwignął się na nogi. W tym samym momencie dwie oddalone synapsy w jego umyśle zaiskrzyły, przeszedł po nich prąd i zapaliła się miniaturowa lampka; wiedział już, kim jest mężczyzna w kożusku. Mizak. Grzegorz Mizak. Mały Grzesio, z którym chodził do podstawówki i któremu pozwalał ściągać na matematyce. Po latach się opłaciło.

Mizak przyjrzał mu się uważnie.

– Chodź, przegwarzymy – mruknął.

Henryk skinął w milczeniu głową. Był oszołomiony nieoczekiwanym zwrotem akcji, a poza tym w jakiś idiotyczny sposób czuł się zobowiązany wobec szkolnego kolegi za ratunek, choć zapewne jego interwencja tylko anulowała wcześniejszy rozkaz. Tak czy inaczej, przyjął zaproszenie.

Zanim zeszli z jezdni, Mizak nakazał mięśniakowi przestawić dżipa, gdyż stojący za nim kierowcy niecierpliwili się coraz bardziej, trąbiąc przeciągle i pokrzykując przez uchylone okna. Tamten skinął mechanicznie głową – wydawał się tym wszystkim kompletnie zdezorientowany. Rzuciwszy nieprzyjazne spojrzenie Henrykowi, wsiadł do auta i wjechał na pusty o tej godzinie parking przed sklepem Remont. Stanęli kilka kroków od samochodu, przed sklepową witryną, na której piętrzyły się puszki kolorowych farb.

– Nie widziałem, że to ty – powiedział usprawiedliwiająco Mizak, częstując go papierosem. Henryk odmówił. Mijający ich kierowcy zerkali na nich z ciekawością. Z boku całe zajście musiało wyglądać przedziwnie; wymykało się schematom, nie wiedzieli, jak je czytać. Dawny kolega szkolny zapalił camela i zaciągnął się ze smakiem. „Jak można palić na takim mrozie?” – zdziwił się Henryk. Ale spytał o co innego:

– Jak mnie poznałeś? W końcu to tyle lat.

Mizak uśmiechnął się z zadowoleniem, jakby pytanie schlebiało jego dobrej pamięci.

– Widziałem cię w telewizji – wyjaśnił. I dodał: – Kilka miesięcy temu.

Coś tam opowiadałeś, ale, prawdę ci powiem, nie słuchałem. Na pasku napisali, żeś profesor. Nic dziwnego. Zawsze uważałem, że zdolniacha z ciebie.

Henryk zmarszczył brwi, usiłując sobie przypomnieć, co to mógł być za program. Nie zapraszano go do telewizji zbyt często, zresztą dziedzina, którą się zajmował, była hermetyczna i mało medialna. To pewnie Polsat, uznał. Poprosili go o wyjaśnienie nietrafionych prognoz wyników wyborów. Tłumaczył nieprzekonująco i nieco wykrętnie, nie chcąc zanadto krytykować kolegów z ośrodków socjologicznych. Prowadząca program, młoda siksa w wieku jego córki, nie była z niego zadowolona. Jej szefowie chyba też nie, bo już nigdy go tam nie zaproszono. Ale przez tę minutę, bo tyle trwała jego analiza, jak to szumnie nazwano, widział go na ekranie Grzesio Mizak, i to go zapewne teraz uratowało.

– Od razu cię skojarzyłem... – Urwał, jakby zmieszany. I dodał pośpiesznie: – Nie gniewaj się na Lutka. Narwany jest.

Henryk wzruszył ramionami. Gadanie! Nie miał wątpliwości, że akcja osiłka w czarnej skórze nie była jego inicjatywą; na pewno działał na polecenie szefa. I gdyby to ktoś inny był na jego miejscu, kto nie miałby tyle szczęścia, by chodzić kiedyś do jednej klasy z Grzesiem Mizakiem, marnie by się to dla niego skończyło.

Przyglądając się spod oka, nabierał stopniowo przekonania, że jego dawny kolega szkolny wyrósł na prawdziwego gangstera. Nie jakiegoś wielkiego mafiosa, o jakich piszą w gazetach, ale też nie całkiem drobnego. Wiele na to wskazywało: model samochodu, bandycki wygląd kierowcy-ochroniarza, poczucie bezkarności i arogancja – w końcu nie każdy byłby gotów tak bezczelnie zatarasować ważną dojazdową drogę, aby wymierzyć sprawiedliwość kierowcy, który mu podpadł. Henryk nie miał wprawdzie dowodu, ale był prawie pewny.

Próbował sobie przypomnieć, czy coś w szkolnych latach mogło zapowiadać taką późniejszą karierę, ale nie. Mały Grześ nie był klasowym rozrabiaką ani nie odznaczał się szczególną agresywnością. Miał za to smykałkę do interesów, ciągle chciał się na coś wymieniać: brytyjski samochodzik Matchboxa na czeski kask hokejowy, kowbojski pas z legendarnego Teksasu na szwedzki długopis z rozbierającą się panienką. To były takie małe biznesiki na miarę peerelowskiej szkoły podstawowej końca lat sześćdziesiątych. Widocznie potem rozsmakował się w większych

pieniądzach, niekoniecznie uczciwie zarobionych.

– A ty... co porabiasz? – spytał, ignorując obłudne przeprosiny.

Mizakowi twarz się rozjaśniła, jakby czekał na to pytanie. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni wystającej spod kożuszka marynarki i wyjął wizytówkę. Nic nie mówiąc, podał mu ją z tajemniczym uśmiechem.

Henryk przysunął do oczu sztywny kartonik – czytanie bez okularów sprawiało mu coraz większą trudność. Wizytówka był elegancka, drukowana na kredowym papierze. Widniała na niej nazwa firmy deweloperskiej, chyba dużej i poważnej, bo jadąc samochodem, nieraz słyszał w radiu jej reklamy. Pod spodem nazwisko: „Grzegorz Mizak”, a jeszcze niżej: „President”.

– Widzisz? Mnie też się udało – roześmiał się z zadowoleniem szkolny kolega.

„Też? A więc uważa mnie za człowieka sukcesu” – pomyślał Henryk. Nie wiadomo dlaczego bardzo go to rozbawiło.

– Gratuluję – odparł.

W rzeczywistości wytworny bilet wizytowy w żadnym stopniu nie rozwiał jego podejrzeń. Ostatecznie każdy mógł sobie taki wydrukować, aby przekonywać naiwniaków, że jest statecznym, płacącym podatki obywatelem. Bardzo zresztą możliwe, że tak obecnie było, ale Henryk pamiętał czytany kiedyś artykuł o tym, jak starsze pokolenie gangsterów, zarzucając przestępczą działalność, weszło w legalne interesy. Największym powodzeniem cieszyła się wśród nich właśnie deweloperka. To by się zgadzało.

Schował wizytówkę do kieszeni, nie rewanżując się swoją. Najpewniej zresztą jej nie zabrał. Mizak przez chwilę patrzył na niego wyczekująco, ale nie nastawał.

– Ostatnio dużo budujemy na Mazurach – rzucił, wydmuchując dym. – Jakbyś reflektował, to po dawnej znajomości... – Uśmiechnął się i przymrużył porozumiewawczo oko.

Henryk kiwnął bez przekonania głową. Nie planował takiego zakupu, nawet po okazyjnej cenie. Szczyt jego konsumpcyjnych ambicji wyznaczała obecnie brama otwierana na pilota.

Mizak spoważniał i popatrzył na niego z namysłem.

– A tak w ogóle... – Zawahał się przez krótki, niemal niedostrzegalny moment i dodał nieco dwuznacznie: – Jakbyś miał kłopoty... wal do mnie. Trzeba sobie pomagać.

Henryk ponownie kiwnął głową. Nie przewidywał takiej sytuacji. Na tym się pożegnali i rozeszli do swoich samochodów. W rześkim, mroźnym powietrzu wyraźnie czuć było zapach spalin wypuszczanych przez przejeżdżające auta. Po wejściu do toyoty Henryk zerknął na elektroniczny zegar i cicho zaklął. Było wpół do dziesiątej, nie miał szans zdążyć na wykład. „Dlaczego jestem taki nieasertywny? – zastanawiał się, zaciągając pas i uruchamiając silnik. – Dlaczego nie potrafiłem odmówić? Po co mi w ogóle była ta cała rozmowa, pełna sztuczności i niedopowiedzeń? Bo ciekaw byłem, jak się wiedzie szkolnemu koledze? A czemu nigdy nie potrafię powściągnąć takiej głupiej ciekawości? A teraz czeka mnie rozmowa z Sowińskim. W znacznie mniej przyjemnej atmosferze”.

Mijając dzipa, który grzecznie czekał z włączonym migaczem, zerknął przez boczną szybę. Jego dawny kolega był zajęty rozmową przez komórkę, nie zwracał już na niego uwagi, za to kierowca – jakżeż mu było? Lutek? – rzucił mu kose spojrzenie. Najwyraźniej nie podzielał wyrozumiałości bossa i żałował, że przepadła mu okazja do spuszczenia komuś miłego porannego łomotu.

Spóźnił się tylko dwanaście minut, dzięki czemu studenci nie zdążyli się rozejść, ale i tak nie uniknął rozmowy z kanclerzem. Sowińskiemu takie dyscyplinujące pogadanki sprawiały perwersyjną przyjemność, lubił strofować starszych od siebie i bardziej utytułowanych pracowników. Trzeba mu jednak przyznać, że gdy Henryk wyjawiał przyczynę spóźnienia (nieco dramatyzując całe wydarzenie i przemilczając jego drugą część), natychmiast złagodniał i zaprzestał wyrzutów. Nawet zrewanżował mu się opowieścią o swoim koledze, radcy prawnym, którego spotkała podobna przygoda.

– ...tylko że on nie popukał się w czoło, a pokazał, jak to mówi młodzież, fucka. Facet przyblokował go, tak jak pana, wyciągnął z samochodu, złamał mu środkowy palec, jak patyk, i odjechał. Jak patyk, powiadam panu! Kolega był w takim szoku, że nawet nie zapamiętał numerów rejestracyjnych. Zresztą pewno nie na wiele by mu się to zdało – zakończył refleksyjnie.

Tak więc spóźnienie mu się upiekło, ale nie odczuwał z tego powodu ulgi. Przeciwnie, gdy opuszczał gabinet Sowińskiego, śpiesząc się do bufetu na drugie śniadanie, palił go wstyd, że on – w końcu poważny profesor poważnej warszawskiej uczelni – pozwala się traktować jak uczeń,

a właściwie, że jak uczeń się zachowuje. Te wszystkie wykręty, uniki, przemilczenia... Był zniesmaczony i niezadowolony z siebie.

Justyna, gdy po powrocie do domu przedstawił jej pełną wersję wydarzeń, wraz z dalszym ciągiem, pominiętym w rozmowie z kanclerzem, zareagowała bardziej nerwowo. Nie znosiła przemocy i gdy opisywał, jak osiłek w czarnej skórze wywlekał go z samochodu, aż głośno jęknęła. Nie miała też dostatecznego poczucia humoru, aby dostrzec w całej tej sytuacji coś przewrotnie zabawnego.

– Miałeś szczęście – stwierdziła tylko. – Dobrze, że nie trafiłeś na kogoś innego. Straszny teraz bandytyzm na drogach.

Kiwnął głową. „Co za banał” – pomyślał. Ale po ponad ćwierćwieczu małżeństwa wspólne życie składa się głównie z wymieniania banałów. To one zapewniają związkowi trwałość i bezpieczeństwo.

Wstała z kanapy.

– Idę do łóżka. Skonana jestem.

Wcale się nie zdziwił. Też byłby skonany po całym dniu spędzonym na rozmowach z anorektyczkami, małymi narkomanami i dziećmi z autyzmem. A jeszcze ten dodatkowy dyżur, na który się bezsensownie zgodził. Mimo wszystko jego praca była mniej męcząca, choć dziś akurat nie brakowało mu zajęć: dwa kolejne wykłady w „szkole”, jak ironicznie nazywał uczelnię Sowińskiego, potem szybki przejazd na uniwersytet, tam seminarium i konsultacje magisterskie. Nie miał nawet siły, aby zajrzeć do pisanego na zamówienie artykułu.

Na górze trzasnęły drzwi łazienki. Wziął do ręki pilota i zaczął skakać po kanałach. Na TVN zaczynał się właśnie amerykański thriller, a on czasami lubił popatrzeć sobie na jakiś bezmyślny, krwawy film. Dziś jednak nie miał na to ochoty: może dlatego, że doświadczył na sobie prawdziwej przemocy i niepotrzebne mu już było oglądanie fikcyjnej. Po kilku minutach wyłączył telewizor.

Wstał, nałożył kurtkę i wyszedł przed dom. Mróz ścisnął mocno, niebo usiane było gwiazdami, księżyc świecił jasno jak teatralny reflektor. Wciągnął głęboko czyste, ostre jak lód powietrze. „Trzeba będzie trochę poćwiczyć przed wyjazdem na narty” – pomyślał. Pospacerować, może pobiegać, pogimnastykować się. Żeby nie było jak w zeszłym roku, gdy po pierwszym dniu na stoku nie mógł rano wstać z łóżka.

Zajrzał w puste, ciemne okna drugiej połowy bliźniaka. W świetle księżyca

opuszczony dom wyglądał nieco upiornie, jakby patrzył na niego szeroko otwartymi oczami i pytał: co dalej? „Ciekawe, kiedy ci nowi się wprowadzą?” – pomyślał. Życzył sobie, aby nastąpiło to jak najpóźniej, ale wiedział, że to najprawdopodobniej kwestia najbliższych dni. Nie po to Górzeński tak pośpiesznie się ewakuował, aby dom stał niezamieszkały.

Wrócił do środka, przekręcił zamek w drzwiach i odwiesił kurtkę. Potem pogasił wszystkie światła i wdrapał się na górę. Justyna już spała. Musiała być rzeczywiście bardzo zmęczona.

Tamci przyjechali nazajutrz, z samego rana. Henryk z Justyną jedli właśnie śniadanie, gdy zza okna dobiegł ich głuchy pomruk nadjeżdżającej ciężarówki. Taki odgłos nieczęsto był tu słyszany, duże samochody praktycznie nie zapuszczały się w ich uliczkę. Dla nich było tu za wąsko.

Wstali jednocześnie i jak przystało na mieszkańców wsi, przykleili zaciekawione twarze do szyby. Przed domem przesuwiała się właśnie wielka naczepa ciężarówki. Przez całą jej długość ciągnął się napis: „WOLDAN – PRZEPROWADZKI”. Tira pilotowała srebrna skoda. Obydwa samochody zatrzymały się na wysokości ich posesji.

Po chwili ze skody rażno wyskoczył młody mężczyzna. Miał około trzydziestu lat, był szczupły, śniady, o nieco cygańskiej urodzie. Spod czapki pilotki wymykały się czarne kędziory włosów. Mógłby nawet uchodzić za przystojnego, gdyby nie rozmazująca rysy opuchlizna na twarzy, zdająca się potwierdzać doniesienia pani Jadzi.

Mężczyzna szybko podszedł do bramy, wyjął z kieszeni pęk kluczy i zaczął się zmagać z wiszącą na niej kłódką. Trwało to dłuższą chwilę – być może nie mógł znaleźć właściwego klucza albo nieużywany przez kilka dni mechanizm zdążył zamarznąć. Gdy w końcu się z nim uporał i otworzył szeroko bramę, ze skody wygramoliła się ubrana w pretensjonalne futro tleniona blondynka. Była mniej więcej w wieku męża, ale wyglądała starzej i w ogóle prezentowała się mało efektownie: przysadzista, o szerokiej, nalanej twarzy, w której niemal ginęły małe, chytre oczka. Mimo mrozu nie nosiła czapki, a jej włosy w słomkowym kolorze, z widocznymi na odległość ciemnymi odrostami, sterczały na wszystkie strony, jakby dopiero co wstała z łóżka. Otworzyła tylne drzwi samochodu i wypuściła zakutanego w paletko, drobnego, może sześciolatniego chłopca. Ująwszy go za rękę,

podeszła do mężczyzny, odebrała od niego klucze i zniknęła na podwórzu. Po chwili usłyszeli szczęśliwy odgłos otwieranych zamków.

Tymczasem nowy sąsiad przeparkował skodę kilkanaście metrów dalej, a po wyjściu z samochodu zaczął energicznymi gestami naprowadzać na bramę kierowcę ciężarówki. Ten nie miał łatwego zadania. Nie dość, że uliczka miała nie więcej niż cztery metry szerokości, to jeszcze po bokach ograniczały ją teraz pryzmy śniegu. Był jednak wykwalifikowanym zawodowcem. Dopingowany ochrypłymi okrzykami i różnymi wymachami rąk mężczyzny w pilotce, tak długo manewrował, odbijając to w lewo, to w prawo, aż w końcu wsunął się tyłem na podjazd posesji. Tylko kabina szoferki wystawała na zewnątrz. Po chwili wyskoczyło z niej trzech roślących mężczyzn, ubranych w watomane kufajki. Wszyscy mieli na plecach wyblakłe logo firmy, identyczne jak to, które ozdabiało bok naczepy.

Przenoszenie mebli odbywało się poza zasięgiem wzroku Henryka i Justyny, odeszli więc od okna. Henryk wyjął z tosterka osmolone, wystygłe grzanki i po chwili wahania wyrzucił do kubła na śmieci. Nie lubił marnować chleba, ale ze zwęglonych kawałków nie miałyby pożytku nawet hodująca króliki pani Jadzia, której zostawiali na płocie stare pieczywo. Włożył do urządzenia nowe kromki i wrócił do stołu. Za ścianą słychać było szuranie, odgłosy przesuwania, stuki mebli o podłogę i przytłumione głosy.

– No i jak? – spytał. – Jak ci się podobają?

Justyna upiła łyk kawy i wzruszyła ramionami, dając mu do zrozumienia, że jeszcze za wcześnie na opinie.

– On nawet niebrzydki – odparła, odstawiając kubek. Uśmiechnęła się przy tym kokieteryjnie, jakby chciała podkreślić, że mimo przekroczenia pięćdziesiątki wciąż zwraca uwagę na urodę mężczyzn. – Ale ona... straszna.

Kiwnął w milczeniu głową. To się pokrywało dokładnie z jego wrażeniami. Ugryzł kawałek sera.

– A ten dzieciak... – odezwała się Justyna i urwała. Pokręciła tylko głową.

– Co – dzieciak?

– No, ten ich chłopczyk... całkiem miło wygląda. Po dzieciach nic jeszcze nie znać.

– I co z tego? – burknął. Zawodowa słabość Justyny do dzieci czasami go drażniła. Zresztą nie przyjrzał się szczeniakowi. Gruba w futrze zaraz go zabrała.

– Nic. – Wzruszyła ramionami. – Biedny jest.

Wiedział, co ma na myśli. Połowę jej pacjentów z przychodni stanowiły dzieciaki z takich właśnie rodzin. Ale jakoś nie potrafił przejąć się jego losem. Bardziej interesował go **ich** los. Też byli w końcu biedni, dostając w spadku po Górzyńskim parę pijaków.

Szczęknął toster. Henryk wstał i wyjął ładnie przyrumienione grzanki. Gdy rozkładał je na talerzach, przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Trochę dziwaczny, ale im dłużej o nim myślał, tym bardziej się do niego przekonywał.

– Słuchaj... – zaczął ostrożnie. – A może byśmy jakoś ich przywitali?

Zareagowała tak, jak się spodziewał – niechętnie:

– Znaczy co? – spytała drwiąco. – Mam upiec ciasteczka i im zanieść? Jak na amerykańskim filmie?

Smarując świeżą grzankę masłem, pokręcił przecząco głową.

– Nie, myślałem raczej o kolacji... – odparł niepewnie.

Popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

– No co ty... Mamy zapraszać do siebie jakichś meneli? Przecież ich widziałeś.

Był przygotowany na taką odpowiedź.

– Widziałem – potwierdził. – Ale niestety tak się składa, że ci menele będą naszymi sąsiadami. I chyba lepiej by było, gdybyśmy nawiązali jakieś kontakty – dodał już mniej pewnie.

Milczała, ale jej mina jednoznacznie świadczyła o tym, że uważa pomysł za idiotyczny. Mimo to postanowił nie ustępować.

– Trzeba wyciągać wnioski z przeszłości. – Uśmiechnął się, aby odebrać swoim słowom mentorski charakter. – Z Górzańskimi byliśmy na „Dzień dobry. Dzień dobry” i jak to się skończyło? Nawet nam nie powiedzieli, że sprzedają dom.

Ku jego zaskoczeniu zgodziła się. Niechętnie, ale jednak. Czy przekonał ją tym ostatnim argumentem? A może była ciekawa nowych sąsiadów? Albo liczyła na to, że odrzucą zaproszenie? Najpewniej to ostatnie. Tak czy inaczej, powiedziała z wahaniem: „No, dobrze”. I tylko postawiła warunek: to Henryk ich zaprosi, ona nie miała zamiaru do nich chodzić.

Za godzinę zaczynał zajęcia na uniwersytecie, więc postanowił zrobić to od razu. Skończył śniadanie i narzuciwszy na siebie kurtkę, wyszedł na zewnątrz. Mróz wciąż trzymał. Opatulił się szczelniej, podszedł do furki, otworzył ją elektrycznym brzęczykiem, a po skręceniu w prawo i przejściu

jeszcze kilku kroków wzdłuż ogrodzenia był już na miejscu. Musiał się tylko precyzyjnie obok wypełniającej całą szerokość bramy ciężarówki. Jeden z robotników, nie wyjmując z ust tłącego się papierosa, akurat zdejmował z naczepy gigantyczny karton. Spojrzał na Henryka bez zainteresowania, biorąc go widocznie za znajomego gospodarza. Dźwigając pudło, podszedł do niedomkniętych drzwi i otworzył je czubkiem buta. Henryk, korzystając z okazji, wślizgnął się za nim.

Kiedy w tej części bliźniaka mieszkali Górzańscy, był tutaj dwa albo trzy razy, zresztą nie towarzysko, tylko w jakichś konkretnych sprawach, i pamiętał, że wewnątrz prezentowało się mało gustownie, ale porządnie i schludnie. Teraz, opróżnione z ich rzeczy, wyglądało nieprzytulnie i przygnębiająco. Wszędzie walały się nierozpakowane kartony, a owinięte w szary papier meble stały w przypadkowych miejscach i pod najdziwniejszymi kątami. Na dodatek w pomieszczeniu panował przenikliwy ziąb – widocznie Górzański przed wyprowadzką zmniejszył grzanie do minimum, a resztki ciepła uciekły przez wpółotwarte drzwi. Przy stole, nie zdjawszy futra, nowa sąsiadka popijała herbatę. Siedzący naprzeciwko niej chłopczyk zajadał drożdżówkę z zatłuszczonego papierka. Pan domu głośno komenderował dwoma robotnikami, którzy mocowali się z dużym kuchennym kredensem, usiłując go przystawić do ściany. Dostrzegłszy Henryka, popatrzył na niego pytającym wzrokiem.

Henryk skłonił głowę.

– Dzień dobry. Jestem państwa sąsiadem – przedstawił się. – Znaczący... zza ściany.

Blondynka w futrze spojrzała na niego bez zainteresowania. Żywiej zareagował jej mąż. Na jego twarzy pojawiło się coś na kształt uśmiechu.

– A, to wchodzi pan. – Wykonał zapraszający gest.

– Nie, nie, dziękuję. – Henryk zamachał rękami i wziął głęboki oddech. – Przyszedłem tylko, żeby zaprosić państwa do nas na kolację. Na ósmą. Poznalibyśmy się trochę.

Sąsiad popatrzył na żonę, ale jej twarz pozostała nieprzenikniona, zamknięta jak maska. Kobieta pociągnęła z głośnym siorbnięciem łyk herbaty. Mężczyzna przeniósł wzrok na Henryka.

– No, czemu nie – odparł z wahaniem. – Możemy przyjść z małżonką. Jakaś flaszkę przyniosę. Napijemy się, sąsiad. – Uśmiechnął się szerzej. Widać było, że ta perspektywa wyraźnie go ucieszyła.

Henryk nie planował przy tej okazji żadnego pijaństwa, ale postanowił nie wyprowadzać mężczyzny z błędu.

– No... to do zobaczenia – mruknął tylko niewyraźnie. Ukłonił się i wyszedł. Kątem oka zauważył, że robotnicy wreszcie poradzili sobie z kredensem.

Gdy wrócił do mieszkania, Justyna kończyła zmywać po śniadaniu. Spojrzała na niego pytająco.

– Państwo przyjęli zaproszenie – zameldował z lekką ironią.

Zakręciła kran i bez słowa komentarza wyjęła z zamrażarki duży kawałek kupionego na następny dzień schabu. Minę miała złą. „Liczyła na to, że odmówią – pomyślał. – Nie myliłem się”.

Godziny, które oddzielały ich od kolacji z sąsiadami, upłynęły mu na rutynowych zajęciach. Przed południem pojechał na uniwersytet, po południu wygłosił wykład w szkole. Nic szczególnego się nie wydarzyło, jeśli nie liczyć niespodziewanego mejla od Agaty.

Odebrał go w czasie przerwy, gdy po skończeniu samotnego obiadu w stołówce profesorskiej zajrzał – trochę z nudów, bo miał jeszcze wolne pół godziny przed wyjazdem na WSNS – do swojej skrzynki pocztowej. Niewiele brakowało, a by go przeoczył; ginął wśród nadsyłanych śmieci (propozycji powiększenia członka oraz zakupu viagry po rewelacyjnie niskich cenach), których z niewiadomych powodów nie zatrzymywał uczelniany filtr, a także mejli od studentów i służbowych zawiadomień. Czytał go z rosnącą radością. Córka, przebywająca od kilku lat w Londynie, zawiadamiała ich, że wybiera się na weekend do Polski. To była naprawdę dobra wiadomość. Choć nie przyznawali się do tego przed sobą, bardzo za nią tęsknili.

Radości towarzyszyło jednak lekkie zdziwienie: dlaczego teraz? Styczeń to nie była typowa pora na rodzinne wizyty. W końcu jednak uznał, że być może chodzi o coś w rodzaju zadośćuczynienia za jej nieobecność podczas świąt. Nie przyjechała, wybrała Wyspy Kanaryjskie, co zdarzyło się po raz pierwszy i co odczuli nadspodziewanie boleśnie – była to chyba najsmutniejsza Wigilia w historii ich domu. Widocznie córka chciała im to teraz wynagrodzić.

Natychmiast sprawdził w notesie, czy będzie mógł odebrać ją z lotniska.

Tak, na szczęście tego dnia zajęcia kończył wcześniej. Odpisał jej w entuzjastycznym tonie. Mejl był oczywiście najszybszym i do tego bezpłatnym połączeniem, ale trochę brakowało mu jej głosu, rozmowy. Teraz też, wysyłając odpowiedź, miał poczucie, że jego słowa są zbyt suche i nie oddają prawdziwych uczuć. Przez Skype'a czy telefon wyraziłby je precyzyjniej. No ale trudno. W końcu za niecały tydzień będzie miał okazję zrobić to bezpośrednio.

Zamknął laptopa, zostawiając lekturę pozostałych mejli na wieczór, i jeszcze przed wyjazdem zadzwonił do Justyny, aby podzielić się z nią nowiną. Ku jego zaskoczeniu wcale się nie ucieszyła. „Co jej się stało?” – spytała z sarkazmem w głosie, a gdy wyraził przypuszczenie, że Agata chce nadrobić świąteczne zaległości, nie wydawała się przekonana. W ogóle była chyba w kiepskim humorze, jakby rozdrażniona. Podejrzewał, że sam się do tego przyczynił, wrabiając ją w niechcianą kolację z nowymi sąsiadami, szybko więc zakończył rozmowę, a ponieważ musiał już jechać na wykład, zapakował laptop do teczki i wyszedł na zaśnieżoną ulicę pod budynkiem instytutu.

O przyjeździe Agaty rozmawiali jeszcze po powrocie do domu, ale niezbyt długo. Justyna gotowała, a on bardziej niż o zaskakującej wizycie córki myślał już o zbliżającej się kolacji z nowymi sąsiadami.

Zjawili się punktualnie. Cóż, daleko nie mieli. Ona wciąż w tym samym, udającym srebrne lisy futrze, on w pikowanej kurtce, spod której wystawał brzeg brunatnej marynarki. Oboje w pierwszej chwili wydawali się nieco onieśmieleni.

– Zdjąć buty? – spytał on, ledwo przekroczywszy próg.

– Nie, nie. Nie trzeba – odparł szybko Henryk. Zawsze go śmieszył ten obyczaj. Także wizja sąsiada paradującego po jego domu w samych skarpetkach nie była zachęcająca.

Rozbierali się w milczeniu, a wierzchnie okrycia wieszali tak ostrożnie, jakby się bali, że wieszak zarwie się pod ich ciężarem. Pod spodem mieli odświętne ubrania: on – garnitur i gruby, żółty krawat, ona – białą bluzkę wyszywaną złotymi cekinami i granatową spódnicę, jak maturzystka. Uśmiechnął się lekko pod nosem, widząc ten pokaz prowincjonalnej elegancji. „Z szacunkiem nas traktują, skoro tak się wystroili – pomyślał. –

Dobry znak”.

Z kuchni wyszła Justyna, uśmiechając się na powitanie.

– Dobry wieczór. Hiczewska. – Wyciągnęła rękę do sąsiadki.

– Pyzik – mruknęła tamta niewyraźnie.

Henryk wymienił męski uścisk dłoni z jej mężem.

– ...ski.

– ...ik.

Potem nastąpiła zamiana miejsc. Henryk przywitał się z sąsiadką, a sąsiad cmoknął Justynę w rękę. Szybko uwolniła dłoń; nie lubiła tego ceremoniału.

– Bardzo proszę – rzuciła, aby ukryć zakłopotanie. Wskazała nakryty stół, po czym szybko wróciła do kuchni. Otworzyła piekarnik i kilkukrotnie nakłuła mięso szpikulcem.

Goście zajęli miejsca w milczeniu. Ona wciąż wydawała się skępowana. Długo szurała krzesłem, zanim ustawiła je w odpowiedniej pozycji. Henryk nachylił się do niej.

– Czego się państwo napiją? – spytał. – Może wina?

Nie odpowiedziała, uciekła wzrokiem, a jej mąż popatrzył na niego kpiąco.

– E tam, wina. – Machnął ręką. – Coś mocniejszego by się przydało... przy takiej okazji. – Uśmiechnął się szelmowsko. – Ale nie szukaj, sąsiad. Ja wziąłem.

Ku zaskoczeniu Henryka wyjął z kieszeni marynarki napoczętą butelkę absolwenta i postawił na stole.

Henryk cicho westchnął.

– Może włożę do zamrażalnika – zaproponował nieśmiało.

– E, opłaca się? Ciepła też dobra. W taki mróz nawet lepsza.

Wymienił spojrzenia z kręcącą się po kuchni Justyną. Wywróciła tylko oczami.

– Tak, bardzo się ochłodziło – bąknął pod nosem. Podszedł do barku, wyjął z niego cztery zakurzone, małe kieliszki i dyskretnie przetaił ściereczką. Nie używali ich często.

Gdy wracał do stołu, Justyna wносиła już na tacy półmisek z ryżem i szklaną misę sałaty.

– Napijesz się? – spytał, rozstawiając kieliszki.

– Nie, nie. Tylko wino – odparła tak, jak się spodziewał. Zostawiła naczynia na stole i wróciła do kuchni.

On dalej grał rolę gospodarza. Sięgnął po butelkę australijskiego merlota

i zaczął ją odkorkowywać. Goście siedzieli sztywno, z obojętnymi minami przyglądali się jego wysiłkom. W ciszy słychać było tylko skrzypienie korkociągu. Trwało to długo, wyjątkowo długo, albo mu się tylko tak wydawało. Szarpnął niecierpliwie i korek wreszcie wyskoczył.

Uśmiechnął się do sąsiadki, ale nie odwzajemniła uśmiechu. Cisza zrobiła się dokuczliwa, dzwoniła w uszach.

Na szczęście w tym momencie weszła Justyna, niosąc półmisek z parującym mięsem. Postawiła go na środku stołu i usiadła. Nalał jej merlota. Miał zamiar nalać również sobie – lubił smak schabu z czerwonym winem, ale po namyśle zrezygnował. Głupio by wyglądało, gdyby oni pili jedno, a goście drugie; stawiałoby to między nimi dodatkową przegrodę, jakby innych było mało. Sięgnął więc po stojącą obok, opróżnioną w dwóch trzecich flaszkę absolwenta i rozlał wódkę do kieliszków. Justyna rzuciła mu krótkie spojrzeń, ale nic nie powiedziała.

Był już najwyższy czas na toast. Ujął swój kieliszek. Kątem oka dostrzegł, że żona dyskretnie wyławia paznokciem brązowe paprochy, które osiadły na powierzchni wina. Pewnie uszkodził korek tym ostatnim, nerwowym pociągnięciem. Zmieszał się, ale po chwili odzyskał rezon.

– No to... żeby nam się dobrze i zgodnie razem mieszkało – wyrecytował. Nic oryginalniejszego nie przyszło mu do głowy.

– O, to, to... – ucieszył się sąsiad. Toast najwyraźniej przypadł mu do gustu. – Jak to się mówi, zgoda buduje, niezgoda rujnuje. He, he... – zarechotał.

„O Jezu” – jęknął w duchu Henryk. Podniósł szkło do ust i z trudem przełknął ciepłą, cuchnącą wódkę. Na szczęście kieliszki były maciupkie.

Sąsiedzi machnęli gorzałkę jednym zgodnym ruchem i nie czekając na słowa zachęty, zaczęli sobie nakładać jedzenie. On na początek zajął się ryżem, ona miarowymi ruchami przenosiła na talerz kolejne kawałki mięsa. Henryk patrzył na to ze zniecierpliwieniem, chciał jak najszybciej zagryźć czymś palący smak taniego alkoholu. Wreszcie odkroił spory kawałek schabu i wziął go do ust. Smakował średnio, ale najważniejsze, że ugasił ogień.

Przez pewien czas półmiski krążyły wokół stołu, przechodząc z rąk do rąk, a gdy talerze się zapełniły, wszyscy zgodnie zabrali się do jedzenia. Słychać było tylko mlaskanie, przełykanie i miarowe poruszanie szczękami; zajęte usta zwalniały z obowiązku konwersacji. „Ale co będzie, jak skończymy?” – zaniepokoił się Henryk. Zaczął żałować, że nie puścił żadnej muzyki. Teraz

było już za późno, wypadłoby sztucznie, jakby chciał na siłę zapełnić ciszę dźwiękami.

Niepotrzebnie się jednak martwił. Sąsiad sam rozpoczął rozmowę.

– A państwo tu długo jesteście? – zagadnął uprzejmie.

– Osiem lat – odparł Henryk.

– A przedtem gdzie? W Warszawie?

– W Warszawie.

– Zmęczyło nas miasto – wtrąciła Justyna. – Smród, hałas...

– Tak, tak – przytaknął sąsiad. – Nie ma jak na wsi. Cisza, spokój...

Po tej krótkiej wymianie zdań zapadło milczenie, które z kolei przerwała Justyna.

– A państwo przedtem mieszkali u pani mamusi? – zwróciła się do sąsiadki.

Nie był to najlepszy moment. Kobieta jeszcze nie przełknęła, a porcja, którą zapakowała sobie do ust, była spora.

– No – potwierdziła niewyraźnie.

– Sześć lat – wtrącił sąsiad. – O sześć za długo – dodał i zachichotał głupkowato.

Żona popatrzyła na niego chłodno.

– Weź przestań – burknęła. – Jakby matula nas nie przygarnęła, to gdzie byśmy się podzieli? U ciebie w kurniku?

W oczach sąsiada pojawił się krótki ciemny błysk. Uwaga żony dotknęła widać jakiegoś czułego punktu. Ale tylko pokiwał krótko głową. Najwyraźniej nie chciał się kłócić w ich obecności.

– Też prawda – potwierdził po chwili ustępliwie. – Ale na swoim to wiadomo, zawsze lepiej. To polej, sąsiad – zwrócił się do Henryka.

Ten westchnął. Perspektywa picia ciepłego, smrodliwego absolwenta lekko go przerażała. Ale co było robić? Był tu przecież gospodarzem. Nalał im wódki, sobie tylko kapnął do połowy i szybko podniósł kieliszek do góry.

– No, to...

– Zdrowie gospodarzy... – odpowiedział gość z uśmiechem. Dostrzegł niezapełniony do końca kieliszek Henryka i uśmiech natychmiast znikł. – A co ty, sąsiad, tak skromnie? – spytał podejrzliwie.

– Ja wódkę to nie za bardzo... – odparł wykrętnie Henryk. Poczł na sobie ironiczne spojrzenie Justyny.

– E, jak jest taka okazja... – uśmiechnął się Pyzik. Ale w jego głosie brzmiała twarda nuta, a w oczach było coś takiego, że Henryk pośpiesznie

dopełnił szkło. Wypili we trójkę. Justyna zamoczyła usta w winie.

Tym razem wódka przeszła mu znacznie łatwiej, a co ważniejsze, poczuł, że zaczyna działać. Napięcie, które towarzyszyło mu od momentu pojawienia się gości, osłabło, jakby niewidzialna lina ściskająca go za gardło nagle się rozluźniła. „Może nie będzie tak źle” – pomyślał.

Wszyscy wrócili do jedzenia i przez chwilę pomieszczenie znów wypełniały tylko odgłosy żucia i przełykania. Zegar wybił wpół do dziewiątej. Za oknem zahuczał wiatr.

– Ale naczosnkowała pani ten schab... – niespodziewanie odezwała się sąsiadka. W głosie pobrzmiwało niezadowolenie.

Justyna zeszywniała. Zdawała sobie sprawę, że nie jest najlepszą kucharką, ale nie była też przyzwyczajona, aby goście tak otwarcie krytykowali jej potrawy.

– Naprawdę? – spytała ze zdziwieniem. – Dałam tylko cztery ząbki.

– Za dużo – odburknęła kobieta w odpowiedzi. Nie popatrzyła nawet na nią, wzrokiem omiatała pokój.

Henryk postanowił zmienić temat.

– A państwo... czym się zajmujecie? – spytał, nachylając się do sąsiada.

Ten zakreślił się niespokojnie na krześle.

– J... ja – zająknął się lekko – aktualnie to na bezrobociu jestem. Teraz ciężko o pracę... – dodał usprawiedliwiająco.

Henryk nic na to nie powiedział. Przypomniał sobie z melancholią, jak jeszcze rok temu nie mógł znaleźć nikogo, kto postawiłby im nowy płot. W końcu zlitował się syn Kulczyków, którego angażowali do drobnych prac domowych.

– Ale o rentę się staram – ciągnął tamten. – Może w tym roku dostanę – rozmarzył się.

– Uważaj, jak dostaniesz... – mruknęła sąsiadka.

Henryk zauważył, że Justyna zmarszczyła brwi i przypatruje się sąsiadowi z niedowierzaniem.

– Rentę? – powtórzyła. – A ile pan ma lat?

– W przyszłym roku skończę trzydzieści – wyjaśnił rzeczowym tonem.

Justyna pokręciła głową i zerknęła na Henryka.

– I taki młody człowiek... żeby szedł na rentę? – rzuciła niby żartobliwym tonem, ale jej wzrok mówił wyraźnie: popatrz, gnojek ma trzydzieści lat, a my go będziemy teraz utrzymywać z podatków. Zgroza.

„Może nie dostanie – pomyślał Henryk. – Teraz tak łatwo nie dają”. Przeniósł wzrok na sąsiada, który zdawał się wyczuwać ich niemą dezaprobatę. Uciekał w bok oczami.

– Zdrowie mi nie dopisuje – powiedział po chwili usprawiedliwiająco. – Nerki...

– Mąż grał w zespole. – Żona przyszła mu nieoczekiwanie z odsieczą. – Wesela, chrzciny...

– Aha – mruknął Henryk, nie próbując ukryć ironii.

Sąsiad nagle zmarmotniał.

– Na organach elektrycznych zasuwałem – powiedział, patrząc gdzieś przed siebie. – Ale już nie mogę.

– Jakbyś chciał, tobyś mógł – stwierdziła Pyzikowa, którą temat najwyraźniej ożywił. A może tylko wypity alkohol dodał jej śmiałości.

Sąsiad wzruszył ramionami.

– Nie mogę – mruknął ponuro. Sięgnął ręką po flaszkę. – Można? – I nie czekając na odpowiedź, rozlał resztkę wódki do kieliszków, po czym odstawił ją pod stół. Justyna spojrzała na niego z niechęcią.

– Nie za ostre tempo, panowie?

Uśmiechnął się szeroko. Wydawał się szczerze rozbawiony jej pytaniem. Chyba też bliska perspektywa wypicia następnego kieliszka poprawiła mu humor.

– Eeee. Co to dla nas? Nie, sąsiad? – rzucił zawadiacko i mrugnął do Henryka. – Tylko jakaś popitka by się przydała.

Henryk kiwnął posłusznie głową. Też miał ochotę przepłukać czymś usta, choć smak absolwenta już nie wydawał mu się tak odrażający. Zabrał pustą butelkę, wyrzucił ją do śmieci i wyjął z lodówki karton soku pomarańczowego. Po drodze zabrał z szafki cztery szklanki. Goście śledzili jego ruchy w milczeniu.

Gdy rozlewał napój, dostrzegł na twarzy sąsiadki wyraz lekceważącego zdziwienia; najwidoczniej uważała, że usługiwanie gościom to obowiązek Justyny, nie jego. Nie przeszkadzało mu jednak, że ma go za pantoflarza, który wypełnia babskie powinności. Nie zależało mu na jej opinii.

Sąsiad już nie trudził się toastem i szybko połknął zawartość kieliszka. Jego żona i Henryk dołączyli do niego, a potem, jak na rozkaz, sięgnęli jednocześnie po szklanki z sokiem. Wyłączona z tego rytuału Justyna siedziała w milczeniu. Wyglądało, jakby się nad czymś zastanawiała.

– To z czego państwo utrzymacie ten dom? – odezwała się nagle. – Samo ogrzewanie...

Pyzik machnął lekceważąco ręką.

– Damy sobie radę – powiedział, wydymając wargi. – Drwa narąbiem i będzie ciepło. A jakby co, matula pomoże.

Jego słowa nie spodobały się sąsiadce. Spojrzała na niego kosym okiem.

– Pomoże albo i nie pomoże – mruknęła niechętnie. – Na remont nie da. A przydałoby się zrobić. Górsański niezły chlew zostawił.

– Jak trochę staniemy na nogi, to zrobimy – odparł sąsiad lekkim tonem. – Na wiosnę może. A państwo... gdzie pracujecie? – szybko zmienił temat.

Henryk westchnął. Nie lubił tego pytania, gdyż często miał problemy z wyjaśnieniem, na czym właściwie polega jego zajęcie, zwłaszcza tak niewykształconym ludziom, jak ich goście.

– Ja na uniwersytecie. Na socjologii. – Tak jak się spodziewał, napotkał zdezorientowane spojrzenia. – To taka... nauka o społeczeństwie – wyjaśnił.

Sądząc po wyrazie ich twarzy, niewiele im to mówiło. Ale nie chciało mu się już dalej tłumaczyć.

– Znaczy, pan uczony – stwierdził po chwili gość. Trudno było określić, czy z uznaniem, czy z przekąsem.

– Można tak powiedzieć.

Mężczyzna wybuchnął nagle głośnym śmiechem. Aż Justyna się wzdrygnęła.

– A mówią, że uczonym kiepsko płacą! – zawołał i zaśmiał się znowu. Nieprzyjemnie brzmiał ten śmiech.

– Gadanie – wsparła go żona i głośno prychnęła.

Henryk poczuł się nieco dotknięty, choć z drugiej strony fakt, że ktoś mógł uważać go za krezusa – i to z tytułu bycia naukowcem! – połechtał jego próżność.

– No, z samej uniwersyteckiej pensji byśmy domu nie kupili – odparł z wahaniem. – Wtedy jeszcze dorabiałem.

Przypomniał sobie to dorabianie: weekendowe podróże do Lublina, gdzie wykładał na tamtejszym uniwersytecie, kłopotliwe noclegi u teściowej, projektowanie badań rynku dla firmy prowadzonej przez szczeniaków dwa razy młodszych od niego. Nie były to miłe wspomnienia. Na szczęście gości nie interesowały szczegóły.

– A pani też pracuje? – Sąsiadka zwróciła się do Justyny. Trudno było

wyczuć, czy pytała z grzeczności, czy też naprawdę ją to ciekawiło.

Justyna przytaknęła głową.

– Tak. W przychodni psychologicznej dla dzieci.

Kobieta popatrzyła na nią niepewnie.

– To pani lekarka?

Justyna uśmiechnęła się uprzejmie.

– Niezupełnie. Pomagam dzieciom z problemami.

„No tak – pomyślał Henryk. – To też nie takie łatwe do wyjaśnienia. Lekarka to co innego, prosta sprawa. Ale psychologka?”

Sąsiadka zmarszczyła brwi i przez chwilę intensywnie się nad czymś zastanawiała.

– A może zna pani jakiegoś dobrego lekarza, który by przypisał coś temu mojemu na nerki? – Wskazała męża, który uśmiechał się, pijacko patrząc w przestrzeń. Musiał coś wypić przed przyjściem do nich. Pewno dziabnął tego absolwenta.

Justyna pokręciła przecząco głową.

– Nie, to nie moja branża – odparła krótko. – Ale wiem, że na pewno alkohol na nerki nie pomaga – dodała surowym tonem, którego Henryk u niej nie lubił.

„Znalazła sobie moment na pouczenia” – pomyślał z irytacją.

Jej uwaga nie spodobała się również sąsiadce, która zmierzyła ją chłodnym spojrzeniem.

– Tyle to my też wiemy – mruknęła. Tamten zaś machnął tylko lekceważąco ręką i uśmiechnął się szeroko do Henryka.

– Apropo de fakto – powiedział lekko już bełkotliwie. – Masz jeszcze coś, sąsiad?

Henryk zastanawiał się przez chwilę. Została mu jeszcze resztką finlandii z jego grudniowych urodzin. Była to ilość optymalna, na kieliszek lub dwa, tak, by nie urazić gości, ale też by nie zatrzymywać ich na dłużej. Kiwnął twierdząco głową, podszedł do barku i wyjął z niego ozdobną, jakby oszronioną butelkę. Automatyczne drzwiczki zatrzasnęły się głośno – miał już osłabiony refleks, nie zdążył ich przytrzymać. Żona popatrzyła na niego z dezaprobatą, choć nie był pewien, z jakiego powodu.

Na widok butelki oczy gościa rozbłysły.

– O, fińska – ucieszył się. – Sąsiad wie, co dobre.

Henryk uśmiechnął się uprzejmie i rozlał wódkę, nie siadając. Niewiele już

jej zostało. Tamten szybko złapał kieliszek i uniósł do ust.

– No to... – zadysponował.

Henryk zajął krzesło i wznosił swój kieliszek.

– Państwa zdrowie. – Skłonił się w stronę sąsiadki, która od chwili gdy Justyna zrobiła niewczesną uwagę o alkoholu i nerkach, siedziała milcząca i naburmuszona.

Jego toast niewiele jednak pomógł i nie stopił lodów między nimi. Kobieta nie odpowiedziała nawet uśmiechem – jej twarz pozostała wrogo zamknięta. Wypiła tylko swoją wódkę, jakby to była woda, i hałaśliwie odstawiła kieliszek.

– Można tu zapalić? – spytała ochryplym głosem, popatrując na przemian to na Henryka, to na Justynę.

Justyna pokręciła przecząco głową.

– Wolalbym nie – odparła. – Ja nie palę, mąż też rzucił trzy lata temu.

– To co, na mróz mamy iść? – burknęła tamta z niezadowoleniem.

Henryk uznał, że nie ma sensu wywoływać zadrażnień z tak błahego powodu i odmawiać gościom drobnej przyjemności. Zresztą skrupulatność, z jaką Justyna przestrzegała tego zakazu, trochę go drażniła. Był starym palaczem, wiedział, co znaczy brak dymu w płucach.

– Nie, no... proszę... – zwrócił się zachęcająco do sąsiadki. – Ja zresztą chętnie powącham.

Idiotycznie to zabrzmiało, ale było za późno, aby cofnąć te słowa. Pogardliwy wzrok Justyny uprzytomnił mu, że właśnie przekroczył granicę oddzielającą uprzejmość od lizusostwa. By ukryć zmieszanie, wstał i poszedł do kuchni po popielniczkę, którą zachował jako pamiątkę z czasów nałogu. Postawił ją na stole, nie patrząc na żonę.

Goście zapalili z wyraźnym smakiem i po chwili po pokoju rozszedł się zapach tanich papierosów. Justyna wstała i nieco demonstracyjnie uchyliła okno w kuchni.

– Tylko żeby pani nas nie przeziębila! – zawołała za nią sąsiadka. Zaśmiała się ochryple.

„No nie, to jednak przesada” – pomyślał Henryk.

Justyna jednak nie przejęła się zaczepką. Popatrzyła pobłaźliwie na Pyzikową.

– Przykro mi, ale **ja** nie lubię wąchać dymu – odparła rzeczowo.

Tamta nic na to nie powiedziała. Wraz z dymem w pokoju gęstniało też

napięciu. Sąsiad, który robił wrażenie wrażliwszego od swojej małżonki, musiał to wyczuć, bo uśmiechnął się pojednawczo.

– A dzieci to u państwa nie ma? – spytał grzecznościowo.

– I co się głupio pytasz? – wtrąciła się tamta, nim którekolwiek z gospodarzy zdążyło odpowiedzieć. – Przecież państwo w takim wieku, że dzieci pewno już na swoje poszły.

„Kolejna nietaktowna uwaga” – odnotował Henryk. Ciekawe tylko, czy był to zamierzony przytyk do ich starości, czy po prostu baba tak sobie nieświadomie palnęła. Na wszelki wypadek postanowił przyjąć tę drugą wersję.

– Tak, zgadła pani – potwierdził ze zgryźliwą uprzejmością. – Mamy córkę, ale wyjechała do Londynu.

– Uuuuu... – zawołał z udanym podziwem sąsiad. – Londyn. A co tam robi?

– Pracuje w gazecie. Jako grafik komputerowy – odparł krótko Henryk. Nie chciał się dłużej rozwodzić na ten temat. Zresztą tak dokładnie nie wiedział, czym Agata się tam zajmuje.

– To jej się pewno nieźle powodzi – stwierdził tamten. – Przysyła państwu dolary? – spytał, nie kryjąc ciekawości.

Henryk zachnął się. Dotknęło go podejrzenie, że mogą być na utrzymaniu dwudziestokilkuletniej smarkuli. Nim jednak zdołał odpowiedzieć, odezwała się sąsiadka.

– Ty ćwoku – powiedziała do męża z pogardą w głosie. – W Londynie są funty, nie dolary.

– A jeden ch... – zaczął sąsiad, ale urwał. Machnął tylko ręką.

Henryk odwrócił się do niego.

– Jakoś sobie radzimy bez jej pomocy – stwierdził chłodno.

Mężczyzna popatrzył na niego nieprzytomnym wzrokiem. Może już zapomniał, o co pytał. A może myślał o tym, żeby się znowu napić. Sięgnął niepewnym ruchem po butelkę, w której na dnie połyskiwały resztki wódki, i rozlał ją do kieliszków. Uronił przy tej okazji kilka kropel i cicho zaklął.

– No to... zdrowie dzieci! – zarządził.

Był to toast, na który wszyscy mogli się zgodzić. Nawet Justyna uniosła swój kieliszek z winem. Wypili. Sąsiad chuchnął z wyraźnym ukontentowaniem.

– My też mamy jedno – pochwalił się. – Sześć lat ma.

– Tak, widzieliśmy – odezwała się Justyna. – Bardzo ładny chłopczyk.
– Ładny... – prychnęła pogardliwie sąsiadka. – Może i ładny, ale niemożliwie upierdliwy.

Justyna popatrzyła na nią z niechęcią. Już miała się odezwać, ale uprzedził ją sąsiad.

– Ale problemów z nim nie ma. – Uśmiechnął się do Justyny. – Więc do pani przychodni z nim nie przyjdziemy.

„Jednak bystry – pomyślał Henryk. – Umie połączyć wątki”.

Jego żona nie odwzajemniła jednak uśmiechu. Poczucie humoru nie było jej mocną stroną, a w sprawach zawodowych zupełnie zanikało. Sąsiad stropił się i rozejrzał niepewnie po pokoju. Jego wzrok zatrzymał się na opróżnionej butelce. Odwrócił się do Henryka.

– To co, sąsiad, masz jeszcze jakąś flaszkę? – spytał z ledwo wyczuwalnym napięciem w głosie.

Henryk zawahał się. Wyciągając finlandię, zauważył stojącą w kącie barku nienapoczętą butelkę dobrej szkockiej whisky, o której w ogóle nie pamiętał. Był też otwarty koniak. Szybko jednak uznał, że nie ma sensu ich wyjmować. Po co sypać perły przed wieprze, a poza tym wizyta niepotrzebnie by się przeciągnęła. Teraz już tylko kawka, ciasto, które kupiła w ostatniej chwili Justyna, i dobranoc.

– Nie, nie mam już – skłamał.

– Porządny dom. Wódka nie stoi – skomentował żartobliwie sąsiad, ale w jego głosie nie było wesołości.

Henryk uśmiechnął się grzecznościowo. Mężczyzna zastanawiał się przez chwilę.

– To może skoczę do nocnego? – zaproponował. – Tylko... – zawahał się – ...będziesz mi musiał dołożyć, bo trochę pusty jestem.

Henryka na chwilę zatkało. Nie tyle z powodu samej propozycji, w tej sytuacji całkiem racjonalnej, ile jej bezpośredniej formy. Niechętnie przechodził na ty. Nim jednak zdążył coś odpowiedzieć, wtrąciła się Justyna.

– Nie, nie, panowie – odezwała się stanowczym tonem. – Starczy już tego. – Też widocznie miała dość gości.

W pokoju zapadła cisza. Słysząc było odległe wycie psa.

– Nie lubię tak przerywać – skrzywiła się sąsiadka. Zdusiła papierosa w popielniczce.

– Przykro mi. – Henryk rozłożył ręce.

Cisza się przeciągała. Uliczką przejechał wolno samochód; chyba Czapski wracał z dziennej zmiany.

– No, jak tak, to idziemy, Becia – zdecydował sąsiad. Był wyraźnie poirytowany. Hałaśliwie odsunął krzesło od stołu. – Państwo się, jak widać, sadzą. My nie dla nich towarzystwo.

– Ależ... – Zmieszany Henryk nie wiedział, co powiedzieć.

– Tak, tak – przerwała mu sąsiadka, kiwając głową. – Z Warszawy przecież. A my biedne wsioki. I śmierdzimy im papierosami.

Wstała jako pierwsza. Justyna popatrzyła na nią w milczeniu.

– Ale proszę tak nie mówić – zaprotestował nieszczercze Henryk. – Proszę zostać. Możemy się przecież napić kawy, zjeść ciasto.

– Kawy? – prychnęła sąsiadka. – Żeby nie spała pół nocy? – Wzięła torebkę i energicznym krokiem ruszyła do przedpokoju. – Idziemy, Edek. Nic tu po nas. Łykniemy sobie coś w domu.

Mąż podążył za nią. W tej sytuacji Henryk również wstał, aby ich odprowadzić. Tylko Justyna nie ruszyła się z miejsca.

Goście ubierali się szybko jak strażacy. Mocno ich musiało ssać.

– Ja poprowadzę – zaproponował sąsiad.

– Chyba cię pogięło? Prawie nic nie piłam, to wsiądę.

Ustalając szczegóły wyprawy do sklepu, nie zwracali uwagi na Henryka. Jakby nie stał obok nich, jakby był powietrzem. Dopiero w drzwiach tamten odwrócił się i rzucił:

– To na razie, sąsiad.

Wykonał ironiczny ukłon w stronę Justyny. Dla jego żony był to jednak zbytek kurtuazji. Pociągnęła go niecierpliwie za rękaw.

– Chodź już – warknęła. Nie odwracając głowy, rzuciła za siebie: – A ten paniny schab był do niczego. Nie starczy kupić dobre mięso. Trzeba jeszcze umieć je zrobić.

Justyna zagryzła wargi, ale nic nie powiedziała. Wstała i w milczeniu zaczęła zbierać talerze ze stołu. Tamci wyszli, pozostawiając zamknięcie drzwi Henrykowi. Przekręcił zamek i wrócił do pokoju.

Był lekko oszołomiony raptownym zakończeniem kolacji i pomyślał, że odrobina alkoholu, wypitego na spokojnie, bez towarzyskiej presji, rozjaśni mu umysł. Tych kilku wypitych kieliszków wódki prawie już nie czuł. Otworzył barek i do masywnej szklanki nalał sobie whisky – tej samej, której pożałował sąsiadom. Z lodu zrezygnował, gdyż wymagało to pójścia do

kuchni, gdzie kręciła się Justyna. Nie chciał z nią teraz rozmawiać. Ona z nim chyba też nie.

Siadł ciężko w ulubionym fotelu, pociągnął łyk bursztynowego płynu i odetchnął głęboko. Żona, która kończyła uprzątać stół, zerknęła na niego z ukosa.

– Nie masz już dosyć?

Nie odpowiedział. Czuł, że jest rozdrażniona, i nie chciał się z nią wdawać w żadne dyskusje. Zwłaszcza na temat picia alkoholu.

Wstał, otworzył kominek, wrzucił do niego dwie zmięte w papierowe kule stronice starej „Wyborczej” i podpalił. Ciąg był dobry, wyregulowany przed zimą, więc leżące na ruszcie draski natychmiast zapłonęły, a od nich szybko się zajęły grubsze polana. Usiadł z powrotem i przez kilka minut gapił się bezmyślnie w wijące się za szybą, niecierpliwe języki ognia; ten widok zawsze go uspokajał. Justyna skończyła zmywać i poszła na górę. Po chwili z łazienki usłyszał odgłos wody napuszczanej do wanny.

Pociągnął kolejny łyk whisky. Czy ta zapoznawcza kolacja mogła się skończyć inaczej? Chyba nie. W końcu to pijacy. Jak już złapali ciąg, to nie mogli przystopować, nawet gdyby chcieli. Tadeusz, jego kolega z instytutu, też tak miał. Nie pił wprawdzie często, ale gdy już zaczął, to nie skończył, nim nie zwałił się pod stół. Kiedyś jacyś złośliwi studenci wypatrzyli go w takim stanie w barze nieopodal uniwersytetu, zrobili mu zdjęcia i wrzucili do sieci. Dyrektor groził mu potem dyscyplinarką, ale Tadeusz wcale się tym nie przejął. Miał mocną pozycję – wybitny historyk doktryn socjologicznych, cytowany, zapraszany na międzynarodowe kongresy. Średnicki mógł mu naskoczyć.

Może należało pozwolić płynąć im dalej na alkoholowej fali? Dać te trzydzieści złotych, niechby tamten poszedł do sklepu, dokupił wódkę. Niechby pili sobie dalej. W końcu jak powiedziało się a, to należało wykrztusić z siebie b. Nie skończyłoby się tak, jak się skończyło. Chciał nawiązać dobrosąsiedzkie stosunki, a wyszła wielka obraza.

Nie, nie. Wcale nie wiadomo, jak by się to wtedy skończyło. Może awanturą? Już wcześniej iskrzyło między nimi, mogło więc wybuchnąć na całego. Pijacy są humorzaści i nieobliczalni, a on był rozdrażniony ich zachowaniem, nie mówiąc o Justynie. Więc może i lepiej, że zakończyli biesiadę wcześniej, w bezpiecznym momencie. A może w ogóle nie należało ich zapraszać?

Westchnął, dopił whisky i wstał z fotela. Ogień w kominku wciąż unosił się wysokim płomieniem. Justyna zawsze prosiła, żeby nie zostawiał niedogaszzonego paleniska, ale uważał, że to zbytek ostrożności. W końcu od pokoju oddzielała je gruba szyba z pancernego szkła. Poszedł do kuchni, opłukał szklankę i pogasiwszy światła, wszedł po schodach na górę. Łazienka była już wolna.

Zrzucił z siebie ubranie i wszedł pod prysznic. Nie był to dla niego tylko zabieg higieniczny: niemal fizycznie czuł, jak woda zmywa z niego nieprzyjemne wydarzenia dnia. Stopniowo zmniejszał temperaturę, aż do całkiem lodowatej. Gdy zaczął marznąć, szybko zakręcił kurek i wytarł się plażowym ręcznikiem, który wygrał któregoś lata na loterii w Darłowie. Potem starannie umył zęby – żona nie znosiła zapachu alkoholu. Założył wyjętą z komódki świeżo wypraną piżamę i poczłapał do sypialni.

Justyna czytała w łóżku „Zwierciadło”. Widać było na pierwszy rzut oka, że jest zła. Nie podniosła głowy ani nie spojrzała w jego kierunku. Pełne odcięcie, niewidzialna, ale twarda ściana. Położył się obok niej, po swojej stronie łóżka. Przez chwilę leżeli w milczeniu. Nadal czytała, a raczej udawała, że czyta. W końcu odłożyła pismo.

– To chyba nie był najlepszy pomysł – stwierdziła krótko.

Nie był zaskoczony. Wiedział, że nie obejdzie się bez tej podsumowującej rozmowy. I że to on będzie musiał się w niej bronić.

– Chciałem... Myślałem, że byłoby dobrze, żebyśmy się trochę poznali... – Czuł, że jego słowa brzmią strasznie naiwnie, ale uświadomił to sobie, dopiero gdy je usłyszał. – ...Skoro będziemy praktycznie mieszkać razem.

– No to poznałeś... – mruknęła.

Milczał. Ale ona nie zamierzała na tym poprzestać.

– Przecież wiadomo było, co to za ludzie – ciągnęła dalej. – Ale ty musiałeś, jak to mówisz, doświadczyć empirycznie. A jeszcze do tego tak im nadskakiwałeś, jakby to byli nasi najbliżsi przyjaciele.

Teraz już poczuł się dotknięty.

– Uznałem, że obowiązują pewne zasady gościnności – odparł z godnością, choć czuł, że zabrzmiało to raczej drętwo. – Skoro ich zaprosiliśmy...

– To powinniśmy pozwolić im palić? – przerwała mu bezceremonialnie.

Westchnął.

– Och, daj spokój. Wywietrzy się.

– Wywietrzy – powtórzyła z przekąsem.

Poczuł, że ogarnia go złość.

– Słuchaj, o co ci chodzi? Pomyślałem, że będzie można z nimi ustalić jakiś *modus vivendi*. Nie udało się. Będziesz mi z tego powodu teraz ciosać kołki na głowie?

– *Modus vivendi*. – Roześmiała się złośliwie. Dziś postanowiła go przedrzeźniać.

Krew uderzyła mu do głowy.

– O co ci chodzi?! – Podniósł głos, odwracając się do niej gwałtownie.

Na moment zaległa cisza. Być może obojgu przyszło do głowy to samo: że **tamci** ich teraz słyszą. „Ale nie, to niemożliwe – pomyślał zaraz. – Nie wrócili jeszcze ze sklepu nocnego”.

– O to, że byłeś taki cholernie grzeczny, miły i uprzejmy – odparła po chwili, bardzo spokojnie. – Ja miałam ochotę wyrzucić ich po dziesięciu minutach.

– Więc czemu tego nie zrobiłaś?

Nie odpowiedziała od razu.

– No wiesz... – odparła po chwili zastanowienia. – Jak ty to mówisz... obowiązują pewne zasady gościnności. – Tym razem go nie przedrzeźniała. Zmiękła. Na jej twarzy pojawił się smutek. – Cholera, jak ja czasami nienawidzę tych wszystkich zasad, które mi rodzice wbili do głowy – dodała po chwili.

To szczere wyznanie ułagodziło go. Zamyślił się nad jej słowami. Tak, wszystko przez to cholerne wychowanie. Nie przeskoczysz siebie. Nie przebijesz się przez ściany, które ci postawiono przed nosem w dzieciństwie, a oboje pochodzili z porządnych domów, w których tych ścian stawia się mnóstwo. Całe labirynty.

– Mnie też one nie ułatwiają życia – przyznał. Nie miał już ochoty na dalszą sprzeczkę, jakby wspólnota rodzinnych obciążeń unieważniła różnice między nimi. – Słuchaj, nie kłóćmy się – powiedział pojednawczym tonem. – Przez nich mamy się kłócić? No, pomyśl.

– Tak, masz rację – odparła po chwili. – Przepraszam. Po prostu jestem strasznie wkurzona. I jak sobie uświadomię, że z takimi burakami mamy mieszkać do końca życia...

Myślał dokładnie o tym samym.

– Spokojnie – mruknął i pogłaskał ją niezgrabnie po ramieniu. – Nie zakładaj najgorszego. Może da się z nimi wytrzymać.

Uśmiechnęła się bez przekonania.

– Może. Będiesz jeszcze czytał?

– Nie.

Wyciągnęła rękę i zgasiła swoją lampkę. Chwilę leżeli w ciemności. Za ścianą nic nie było słyhać – sąsiedzi chyba jeszcze nie wrócili. Może spotkali znajomków w sklepie nocnym i pojechali do nich kontynuować przerwane pijaństwo. Sami chyba jeszcze nie mieli warunków do przyjmowania gości.

Było zupełnie cicho, tylko z daleka ujadał jakiś pies. „Zima wycisza” – pomyślał. Nawet samochody na pobliskiej, ruchliwej ulicy Wyszyńskiego były niesłyszalne, sunęły po jezdni bezgłośnie jak sanie.

Skrzypnęło łóżko i Justyna odwróciła się do niego. W ciemności błysnęły białka oczu. Zdziwił się. Słyszac jej równy oddech, był pewien, że zasypia.

– Słuchaj... – W jej głosie usłyszał wahanie. – A ten mój schab rzeczywiście był taki niedobry?

Roześmiał się głośno. Kobiety to mają czasem problemy! Ale pod jej nagłym spojrzeniem szybko przestał się śmiać.

– Mnie smakował – odparł dyplomatycznie.

Nic nie odpowiedziała, ale chyba mu nie uwierzyła. Podciągnęła kołdrę i odwróciła się do ściany. Jej ciało pachniało brzoskwiniowym płynem do kąpeli. Przysunął się bliżej i przytulił do jej pleców, co przyjęła cichym sapnięciem, które równie dobrze mogło oznaczać niechęć, jak i aprobatę. Przez cieką koszulę nocną czuł dotyk jej ciepłych pośladków. Po chwili stwierdził, że jego członek sztywnieje; przygarnął ją mocniej do siebie i musnął ustami porośnięty drobnym meshkiem kark. Mimo długiego, przekraczającego ćwierć wieku stażu małżeńskiego wciąż budziła w nim pożądanie. Z rozmów z żonatymi kolegami z instytutu wynikało, że był raczej wyjątkiem.

Zwykle jego pożądanie rozbudzało i ją. Odwrotnie zresztą też – rozpalali się od siebie wzajemnie. Ale nie tym razem. Mruknęła coś niewyraźnie pod nosem i lekko odsunęła się od niego.

Nie ponawiał prób. Trudno się było dziwić, że nie miała nastroju na łózkowe figle. Może zresztą już za bardzo chciało jej się spać. Jego członek jakby pogodził się z tym i szybko opadł. Henryk umościł się wygodniej za plecami żony: ich ciepły, przyjazny dotyk zwykle pomagał mu zasnąć. Teraz też nie było inaczej.

Obudził się z ciężką głową. Kiedyś mógł całkiem sporo wypić, ale od kilku lat organizm zaczął mu odmawiać posłuszeństwa i teraz nawet po niewielkiej ilości alkoholu odczuwał następnego ranka coś w rodzaju kaca. Poza tym był niewyspany. Sąsiedzi wrócili w środku nocy, głośno trzaskając drzwiami i zawzięcie się o coś kłócąc. I choć działo się to na dole i trwało krótko, nie mógł potem zasnąć. Leżał w ciemności, popijając co pewien czas wodę z trzymanej na nocnym stoliku butelki i czekając półświadomie na dalszy ciąg awantury, tym razem na górze, bliżej nich. W głowie krążyło mu uparcie jedno pytanie: „Czy to już zawsze tak będzie? Czy to już zawsze tak będzie?”. Chyba z godzinę tak się męczył. Tyle dobrego, że nie obudzili Justyny. Miała mocniejszy sen od niego. A może tylko udawała?

Teraz jej obok niego nie było, ale dobiegające z dołu odgłosy świadczyły o tym, że jeszcze nie wyszła do pracy. Zerknął na zegarek. Dochodziło wpół do ósmej. Dzień się jeszcze na dobre nie zaczął i w wąskiej szparze między zasłonami stała ledwo rozrzedzona ciemność. Mimo to wstał. Chciał choć przez chwilę porozmawiać z żoną. Dopił resztkę wody i poszedł wziąć prysznic. Potem ubrał się i szybko zbiegł na dół.

Justyna siedziała przy stole, popijając kawę i przeglądając „Gazetę Wyborczą”. Widocznie zdążyła już być w spożywczaku, gdzie sprzedawano również prasę.

– Cześć – rzucił, podchodząc do okna.

Termometr wskazywał minus piętnaście stopni. „Dobrze, że zrobiliśmy przed zimą przegląd pieca” – pomyślał.

– Nie zmarzłaś? – spytał, spoglądając na jej zaróżowione policzki.

– Trochę.

Otworzył szafkę, w której trzymali lekarstwa. Proszków od bólu głowy nie było, złamał więc na pół tabletkę aspiryny i połknął, popijając nieskończonym poprzedniego dnia sokiem pomarańczowym. Wciąż wyschnięte po wódce gardło przyjęło napój z wdzięcznością. Potem nastawił wodę w czajniku elektrycznym i czekając, aż się zagotuje, zerkał na Justynę, by odgadnąć jej nastrój. Ale była zajęta lekturą, a jej twarz nic nie wyrażała.

Zalał neskę, dodał do niej odrobinę mleka i z parującym kubkiem usiadł naprzeciwko żony. Nie chciało mu się jeszcze jeść. Justyna westchnęła i przewróciła stronę gazety. Zaszleściło głośno.

– Co czytasz? – zagadnął.

– O tatusiu, który pobił półroczną córeczkę – odparła i pokręciła głową z niedowierzaniem. – Jak tacy ludzie mogą mieć dzieci?

To był jej konik, jej fioł, jej pasja: krzywdzone dzieci. On miał do takich spraw znacznie mniej emocjonalny stosunek. Oczywiście oburzał się, słysząc o przypadkach podobnego bestialstwa, ale nie był w stanie wykrzesać w sobie żywszych uczuć. Traktował takie wydarzenia jako nieuchronną statystyczną prawidłowość – po prostu jakiś odsetek społeczeństwa zawsze stanowią bydlaki i skurwysyny. Skinął więc głową, ale nie podtrzymał tematu. Co tu można było mówić?

– O której wracasz? – spytał.

– Wcześniej. Baśka ma mnie zastąpić po południu za tamten dyżur. A ty?

– Ja? – zastanowił się przez chwilę. – Późno. Mam dziś zajęcia po południu.

Była to prawda, więc pomyślał, że nuta usprawiedliwienia wkradła się do jego głosu zupełnie niepotrzebnie. Najpierw wykład na uniwersytecie, potem seminarium magisterskie, wreszcie wykład na WSNS-ie. Nie miał szans wrócić przed ósmą.

Ni z tego, ni z owego zaczął jej opowiadać, że na tych późno odbywających się wykładach ma kiepską frekwencję, a nawet jak już studenci na nie przychodzą, to na egzaminach okazuje się, że niewiele pamiętają albo niczego nie rozumieją. I choć był to temat mocno nieświeży, wałkowany przez niego od miesięcy, to Justyna chętnie go podjęła i już po chwili rozmawiali z ożywieniem o słabościach prywatnego szkolnictwa, obniżeniu poziomu („dzisiejszy magister to tyle, co w naszych czasach maturzysta”) i nieprzyjemnej dwuznaczności, którą wprowadza fakt płacenia za studia. Potem zeszli na inne tematy, ale o tym, co wisiało w powietrzu, nawet nie wspomnieli.

Sąsiedzi jednak nie pozwolili o sobie zapomnieć.

Justyna właśnie żaliła się na nową koleżankę z przychodni, która traktowała pracę z nieszczęśliwymi, zagubionymi dziećmiakami zupełnie rutynowo („wydaje się jej, że przychodzi do biura”), gdy nagle z boku rozległ się donośny łomot, jakby ktoś rzucił czymś ciężkim o ścianę. Chwilę potem rozpętała się awantura, będąca najwyraźniej przedłużeniem nocnej kłótni, która go obudziła. Justyna przerwała opowieść i pokręciła głową.

– Zaczyna się – stwierdziła.

Nie odpowiedział, nasłuchując krzyków zza ściany. Nie musiał specjalnie wyciągać uszu, słycać było wyraźnie każde słowo.

– Weź się, kurwa, do roboty, chuju pierdolony!

– A spierdalaj mi!

– Weź się do roboty, mówię! – tamta nie ustępowała. – Matka nie będzie nas całe życie utrzymywać!

– A nie byłem u Stasiaka, kurwa? Nie byłem? – zajazgotał w odpowiedzi.

– Chuja tam, byłeś! – odparowała ona. – Pytałam go. Na oczy cię, kurwa, nie widział!

Potem na chwilę awantura ucichła, a może tylko przeniosła się do innego, bardziej oddalonego pomieszczenia. Wymienili z Justyną spojrzenia. W jej oczach dostrzegł bezradny smutek. Nie mógł tego tak zostawić.

– Pójdę do nich – zdecydował.

Kiwnęła w milczeniu głową, ale z wyrazu jej twarzy wynikało, że nie bardzo wierzy w skuteczność interwencji. On też po wczorajszej nieudanej kolacji był nieco sceptyczny, ale musiał spróbować. Gdy wkładał kurtkę, kłótnia rozgorzała na nowo.

– Weźmiesz chociaż małego? – spytała tamta ostrym głosem.

– Ty, kurwa, go weź! Źle się czuję! – odwrzasnął tamten.

Henryk zauważył kątem oka, że Justyna wzdrygnęła się, jakby przeszedł ją prąd. Zaciągnął zamek i szybko przekroczył próg. Zamykając za sobą drzwi, zdążył jeszcze usłyszeć odpowiedź sąsiadki:

– A ja się, kurwa, dobrze czuję?!

Gdy wyszedł na zewnątrz, oślepiło go nisko zawieszone słońce, a jednocześnie mróz zakłuł boleśnie w policzki. Postawił wyżej kołnierz i zaciągnął dokładnie szalik. Miał do przejścia raptem kilkanaście metrów, ośłą pętelkę, bo ich drzwi bezpośrednio ze sobą sąsiadowały, ale temperatura była taka, że nawet na tak krótkim odcinku mogła dać się we znaki. „Dobrze chociaż, że nie ma wiatru” – pomyślał.

Furtka sąsiadów była otwarta. Może nie mieli zwyczaju jej zamykać, a może wracając wczoraj w nocy, zapomnieli. Pchnął ją i szybkim krokiem ruszył w stronę polakierowanych na biało drzwi z przybitą do nich mosiężną imitacją podkowy zostawioną przez Górzańskich. Ze środka dochodziły odgłosy sprzeczki, ale jakby przytłumione. U nich było lepiej słycać.

Nacisnął dzwonek, który odpowiedział mu wewnątrz pretensjonalnym uderzeniem gongu. Po chwili drzwi się otworzyły. Stojący w nich sąsiad

wyglądał marnie. Oczy miał przekrwione i zwężone do cienkich szparek, na zapuchniętych policzkach ciemniały smugi niechlujnego zarostu. Za jego plecami widać było sąsiadkę, która siedziała na niskim taborecie i usiłowała naciągnąć wysokie, lakierowane buty na swoje grube łydki. Obok niej stał ubrany w bury paltocik chłopczyk i patrzył w stronę Henryka szeroko otwartymi, ciemnymi oczami.

Mężczyzna na jego widok rozjaśnił się i wykrzywił twarz w coś na kształt uśmiechu. Najwyraźniej nie żywił urazy za wczorajszy wieczór.

– A, sąsiad... Co tam? – zagadnął przyjaźnie. – Jak zdrowie?

– Dziękuję – odparł grzecznie Henryk. – Mam taką sprawę...

Tamten cofnął się o krok i wpuścił go do środka. Henryk ze zdziwieniem stwierdził, że w porównaniu z poprzednim dniem wewnątrz uległo całkowitej metamorfozie: panował wzorowy porządek, wszystkie meble stały na swoich miejscach. Widać robotnicy z firmy przeprowadzkowej nie próżnowali. Tylko wciąż było nieprzyjemnie chłodno. Albo pomieszczenia nagrzewały się powoli, albo tamci oszczędzali na gazie.

Sąsiad popatrzył na niego pytająco. Henryk odchrząknął.

– No więc... – zaczął. – Państwo chyba o tym nie wiecie, ale ten dom jest bardzo akustyczny.

– Jaki? – burknęła tamta, wciąż mocując się z butami i krzywiąc z wysiłku szeroką, mongolską twarz. Jej mąż też wydawał się zdziwiony, choć jako muzyk zapewne zetknął się z tym słowem.

– Noo... głośny – wyjaśnił. – Pan Górzeński, od którego państwo kupili swoją połowę, oszczędzał przy budowie i ściany są bardzo cienkie. Miałbym więc taką prośbę, żeby państwo troszkę ciszej się kłócili, bo u nas wszystko słychać.

Po jego słowach zapadła cisza. Tamci popatrzyli po sobie. Nie mógł się zorientować, co oznaczały te spojrzenia.

– Coś podobnego – wycedziła ona. – A my państwa w ogóle nie słyszymy.

Nie był pewien, czy drwi sobie z niego, czy naprawdę się dziwi.

– No cóż... – odparł z wahaniem. – My staramy się rozmawiać normalnie.

– A my czasem musim trochę na siebie pokrzyczeć – wtrącił się sąsiad. – Po kłótni to nawet kochanie lepiej idzie, nie, Becia?

Henryk z niejakim zaskoczeniem stwierdził, że sąsiadka się zarumieniła. Nie podejrzewał, że jest zdolna do odczuwania tak subtelnych uczuć, jak wstyd.

– No weź przestań – bąknęła zmieszana i pochyliła się nad lewym butem, który wciąż nie chciał wejść na jej grubą nogę.

Henryk westchnął przeciągle.

– Ja to wszystko rozumiem, ale nam to naprawdę przeszkadza. Zwłaszcza w nocy, jak wczoraj. Nie mogliśmy spać, a oboje pracujemy i...

W przekrwionych oczach sąsiada błysnęła nagle złość.

– To się pan ciesz, że w ogóle masz pracę – mruknął już zupełnie innym niż poprzednio, wrogim tonem. – Szczęściarz z pana.

No tak, dotknąłem czułego punktu, pomyślał. Ale nie czuł się z tego powodu winny. Przeciwnie, ogarnęła go irytacja – jak zawsze, gdy czuł, że rozmowa skręca gdzieś bezsensownie w bok. Na zajęciach ze studentami też tego nie cierpiał.

– Proszę pana – powiedział lekko podniesionym głosem – chodzi mi o to, że powinniśmy być w pracy wyspani, a państwo nam to uniemożliwiacie.

Tamten machnął ręką ze złością.

– A daj pan spokój. Co, myślisz pan, że jak masz pan pracę, to taki ważny jesteś? – spytał zaczepnie.

Henryk poczuł, że serce zaczyna mu głośniej walić w piersi. Próbował zachować jednak spokój.

– Chodzi mi o to, że mamy prawo mieć we własnym domu spokój i ciszę. Dzisiaj też od rana państwa słyszymy.

– To nie jest pana dom – przerwała mu tamta nadspodziewanie rzeczowym tonem. – Tylko jedna połowa.

Udało jej się wreszcie naciągnąć buty. Wstała i zaczęła przytupywać, aby się ułożyły. Chłopczyk przyglądał się w milczeniu temu dziwnemu tańcowi. Sąsiad potwierdził słowa żony energicznym skinieniem głowy. Wyglądali na bardzo z siebie zadowolonych – przybili go nieodpartym argumentem. Ale on postanowił się nie poddawać.

– To nie ma znaczenia – powiedział stanowczo.

Nic nie odpowiedzieli, więc postanowił pójść za ciosem. – I proszę potraktować moją prośbę poważnie. W przeciwnym razie będę musiał sięgnąć po inne środki.

Ledwo wymówił te słowa, zrozumiał, że popełnił błąd. Zapędził się. Sąsiad uśmiechnął się lekceważąco.

– Nie strasz, nie strasz, bo się zesrasz – mruknął, wydymając usta.

Jego żona wybuchła głośnym śmiechem. Nawet chłopczyk się uśmiechnął.

Nie miał z przodu dwóch zębów.

Henryk poczuł, że się czerwieni.

– Ja nie straszę. Ostrzegam – odparł, ale już znacznie mniej pewnym głosem.

– Dobra, dobra. – Tamten machnął ręką, odwrócił się i wyszedł do kuchni, nie zwracając już na niego uwagi. Henryk zrozumiał, że oznacza to sygnał do zakończenia wizyty.

„Po co wyskoczyłem z tą głupią pogroźką?” – wyrzucał sobie podczas drogi powrotnej. Jaki to miało sens – sugerować wezwanie policji? Przecież nie będzie jej wzywać z takiego błahego powodu. Tylko by się obruszyli, że zawraca im głowę sprawami, które można załatwić w ramach normalnych międzysąsiedzkich porozumień. A skoro tak, to nie było sensu w ogóle o tym wspominać. Nie wypowiada się pogroźek, jeśli nie ma się zamiaru ich spełnić, bo człowiek się tylko ośmiesza.

Zły na siebie otworzył drzwi do mieszkania. Justyna była już ubrana i gotowa do wyjścia. Wyglądało na to, że czekała tylko na jego powrót.

– I co?

Zdjął kurtkę i starannie ją powiesił.

– Nic. Nie wiem. Powiedziałem im... – Urwał. Co właściwie im powiedział? Justyna popatrzyła na niego drwiąco. Zapanowało niezręczne milczenie.

– No, dobra – odezwała się po chwili. – Idę do pracy. Tam przynajmniej mam spokój. Pa.

– Pa – odparł z westchnieniem.

Wyszła przez kuchnię do garażu, skąd po chwili dobiegł odgłos uruchamianego silnika. „Ciekawe, czy moja toyota też tak łatwo odpali?” – pomyślał. Stała na zewnątrz, a w nocy mogło być minus dwadzieścia stopni.

Rozmowa z sąsiadami odebrała mu apetyt, ale mimo wszystko postanowił coś zjeść, aby nie wlewać kolejnej kawy do pustego żołądka. Wyjął chleb kupiony rano przez Justynę i ukroił dwie kromki.

Na zewnątrz skrzypnęła brama. Odłożył nóż i podszedł do okna. Zielone clio stało na podjeździe w kłębach spalin z nierozgrzanego silnika, przez które z trudem dostrzegł żonę napierającą całym ciałem na przymarzniałe do śniegu żelazne pręty bramy. „Automat, koniecznie kupić automat” – przypomniał sobie. Gdy wracała do auta, przyjrzał się jej uważnie, ale nie mógł nic wyczytać z jej twarzy. Ruszyła ostro, wyrzucając spod kół grudy

śniegu.

Chwilę jeszcze postać przy oknie, gapiąc się bezmyślnie na zimowy krajobraz. Śnieg iskrzył się w ostrych promieniach słońca. Drzewa w sadzie Czapskiego rozczapierzały ku górze czarne gałęzie, a ponad nimi snuł się siwy dym. Widocznie żona taksówkarza zaczęła już robić obiad. Wszyscy tu żyli trochę innym rytmem niż oni.

Miał już wrócić do stołu, gdy dostrzegł idącą ulicą sąsiadkę. Jedną ręką trzymała drepcącego obok niej chłopczyka, drugą podnosiła papierosa do ust. Palenie sprawiało jej widoczną przyjemność; zaciągała się z lubością. Chyba się gdzieś śpieszyła, bo szła szybko, niemal wlokąc synka za sobą, a w pewnym momencie burknęła do niego, aby się nie guzdrał. Jej okrągła twarz miała zły, zacięty wyraz; może była to pozostałość po niedawnej sprzeczce z mężem, którą przerwał tylko na chwilę, pozwalając im zjednoczyć siły.

Gdy oboje znaleźli się poza zasięgiem jego wzroku, usiadł za stołem, zrobił sobie kanapki z białym serem i zaczął je niespiesznie jeść, przeglądając zostawioną przez Justynę gazetę. Nie czytał jej, przelatywał jedynie nagłówki. Od jakiegoś czasu coraz mniej interesowało go życie publiczne. Spory polityków nużyły go i irytowały. Zwrócił uwagę tylko na reportaż o trzęsieniu ziemi na Haiti. To była autentyczna tragedia, coś prawdziwego, a nie jakieś głupie przepychanki. Wydarł z gazety numer konta, na który należało wpłacać pieniądze dla ofiar; postanowił, że w wolnej chwili zrobi przelew przez internet.

Po zakończeniu skromnego śniadania sprzątnął ze stołu, zrobił sobie następną kawę i z kubkiem w ręku poszedł na górę do swojego gabinetu. Do rozpoczęcia wykładu na uniwersytecie zostały mu trzy godziny, miał więc jeszcze trochę czasu, aby wreszcie dokończyć artykuł zamówiony przez kwartalnik „Przegląd Metodologiczny”, czasopismo poważne, renomowane i bardzo – co przyznawał po cichu – nudne. Włączył komputer. Czekając, aż się uruchomi, zapatrzył się na kolekcję fajek wiszącą w szklanej gablocie na ścianie. Zbierał je od wielu lat. Zaczęło się od palenia fajki na asystenturze, co robił, aby dodać sobie powagi, bo wyglądał bardzo młodo i niewiele różnił się od studentów starszych lat. No i żeby ominąć trudności z kupowaniem papierosów, jedną z wielu drobnych dokuczliwości stanu wojennego. Potem, gdy wrócił do nich po kilku latach, do jego otoczenia jakby to nie docierało; wszyscy znajomi wciąż byli przekonani, że pali fajkę, więc kupowali mu te

dziwne, ale eleganckie przedmioty przy imieninowo-urodzinowych okazjach. Na prezenty nadawały się doskonale. Nie wiedząc, co z nimi zrobić, zaczął je kolekcjonować, wymieniać z innymi zbieraczami, kupować, ilekroć był za granicą na jakimś naukowym zjeździe. I tak zebrała się ich z górą setka. Były wśród nich unikatowe egzemplarze o cybuchach z korzenia wrzośca, bambusa, pianki morskiej, a nawet afrykańskiej tykwy. Trochę zaniedbał ostatnio tę swoją kolekcję, praktycznie jej nie uzupełniał, wyjątkowo tylko kupował na Allegro jakieś pojedyncze sztuki, które go czymś zainteresowały, a przecież kiedyś bywało, że jeździł po nie specjalnie na targi do Edynburga! Wydawało mu się przez moment, że ich jednookie główki spozierają na niego z wyrzutem.

Jego przestarzały komputer wreszcie się wygrzebał z elektronicznych zwojów i na monitorze rozbłysło portretowe zdjęcie Agaty. Poczł miłe ciepło w okolicy serca. „Pięć dni – pomyślał. – Za pięć dni ją zobaczę”. Nie jako tapetę na ekranie, ale na żywo.

Zaczął, jak zawsze, od sprawdzenia poczty, nie znalazł jednak nic ciekawego, oprócz mejla z Australijskiego Towarzystwa Socjologicznego; organizatorzy konferencji w Adelaide grzecznie, ale z lekko zawołowaną niecierpliwością domagali się jednoznacznego potwierdzenia przyjazdu. Zaklął cicho. Zupełnie o tym zapomniał, a właściwie wyparł to z pamięci. Miał z tą Australią problem; wyjazd zapowiadał się atrakcyjnie, Henryk nigdy nie był na antypodach, a i sam temat konferencji był ciekawy, jakby dla niego wymyślony: „Mitologia słupków. Socjologia w świecie postpolityki”, ale termin niestety wypadł w samym środku przerwy międzysemestralnej, a on obiecał już Justynie wspólny wypad na narty. Uwielbiała jeździć, on zresztą też lubił pohulać na stoku. Cały zeszły sezon mieli zmarnowany, bo odbywał jeszcze rekonwalescencję po kontuzji stopy, której nabawił się na Słowacji. Justyna lojalnie została z nim w domu, ale w tym roku zapowiedziała, że już mu nie daruje.

Kiedyś, gdy jeszcze kariera naukowa była dla niego najważniejsza, nie byłoby w ogóle takiego dylematu. Na tego rodzaju zjazdach należało bywać, odnawiać kontakty czy choćby pokazać, że się jeszcze żyje, więc po prostu zawiadomiłby żonę o zmianie planów. W ostatnich latach priorytety mu się jednak zmieniły. Wiedział już, że wielkich odkryć nie dokona, a z drugiej strony jego pozycja była ustabilizowana (nic jej specjalnie nie zagrażało, ale też nie miał wielkich szans, aby ją poprawić), więc pęd do naukowych

sukcesów mu przeszedł. Przyjemny urlop z Justyną liczył się bardziej niż obecność na prestiżowym kongresie, a zjazd na nartach od zjazdu naukowego.

Na wszelki wypadek wstrzymał się jednak z odmową. Mogło się przecież zdarzyć coś nieprzewidzianego, na przykład Justynie wypadnie coś ważnego, i co wtedy? Zostanie z pustymi rękami. Mógł też spróbować ją namówić, aby wybrała się z nim jako osoba towarzysząca. Podobnie jak on, w Australii jeszcze nie była i może dałaby się przekonać. Po obradach skoczyliby w miejscowe góry, jeśli o tej porze roku leży na nich śnieg. Obiecał sobie z nią dzisiaj porozmawiać i przeszedł do rutynowej korespondencji ze studentami.

Uporał się z nią szybko, potem przelał jeszcze dwieście złotych dla poszkodowanych w trzęsieniu ziemi na Haiti i wreszcie mógł się zabrać do pracy nad artykułem. Pisał dwie godziny, szukając w bezmiarze liczb statystycznych prawidłowości, które pomogłyby ująć w ramy płynny żywioł zwany społeczeństwem. Szło mu jednak ciężko, nie mógł się skupić na obliczeniach, gdyż co chwila wracało do niego wspomnienie porannej rozmowy z sąsiadami, towarzyszące jej poczucie bezsilności i pełne wyrzutu spojrzenie żony, gdy wrócił z niczym do domu. Justyna była osobą nietuzinkową, ale pod pewnymi względami pozostawała zwyczajną kobietą, która w kłopotliwych sytuacjach żądała od swojego mężczyzny, żeby „coś z tym zrobić”. Wprawdzie nie używała tego wyświechtanego, ośmieszonego właściwie zwrotu, swoje oczekiwania wyrażała wyłącznie wzrokiem, ale jej spojrzenie było wystarczająco wymowne. Patrzyła tak na niego, gdy w domu zdarzała się jakaś awaria: przeciekała uszczelka albo poluzował się kontakt. Przeciętnemu mężczyźnie podobne sprawy nie przysparzałyby żadnych trudności, ale on, będąc straszliwym technicznym antytalentem, był w takich sytuacjach bezradny.

Techniczne problemy dawało się jednak stosunkowo łatwo rozwiązać. Gdy mieszkali jeszcze w bloku na Ochocie, wystarczyło wezwać dozorcę, pana Wiesia, który – jeśli akurat był trzeźwy – chętnie się podejmował drobnych napraw. Po przeprowadzce do Grabówka Henryk od razu zaczął szukać jego następcy i w końcu, po kilku nieudanych próbach, udało mu się znaleźć prawdziwą złotą rączkę, statecznego pana Alfreda, lepszego nawet od ciecica, bo jako jehowita nie pił i w związku z tym niemal zawsze był dyspozycyjny. Oczywiście zawsze też wykorzystywał podobne sytuacje jako okazję do

nawracania na swoją wiarę, ale to jeszcze dało się wytrzymać i bywało nawet zabawne. A gdy zmarł trzy lata temu, okazało się, że całkiem zręcznym majstrem jest Jarek, syn Kulczyków, sąsiadów zza płotu, a więc mieli i blisko, i wygodnie. Tym razem jednak sytuacja była inna – nie mógł wynająć nikogo, kto by go w roli mężczyzny zastąpił.

Pisanie mu dziś nie szło. Westchnął, zapisał niedokończony tekst i wyłączył komputer. Postanowił pojechać już na uniwersytet. Będzie wprawdzie trochę za wcześnie, ale najwyżej wpadnie jeszcze na kawę do stołówki profesorskiej i przejrzy notatki do wykładu. Zresztą trudno przewidzieć, jak długo będzie jechać do centrum. W zimie tego nigdy nie wiadomo. I gdy już pakował papiery do teczki, usłyszał dzwonek do drzwi wejściowych.

Zdziwił się; nie mógł to być kurier, bo żadnych książek ostatnio nie zamawiali, a listonoszka przyjeżdżała pyrkoczącym motorowerem dopiero w okolicach południa. Innych gości o tej porze nie oczekiwał. Rozchylił żaluzje i przez powstałą szczelinę wyjrzał przez okno. Z jeszcze większym zdziwieniem stwierdził, że przed furtką, przestępując z nogi na nogę, stoi sąsiad. „A ten czego tu chce? – spytał sam siebie. – Będziemy się tak dzisiaj odwiedzać? Wizyta – rewizyta?” Zszedł po schodach na dół, nacisnął guzik domofonu otwierający furtkę, po czym nieufnie uchylił drzwi. Sąsiad wyglądał jeszcze marniej niż z samego rana. Kac widocznie mu nie popuszczał.

– Można? – spytał nieśmiało, zdejmując czapkę gestem chłopca stojącego w obliczu dziedzica.

Henryk po chwili wahania wpuścił go do przedpokoju, zastanawiając się nad tą nieoczekiwaną zmianą tonu.

Tamten zmiął czapkę w dłoniach.

– Przepraszam, sąsiad – bąknął. – Trochę głupio wyszło. Nie wiedzieliśmy, że tak nas słyhać. Jak będziem się teraz kłócić, to cicho.

Henryk mimo woli uśmiechnął się pod nosem, słysząc te niezdarne przeprosiny, ale wciąż pozostał czujny i podejrzliwy. „O co tu chodzi?” – spytał sam siebie. Spojrzał badawczo w oczy sąsiada, ale nie znalazł w nich nic, oprócz oznak przepicia. Postanowił wziąć jego potulne zachowanie za dobrą monetę.

– Mam nadzieję – odparł. – A najlepiej to w ogóle.

„Ty głupku – skarcił się natychmiast w myślach. – Na dobre rady ci się zebrało. Upodabniasz się do Justyny z tymi nauczycielskimi odzywkami”.

Tamten uśmiechnął się szeroko.

– W ogóle to się nie da. Jesteś, sąsiad, żonaty, to wiesz.

Henryk nie odwzajemnił uśmiechu i zbył milczeniem uwagę, która miała podkreślić wspólnotę ich ciężkiego, męskiego losu. Tamten przyjrzał mu się uważnie.

– Rozumiem... – podjął po chwili. – Sąsiad się gniewa, że ja z rana tak niegrzecznie... Ale musiałem... ze względu na kobitę. Rozumie sąsiad... z twarzą przy niej musiałem wyjść. O twarz mi się tylko rozchodziło. Przepraszam.

Henryk pokiwał głową. Dobrze rozumiał, jak trudne jest zachowanie godności w obliczu żony. Tamten, wyraźnie zachęcony, wyciągnął rękę.

– No to... na zgodę.

Henryk z wahaniem podał mu dłoń. Sąsiad ścisnął ją mocno i kilkakrotnie potrząsnął. Jego ręka była wilgotna i lepka, nieprzyjemna w dotyku.

– No, to żeśmy się pogodzili – stwierdził z zadowoleniem, zwalniając wreszcie uścisk. Mrugnął porozumiewawczo i nacisnął klamkę. I gdy Henryk myślał, że jest już po wszystkim i że ta dziwna wizyta dobiegła wreszcie końca, obrócił się do niego w drzwiach.

– A, jeszcze jedno...

– Tak?

– Nie pożyczylby mi sąsiad dyszki?

No, to się wyjaśniło. Dlatego był taki miły, przepaszający i niby skruszony. A on niemal dał się nabrać. Zdenerwowała go własna naiwność.

– A, o to chodzi... – wycedził.

Tamten skinął głową, jakby to było oczywiste od początku.

– Łeb mnie strasznie napierdala – wyjaśnił prostodusznie. – Klina bym walnął. A ta moja wyszła z małym do lekarza i nic mi nie zostawiła.

Henryk przez chwilę się zastanawiał. Taki gest z jego strony mógłby korzystnie wpłynąć na ich sąsiedzkie stosunki, ale złościło go, że tamten tak bezczelnie i prymitywnie próbował nim manipulować.

– Nie – usłyszał po chwili własny głos.

– Chociaż piątkę – nie ustępował tamten. – Na dwa piwa bym miał.

– Nie, nic panu nie dam – odparł ze stanowczością, która go samego zdziwiła.

– No co, skąpisz, sąsiad? – Mężczyzna zmienił ton na żartobliwy. – Pięciu złotych nie masz, żeby człowieka poratować?

Mówił niby lekko, ale w jego wzroku było błaganie. Henryk mimo to postanowił nie ulegać.

– Mam. Ale nie zamierzam... – Urwał. Nie wiedział, co powiedzieć dalej.

Tamten patrzył ponaglająco. Henryk westchnął.

– Proszę pana – zwrócił się do niego takim tonem, jakim przemawiał do mało rozgarniętych studentów. – Jest pan alkoholikiem. Powinien się pan leczyć. A ja nie mam zamiaru pomagać panu w picciu. Wystarczy, że wczoraj...

– E, zaraz pomagać... – Tamten machnął ręką. – Mnie pomagać nie trzeba. – Roześmiał się hałaśliwie, niemal wesoło.

Henryk wzdrygnął się nagle. Stali wciąż w przedpokoju, a od uchylonych drzwi ciągnął chłód. Tamten zorientował się w sytuacji i domknął je, po czym zmierzył Henryka badawczym wzrokiem, jakby się zastanawiał, w którą stronę teraz uderzyć.

– No, fakt, dużo piję – przyznał niechętnie. – Ale co mam robić? Myśli sąsiad, że mi to tak łatwo żyć z tą babą?

„Wyobrażam sobie” – pomyślał Henryk. Poranna wizyta była pod tym względem bardzo pouczająca. Ale nie miał zamiaru wysłuchiwać jego zwierzeń na temat kłopotów małżeńskich.

– Proszę pana, to już są pana problemy – odparł oschłym tonem.

– I do tego jeszcze być na jej utrzymaniu – ciągnął tamten niezrażony, jakby go nie usłyszał. Patrzył przy tym gdzieś w przestrzeń, w jakiś niewidoczny punkt za plecami rozmówcy.

– To niech pan idzie do pracy. – Henryk wzruszył ramionami. Zaczynał się niecierpliwic. Właściwie powinien już jechać.

Ale tamten nie zamierzał tak łatwo się poddawać.

– Do pracy – powtórzył jak echo. – Myśli pan, że tak łatwo o pracę? Pan jest wykształcony, to panu łatwo, ale...

Henryk zirytował się.

– Proszę pana – przerwał mu bezceremonialnie. – W urzędzie gminy wisi mnóstwo ogłoszeń. Poszukują pomocników murarzy, tynkarzy, glazurników. Do tego nie trzeba wykształcenia.

– Teraz? W taką zimę? Wszystkie budowy stoją – przytomnie zauważył tamten.

Henryk nie odpowiedział, nie miał na to argumentów.

– Zresztą, to nie dla mnie. Ja jestem artystą. Nie będę robił łopata.

Artysta? Nie mógł powstrzymać się od uśmiechu. Tamten to zauważył.

– Co się, sąsiad, tak uśmieszasz? – spytał z urazą w głosie. – Nie wierzysz mi? A znasz Wacka Zimocha? – Jego ton stał się nagle zaczepny, napastliwy. – Słyszał sąsiad w ogóle o nim? W Big Dance występuje. W **tym** Big Dance. A ja z nim kiedyś grałem. Ile to? Cztery lata w jednym zespole byliśmy. – Zamyślił się. Najwyraźniej oddał się wspomnieniom.

– To niech się pan zaczepi w innym – poradził mu Henryk. Zerknął na zegarek. Było piętnaście po jedenastej.

– Kiedy nigdzie mnie nie chcą – poskarżył się tamten z nagle zmarkotniałą miną. – Wszyscy uważają, że się skończyłem.

Henryk nie krył już zniecierpliwienia. Naprawdę nie miał teraz czasu wysłuchiwać pijackiego biadolenia.

– Proszę pana – przerwał mu stanowczo. – Mnie to naprawdę nie interesuje. Znów popatrzył na zegarek. Tym razem bardziej ostentacyjnie. Ale tamten jakby nie zrozumiał aluzji.

– No daj, sąsiad... chociaż dwójkę – poprosił błagalnym tonem.

Henryk pokręcił głową.

– Nie.

Mężczyzna popatrzył na niego długo, jakby chciał się upewnić, czy nie zmieni zdania.

– Nie? – W jego głosie pojawił się ton groźby. – No to... pożałujesz, sąsiad. Zobaczysz. Jak będziesz mnie jeszcze o coś prosić... I teraz to już w ogóle nie będziemy się obcyndalać.

Nieprzyjemnie to zabrzmiało, ale Henryk postanowił nie ustępować.

– Przepraszam, ale śpieszę się do pracy – powiedział twardo.

Tamten pokiwał głową. Odwrócił się powoli i nacisnął klamkę.

– To idź pan do tej swojej pracy – rzucił, wychodząc. – Badaj to swoje społeczeństwo.

„A więc jednak coś zapamiętał z wczorajszej kolacji” – pomyślał Henryk, odprowadzając go wzrokiem. Sąsiad szedł do furki, mamrocząc coś jeszcze pod nosem.

– Społeczeństwo... – usłyszał Henryk. – To ja jestem społeczeństwo!

Uśmiechnął się lekko na te słowa. Ale gdy spojrział na zegarek, uśmiech zniknął mu z ust. Jeżeli nie chciał się spóźnić, musiał się naprawdę pośpieszyć.

Zatrzasnął drzwi, zaciągnął zamek i popędził na górę. Wepchnął resztę

notatek do teczki i zbiegł z powrotem na dół. Ubrał się w równie ekspresowym tempie i wyszedł na zewnątrz przez garaż, rozglądając się czujnie na boki, czy spragniony klina sąsiad gdzieś się na niego nie zaczął. Nie, chyba jednak zrezygnował, nie było go już widać. Szybko wsiadł do wyiębionego przez noc samochodu i nie bez obaw wsunął kluczyk do stacyjki. Silnik na szczęście odpalił bez problemów. Ruszył do Warszawy.

Im bardziej oddalał się od domu, tym bardziej rósł jego niepokój. Ostatnie słowa rozmowy z sąsiadem – niewątpliwa zapowiedź obrzydzenia im życia – które najpierw zlekceważył, teraz coraz wyraźniej brzmiały w jego uszach. Czy była to tylko czcza gadanina, czy też rzeczywiście gotów był spełnić swoją pogroźkę? Powoli docierało do niego, że stracił, i to być może bezpowrotnie, szansę zjednania sobie sympatii tego człowieka. I to niewielkim kosztem. Czymże było pięć złotych wobec perspektywy poprawienia stosunków nadwyreżonych poprzedniego dnia? Gra była w tym przypadku zero-jedynkowa: jak nie poprawił, to pogorszył. Dlaczego tego nie zrobił? Bo zdenerwowały go te prymitywne chwytły, te nieszczerze przeprosiny, w których chodziło tylko o to, aby go naciągnąć na bezzwrotną pożyczkę? Gdyby tamten poprosił go wprost, bez obłudnego wstępu, zapewne by mu jej nie odmówił. Ale czy nie mógł potraktować tych podchodów jako nieszkodliwego rytuału, w którym obie strony udają, że wierzą w to, co mówią? Możliwe, że wyszedłby w oczach pijaczka na frajera i naiwniaka, ale co z tego? Czy aż tak bardzo zależało mu na jego opinii?

Coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że popełnił błąd. Że niepotrzebnie był tak zasadniczy. Gdy przypominał sobie to moralizatorskie: „Jest pan alkoholikiem, a ja nie zamierzam panu pomagać”, aż skrzyło go w środku ze wstydu. Boże! Co za drętwa mowa! Nie poznawał siebie w tych słowach. Rzeczywiście upodobił się do Justyny, z jej kostyicznymi uwagami i dydaktycznym zapałem.

I nagle, gdy już był pewien, że postąpił bezsensownie i że za swój niedorzeczny upór przyjdzie mu jeszcze zapłacić, przypomniał sobie, jak to dawno temu, gdy mieszkał z rodzicami, mieli w kamienicy sąsiada, pana Maślankę, alkoholika, który przychodził do ojca po niewielkie pożyczki. Było to dosyć uciążliwe, bo Maślanka pukał czasem do drzwi nawet o trzeciej nad ranem. Potem matka miała do ojca pretensje: „Po coś mu dawał? Przecież do końca życia teraz się nie odczepi”. I miała rację. Nawet gdy ojciec, na jej stanowcze żądanie, w końcu odmówił, sąsiad nie zrażał się

i kontynuował swoje nocne wizyty. Trzeba jednak przyznać, że pieniądze oddawał. Z opóźnieniem, bo z opóźnieniem, ale jednak oddawał. A potem umarł i problem sam się rozwiązał. Wraciał pewnego sobotniego przedpołudnia z siatką pełną piw i upadł w drzwiach mieszkania, powalony atakiem serca, nie doniósłszy już tych piw do domu i nie zdążywszy ich wypić, tłukąc tylko butelki, tak że wokół jego leżącego w progu ciała utworzyła się pienista kałuża. Brzdęk rozbijanego szkła zaalarmował mieszkających obok państwa Zagórskich, wezwali pogotowie, ale było już za późno. Henryk stał w czekającym na przyjazd karetki tłumie i zdążył jeszcze zobaczyć ciemną plamę na posadzce, kawałki szkła, wytarte podeszwy sandałów i blade, chude łydki, nim ktoś go nie przegonił i nie kazał wracać do domu.

Czy to wspomnienie – uległości ojca, wyrzutów matki i marnego końca pana Maślanki – tkwiące gdzieś w jego podświadomości, kazało mu teraz odmówić? Na myśl o tym poczuł się lepiej, a wraz z poprawą nastroju przyszyły mu do głowy nowe argumenty na swoją obronę: gdyby raz dał pieniądze sąsiadowi, ten nie dałby mu już spokoju, a potem byłoby znacznie trudniej powiedzieć „nie”. Bo właściwie dlaczego? Precedens już zaistniał. I co to w ogóle za pomysł, żeby spokój w domu kupować za pieniądze?! Czy nie byłoby to znacznie bardziej upokarzające?

Musiał nagle przyhamować, bo pod koła wbiegł mu mały kundel. Gonił chyba za suką, gdyż po drugiej stronie jezdni Henryk zdołał kątem oka dostrzec stadko przepychających się między sobą psów. Tyłem samochodu zarzuciło, ale odbił kierownicę i udało mu się wrócić na poprzedni tor jazdy. Jakiś starszy mężczyzna idący chodnikiem popatrzył na niego ze zdziwieniem, że też chciał mu się ryzykować poślizg, zamiast po prostu rozjechać ogłupiałego zwierzaka. Życie psów dla mieszkańców tych okolic nie przedstawiało dużej wartości.

Postanowił skupić się na prowadzeniu samochodu. Nawierzchnia była wprawdzie całkiem niezła – czyżby na skutek jego wczorajszej interwencji? – nie na tyle jednak, aby mógł pozwolić sobie na błędzenie gdzieś myślami. Ruch na szczęście o tej porze był niewielki. W takich momentach błogosławił swój nienormowany czas pracy; na ogół zaczynał zajęcia na uniwersytecie dopiero wczesnym popołudniem. Justyna, która niekiedy musiała stawiać się w przychodni o ósmej rano, często sterczała pół godziny w korkach, jeszcze przed dojazdem do Warszawy. Jemu to nie groziło, przynajmniej nie dzisiaj.

Dotarł na uczelnię punkt dwunasta, bez trudu znalazł miejsce do zaparkowania i spóźniony zaledwie o cztery minuty stanął przed swoim dzisiejszym audytorium, składającym się ze studentów drugiego roku.

W przeciwieństwie do większości kolegów, traktujących wykłady jak pańszczyznę, on całkiem je lubił. Może dlatego, że miał poczucie ich wymiernego pożytku: nie uczył w końcu ogólnych teorii, lecz konkretnego rzemiosła. „Warsztat. Wszystko jest tylko kwestią dobrze opanowanego warsztatu” – lubił powtarzać. Zdawał sobie jednocześnie sprawę, że jego przedmiot – metody statystyczne w naukach społecznych – nie jest specjalnie atrakcyjny ani też łatwy dla studentów, w większości pozbawionych zdolności matematycznych, starał się więc mówić jak najbardziej przystępnie i nie używać zbyt wielu terminów naukowych. Jego wysiłki były doceniane. W ankietach wypełnianych przez studentów na zakończenie semestru zawsze dostawał dużo punktów.

Dzisiejszego wykładu nie mógł jednak zaliczyć do udanych. Rozmowy z sąsiadami wracały do niego w krótkich, natrętnych migawkach i wytrącały go z rytmu. Kilka razy gubił wątek i nagle milkł, przesuając bezradnym wzrokiem po rzędach anonimowych młodych twarzy. Były pozbawione wyrazu, czasem znudzone, ale wszystkie zdawały się pytać: co się stało? Studenci oczywiście zauważyli jego niedyspozycję. Gdy skończył wykład i z ulgą zamknął notatki, słyszał szepty i krótkie wybuchy śmiechu. Podziękował za uwagę i szybko opuścił salę.

Do rozpoczęcia seminarium zostało mu jeszcze pół godziny, postanowił więc wstąpić na kawę do stołówki profesorskiej. Po wejściu do obszernej sali zauważył Zbyszka, który siedział sam przy stoliku i na jego widok zamachał zapraszająco ręką. Zbyszek – siwy, długowłose antropolog, stary hipis – pracował w zakładzie socjologii kultury. Podobnie jak Henryk, był już ładnych kilka lat po habilitacji i coraz bardziej niecierpliwie czekał na państwową nominację profesorską. Ale na razie nikt ich do Belwederu nie zapraszał; musieli zadowolić się zwykłą, uniwersytecką.

Zamówił w bufecie espresso i dosiadł się do kolegi. Choć rozmawiali o neutralnych, instytutowych sprawach, Zbyszek zauważył jego przygnębienie.

– Co tam? – spytał. – Zimowa depresja?

– Nie, nie – zaprzeczył dziarsko Henryk. Nie był z nim na tyle blisko, aby się zwierzać. Wytłumaczył się zmęczeniem.

– Tak, studenci potrafią człowieka wykończyć – mruknął Zbyszek, popijając latte z dużej filiżanki.

Henryk uśmiechnął się w duchu. Kolega był znany ze swojej niechęci do prowadzenia zajęć ze studentami. Jego ulubioną rozrywką towarzyską było przytaczanie ich co głębszych i co bardziej ignoranckich wypowiedzi. Zresztą nie on jeden je kolekcjonował. Wielu wykładowców licytowało się na takie cytaty, jakby biorąc udział w swoistym konkursie. Przejawiał się w tym wisielczy humor, ale Henryka to jednak trochę drażniło. Fakt, że studenci z każdym rocznikiem byli coraz słabsi i gorzej odcytani, nie wydawał mu się dobrym tematem do żartów. Kiedyś zresztą spytał Zbyszka, czy ta postępująca degradacja go nie martwi, ale on w odpowiedzi tylko wzruszył ramionami.

– Czniam to – przyznał z rozbijającą szczerością. – Odwałam wykład i idę do domu pisać książkę. Dla mnie to mały.

Teraz nachylił się do Henryka, jakby chciał mu przekazać ściśle tajną wiadomość.

– Słyszałeś, że Średnicki chce wprowadzić zakaz pracy na innych uczelniach?

Henryk kiwnął głową. Podobne obostrzenia wprowadzono już na psychologii i ekonomii. Teraz przyszła ich kolej. Średnicki, ambitny dyrektor instytutu, dobiegający czterdziestki brodac, człowiek poważny i zasadniczy, którego nikt nie widział śmiejącego się czy bodaj uśmiechniętego, chciał wprowadzić zasadę pełnej wyłączności. Musieliby wybierać między uniwersytetem a prywatnymi uczelniami. Albo-albo.

– Kutas – stwierdził Zbyszek.

– Sami go wybraliśmy – zauważył Henryk.

– Bo nikt inny nie chciał.

Fakt, w instytucie nie było kolejki kandydatów do tego stanowiska. Tylko dodatkowe obciążenia, codzienne urzędowanie i konieczność ciągłego użerania się o pieniądze i etaty. Czasy, gdy zawzięcie walczono o ten stołek, dawno minęły.

Zbyszek spojrział na zegarek.

– To co, lecimy? – spytał. Odgarnął ze zniecierpliwieniem siwy kosmyk włosów, który uparcie wyskakiwał mu zza ucha.

Henryk kiwnął głową. Wstali, odnieśli filiżanki do bufetu i ruszyli do wyjścia. Zbyszek wskazał na wysoko umieszczone okno.

– Zawsze mnie to dołuje. Dochodzi druga i już jest noc.

Oczywiście przesadzał. Było raptem szaro.

– Pomyśl, co mają w Helsinkach – odparł Henryk pocieszającym tonem. Był tam kiedyś przez kilka zimowych miesięcy i wspomnienie nieustających ciemności do tej pory go prześladowało.

Zbyszek machnął tylko ręką.

To nie był dobry dzień. Seminarium magisterskie poszło mu wprawdzie całkiem nieźle (poranne wydarzenia, oddaliwszy się w czasie, już nie wracały), ale za to podczas późnopołudniowego wykładu w WSNS zdarzył mu się niemiły incydent. Streszczał właśnie słuchaczom teorię konfliktu społecznego Ralfa Dahrendorfa, gdy zauważył, że jeden ze studentów śpi. Zupełnie jawnie, z głową opartą na pulpicie, jak zmorzony wódką pijak w knajpie. Zdenerwował się, wyszedł zza katedry i stanął nad cicho pochrapującym chłopakiem. Reszta sali wpatrywała się w niego z napięciem.

– Przepraszam, czy ja panu nie przeszkadzam? – spytał z ironią w głosie.

Chłopak nie zareagował. Na sali rozległy się chichoty. Henryk poczuł, że czerwienieje. Sytuacja stawała się głupia i upokarzająca.

Gdy tak stał, nie wiedząc, co robić dalej, siedząca obok śpiącego studenta dziewczyna wyciągnęła rękę i mocno potrząsnęła go za ramię. Ten poderwał się i rozejrzał wokół nieprzytomnym wzrokiem. Miał mocno przekrwione oczy. Przez salę przetoczyła się kolejna fala chichotów.

– Przepraszam, nie przeszkadzam panu? – Henryk powtórzył pytanie.

Student uniósł wzrok i popatrzył na niego w milczeniu, jakby zastanawiając się nad odpowiedzią.

– Nie – odparł w końcu i z powrotem ułożył się do snu. Na sali zrobiło się nagle bardzo cicho. Tylko ktoś z tyłu się zaśmiał, ale natychmiast umilkł.

Henryk poczuł przyływ wściekłości. Z trudem się powstrzymał, aby nie trzepnąć chłopaka w porośniętą krótką szczecinę głowę. Zamiast tego ujął go za łokieć i lekko ścisnął. Tamten niechętnie uniósł głowę.

– Proszę pana – Henryk zwrócił się do niego, próbując zachować spokój – pan będzie łaskaw wyjść. Sala wykładowa nie jest miejscem do spania.

Student mierzył go zaczerwienionymi oczami i Henrykowi przyszło do głowy, że mógł być zaćpany. Zaćpany albo pijany. Raczej to pierwsze, bo alkoholu nie było czuć. Utwierdził się w podejrzeniach, gdy tamten się

odezwał.

– A dlaczego nie? – rzucił wyzywającym tonem. – My panu płacimy. Możemy robić, co chcemy.

Henryk poczuł, że zalewa go fala gorąca od policzków aż po czubek głowy. Bał się, że zaraz wybuchnie i uderzy chłopaka w twarz albo popchnie wraz z krzesłem do tyłu. Opanował się w ostatniej chwili. Pomogło mu to, że pozostali studenci – tak to czuł przez skórę – nie solidaryzowali się z tym bezczelnym gnojkiem, mimo że używał liczby mnogiej, jakby przemawiał w ich imieniu.

– Proszę pana – wycedził. – Po pierwsze, najpewniej nie pan płaci, ale pana rodzice. A po drugie, na pewno nie płacą za to, żeby pan spał na wykładach. Bardzo proszę. – Wskazał mu drzwi.

Tamten nie wykonał żadnego ruchu. Patrzył mu zuchwale prosto w oczy i nawet lekko się uśmiechał. Henryk uznał, że sytuacja dojrzała do rozwiązań ostatecznych. „Albo on, albo ja” – pomyślał.

– Dobrze... – powiedział powoli. – W takim razie ja wyjdę. Koniec wykładu.

Obrócił się na pięcie i ruszył niespiesznym krokiem w stronę katedry. Za plecami słyszał coraz głośniejszy szelest szeptów. Gdy już pakował do teczki swoją dwustronicową ściągawkę, uniósł nieznacznie wzrok i rzucił ukradkowe spojrzenie w kierunku chłopaka. Tak jak się spodziewał, siedzący w jego sąsiedztwie studenci coś mu po cichu perswadowali. „Nie rób wiochy” – usłyszał czyjś głośny szept. Chłopak w końcu uległ ich namowom. Podniósł się z ociąganiem, zabrał z podłogi czarny plecak z napisem „AC/DC” i ruszył kołyszącym się krokiem w kierunku drzwi. Wychodząc, odwrócił się jeszcze.

– *I'll be back* – powiedział, celując w jego stronę palcem, jakby to była lufa pistoletu. Był to cytat z jakiegoś filmu, ale Henryk nie mógł sobie w tej chwili przypomnieć, z jakiego. Jeszcze przez chwilę od głośnego trzaśnięcia drzwi nie odzywał się. Chciał przedtem uspokoić oddech. W końcu mu się udało.

– Dziękuję – rzucił przed siebie. Był im naprawdę szczerze wdzięczny za pomoc. Zaczerpnął głęboko powietrza. – Wróćmy do teorii konfliktu. Jak państwo widzicie, jest to sytuacja uniwersalna i często spotykana...

Roześmieli się. Lubili takie sytuacyjne nawiązania. Ale jemu nie było do śmiechu. Z trudem dociągnął do końca wykładu. Był całkiem wytrącony

z równowagi. „Trochę za dużo dziś się nazbierało” – pomyślał. W takie dni zawsze chciał jak najszybciej znaleźć się w bezpiecznej przystani domu. Pogadać z Justyną, wylać przed nią swoje żale, a potem owinąć się pledem i poczytać kryminał. Albo posłuchać w fotelu starego dobrego jazzu. Albo obejrzeć głupi film w telewizji. Zrobić cokolwiek, co oddzieliłoby go od nieprzyjaznego świata.

Jechał na tyle prędko, na ile pozwalały tworzące się jak zwykle pod wieczór korki. Po drodze wstąpił jeszcze do apteki, gdzie kupił proszki od bólu głowy i zatyczki do uszu. Pamiętał, że pomogły im, gdy kilka lat temu byli na Krecie i tuż obok hotelu odbywało się huczne greckie wesele. Potem wsiadł do samochodu i ruszył ostro przed siebie. Wcisnął pedał gazu i w ciągu trzydziestu pięciu minut był już w Grabówku.

Ale zły dzień wcale nie zamierzał się jeszcze skończyć.

Gdy skręcił w uliczkę, przy której mieszkali, dostrzegł w świetle latarni, że cała jej prawa strona jest zastawiona samochodami; długi szereg zaczynał się już na rogu i niknął gdzieś w głębi. Nie był to codzienny widok, tutejsi mieszkańcy rzadko robili imprezy dla większej liczby gości. Samochody były raczej marne: dwa polonezy, maluch, tico, jakieś stare ford i peugeoty. Z tablic rejestracyjnych wynikało, że miejscowe. Nie było trudno zgadnąć, do kogo zjechało się całe to towarzystwo.

Dotarł do bramy i wyszedł, by ją otworzyć. Z drugiej części bliźniaka dobiegał rytm skocznej muzyki i podniesione alkoholem głosy. „Wcześniej zaczynają” – pomyślał, popychając zimne, żelazne pręty. W oknie kuchni świeciło się światło.

Wprowadził samochód na podjazd, otworzył pilotem garaż i wszedł do domu. Wieszak w przedpokoju, krótki postój w toalecie, duży pokój – stara, znana, pokonywana codziennie trasa.

Justyna siedziała na kanapie i oglądała telewizję. Odbiornik był nastawiony bardzo głośno, ale i tak nie zagłuszał odgłosów zabawy dochodzących zza ściany. Można było nawet rozróżnić słowa puszczanej właśnie piosenki. „Majteczki w kropeczki, uhauhaha!” Ktoś z uczestników imprezy twórczo improwizował, intonując: „kluseczki z miseczki, uhauhaha”, a chór radosnych głosów przyłączył się do niego.

Justyna zwróciła głowę w jego stronę.

– Parapetówka – mruknęła.

Usiadł obok niej, stawiając teczkę na podłodze obok kanapy.

– Od dawna tak?

– Odkąd wróciłam. A przyjechałam o czwartej.

Nic nie powiedział, zapatrzył się bezmyślnie na ekran. Na zakopiance utworzył się korek. Tiry nie dawały rady podjeżdżać na oblodzonej nawierzchni.

– Poszłam do nich – odezwała się po chwili Justyna. Mówiła powoli, jakby składanie słów kosztowało ją wiele wysiłku. – Poprosiłam, żeby chociaż muzykę ściszyli, ale powiedzieli, że przed dziesiątą mogą słuchać tak głośno, jak chcą.

„Majteczki w kropeczki, uahaha, „Kluseczki z miseczki, uhahaha...”

Odchrząknął.

– No cóż... – powiedział niepewnie. – Formalnie rzecz biorąc, mają rację.

– Formalnie! – prychnęła ze złością. Popatrzyła na niego z ukosa. – A jeszcze ten pijacek powiedział, że skoro rano nie chciałeś mu pomóc, to on też nie pójdzie nam na rękę.

Odczytał pytanie kryjące się w jej słowach, więc potwierdził skinieniem głowy i opowiedział pokrótce o wizycie Pyzika. Słuchała uważnie, a na końcu skomentowała tak, jak zapewne zrobiłaby to jego matka:

– Dobrze, że mu nie dałeś. Potem codziennie by przychodził.

„W pewnych sprawach kobiety są zgodne” – pomyślał i odetchnął z ulgą. To właśnie chciał od niej usłyszeć.

Muzyka zza ściany zabrzmiała głośniej. Musieli nastawić na full. W tym momencie przypomniał sobie o zakupie. Sięgnął do teczki, wyjął z niej zapakowane w srebrzystą folię stopery i podał Justynie.

– Co to jest? – spytała nieufnie.

– Stopery – wyjaśnił. – Takie koreczki. Znaczący... zatyczki. Do uszu. Pomyślałem, że się przydadzą.

Justyna nie doceniła jednak jego zapobiegliwości. Popatrzyła na niego chłodno, z niechęcią w oku, i nagle zaczęła się głośno śmiać.

– Koreczki! – Zachłysnęła się. – Koreczki!

Śmiała się coraz głośniej. Popatrzył na nią z niepokojem. Wyglądało to na atak hysterii.

Stopniowo jednak jej śmiech cichł, wreszcie umilkł zupełnie.

– O co ci chodzi? – spytał poirytowany jej reakcją.

Znów popatrzyła na niego w milczeniu. W jej wzroku dostrzegł coś, co można było uznać za pogardę, choć może mu się tylko tak wydawało.

– Koreczki to żadne rozwiązanie – odparła zaskakująco spokojnym, rzeczowym tonem.

Wzruszył ramionami. Przecież wiedział.

– Jakie widzisz inne?

Odwróciła głowę i przez chwilę wpatrywała się martwym wzrokiem w ekran telewizora, gdzie zaaferowany reporter opowiadał o ustawionym przetargu na odśnieżanie ulic w Radomiu. Jej twarz nie wyrażała nic poza bezradnością.

– Nie wiem – powiedziała cicho. – Naprawdę nie wiem...

Za ścianą zaczął się kolejny przebój disco polo. Słuchali go w milczeniu.

Część II

Kilka dni od tego nieszczęsnego wieczoru upłynęło w miarę spokojnie. Tak jakby „państwo” – jak ironicznie nazywali sąsiadów zza ściany – chwilowo się wyszaleli. Owszem, słyhać było kłótnie, ale nie tak głośne jak pierwszego dnia, i nawet parapetówka skończyła się wcześniej, niż się spodziewali. Już o dziewiątej pierwsi goście zaczęli się wytaczać i hałaśliwie żegnać, a o dziesiątej było po wszystkim. Henryk wątpił jednak, aby miało to jakiś związek z przepisami o ciszy nocnej. Podejrzewał raczej, że wszyscy po prostu padli, balowali przecieź od popołudnia.

Tak czy inaczej, tych kilka spokojniejszych dni podniosło go na duchu. „Może nie będzie tak źle” – myślał. Może po prostu ostro zaczęli, jak to po przeniesieniu się na nowe miejsce, a teraz będą się zachowywać jak cywilizowani ludzie. Może dotarło do nich, co mówił o akustyczności domu. Ale w to ostatnie akurat jakoś nie wierzył.

W kaźdym razie starali się żyć normalnie, jakby nic się nie stało i nic się nie zmieniło. Jeździli do pracy i przygotowywali się na przyjazd Agaty. Wracał wieczorem i jedli wspólnie kolacje. Justyna wprawdzie wydawała się smutna i zamyślona, ale nie przywiązywał do tego większej wagi. Ustalili teź ostatecznie, co będą robić podczas przerwy międzysemestralnej; stanęło na wyjeździe na narty. Henryk zagadnął ją o to następnego dnia po hałaśliwej parapetówce, choć może nie był to najodpowiedniejszy moment, bo nadal była rozdraźniona i bez humoru. Odpowiedziała, że jak chce, może jechać na tę konferencję, ale ona na pewno nie będzie mu towarzyszyć i w takim razie pojedzie do Austrii sama. Na to nie mógł się zgodzić, wszystkie urlopy spędzali przecieź razem, a poza tym sam teź wolał poszusować niż brać udział w nie zawsze ciekawych dyskusjach. Podreptał zatem na górę, usiadł do komputera i wysłał do Adelaide mejła, w którym odwołał swój przyjazd, tłumacząc się problemami rodzinnymi. Przynajmniej tę sprawę mógł uważać za załatwioną.

Jego uwagę od kłopotliwych sąsiadów odciągały teź wydarzenia na uniwersytecie. A działało się tam wiele.

Przepowiednia Zbyszka spełniła się bowiem bardzo szybko. Dwa dni po ich

rozmowie Henryk znalazł w swoim gabinecie zaproszenie na zebranie pracowników instytutu, na którym miała być omawiana kwestia „wieloletowości”, jak to nazwał podpisany pod pismem Średnicki. Nie była to niespodzianka, zanosilo się na to od początku roku akademickiego, ale i tak sprawa wywołała wielkie poruszenie na wydziale. Wszyscy mówili właściwie tylko o tym.

Nazajutrz przyszedł o wyznaczonej godzinie do największej sali wykładowej, gdzie miały się toczyć obrady. Aula była prawie pełna i idąc korytarzem, słyszał dobiegające z niej głosy przypominające brzęczenie roju pszczoł. Wszyscy dyskutowali z wielkim podnieceniem, gestykulując i przekrzykując się wzajemnie. Rozglądając się za wolnym miejscem, pomyślał z melancholią, że taki tłum i taka atmosfera były tu ostatnio dwadzieścia lat temu, gdy walił się ustrój i z entuzjazmem ustanawiali zupełnie nowe zasady funkcjonowania uczelni. Potem każdy zajął się swoją karierą, a na zebraniach ogólnych ledwo udawało się uzyskać kworum. Podobnej frekwencji nie było nawet na wyborach do rady wydziału. Tylko dzięki temu dyrektorem mógł zostać taki przeciętniak, jak Średnicki, bez dorobku i talentu, który siedział teraz na podwyższeniu katedry, mierząc salę chmurnym wzrokiem.

Znalazł miejsce koło Witka, jedyne go pracownika instytutu, z którym utrzymywał przyjacielskie stosunki. Witek był specjalistą od badań terenowych i wrócił na zebranie specjalnie ze Śląska, gdzie siedział od kilku tygodni, nadzorując program „Polska małych ojczyzn”. Nie zdążyli jednak pogadać, gdyż Średnicki akurat wstał i uciszywszy salę, rozpoczął zebranie.

Zaczął ostro, od stwierdzenia, że praca na wielu etatach uniemożliwia rozwój naukowy, wymagający, jak to określił, „skupienia i koncentracji”. Następnie mówił o godności nauczyciela akademickiego, niszczonej przez chałturzenie w szkołach, które są wyższe tylko z nazwy, bo faktycznie są to raczej technika humanistyczne. Henryk w duchu przyznawał mu rację, ale zastanawiał się jednocześnie, czy jego zarobki na uniwersytecie też aby nie niszczą godności nauczyciela akademickiego.

Średnicki na szczęście długo się nie rozwodził i zaczęła się dyskusja. Jak łatwo było przewidzieć, każdy z kolejnych mówców był przeciwko projektowanym zmianom. Niektórzy argumentowali, że konieczność wybierania między uczelniami jest sprzeczna z fundamentalną zasadą wolności. Inni deklarowali, że jeśli uniwersytet będzie płacił tyle, co uczelnie

prywatne, to nie będą się zastanawiać ani minuty. Dyrektor był jednak nieprzejednany, kręcił tylko głową i powtarzał: „Proszę państwa, trzeba się zdecydować”. Henryk patrzył na niego z niechętnym podziwem. Przy całej swojej sztywności i braku poczucia humoru facet wykazywał się twardością charakteru, nie bał się w pojedynkę przeciwstawiać całej sali. Nie pierwszy raz przekonywał się, że drętwsy potrafią być nieugięte.

Atmosferę jednomyślności zakłócił dopiero profesor Łodziński, osiemdziesięcioletni socjolog małych grup, który w instytucie prowadził już tylko seminarium doktoranckie. Nikt się nie spodziewał, że poprzez dyrektora, tymczasem starszek wstał i drżącym głosem zaczął mówić o posłannictwie uczonego, o tym, że uniwersytet powinien być drugim domem i że szukanie zajęcia poza nim prowadzi do intelektualnego pobjędzenia. W miarę jak się rozpędzał, jego oskarżenia stawały się coraz cięższe: „Stajemy się prostytutkami!” – krzyczał. „Co to w ogóle ma być?! Klient płaci, klient wymaga, tak?!” Zaczerwienił się i Henryk przez chwilę obawiał się, że starszek dostanie wylewu, ale profesor trzymał się mocno i dalej rozbudowywał obraźliwą analogię. W pewnym momencie stracił wątek i miał problemy z powrotem do głównego tematu. Średnicki musiał go dyskretnie naprowadzać.

Sala przyjęła jego wystąpienie z niechęcią. Nawet Witek, człowiek o podobnie pryncypialnych poglądach, nachylił się w pewnym momencie do Henryka i szepnął mu do ucha: „Stary sklerotyk”. Uczynił to jednak z taką nadwyżką emocji, jakby słowa sędziwego profesora trafiły w jego czuły punkt. Zresztą wszystkim zwarzyły się humory i głosy polemiczne zabrzmiały niemrawo. Starszek cieszył się w końcu dużym autorytetem. W stanie wojennym, gdy generał Jaruzelski zaproponował mu wstąpienie do PRON-u, grzecznie mu odmówił: „Dziękuję. Internowałem się”.

Chaotyczna dyskusja trwała nadal, ale Henryk postanowił nie brać w niej udziału. Wszystko było oczywiste i wszystko przesądzone. Wiedział, że dyrektor ma dostateczną władzę, by przeforsować swój pomysł mimo sprzeciwu ogółu. Całe to zebranie było pustym rytuałem, pseudodemokratycznym spektaklem podobnym do tych, które odbywały się w instytucie w latach osiemdziesiątych. Wyłączył się zatem i zaczął się leniwie zastanawiać, gdzie znajdzie dodatkowe źródła zarobku po nieuniknionej rezygnacji ze szkoły, bo nie miał wątpliwości, że wybierze uniwersytet, nawet z jego dziadowską pensją. Możliwości nie było zbyt

wiele. Agencje rządowe? Redakcje fachowych pism? Ośrodki badania opinii?

Przypomniawszy sobie, jak wkrótce po kupnie domu rzucił się w gorączkowy wir zarobkowania, aby spłacić morderczy kredyt, i trafił do firmy badającej rynek konsumencki, założonej i prowadzonej przez trzech dwudziestokilkulatków. Jeden z nich był jego magistrantem, zresztą bardzo przeciętnym, i to właśnie za jego pośrednictwem (wolał nie używać słowa „protekcja”) znalazł tam zatrudnienie. Praca była łatwa: pomagał opracowywać projekty badawcze i przeprowadzał analizy wyników. Czuł się tam jednak trochę dziwnie, zwłaszcza gdy przenosił się prosto ze spokojnej, nieco sennej atmosfery uniwersytetu do siedziby agencji, gdzie buzowało jak w kotle. Wszyscy byli tam młodzi, naładowani energią, poruszali się jak na filmie puszczone na przyspieszonych obrotach. On, w porównaniu z nimi, przypominał ciężko i dostojnie kroczącego mamuta. W tempie, które sobie wzajemnie narzucali, było coś chorobliwego, dlatego czasami myślał, że niektórzy wspomagają się amfetaminą i gdzieś po kątach szatkują biały proszek kartami kredytowymi, ale jego podejrzenia nigdy się nie potwierdziły. Pili tylko w ogromnych ilościach napoje energetyzujące, które dostawali gratisowo od obsługiwanych przez firmę producentów; półotwarte kartony z puszkami zalegały na wszystkich korytarzach. Nie lubił tam bywać. Gdy widział młodych ludzi uwijających się jak w ukropie, biegających od pokoju do pokoju i wydających po drodze krótkie polecenia, miał poczucie, że jest bardzo stary. Drażniło go też, że nie jest przez nich traktowany z respektem, który, jak uważał, mimo odgrywania czysto usługowej roli jakoś tam mu się należał. Tymczasem ani jego pozycja na uniwersytecie, ani autorytet naukowy, ani tym bardziej wiek nie miały znaczenia. Chłopcy z agencji odnosili się do niego jak do rówieśnika i choć Henryk nie przywiązywał zbyt wiele wagi do tytułów i honorów, to jednak denerwowało go, że słowo „profesor” nigdy nie przechodziło im przez gardło. Uważali go za zwykłego współpracownika, niemal podwładnego czy podwykonawcę – dawali zlecenia i pilnowali, żeby się z nich wywiązywał. Przyzwyczajony do unizonego stosunku studentów na uczelni, źle tolerował ich bezceremonialną rzeczowość, niekiedy graniczącą z protekcjonalnością. Miał wrażenie, że przebywa w świecie postawionym na głowie, jak podczas studenckiego karnawału, kiedy odwracały się hierarchie i rządy przejmowała młodzież. Ale karnawał był od święta, a tutaj miał go na co dzień.

Kiedy później wracał pamięcią do tego zawodowego epizodu – bo jednak

był to tylko epizod – czuł niesmak i wstyd. Nie tylko z powodu braku okazywanego mu szacunku, ale też z racji tego, czym się zajmował. Agencja badała rynek konsumencki, więc do jego obowiązków należało na przykład opracowanie metodologii badań dotyczących spożycia czekoladek. Albo chipsów. Napojów chłodzących. Jogurtów owocowych. Serków. Modeli komórek. Dżinsów. Całego tego materialnego chłamu. „Jak więc – myślał sobie czasami – tych trzech konusów miało go nie lekceważyć?” Skoro pan profesor z uniwersytetu pomagał im opracowywać pytania fokusowe na temat batonika Pawełek, to trudno, żeby traktowali go poważnie, zwłaszcza że sami mieli do tej pracy stosunek jawnie cyniczny i nie ukrywali, że chodzi im jedynie o wyciągnięcie jak największej kasy od zamawiających badania korporacji. On też, gdy spoglądał na to wszystko z boku, wydawał się sobie groteskowy. Ale cóż było robić? Kredyt cisnął, a agencja płaciła i dobrze, i na czas.

Rozstali się po czterech latach. Można powiedzieć, że za obopólną zgodą. On miał już serdecznie dość tych wszystkich „produktów obdarzonych osobowością”, jak je z ironiczną przesadą określano w firmie. Oni z kolei sporo się od niego nauczyli, podszkolili z metodologii i nie był im już tak bardzo potrzebny, jak na początku. Poza tym zaczęli krytykować jego raporty. „Nie czuje pan nowego pokolenia – mówili. – Oni są już inni”. Potrząsał głową w zdumieniu – to są jeszcze jacyś młodszy? Nie mógł w to uwierzyć, ale rzeczywiście chyba tak było, chyba rozmijał się już z kolejną generacją, która pojawiła się niepostrzeżenie, nie wiadomo skąd, i zaczęła wypełniać sklepy. Nie, już nie sklepy – galerie handlowe. Ich już nie znał. O nieco starszych wiedział co nieco dzięki pośrednictwu Agaty. Rozmawiał z nią, z jej kolegami i koleżankami, i choć nie były to głębokie rozmowy, ale raczej przygodne pogawędki, to dawały mu jakieś wyobrażenie, czego chcą od życia, co im się podoba, a co nie. Ci następni byli już dla niego enigmą, a ponieważ firma coraz częściej celowała właśnie w nich – nastolatków, których rodzice wyrażali swoje uczucia prezentami – musiał odejść. Uczynił to bez żalu, choć jego dochody znacznie się uszczupliły. Teraz wiedział, że drzwi do takich firm, a nawet do poważniejszych, zajmujących się istotniejszymi sprawami, są już dla niego zamknięte; wszędzie rządzą już młodzi, a on na karnawałowe układy był już za stary, tak więc opcji – to było jedno z ulubionych słów małolatów z firmy – nie pozostawało zbyt wiele.

Sam się zdziwił, że podnosi rękę – w końcu przed chwilą obiecywał sobie trzymać się z daleka od tej dyskusji. Średnicki niemal natychmiast dopuścił go do głosu. Może z jakichś znanych tylko sobie powodów uważał go za sojusznika? Podniósł się, odsunięte krzesło zaskrzypiało nieprzyjemnie, odchrząknął. Sala, szemrząca stałym pianissimo szeptanych komentarzy, ucichła. Henryk był lubiany w Instytucie. Ceniono go za osiągnięcia naukowe, a jeszcze bardziej za to, że nie chełpił się nimi, nie pchał się na pierwszy plan – siedział skromnie z boku, robił swoje i nie był specjalnie wrażliwy na uroki kariery. Rzadko też zabierał głos na zebraniach, teraz jednak czuł, że musi.

– Przepraszam, panie dyrektorze – zwrócił się do przypatrującego mu się wyczekująco Średnickiego – ale pan to przedstawia tak, jakby praca na innej uczelni była najgorszym złem. Nie jest. Znacznie gorsze jest podjęcie dodatkowej pracy w instytucji, która nie ma nic wspólnego z kierunkiem naszych zainteresowań badawczych. Na innej, pokrewnej uczelni taką zgodność można jeszcze utrzymać, w ośrodku pozauczelnianym – dużo trudniej. A nasze wynagrodzenie jest tak niskie, że tak czy inaczej, jesteśmy skazani na dodatkową pracę. – Usłyszał rozchodzący się po sali szmer aprobaty. – Więc z dwojga złego chyba lepiej, żeby odbywała się w miejscach, gdzie nie będzie się to rozmijać z tym, czym się zajmujemy tutaj. Prywatne uczelnie są takimi miejscami. Dziękuję.

Usiadł. Witek uniósł do góry kciuk, a kilka osób siedzących w sąsiedztwie wyraziło swoje uznanie kiwnięciami głowy. Średnicki skrzywił się, wyglądało, jakby żałował, że tak ochoczo dopuścił go do głosu.

– Nie wiem, jakie „inne instytucje” ma pan na myśli, kolego Hiczewski – odezwał się chłodno – ale przynajmniej nie stanowią one wobec naszej uczelni konkurencji. Mówimy tu o lojalności...

– A ja myślałem, że o rozwoju zawodowym – odciął się Henryk.

– To też – potwierdził tamten krótko, bez zmrużenia powieki. Popatrzył znacząco na zegarek. – Proszę państwa, czas już chyba kończyć nasze zebranie. Wyczerpaliśmy chyba wszystkie argumenty.

Milczenie sali potwierdzało jego słowa, ciągnął więc dalej:

– Muszę powiedzieć, że jestem nieco rozczarowany państwa postawą. Liczyłem na zrozumienie mojego stanowiska.

Sala wciąż milczała.

– I muszę też państwa poinformować, że ta kwestia i tak jest już

rozstrzygnięta. Wiem z pewnych źródeł, że ministerstwo opracowuje projekt dotyczący tej sprawy. Znacznie bardziej restrykcyjny. Uprowadzając ich ruch, bylibyśmy w znacznie lepszej sytuacji negocjacyjnej. Ale skoro tak... – Rozłożył ręce.

– Szkoda, że mówi pan o tym dopiero teraz – zawołał Zbyszek.

– Właśnie – poparła go docent Walewska, dystyngowana pani z Zakładu Socjologii Kultury.

– To po co tu w ogóle jesteście, skoro już wszystko postanowione? – spytał przytomnie ktoś z pierwszych rzędów.

Średnicki uśmiechnął się złośliwie.

– Uznaliśmy, że tego rodzaju decyzje należy przedyskutować z zainteresowanymi – odparł.

„Co za bezczelny facet!” – pomyślał Henryk.

– To kpina! – krzyknął ktoś, Tadeusz chyba, i tym podsumowaniem zebranie się zakończyło.

Opuścił instytut w towarzystwie Witka i Zbyszka. Okazało się, że gdy siedzieli w auli, na zewnątrz zupełnie zmieniła się pogoda. Mróz zelżał, ale za to rozpadał się śnieg. Zbyszek zaproponował wódkę w knajpie obok uniwersytetu, na co Witek zgodził się z ochotą. Henryk odmówił. Nie chciał tłuc się do domu autobusem ani wydawać osiemdziesięciu złotych na taksówkę. Takie były koszty mieszkania poza miastem. Odkąd przenieśli się do Grabówka, rytm ich życia towarzyskiego znacznie zwolnił, a w zimie niemal zupełnie zamierał. Kilka dni wcześniej, gdy usłyszał w radiu audycję o trwającym właśnie karnawale, był bardzo zdziwiony. Karnawał? W ogóle go nie zauważył.

Do kolegów dołączył za to zawsze chętny do wypitki Tadeusz. Wyglądało zresztą na to, że gołnął już sobie coś przed zebraniem. Gdy oddalali się we trójkę w stronę Krakowskiego Przedmieścia, usłyszał jeszcze, jak idący środkiem Witek powtarza ze złością: „Stary sklerotyk”. Wypowiedź sędziwego profesora wciąż mu się odbijała czkawką.

Wiatr był mocny i napastliwy, przenikał przez kurtkę, a miotane nim płatki śniegu osiadały zimnymi plastrami na policzkach. Schylił nisko głowę i idąc różnym krokiem, dotarł w pięć minut do zaparkowanego na Browarnej samochodu. Odgarnął śnieg z szyb i wszedł do wystudzonego, ale przynajmniej osłoniętego przed razami wiatru wnętrza. Włączył radio i słuchając kojącej muzyki z Zet Chilli (wybaczył im już bezceremonialne

wejście w miejsce ulubionego Radia Jazz), ruszył w stronę Grabówka.

Po przejechaniu kilku ulic zorientował się, że zmiana pogody mocno utrudni mu szybki powrót do domu. Drogowcy, jak zawsze, zaspali i w Alejach Jerozolimskich utworzył się potężny korek. Między stojącymi w trzech rzędach samochodami dostrzegł bezradnie unieruchomione pług śnieżne. Wyglądało to beznadziejnie, ale było już za późno na zmianę trasy. Zresztą prawdopodobnie sytuacja wszędzie wyglądała podobnie.

Po piętnastu minutach jazdy w żółwym tempie, gdy posunął się może o kilometr, wyłączył radio, bo bał się, że akumulator nie wytrzyma jednoczesnej pracy odbiornika i wycieraczek, które musiał utrzymywać w stałej gotowości, by usuwały osadzający się na przedniej szybie śnieg. Ruszając z miejsca i zatrzymując się po przejechaniu kilkunastu metrów, widząc w śnieżnej kurzawie tylko światła stojących przed nim samochodów, myślał o zakończonym właśnie zebraniu. Po co w ogóle był ten cyrk? I po co sam się odzywał? Dla zdawkowych wyrazów uznania ze strony kolegów? Zagrał przecież tylko napisaną dla siebie rolę krytycznego dyskutanta; z tego, co powiedział, praktycznie nic nie wyniknie. Strata czasu i energii. Trzeba było cicho siedzieć, a najlepiej w ogóle nie iść na tę masówkę podtrzymującą fikcję uczelnianej demokracji.

„Szkoda jednak będzie tej szkoły” – myślał dalej. Ustawiała go finansowo, a przy tym wcale nie hamowała jego rozwoju naukowego, jak twierdził ten baran Średnicki. To, co powiedział na zebraniu, było zgodne z jego przeświadczeniem, nie było tylko taktycznym argumentem, naprawdę nie widział tu konfliktu. Studenci byli wprawdzie głupszy, ale czasem właśnie głupie pytania były najbardziej inspirujące. Zmiana otoczenia zawsze jest pożyteczna, bo pojawiają się inne problemy i inne spojrzenia. Tak przynajmniej uważał. Przypomniawszy sobie, jak po odejściu z agencji jeździł przez kilka lat na uczelnię do Lublina na weekendowe zajęcia ze studentami studiów zaocznych. Było to kłopotliwe, ponieważ co dwa tygodnie musiał wstawać w sobotę o piątej rano i jechać na dworzec, gdzie spotykał całe tłumy znajomych profesorów z uniwersytetu, rozjeżdżających się za dodatkowym zarobkiem po całej Polsce, i wymieniał z nimi ukradkowe, nieco wstydlive ukłony. Także noclegi u mieszkającej w Lublinie wścibskiej i gadatliwej teściowej, emerytowanej nauczycielki, nie były zbyt przyjemne. Musiał spędzać na rozmowie z nią całe sobotnie wieczory. Owdowiała wiele lat temu, lubiła się chwalić swoim niesłabnącym powodzeniem u mężczyzn,

co go nieco krępowało. Ale same zajęcia ze studentami, znacznie z reguły starszymi, bardziej życiowo dojrzałymi niż ci, z którymi miał do czynienia na Uniwersytecie Warszawskim, uważał za całkiem ciekawe. Wynagradzały mu niewygody podróży i niemiłe okoliczności rodzinno-towarzyskie. Wielu z nich było ludźmi głęboko wierzącymi, co pozwalało mu wejrzeć w takie zakątki rzeczywistości, o których istnieniu, jako zatwardziały ateista, w ogóle nie wiedział. W szkole na takie doświadczenia nie miał szans, ale i tak nie sądził, by marnował tam czas. Straszny jednak głupek z tego Średnickiego.

Wspominając i rozmyślając, z nudów bardziej niż dla konstruktywnych wniosków, dotarł blisko półtorej godziny później do Grabówka. Tak długo jeszcze tej zimy nie jechał.

Justyna rozwieszała kostium kąpielowy na suszarce w łazience. Okazało się, że wróciła niedawno z basenu. Też się nastąpiła w korku, choć pływalnia znajdowała się właściwie na peryferiach miasta, tuż koło starczewskiej szosy. Ponarzekali na opieszałość służb drogowych i zeszli na dół zjeść kolację. Zaofiarował, że tym razem on ją przygotuje, ale pokręciła przecząco głową. Zdziwił się, tym bardziej że zrobiła to z wyczuwalnym zniecierpliwieniem, jakby jego propozycja była czymś niestosownym i nietaktownym. Nie był złym kucharzem ani ona zwariowaną tradycjonalistką, niewpuszczającą męża do kuchni, a jednak zareagowała wrogo, jakby była na niego zła i w związku z tym nie chciała przyjąć od niego żadnych uczynnych gestów.

Jedząc potem przyszykowany przez nią posiłek, spaghetti w sosie pomidorowo-cebulowym, zerkał na nią spod oka. Nie, nie była zła. Raczej smutna i jakby rozkojarzona. Gdy powiedział jej o prawdopodobnej utracie etatu, słuchała go z roztargnieniem, jakby jej to nie dotyczyło, a przecież budżet mieli wspólny.

Atmosfera podczas kolacji nie zachęcała do wspólnego przebywania w jednym pomieszczeniu, więc zaraz po skończeniu jedzenia wstał od stołu, nie czekając nawet na herbatę, i nałożywszy kurtkę, wyszedł na zewnątrz, aby oczyścić podjazd do garażu. Śniegu wprawdzie nie było dużo, jego warstwa nie przekraczała dziesięciu centymetrów, ale rano mogło być go trzy razy tyle, a wtedy byłyby kłopoty z wyjazdem. Pomyślał też, że odrobina gimnastyki, zwłaszcza w perspektywie wyjazdu na narty, mu nie zaszkodzi. Oczywiście był to głównie pretekst. Chciał zejść jej z oczu, pozwolić pobyć samej, bo w takich sytuacjach zawsze się to sprawdzało.

„Gryzie się czymś” – pomyślał, ujmując w ręce szeroką, pomarańczową

szuflę i zabierając się do roboty. Tylko czym? Sąsiadami? Przecież ostatnio nic się u nich nie działo. Może boi się, że ten spokój jest tylko chwilowy? A może zaszło coś w pracy? Mimo że spędziła w różnego rodzaju poradniach i przychodniach ponad ćwierć wieku, nie otorbiła się na nieszczęścia, skóra jej nie stwardniała i nie wytworzyła w sobie zbawiennych antycyjał rutyny – co zresztą bardzo w niej cenił. Swoimi pacjentami przejmowała się jak wtedy, gdy jako świeżo upieczona absolwentka psychologii zatrudniła się w ośrodku SOS. Może chodzi o tego Dawida, o którym mu opowiadała dwa dni wcześniej, czternastolatka o gejowskich skłonnościach? Nie mogła doprosić się o przybycie jego ojca, a jej metoda terapeutyczna zakładała współpracę z rodzicami, a właściwie całą rodziną. Tymczasem ojciec chłopaka już po raz drugi nie przyszedł na umówioną wizytę, a gdy zadzwoniła do niego, powiedział tylko: „Niech pani doktor coś z **tym** zrobi”, jakby liczył na to, że Justyna zacznie syna **leczyć** – i rozłączył się. Mocno ją to poruszyło. Więc może coś z nim? A może po prostu spotkała ją jakaś przykrość na basenie? Jakiś gówniarz wytknął jej tuszę? Była na tym punkcie przeczulona. Wiedział jednak z doświadczenia, że nie ma sensu jej pytać. Zacisnęłyby tylko usta i powtarzała: „Nic się nie stało”. Ale nie szkodzi. W odpowiedniej chwili sama powie.

Przestało już padać, wiatr ustał i wokół panowała cudowna cisza. Słysząc było tylko szuranie plastikowej łopaty o zastygły pod spodem lód i głuchy odgłos odrzucanego na bok śniegu. W oknach sąsiadów było ciemno. Może gdzieś wyjechali? Szybko oczyścił podjazd, a ponieważ czuł w sobie niespożytkowaną jeszcze energię, postanowił przy okazji odśnieżyć też ich odcinek uliczki, krótki kawałek przy wyjeździe z bramy. Tu szło mu już ciężiej, niekiedy musiał mocno wbijać ostrą krawędź szuflę w stwardniały śnieg, ale miarowo posuwał się do przodu. W połowie zrobił sobie przerwę i rozglądając się na boki, stwierdził, że tylko on wpadł dzisiaj na ten pomysł. Jego bliźsi i dalsi sąsiedzi mieli do opadów śniegu stosunek fatalistyczny: jak spadł, to się kiedyś roztopi. Nie bez racji uważali też to zajęcie za absurdalne, bo w nocy mogło znowu nasypać. Tylko Czapski czasami brał łopatę do ręki, ale on, jako taksówkarz, nie mógł sobie pozwolić, aby samochód mu się zakopał.

W kieszeni spodni odezwała się komórka. Światło ulicznej latarni było za słabe, by mógł odczytać na miniaturowym ekraniku, kto dzwoni. Mimo to odebrał. Usłyszał Jaweckiego, jednego ze swoich doktorantów. Wkrótce

miała się odbyć obrona jego pracy, a on, mimo że termin już dwukrotnie był przesuwany, wciąż chciał coś w niej zmieniać, poprawiać. Był człowiekiem bardzo utalentowanym i inteligentnym, ale mocno znerwicowanym i o wyjątkowo chwiejnych nastrojach. Jednego dnia wierzył, że jego praca będzie wiekopomnym, przełomowym dziełem, rewolucjonizującym metodologię badań społecznych, drugiego – że to makulatura, którą należałoby natychmiast wyrzucić do kosza i zacząć pisać od początku. Tym razem znajdował się w drugiej fazie:

– Nie dam rady, panie profesorze – jęczał. – Wszystko wydaje mi się bez sensu.

W pewnym momencie Henrykowi wydawało się, że usłyszał w słuchawce stłumiony szloch, nie był jednak w nastroju, aby kogokolwiek uspokajać i pocieszać.

– Niech pan się weźmie w garść, do cholery! – wrzasnął, aż echo przetoczyło się po wymarłej uliczce. Potem złagodził nieco ton: – Praca jest bardzo dobra i nie będzie miał pan żadnych kłopotów z jej obronieniem!

Po drugiej stronie zaległa cisza, po czym odezwał się cichy, pokorny głos Jaweckiego:

– Dobrze, panie profesorze. Do widzenia.

Głośne kliknięcie oznaczało koniec połączenia.

„Czy nie za ostro go potraktowałem” – zastanawiał się przez chwilę, ale szybko się rozgrzeszył: „Z nim można tylko w ten sposób. Inaczej będzie pisał ten doktorat do emerytury”.

Wrócił do odgarniania śniegu i po piętnastu minutach nawierzchnia uliczki była oczyszczona. Przyjrzał się swojemu dziełu z dumą. Jak każdy inteligent, którego praca miała nieco abstrakcyjny charakter, lubił zajęcia dające natychmiastowy i wymierny efekt.

Otrzeptał szufłę z resztek lepiałego się śniegu, odstawił pod ścianę i przez bramę garażową wszedł do domu. Justyna oglądała telewizję, nie zauważyła go – albo tylko udawała. Przemknął cicho przez kuchnię, zdjął kurtkę i wszedł po schodach na górę. Pierwsze kroki skierował do łazienki; po niewielkim w końcu wysiłku fizycznym mocno się spocił. „Muszę popracować nad kondycją” – pomyślał. Gdy zrzucił z siebie wilgotne ubranie, poczuł chłód ciągnący od okna. Po ciele przebiegł mu raptowny dreszcz. Szybko odkręcił gorącą wodę i wskoczył pod prysznic.

Po kąpieli, rozgrzany i odświeżony, przeszedł do sypialni i wsunął się pod

kołdrę. Zaczął czytać kryminał Nesbø, zadowolony, że wciągająca intryga pozwala oderwać mu się od domowych i uniwersyteckich kłopotów. Po godzinie, poprzedzona odgłosem branej w łazience kąpieli, zjawiała się Justyna. Rozmawiali chwilę o wizycie Agaty – chyba zaczęła się nią wreszcie cieszyć. Potem on wrócił do lektury kryminału, a ona otworzyła „Zwierciadło”. Każde z nich zamknęło się w swojej papierowej klatce.

Nie czytali jednak długo i swoje nocne lampki zgasili prawie jednocześnie. Justyna ułożyła się na boku, tyłem do niego. Przysunął się bliżej i przywarł do jej ciepłych pleców, czując przyjemne mrowienie w dole brzucha, pierwszy znak ogarniającego go pożądania. Uniósł się na łokciu, pocałował ją w kark, musnął ustami szyję. Nie zareagowała, może udawała, że śpi, może naprawdę już spała. Zdarzało się jej zasypiać błyskawicznie. Po chwili opadł na plecy. Patrzył na sufit, na który, przez szparę między zasłonami, padały cienie gałęzi orzecha. „Oddaliśmy się” – pomyślał i przeżuując tę niemłą myśl, po godzinie w końcu zasnął.

Obudziło go głucho walenie, odgłos, którego w pierwszej chwili nie mógł zidentyfikować. Najpierw sądził, że ktoś dobija się do drzwi, ale nie, dźwięk dochodził z boku. Zapalił lampkę nocną, Justyna po chwili zrobiła to samo. Twarz miała wykrzywioną w dziwnym grymasie – zupełnie jakby nie mogła otworzyć oczu. Uniosła się na łóżku.

– Co to? – spytała z przestachem w głosie.

Nim zdążył odpowiedzieć, rozległo się następne uderzenie. Uciszył ją gestem dłoni i zaczął nasłuchiwać.

– Nie wiem... – przyznał. – Jakby ktoś rąbał drewno.

Tak, to musiało być to. Nie mógł jednak uwierzyć. O tej porze?! Justyna popatrzyła zmrużonymi oczami na budzik.

– Jezu – jęknęła – wpół do piątej.

Następne uderzenie wydawało im się jeszcze głośniejsze.

– No nie, to jest... – sapnął Henryk. Tylko tyle mógł powiedzieć. Wiedział jedno: skończyło się zawieszenie broni. Sąsiedzi – gdyż to od ich strony dobiegało walenie – znowu pokazali, na co ich stać. Jego wcześniejszy optymizm, przekonanie, że jednak się opanują, zrozumieją i będą się zachowywać jak ludzie, okazały się naiwne. Wstał z łóżka, naciągnął pośpiesznie sztruksy na spodnie od piżamy, na górę narzucił sweter. Justyna

obserwowała go w milczeniu.

Nigdzie w zasięgu wzroku nie było skarpetek, zrezygnował więc z ich poszukiwania i szybko zbiegł na dół. Wsunął na bose stopy śniegowce, narzucił kurtkę i wyszedł na dwór. Przeszył go przenikliwy ziąb, gdyż improwizowany ubiór słabo chronił przed zimnem. Noc nie była wprawdzie szczególnie mroźna, ale w końcu został wyrwany ze snu i ciepłego łóżka.

Przeszedł przez jak zawsze otwartą furtkę na posesję sąsiadów. Odgłos rąbania drzewa – teraz miał już pewność – zaprowadził go do garażu, przed którym stała skoda. Samo pomieszczenie służyło najwyraźniej za drewnię. Dochodzące stamtąd kolejne uderzenie rozległo się w nocnej ciszy tak donośnie, że aż podskoczył. „Nic dziwnego, że tak u nas słuchać” – pomyślał.

Brama od garażu była lekko podniesiona. Wślizgnął się do środka. Sąsiad stał odwrócony do niej tyłem, ubrany w krótki kożuszek, i unosił właśnie nad głowę połyskującą w półmroku pomieszczenia siekierę. Na grubym pniu stało na sztorc duże brzoźowe polano. Chyba nie usłyszał kroków Henryka, bo nie odwrócił głowy. W ostrym, zimnym powietrzu nocy czuć było odór przetrawionego, parującego pod wpływem wysiłku alkoholu.

– Halo! – odezwał się Henryk. – Przepraszam...

Sąsiad uderzył kloc z rozmachem, ale słowa Henryka chyba wybiły go z rytmu, bo nie trafił celnie, tylko gdzieś w bok i polano poleciało w kąt garażu, obracając się w powietrzu jak śmigło helikoptera. Zaklął głośno i wreszcie się odwrócił. Oczy miał przekrwione, policzki zaczerwienione od wysiłku. Rozchełstana koszula, którą miał pod kożuszką, odsłaniała lśniącą od potu, kudłatą pierś, co w połączeniu z siekierą w ręku nadawało mu jakiś dziki, pierwotny wygląd.

– Tak? – mruknął, patrząc na Henryka z niechęcią.

– Przepraszam, ale co pan robi? Jest środek nocy. – Henryk próbował ukryć zdenerwowanie w swoim głosie, chyba jednak nie całkiem mu się udało. Tamten wzruszył ramionami.

– Drewno rąbię do kominka – wyjaśnił rzeczowo. – Żona i dzieciak nie będą mi marznąć.

– O tej godzinie? Proszę pana, jest wpół do piątej.

– Nie zdążyłem wczoraj. Zajęty byłem.

– Nie zdążyłeś, bo mordę zachlałeś! – Ze środka domu dobiegł głos żony.

No tak, pomyślał Henryk, trudno, żeby spała w takim hałasie.

– Dobra tam, zamknij się! – odkrzyknął sąsiad w jej stronę. Ale bez przekonania, jakby tylko *pro forma*.

– Ja bym bardzo pana prosił, żeby pan już przestał. Chcemy się wyspać.

– A to tak słychać? – zdziwił się sąsiad.

W pierwszej chwili wziął to za bezczelną kpinę, ale zdziwienie w głosie tamtego wydawało się autentyczne. Westchnął.

– Mówiłem już panu, że dom jest akustyczny. Wszystko się niesie.

Mężczyzna przyjrzał mu się uważnie, jakby chciał się upewnić, czy Henryk mówi serio. Potem przeniósł wzrok na niewielki stos polan wznoszący się pod ścianą. Chwilę się zastanawiał, jakby przeliczając coś w pamięci.

– No, dobra – burknął pod nosem. – Chyba starczy do rana. Możesz pan iść spać.

Jakby na potwierdzenie swoich słów odłożył siekiere na bok i zgarnąwszy naręcze porąbanego drewna, zniknął w drzwiach prowadzących do wnętrza domu. Rozległo się szczęknięcie zaciąganej zasuwki i jednocześnie w garażu zgasła słaba, chyba piętnastowatowa żarówka. Henryk stał przez chwilę w ciemności, zaskoczony, że tak łatwo i szybko udało mu się doprowadzić do pomyślnego finału rozmowy, po czym, pochyliwszy się nisko, wyszedł z garażu. Za plecami usłyszał terkot zamykanej na pilota bramy. Teraz, gdy zeszło z niego napięcie towarzyszące wymianie zdań z sąsiadem, znów poczuł rozchodzące się po całym ciele zimno. Jak tamten wytrzymał w tej rozpiętej koszuli? Wódka go jeszcze grzała czy wysiłek?

Wszedł do środka, przekręcił zamek, ściągnął kurtkę i buty i na bosaka pobiegł po schodach na górę. W szczelinie pod drzwiami sypialni rysowała się cienka kreska światła. Nacisnął klamkę. Justyna nie spała, siedziała oparta o poduszkę i spoglądała na niego pytająco.

– Tak jak myśleliśmy. Rąbał drewno – wyjaśnił, przysiadając na brzegu łóżka i ściągając sztruksy.

Pokręciła głową z niedowierzaniem.

– Jezu, co to za człowiek.

Henryk wstał, zawiesił spodnie na krześle i zaczął nasłuchiwać, czy znowu nie odezwie się przekłęty odgłos siekiery. Ale nie. Wokół panowała cisza. Sąsiad dotrzymał słowa.

– Chciałam już dzwonić na policję – odezwała się Justyna.

Kiwnął głową. Mieli prawo. Pierwszy raz właściwie. Był środek nocy.

– Nie ma takiej potrzeby – mruknął, ściągając sweter. – Już nie będzie

walił. Chodźmy spać. – O niczym innym teraz nie marzył. Wejść pod ciepłą kołdrę, przytulić się i zasnąć.

Justyna pokręciła przecząco głową.

– Nie zasnę teraz – odparła krótko.

Gdy kładł się do łóżka, przyglądała mu się uważnie. Nie podobał mu się jej wzrok, zapowiadał coś nieprzyjemnego. I nie omylił się.

– Słuchaj... – odezwała się po chwili. – Co myślisz o tym, żebyśmy się wyprowadzili?

Popatrzył na nią zdumiony. W pierwszej chwili nie zrozumiał.

– No chyba żartujesz. Dokąd? – spytał, gdy dotarł już do niego sens jej słów.

– Nie wiem. – Wzruszyła ramionami i wykonała nieokreślony gest. – Gdziekolwiek. Byle dalej od tych ludzi.

– Chyba nie po to wynieśliśmy się z Warszawy, żeby teraz tam wracać – odparł.

Pokiwała kilkakrotnie głową jak pies maskotka na półce pod tylną szybą samochodu.

– Tak, wynieśliśmy się – powtórzyła cierpkim tonem. – Ale co z tego? Nie mamy już z tego żadnych korzyści – zaczęła mówić szybko, gestykulując. – Chcieliśmy mieć ciszę i spokój, a mamy dokładnie to samo, co w bloku. Nawet gorzej. I nie chodzi tylko o awantury... – Zawiesiła głos.

– A o co? – spytał po chwili.

Wzruszyła ramionami.

– Może kiedyś ci powiem – odparła enigmatycznie.

Nie domyślał się, o co chodzi, ale nie próbował więcej pytać. Nie zamierzał jej jednak ustępować. Pomysł wydał mu się nedorzeczny. Zbyt nerwowy, zbyt raptowny. Nie podejmuje się takich decyzji pod wpływem chwili.

– Nie – odparł krótko. – Ten dom za dużo dla mnie znaczy. Pamiętasz, jak go kupiliśmy? Jak mówiliśmy, że to jest nasze miejsce? I że spędzimy tu resztę życia.

Popatrzyła na niego z ironią.

– I nadal chcesz? Spędzić tu resztę życia?

– Tak – odpowiedział i poczuł, jakby przełknął coś twardego.

– A nie zauważyłeś, że coś się jednak zmieniło od tamtego czasu? Że to już nie jest **ten** dom?

Milczał chwilę. Tak, zmieniło się. Ale czy aż na tyle?

– A tobie naprawdę nie byłoby żal wyprowadzić się stąd? – spytał z niedowierzaniem. – Zostawić ukochany, wypielegnowany ogródek?

Miał nadzieję, że ten żartobliwy argument przemówi jej do wyobraźni. Uprawa ogródka była jej ulubionym zajęciem. Pielegnowała kwiaty, przycinała drzewka. Wszystko sama chciała robić, nie pozwalała mu nawet skosić trawnika. Ale wzruszyła tylko ramionami.

– Jasne, że by było. Ale do diabła z ogródkiem, jak mamy takie towarzystwo za ścianą. Słuchaj... – Zawahała się i uciekła wzrokiem w bok, jakby się wstydziła tego, co ma powiedzieć. – Ja już przez nich dostaję nerwicy. Nie mogę zasnąć, bo się boję, że zaraz mnie obudzą ich wrzaski. Chciałam zaprosić koleżanki, ale bałam się, że w trakcie kolacji zaczną się awanturować i wszystko zepsują. Nie chcę tu nawet wracać po pracy.

Milczał, przytłoczony ciężarem jej argumentów.

– Tak nie można żyć – ciągnęła dalej. – Przecież to jest tak, jakby oni tutaj cały czas z nami byli, rozumiesz? Mieszkamy w pijackiej melinie. Te wrzaski, te awantury, to tłuczenie butelek...

Zdziwił się.

– Ja ostatnio nic nie słyszałem. No, prawie.

– Bo przyszedłeś późno do domu, a oni imprezowali w ciągu dnia.

Spojrzał na nią z powątpiewaniem.

– Czemu mi wcześniej nie powiedziałaś?

– Bo uznałbyś pewnie, że przesadzam. Faktycznie, ostatnio rzeczywiście mniej hałasują. Ale jak długo?

Milczał, nie wiedział, co odpowiedzieć. Ale trochę dziwne mu się to wydawało.

– W każdym razie **ja** to słyszałam – powiedziała z naciskiem. Zamyśliła się. – I jeszcze ten biedny dzieciak w tym wszystkim.

Znów się zdziwił.

– Czemu on ci akurat przyszedł do głowy?

Wzruszyła ramionami, jakby było to oczywiste.

– Bo połowa moich pacjentów jest właśnie z takich domów, jak ten. Nieważne. – Machnęła ręką, dając mu do zrozumienia, że to uboczny wątek, dodatkowa sprawa.

Przez chwilę przetrawiał jej słowa, zbierając siły na odpowiedź.

– Nie, nie – odparł w końcu. – Ja się stąd nie ruszę. To jest moje miejsce i nie dam się stąd wyrzucić. Nie będę się wyprowadzać z tego domu tylko

dlatego, że obok wmeldowały się jakieś chamy.

Justyna przyglądała mu się uważnie, jakby oceniała siłę jego determinacji. Milczała jednak. Postanowił iść za ciosem.

– Pamiętasz, jak rozmawialiśmy o emigracji z Polski? Tak gdzieś w połowie lat osiemdziesiątych? Też napierałaś na wyjazd. A co ja ci mówiłem? Że się stąd nie dam wywalić, bo to jest mój kraj. Że przetrzymamy. I co? Wyszło w końcu na moje.

Wzruszyła ramionami.

– Nie wiadomo, czy tam nie byłoby nam lepiej – powiedziała w zamyśleniu.

„Co prawda, to prawda” – pomyślał. Zdecydował się uciąć ten niewygodny wątek.

– Nie ma co gdybać – mruknął. – Przetrzymaliśmy komunę, to i ich przetrzymamy.

Popatrzyła na niego ironicznie.

– Nie widzisz różnicy? – spytała kpiącym tonem, którego tak nie lubił.

– Widzę, naturalnie – zgodził się niechętnie. – Ale wiem, że nic nie trwa wiecznie. Czy ty wyobrażałaś sobie choćby miesiąc temu, że coś się tutaj zmieni? Mieszkał sobie pan Górzeński z żoną, czasem się kłócili, słyszeliśmy ich, ale to były zwyczajne, małżeńskie sprzeczki. Jak urządzali imieniny, grzecznie uprzedzali. Była cisza i spokój. Teraz jest koszmar, zgadzam się. Ale ten koszmar nie musi trwać cały czas. To też się może zmienić.

Popatrzyła na niego z powątpiewaniem. On sam również nie był całkiem przekonany do swojej retoryki.

– Niby jak? Wierzysz, że nagle się uspokoją, zgrzeczniej, przestaną chlać?

– Nie można tego wykluczyć – powiedział, sam w to nie wierząc.

Machnęła ręką.

– E, tam...

Nastała cisza. Tylko gdzieś daleko rozszczękał się pies.

– No, dobrze – niechętnie przyznał jej rację. – Załóżmy, że nie. Ale może się zdarzyć mnóstwo innych rzeczy, których teraz nie możemy przewidzieć ani sobie wyobrazić. Może uznają, że nie stać ich na utrzymanie takiego dużego domu, i wyprowadzą się do innego, mniejszego. A może on się zachleje na śmierć, a ona wróci wtedy do matki.

Wzdrygnęła się.

– Nie mów tak – powiedziała. W jej głosie pobrzmiwała nagana.

„Co za wrażliwość” – pomyślał z przekąsem. Wzruszył ramionami.

– To tylko przykład. Nie życzę mu tego, ale... – zawahał się – to też byłoby jakieś rozwiązanie. – Uśmiechnął się, dając jej na wszelki wypadek do zrozumienia, że żartuje. Nie odwzajemniła jednak uśmiechu i jej twarz pozostała nieruchoma jak maska. „Kiedyś nie nadawaliśmy na tak różnych falach” – pomyślał.

– Ja w każdym razie nie zamierzam wykonywać teraz żadnych nerwowych ruchów – odezwał się po chwili. I dodał sztucznie różnym głosem: – Zobaczysz, przetrzymamy ich.

Znów tylko machnęła ręką.

– „Przetrzymamy”, „Nie dam się wyrzucić”, „To byłaby ucieczka”. Gadanie – podsumowała go wzgardliwie. Spojrzała na niego zmrużonymi oczami, jakby chcąc go przeświecić. – Ja wiem, dlaczego tak mówisz. I dlaczego nic nie chcesz z tym zrobić. Bo to wymaga podjęcia decyzji, a ty tego nienawidzisz. Decyzja to twój największy koszmar. Z tą emigracją było podobnie. Mówiłeś, że to jest twój kraj i że nie dasz się wyrzucić, a tak naprawdę bałeś się decyzji... Bałeś się decyzji, która by coś zasadniczo zmieniła. Tak samo z tym domem. Pamiętasz, ile musiałam cię namawiać, żebyśmy wyprowadzili się z bloku?

Tak, to była prawda, musiał to przyznać z przykrością. Rzeczywiście nie chciało mu się opuszczać małego osiedla na Ochocie, gdzie mieszkał od urodzenia, za PRL-u zamieszkanego głównie przez inteligencję, ale potem stopniowo podupadającego, zamieniającego się w slums z obdrapanymi klatkami schodowymi, obsikaną windą i rykami pijanych gówniarzy pod oknem. Rzeczywiście to Justyna pierwsza przebąkiwała o wyniesieniu się stamtąd. Jemu nie bardzo uśmiechało się ruszać w nieznane, przeznaczać swój cenny czas na jeżdżenie po podwarszawskich wioskach w poszukiwaniu działek na sprzedaż czy gotowych domów. Czuł się zresztą związany z miastem, choć tak naprawdę warszawiakiem był zaledwie od drugiego pokolenia – ojciec wprawdzie urodził się na Woli, ale dziadek przywędrował do stolicy z małej wsi pod Płońskiem. Ich dotychczasowe lokum miało też swoje zalety. Osiedle, choć zdegradowane, było jakoś tam oswojone, samo mieszkanie całkiem spore i wygodne, a sąsiedzi sympatyczni. Prośby i namowy Justyny nazywał więc snobistycznymi zachciankami. „Muszisz mieszkać w willi?” – pytał złośliwie, wiedząc, że argument jest demagogiczny, bo mieszkanie pod miastem już dawno przestało być

przywilejem bogatej elity. Wszyscy budowali się na potęgę i nawet z jego środowiska, nie najzamożniejszego przecież, co chwila dochodziły wieści, że ten czy inny wyniósł się z miasta i stawia dom. On jednak uparcie trwał przy swoim: „Nie ruszę się z Warszawy!”.

– Pamiętam – potwierdził. – Ale w końcu dałem się przekonać.

Dał. Jego opór stopniowo słabł, aż w końcu złamał się zupełnie. A gdy to nastąpiło, ruszyli z kopyta. Ogłoszenia w internecie nie były jeszcze tak powszechne, więc studiowali razem gazety, a najczęściej po prostu wsiadali do samochodu i ruszali w objazd, zaczynając od okolic Warszawy przylegających do najlepiej znanych im dzielnic, czyli Ochoty i Woli. Bardzo szybko znaleźli to, czego szukali. Gdy zajechali do Grabówka, pierwsze kroki – już się tego nauczyli – skierowali do sołtysa, a właściwie, jak się okazało, sołtyski. Ta zaś odesłała ich bezpośrednio do Górzeńskiego, który postawił właśnie bliźniak – jedną połowę z myślą o sobie, a drugą na sprzedaż – i jakoś ciężko mu ta sprzedaż szła, bo rozpytywał wśród miejscowych, a dla nich było za drogo. Długo się nie zastanawiali. Górzeński też, choć nie wydawał się z początku zachwycony, że za sąsiadów będzie miał inteligentów z Warszawy. Formalności zajęły im kilka dni, nadspodziewanie łatwo udało się też sprzedać ich M-4. Jego obawy, że po zajęciach, zamiast pisać artykuły naukowe albo odpoczywać, będzie jeździć miesiącami po zabitych deskami wiochach i chodzić od chałupy do chałupy, nie potwierdziły się. Raptem po dwóch tygodniach mieli już dom, i to taki, który doskonale spełniał ich oczekiwania. Nie był za duży, akurat na ich trójkę, przy małej, spokojnej i cichej uliczce, z kawałkiem ogródka, w którym rosło kilka drzew i krzewów, potem uzupełnionych przez Justynę o własne uprawy. Las był oddalony o pięćdziesiąt metrów, i to nie byle jaki las, lecz forpoczta puszczy, pełna pięknych, starych drzew i obszernych polan wymoszczonych miękkim mchem. Oczywiście trzeba było jeszcze „wykończyć chałupę”, jak powiedział Górzeński, ale i to poszło sprawnie. Oboje dostali niesamowitego przyływu energii, jakiegoś potężnego kopa; wzięli urlopy i krążyli codziennie między Castoramą a nowym domem, w którym zagnieździła się ekipa poleconych przez Górzeńskiego miejscowych robotników. Nie obyło się bez niespodzianek, ekipa często nawalała, poza tym okazało się, że sąsiad budował najtańszym sposobem, więc sporo rzeczy od razu nadawało się do wymiany. Ale nie przejmowali się tym, nie zniechęcali, wyłaniające się co rusz przeszkody przyjmowali

z uśmiechem. Oboje czuli, że to już chyba ostatni taki ich życiowy zryw i że trzeba dociągnąć sprawy do końca. Po kilku tygodniach, gdy nadszedł maj, a był tamtego roku wyjątkowo pogodny i słoneczny, mogli się już wprowadzać. I gdy siedział potem na tarasie z otwartym laptopem, podnosząc wzrok znad monitora, by rzucić okiem na otaczającą go, migoczącą różnymi odcieniami zieleni, czuł w sobie całkowity spokój i dziwił się, że tak głupio się opierał i tak długo nie chciał opuścić ich ponurego, szarego osiedla. Tak, Justyna miała rację. Ale to, że miała rację **wtedy**, nie oznaczało, że ma ją automatycznie **teraz**.

Powiedziała coś do niego, widział jej usta poruszające się w ostrym świetle nocnej lampki. Zatopiony we wspomnieniach, dopiero po chwili wrócił do rzeczywistości.

– Co mówisz? – spytał.

– Mówię, że wiem, dlaczego nie chciałeś. Bo ty bardzo, ale to bardzo nie lubisz zmian. Odzywają się w tobie chłopskie geny. Bylebyś mógł spokojnie obrabiać to swoje naukowe poletko, a reszta cię nie obchodzi.

Rozzłościł się. To było trafne spostrzeżenie. Zabolało.

– Dziękuję, pani psycholog, za wnikliwą analizę mojej osoby. – Ukłonił się ironicznie. – Ile się należy za wizytę?

Wzruszyła ramionami.

– Nie wszystko da się obrócić w żart – odparowała.

– Nie wszystko – przyznał niechętnie. Zastanawiał się chwilę. – Może zresztą masz rację. Ale pod tym względem też się nie zmienię. Mam pięćdziesiąt siedem lat i już się nie zmienię. I nie wyprowadzę się stąd. Nie ma mowy.

Musiał to mówić z dużym przekonaniem, bo skapitulowała.

– No to chodźmy już spać – powiedziała z westchnieniem.

Odetchnął z ulgą, że to już wreszcie koniec.

– Tak, to dobry pomysł.

Wyciągnęła rękę i zgasiła lampkę. Poszedł za jej przykładem. W ciemności usłyszał, a właściwie poczuł, jak naciąga na siebie kołdrę i się nią szczelnie opatula. Chwilę leżeli obok siebie. Nie spał i był pewien, że Justyna również nie śpi. Nie odzywali się jednak do siebie. Jedyne zdanie, jakie wypowiedziała, brzmiało: „Mam nadzieję, że nie urządzą jakiegoś balu, gdy przyjedzie Agata”, po czym odwróciła się na drugi bok, plecami do niego.

Po chwili zasnęła. Jemu się nie udało, był zbyt rozbudzony. Poza tym po

wyjściu na mróz w niekompletnym ubraniu wciąż było mu zimno i od czasu do czasu wstrząsały nim dreszcze. Ale nie wtulił się w duże, promieniujące ciepłem ciało Justyny. Nie, na to już było za późno, po prostu nie wchodziło w rachubę. Leżał z otwartymi oczami, wsłuchując się w ciszę i myśląc o ich rozmowie. Czy naprawdę tamtego popołudnia za ścianą było takie piekło, jak je opisywała? Nie miał powodu jej nie wierzyć, ale z drugiej strony: czy jednak rzeczywiście nie przesadzała? Była uczulona na hałas, znacznie mniej pod tym względem tolerancyjna od niego.

A jeśli to prawda, to co robić? Propozycja Justyny wydawała mu się nie do przyjęcia. Była nie tylko zbyt pośpieszna – na Boga, minął w końcu niecały tydzień! – lecz także mało realna. Jeśli chciała przeprowadzić się do innego domu w okolicy albo gdzieś dalej – bo przecież nie chodziło o powrót do Warszawy – musieliby najpierw sprzedać swój, a to mogłoby być trudne. W końcu każdy, kto decyduje się na tak poważną inwestycję, najpierw przeprowadza wywiad, kto mieszka w sąsiedztwie i tak dalej. Nie miał złudzeń, że po takim rozpoznaniu nikt nie kupi ich połówki bliźniaka, a jeżeli już, to za niewielką cenę, może nawet za połowę wartości. O wzięciu nowego kredytu nie było mowy, tak więc cały ten pomysł był średnio wykonalny.

„Szkoda, że jej o tym nie powiedziałem od razu – pomyślał. – Typowy *l'esprit d'escalier*”. Inaczej by przebiegała ich rozmowa. Nie byłoby tego całego gadania o jego niechęci do zmian czy o niezdolności podejmowania decyzji. Czy rzeczywiście taki był? W końcu gdy coś postanowił, potrafił działać szybko i skutecznie. Fakt, nie śpieszył się z podejmowaniem decyzji, opóźniał, zwlekał. Było w tym zapewne trochę wygodnictwa, czekania, aż samo się coś rozstrzygnie. Ale żeby od razu chłopskie geny?! Mógł to mieć po ojcu, który po swoich powojennych przejściach, gdy przesiedział kilka lat w komunistycznym więzieniu, nabawił się nieuleczalnego fatalizmu i wierzył już tylko w zmienność kolei losu. Był szczęśliwy, że życie nie bije go już po dupie, nastawiony nie na osiągnięcie celów, lecz na unikanie ciosów. Chciał się wtopić w tło i przetrwać. I dlatego, mimo że miał przedwojenny dyplom z ekonomii, pracował jako skromny księgowy w spółdzielni inwalidzkiej. I rzeczywiście nie lubił podejmowania decyzji, gdyż bał się, że mogą przynieść zmiany na gorsze. Część tej defensywnej postawy mogła spłynąć i na niego. Całkiem prawdopodobne.

A jak to było z ich niedosłą emigracją? Przypomniawszy sobie, jak w połowie lat osiemdziesiątych Justyna zaczęła napomykać o wyjeździe za granicę.

W kraju panował stan ustabilizowanej i okrzepłej beznadziei, bardziej dołujący od samego stanu wojennego, gdy żyło się jeszcze w podniesionej temperaturze. Panowała przygnębiająca atmosfera; ciemna noc i żadnego światełka na horyzoncie. Jego ewentualny wyjazd nie byłby przy tym wyprawą w nieznane, rzuceniem się na oślep do przodu – dostawał paszport służbowy, jeździł za granicę i otrzymywał stamtąd zachęcające propozycje. Mógłby pracować w swoim zawodzie, gdyż jego dziedzina naukowa była oparta na uniwersalnym, zmatematyzowanym języku. Zresztą angielski też znał znośnie. I nie miał jeszcze trzydziestki, a w tym wieku nie ma się jeszcze zbyt wielu kul u nogi. Justynie, z dyplomem z psychologii, byłoby trudniej znaleźć pracę i prawdopodobnie, przynajmniej na początku, miałby wszystko na swojej głowie. Ale to właśnie ona parła do wyjazdu, to ona, gdy pili wieczorem wystaną w długiej kolejce herbatę, powtarzała: „Uciekajmy stąd. Tu nie ma życia”. Była zbrzydzonej Polską, zniechęcona ogólną bryndzą, a na dodatek wściekła z powodu jałowości i bezsensowności swojej pracy w przychodni. „Jak ja mam tłumaczyć ludziom, że mają tu po co żyć, skoro sama w to nie wierzę?!” – krzyczała. Była gotowa pracować na Zachodzie jako sprzątaczką.

Jednak on, choć miałby ułatwiony start czy to w Anglii, czy w Skandynawii, wcale nie palił się do wyjazdu. Ale nie dlatego, jak twierdziła teraz Justyna, że bał się nieodwracalności tej decyzji. Tak naprawdę po prostu nie najlepiej się czuł na Zachodzie. Oczywiście podobało mu się tam: sklepy pełne towarów, kioski z kolorowymi okładkami pism, tak ostro kontrastujące z budkami „Ruchu”, gdzie leżały szare płachty papieru z czerwonymi nagłówkami, a do tego przytulne puby, tak różne od zadymionych, ponurych spelun, w których zapijał wraz z kolegami z uczelni duszącą ich wszystkich rozpacz, jasno oświetlone ulice z uprzejmymi, pogodnymi ludźmi, niewarczącymi na siebie i niepotykającymi się w ciemności na krzywo położonych chodnikach. Gdy jednak tam przebywał, na ogół niedługo, z okazji sympozjów czy konferencji, czuł w swojej obecności coś nierealnego, jakby nie on tam był, lecz ktoś inny. Jakby znajdował się na innej planecie, gdzie powietrze było rozrzedzone, a prawo ciężenia działało znacznie słabiej niż na ziemi. Czuł się nieprawdziwie, jakby jego „ja” zostawało w kraju i stamtąd tylko mu się przyglądało. Męczyła go ta obcość i wiedział, że nigdy jej nie oswoi. Wiedział, że jeśliby tam został, byłaby to tylko sztuczna odnoga od właściwego życia i nigdy właściwym

życiem by się nie stała. Wiedział też, że coś cennego by stracił, bardzo dobrze bowiem czuł się na uniwersytecie; to był jego mały, zamknięty świat. Uczelnia wydawała mu się wyspą rozsądku na oceanie absurdu, drobną enklawą, gdzie smród gnijącego komunistycznego państwa wprawdzie docierał, ale jakoś dziwnie szybko się rozwiewał w czystym, rześkim powietrzu. Miał więc daleko mniejszą motywację do wyjazdu niż męcząca się w poradni Justyna.

Gdyby wcześniej wyjechał do Stanów, może zdecydowałby się na pozostanie. Ameryka, gdzie dostał trzymiesięczne stypendium, zachwycała go. Nie swoją dynamiką, rozmachem, organizacją pracy czy naturalną swobodą bycia mieszkańców, ale otwartością. Dała mu to, czego brakowało mu podczas krótkich wizyt w Europie – poczucie, że jest takim samym człowiekiem, jak ci, którzy żyją tu od pokoleń. On tylko przyjechał tu trochę później. Rdzenni mieszkańcy? Rdzennymi mieszkańcami byli Indianie. Tu każdy skądś przyjechał, tylko niektórzy wcześniej. Nie był człowiekiem z zewnątrz, bo wszyscy byli z zewnątrz. I to poczucie równości z innymi – dość bezczelne i uzurpatorskie, zważywszy, że przebywał tam krótko – wytwarzało w nim iluzję, że ten kolorowy świat stoi przed nim otworem, że tu wszystko jest możliwe.

Ba! Gdyby pojechał kilka lat wcześniej... Ale trafił tam dopiero w osiemdziesiątym dziewiątym, gdy system chwiał się już w posadach i nie było sensu porzucić Polski, skoro mordowali się z nią tak długo. W dodatku tuż przed jego wyjazdem okazało się, że Justyna jest w ciąży, i obchodziło ją już tylko jedno: aby szczęśliwie urodzić. A potem kraj odzyskał wolność i cała sprawa się zdezaktualizowała. Justyna przestała mówić o wyjeździe, co tam – wpadła w patriotyczną euforię! „Aleśmy się doczekali” – powtarzała, jakby nie mogąc w to uwierzyć, a on patrzył w milczeniu na jej rosnący brzuch.

Zamruczała przez sen i odwróciła się na drugi bok. Leżała teraz z twarzą zwróconą do niego, wydobytą z ciemności przez światło księżyca przemykające się między zasłonami. Popatrzył na nią z czułością. Nie potrafił się na nią gniewać, mimo że mocno go wkurzyła. Wcześniejszą złość wyparło współczucie: ależ musiała przeżywać tę sytuację! Jego uczucie nie było już tak intensywne jak kiedyś, ostygło przez te długie lata, ale wciąż ją bardzo kochał. I wiedział, że do końca życia będzie jej wdzięczny za to, że dała mu Agatę.

Długo na nią czekali. Justyna miała kłopoty z zajściem w ciążę. Stosowała kurację hormonalną, ale lekarze uprzedzali ją, że najprawdopodobniej niewiele z tego wyniknie. W pewnym momencie stało się to dla niej dodatkową motywacją do wyjazdu: miała nadzieję, że za granicą mają skuteczniejsze środki niż te, które mogła jej zaoferować socjalistyczna służba zdrowia. I nagle stał się cud. I wtedy wszystko – Polska, Zachód, emigracja, a nawet dolary, które miał przywieźć z amerykańskiego stypendium – nagle przestało być ważne. Poza tym jednym.

A teraz ich córka przyjeżdżała, co napełniało go radością, bo zdążył się już za nią mocno stęsknić. Od jej ostatniej wizyty w kraju minął ponad rok, a rozmowy na Skypie, które z nią prowadzili, były jednak tylko namiastką kontaktu. Cieszył się, że wreszcie zobaczy ją w trzech wymiarach, a nie tylko jako ruchomy obraz na ekranie komputera, usłyszy jej niezniekształcony głos, poczuje jej zapach. Liczył też po cichu, że jej obecność złagodzi napięcia między nim a Justyną. Wiedział, że z jego strony było to egoistyczne, ale nie odczuwał wyrzutów sumienia. Agata by to zrozumiała.

Myśl o jej przyjeździe ukoїła go. Mógł wreszcie zasnąć.

Następnego dnia nie zastał już Justyny u swojego boku (wyjeżdżała na ósmą), a w dodatku nie czuł się dobrze; nocna interwencja u sąsiadów, gdy prosto z rozgrzanego łóżka wyszedł na mróz, zrobiła swoje. Miał zatkany nos, drapało go w gardle, głowę ścisnęły cęgi. Wszystko to wskazywało na infekcję, ostatnią rzecz, której – wobec przyjazdu córki – teraz potrzebował.

Postanowił zostać w domu, żeby się porządnie wykurować. Najpierw zadzwonił do sekretariatu wydziału i odwołał zajęcia (w szkole na szczęście miał wolny dzień), a potem połączył się z rejonową przychodnią, gdzie pracował zaprzyjaźniony lekarz, doktor Kubica. Chciał go tylko poprosić o wypisanie recept i zwolnienia, ale Kubica był lekarzem starej daty, miał twarde zasady i nie zgodził się na wydanie L-4 zaocznie, bez obejrzenia Henryka. I choć przekonywał go, że to zwykłe przeziębienie, do którego nie warto się fatygować i tracić cennego czasu, doktor uparł się i zapowiedział swoją wizytę za dwie godziny.

Przyjechał punktualnie o wpół do jedenastej, tak jak obiecał, co do minuty. Henryk, który czytał w łóżku książkę amerykańskiego socjologa Hoskinsa, w ostatniej chwili usłyszał dobiegający od ulicy charakterystyczny warkot

silnika starego renault – tak starego, że przywoływał w pamięci filmy z Alainem Delonem i Brigitte Bardot – i narzuciwszy szlafrok, zszedł szybko na dół. Kubica stał już pod domem. Ubrany w palto pamiętające lata pięćdziesiąte, w ręku trzymał obdrapaną walizeczkę. „Proszę natychmiast wracać do łóżka” – fuknął na stojącego w otwartych drzwiach Henryka. Zawiesił palto na wieszaku, po czym podążył za nim po schodach na górę. Szedł ciężko; Henryk słyszał za sobą coraz głośniejsze sapanie i poczuł się trochę głupio, że go wezwał.

W sypialni obejrzał Henrykowi gardło, wymiętosił bezceremonialnie węzły chłonne na szyi, opukał i osłuchał. Diagnoza nie była niespodzianką: drobna wirusówka. Kuracja też była klasyczna: kazał przebywać Henrykowi w stałej temperaturze przez dwa dni, najlepiej w łóżku, łykać lekarstwa, zagryzać czosnkiem i pić dużo herbaty z cytryną. O L-4, będącym w końcu głównym powodem jego wizyty, zapomniał i gdy potem, zatrzymany przez Henryka, wypisywał zwolnienie na formularzu, wydawał się zawstydzony swoim roztargnieniem. Henryk z rozczuleniem patrzył na jego dużą, mięsistą twarz ozdobioną szczeciniastym wąsikiem w kształcie szczotki i zwieńczoną gładko przylizaną fryzurą. Zastanawiał się, co się stanie, gdy stary lekarz odejdzie na emeryturę.

Tego dnia czytał jeszcze trochę Hoskinsa, słuchał radia, podrzemywał, robił luźne notatki do referatu na jesienny zjazd w Helsinkach. Niekiedy, wbrew zaleceniom Kubicy, wstawał i snuł się bez celu po mieszkaniu. Gdy przyjechała Justyna, zjadł przygotowany przez nią lekki obiad, po którym znów chwilę spał.

Nie wracali już do nocnej rozmowy, tak jakby temat został na czas jego choroby zawieszony. Ale Justyna jej nie zapomniła i odnosiła się teraz do niego z chłodną uprzejmością. Wprawdzie zajmowała się nim i podawała mu herbatę, ale robiła to z rzeczowością zawodowej pielęgniarki, bez czułości.

Miał też okazję się przekonać, że poprzedniego dnia wcale nie przesadzała. Przebywając przez okrągły dzień w mieszkaniu, mógł dokładniej zapoznać się z życiem powszednim sąsiadów zza ściany. Aż do wieczora nic szczególnego się nie działo, nawet pora obiadu minęła spokojnie, a odgłosy, które go stamtąd dochodziły, były zwyczajne, domowe, znane jeszcze z czasów, gdy mieszkali w bloku: dudnienie telewizora, wycie odkurzacza, przytłumione rozmowy sąsiadki z synkiem – ostro go strofowała, mówiła głośno, co jednak jeszcze mieściło się w normie. Ale wieczorem się zaczęło,

i to dokładnie tak, jak to opisywała Justyna: rozpętała się wrzaskliwa awantura z rzucaniem przedmiotów i trzaskaniem drzwiami. A więc tak to wyglądało...

Podszyte pijacką agresją głosy wciąż jeszcze dobiegały zza ściany, gdy weszła do niego z ostatnią przed snem szklanką herbaty, jednak ani słowem nie nawiązała do tego, co się działo u sąsiadów. Nic nie powiedziała, nie spojrzała nawet na niego (a mogła to zrobić z wyrazem gorzkiego triumfu). Postawiła tylko herbatę i wyszła. Poczul wstyd, że wczoraj jej nie dowierzał.

Leżąc samotnie w łóżku i wsłuchując się w głośne krzyki, zastanawiał się, co robić. Zejść do nich i kolejny raz prosić o ciszę nie chciał. Nie mógł zresztą tego zrobić, bo wtedy na pewno rozłożyłby się na dobre. Prosić o to Justynę nie śmiał. Czuł się zupełnie bezradny. Przyszło mu jedynie do głowy, że jeśli nie uspokoją się do dziesiątej, wezwie policję, choć nie bardzo wierzył w skuteczność jej interwencji – doświadczenia, jakie miał z nią jeszcze w czasach, gdy mieszkali na ochockim osiedlu, były zniechęcające. Ale o wpół do dziesiątej awantura skończyła się, jak nożem uciął. Widocznie poszli spać. Przypomniał sobie, że tak samo było z parapetówką. Nie miał pojęcia, czy postępowali tak, aby nie można się było do nich przyczepić od strony formalnoprawnej, czy też po prostu, wdrożeni do wiejskiego rytmu życia, wstawali wcześniej rano i odpowiednio wcześniej kładli się spać. Może zresztą zmorzyła ich pita od kilku godzin wódka.

W każdym razie ucichli. Leżąc w ciszy, nagle tak błogiej i cudownej, i przeżuwając swoją niedawną bezradność, zrozumiał, czemu Justyna wcześniej mu o tym nie powiedziała. Nie chciała go stawiać w kłopotliwej sytuacji, wołała oszczędzić mu upokorzenia, jakiego doświadczył podczas pierwszej, nieudanej próby interwencji. Poczul dla niej wdzięczność. I z tym uczuciem zasnął.

Następnego dnia wstał pod wieczór, aby pojechać na lotnisko. Justyna zaproponowała, że go zastąpi, ale się nie zgodził. Po dniu spędzonym w łóżku czuł się już znacznie lepiej. Poza tym było niepisaną tradycją, że to on odbiera córkę z lotniska, i nie widział powodu, aby to zmieniać.

Gdy wychodził z domu, za ścianą panowała cisza, ale w oknach sąsiadów paliły się światła i wcale nie miał pewności, czy nie jest to cisza przed burzą. Co będzie, gdy przyjedzie tu z Agatą i trafią w sam środek domowego

cyklonu? Będzie musiał do nich pójść i poprosić, żeby z uwagi na wizytę córki choć na chwilę się uspokoili. Może odwołanie do rodzinnych uczuć okaże się skuteczne, choć raczej w to wątpił.

Dotarł na miejsce na dziesięć minut przed lądowaniem samolotu. Podjazdy przed halą przylotów były zastawione samochodami, wjechał więc do ponurego grobowca kilkupoziomowego parkingu znajdującego się naprzeciwko terminalu. Chwilę krążył, nim znalazł wolne miejsce, choć opłaty były tu słone. „Wszędzie za dużo tych samochodów” – pomyślał. Wsiadł, zatrzasnął drzwiczki, owinął się szczelnie szalikiem i szybkim krokiem przeszedł do hali przylotów.

Z tablicy informacyjnej wynikało, że samolot będzie punktualnie, co go ucieszyło, bo jeszcze poprzedniego dnia po południu słyszał w radiu o zasypanych pasach startowych na Heathrow. Anglicy najwyraźniej jednak sobie poradzili; na nich zawsze można było liczyć, choć jego ojciec zapewne by się z tym nie zgodził.

W terminalu było bardzo ciepło i z powodu raptownej zmiany temperatury znów zaczął pokasływać, zdjął więc kurtkę, przerzucił przez ramię i stanął na środku hali, kilkanaście metrów od wyjścia dla pasażerów. W lustrzanej powierzchni rozsuwanych fotokomórką drzwi odbijał się stojący wokół tłum; niektórzy trzymali nad głowami duże tabliczki z nazwiskami. Oczekujących wciąż przybywało i musiał co pewien czas przesuwac się w bok lub do przodu, aby nie stracić z oczu wyjścia. Raz już się zdarzyło, że się z córką rozminęli.

Drzwi wypływały do środka kolejne grupki pasażerów. Coraz więcej walizek miało nalepki londyńskiego lotniska – znak, że wydano już bagaże, ale Agaty wciąż nie było i Henryk zaczął się niepokoić. Nie chciał jednak dzwonić do niej na komórkę. Nie lubiła tego, traktowała jako dowód nadopiekuńczości. Zresztą co by jej się mogło stać? Nie dostała się do samolotu? Zaginął jej bagaż? Przecież gdyby znowu ją przegapił, sama by zatelefonowała, tak jak wtedy.

I właśnie w tym momencie się pojawiła, ubrana w narciarską kurtkę, z dziwnymi, czerwonymi nausznikami w kształcie słuchawek, ciągnąc za sobą zgrabną walizkę na kółkach. Ruszył w jej stronę. Dostrzegła go i uśmiechnęła się szeroko, odsłaniając równe, białe zęby. Miała olśniewający uśmiech i wiedząc o tym, często go prezentowała.

– Cześć, tato.

Wpadli sobie w ramiona. Poczuli zapach markowych perfum. Drzewo sandałowe? Piżmo? Przycisnął ją do siebie i przez chwilę trwali tak nieruchomo na środku hali. Zalała go fala ciepła. To była jego Agatka, jego jedyna, ukochana córeczka. Poczuli nagły ucisk w gardle i odwrócił głowę w bok, aby nie zauważyła, że ma łzy w oczach. Trzymał ją w ramionach, dopóki nie opanował tego ataku wzruszenia, i dopiero wtedy dyskretnie uwolnił ją ze swoich objęć.

Jak na komendę oboje cofnęli się o krok i zaczęli się sobie uważnie przyglądać, jakby szukając zmian, jakie czas uczynił na ich twarzach od ostatniego spotkania. Agata wyglądała jak poprzednio – okrągła buzia, grzywka jasnych włosów, szeroko otwarte, jakby w wyrazie zdziwienia, niebieskie oczy, zadarty nosek (po Justynie), dołeczki w policzkach – tyle tylko że była opalona, co wyróżniało ją z tłumu zimowo bladych podróżnych.

– Gdzieś tak się spiekła? – spytał. – Chyba nie w tym swoim Londynie?

– Nieee... – Roześmiała się. – To jeszcze resztki z Gran Canarii. Wiesz, tam gdzie byłam na sylwestra z Nigelem.

Wiedział doskonale. Pojechała tam, zamiast do Polski. Dostali pocztówkę.

Popatrzyła na niego i najwyraźniej chciała coś powiedzieć, ale zrezygnowała. Domyślił się, że na zasadzie wzajemności miała zamiar skomentować jego wygląd, lecz jednak się powstrzymała. Nie chciała kłamać. Po ledwo co zaleczonej infekcji zapewne wyglądał marnie.

– Przeziębilem się trochę – mruknął usprawiedliwiającym tonem, łapiąc uchwyt nowej walizki. „Samsonite” – przeczytał. „Nieźle jej się powodzi”.

Nałożył z powrotem kurtkę i ruszyli w stronę wyjścia. Gdy szklane drzwi rozsunęły się przed nimi, uderzyła w nich fala mrozu. Agata aż się skuliła.

– Jezu! Ale tu zimno! – wykrzyknęła. – Odzwyczaiłam się.

– Widocznie. Kilka dni temu był tu prawdziwy mróz, dziś nie jest jeszcze najgorzej. Ale faktycznie, to wyjątkowo mroźna zima. Też się nie możemy przyzwyczaić – paplał, ciągnąc z trudem walizkę po nierównościach kostki. – Ale nie martw się, stoję blisko.

Po dwóch minutach dotarli na parking. Nie było tam jednak cieplej niż na zewnątrz, a na dodatek panowała nieprzyjemna wilgoć i niemiły półmrok; auta krążyły we wszystkich kierunkach jak ryby w ciemnym akwarium. Szybko podeszli do automatycznej kasy. Na szczęście nie było kolejki, a urządzenie działało bez zarzutu. Poczuli coś w rodzaju patriotycznej dumy, że miejscami jest tu już jak na Zachodzie – podobne automaty widział na

podziemnych parkingach w Barcelonie, gdzie spędzali z Justyną zeszłoroczne wakacje. Agata jednak nie zwróciła uwagi na ten dowód technicznego postępu. Jak najszybciej chciała znaleźć się w samochodzie.

Po chwili jechali już aleją Żwirki i Wigury w kierunku centrum. Włączył ogrzewanie, ale chwilę trwało, nim silnik zaczął tłoczyć do środka gorące powietrze. Mimo późnej pory panował duży ruch, posuwali się więc powoli w ciągnącym się po horyzont trójszeregu samochodów. Agacie zdawało się to nie przeszkadzać. Rozglądała się z zaciekawieniem.

– Rany, ale tu aut – stwierdziła z uznaniem.

– No – potwierdził. – Z każdym rokiem coraz więcej. Ale wcale się z tego nie cieszymy. Ulic nie przybywa.

– Tato, w Londynie też są korki – mruknęła pobłażliwym tonem i zapatrzyła się przez okno.

Reszta drogi upłynęła im na chaotycznej rozmowie o wszystkim: o billboardach reklamowych („więcej ich tu niż w Londynie”), o sylwestrze spędzonym na plaży („mnóstwo Polaków tam było”), o Justynie („u matki wszystko w porządku”), ale gdy zaczął podpytywać o Nigela, jej brytyjskiego „narzeczonego”, jak go nazywał, wykręciła się od odpowiedzi.

– Spokojnie, tato. Zostawmy coś na potem. Nie chcę drugi raz powtarzać wszystkiego matce.

Nie naciskał więc i ostatni odcinek drogi pokonali w milczeniu. Zresztą gdy dojeżdżali już do Grabówka, rozpętała się zadymka; grube płatki śniegu przyklejały się do szyby, widoczność zmalała do dziesięciu metrów, więc i tak musiał skoncentrować się na jeździe.

Zatrzymali się przed bramą. Agata chciała wysiąść, aby ją otworzyć, ale powstrzymał ją ruchem ręki. On był tu gospodarzem. Popychając zmarznięte pręty („kiedy wreszcie wstawi ten automat?”), spojrział w jej stronę. Wydawała się zamyślona. Patrzyła na dom, ale jakby go nie widziała. Wrócił do samochodu. Wjeżdżając na podjazd, zerknął w okna sąsiadów. Były ciemne. Przynajmniej na razie mieli więc spokój.

Gdy wyjmował walizkę z bagażnika, Agata wbiegła przez garaż do domu, skąd po chwili dobiegły go głośne okrzyki i wybuchy śmiechu – powitalny koncert na dwa głosy. Były z Justyną bardzo blisko. Jego z pewnością też kochała, ale tak na serio rozmawiała tylko z matką. Może uważała, że z racji wspólnoty płci lepiej ją zrozumie – tak się przynajmniej pocieszał.

Gdy wszedł do środka, obie stały naprzeciwko siebie pośrodku kuchni.

Agata jeszcze w kurtce, Justyna w fartuchu, widocznie kończyła szykowanie kolacji. Patrzyły na siebie radosnym wzrokiem. Poczuli leciutkie ukłucie zazdrości.

– Świetnie wyglądasz – stwierdziła z uśmiechem Justyna. Był to jej pierwszy uśmiech od tygodnia. Agata go odwzajemniła.

– Ty też, mamó, dobrze się trzymasz – odparła, po czym nastąpiła kolejna seria przytuleń i uścisków. W końcu oderwała się od matki.

Podszedł do niej od tyłu i pomógł zdjąć kurtkę. Podziękowała, nie odwracając głowy. Podreptał do wieszaka. Sam też musiał się rozebrać.

– Jak lot? – spytała Justyna, gdy wracał już z przedpokoju.

– Normalnie. – Agata wzruszyła lekko ramionami. – Teraz to jak pekaes do Grójca. – Przeprosiła ich i poszła do łazienki, żeby umyć się po podróży.

Zostali z Justyną sami. Spytał, co przygotowała. Nie odpowiedziała, tylko uniosła w milczeniu przykrywkę rondla, w którym dusiła się potrawka z cukinii i bakłażanów, przyrządzona z myślą o Agacie, która od kilku lat była wegetarianką. Jej twarz, jeszcze przed chwilą rozjaśniona, znów się zachmurzyła, zatrzęsnęła jak automatyczna brama. Źle znosił takie klimaty, nie był też w kuchni do niczego potrzebny, chwycił więc opartą o szafkę walizkę Agaty i lekko posapując, wniósł po schodach na górę, do jej pokoju.

Zapalił światło i rozejrzał się po pomieszczeniu. Dawno tu nie zaglądał. W ogóle rzadko do niego wchodził, gdyż ogarniał go wówczas łagodny wprawdzie, ale jednak smutek. Nic się w nim nie zmieniło od jej wyjazdu, bo nie zabrała wielu swoich rzeczy, tak jakby chciała zostawić tu swoją młodość i związane z nią przedmioty. Jej pierwsze obrazy i duże fotogramy porozwieszane na ścianach, koślawa sztaluga w kącie pokoju, porozstawiane wszędzie pudełka z farbami i kubelki z pędzlami. Wąski, przykryty gładką narzutą tapczan, stare szkolne biurko, krzesło z miękkim obiciem, wysoka, wciąż wypełniona jej ubraniami szafa, półka z książkami i płytami DVD, wieża, którą jej kupili na osiemnaste urodziny, i dwa głośniki rozstawione symetrycznie po kątach. Właściwie wszystko wyglądało jak kiedyś, gdy tu mieszkała. Tylko jej już tu nie było.

Było tu też chłodniej niż na dole, choć Justyna, jak zauważył, podkręciła kaloryfer do maksimum. Pustka jednak wystudzała – jak zawsze w nieużywanym pomieszczeniu, pozbawionym obecności człowieka. Teraz służyło już wyłącznie jako pokój gościnny, gdy przyjeżdżała na przykład matka Justyny z Lublina, ale to zdarzało się rzadko. Na szczęście zresztą.

Usłyszał kroki Agaty idącej przez przedpokój, odstawił pośpiesznie walizkę i się odwrócił. Weszła do pokoju, omiotła wnętrze jednym długim spojrzeniem i przez moment miał wrażenie, że oczy jej się zaszklily. Zdziwił się, bo nie była nigdy szczególnie sentymentalna ani nie była to też jej pierwsza wizyta od wyjazdu. Może zresztą mu się tylko wydawało.

Podziękowała mu za wniesienie bagażu, na co on, aby rozluźnić nieco atmosferę, wyciągnął przed siebie rękę gestem hotelowego portiera czekającego na napiwek. Roześmiała się i klepnęła go po amerykańsku w dłoń. A potem dała uprzejmie do zrozumienia, że chce się przebrać.

Gdy zszedł na dół, Justyna nadal krzątała się po kuchni, przyrządzając sałatkę. Nie chcąc przebywać w jej pobliżu, schronił się w salonie i włączył pilotem telewizor. Siedział przed nim kilka minut, oglądając bez zainteresowania przesuwające się przez ekran obrazy. Z trudem je rejestrował.

Usłyszał kroki Agaty zbiegającej po dwa stopnie po schodach. Nigdy nie mogli jej oduczyć tego niebezpiecznego zwyczaju. Spojrzał na nią i serce wypełniła mu ojcowska duma. Przebrała się w nowy norweski sweter w kolorowe wzory (spopularyzowany przez jakiś serial kryminalny), który znakomicie pasował do jej jasnoblond włosów, i teraz, z opaloną od kanaryjskiego słońca i zarumienioną od polskiego mrozu twarzą, wyglądała naprawdę pięknie. Była niewątpliwie ich poprawioną wersją, z obydwu stron wzięła tylko to, co najlepsze. Ani on, ani Justyna nie byli specjalnie urodziwi, córka biła ich pod tym względem na głowę. „I bardzo dobrze – pomyślał – nam już uroda nie jest potrzebna”.

– Mam tu coś dla was! – zawołała głośno.

Dopiero teraz zauważył, że w ręku trzyma dwie niewielkie papierowe torebki. Wstał z fotela, zgasił pilotem telewizor i przeszedł do kuchni. Przy córce czuł się bezpiecznie.

– Takie tam drobiazgi – dodała Agata, jakby lekko zażenowana. – Z prezentami to teraz kłopot, bo w zasadzie wszystko tu w zasadzie jest. No, ale... proszę.

W torebce Henryka znajdowała się podłużna paczuszka w woskowanym papierze. Odwinął go niecierpliwie, otworzył pudełko i jego oczom ukazała się piękna, rzeźbiona w drzewie wiśniowym fajka. Był to naprawdę wspaniały egzemplarz, który mógłby być ozdobą jego kolekcji, gdyby nie to, że przestała go już interesować. Ale tak cenny okaz zawsze cieszył. Gdy

przekręcił fajkę i odczytał srebrny napis na boku cybucha, aż wykrzyknął:

– No proszę! Savinelli! Oryginalny? – spytał z niedowierzaniem.

– Oczywiście. – Agata wydawała się lekko urażona. – Z 1912 roku.

Przyciągnął ją do siebie i ucałował w policzek. To był naprawdę nie byle jaki prezent i, podobnie jak nowa walizka, świadczący o jej niezłej sytuacji finansowej. Znał ceny.

– Dziękuję. Umieszczę na honorowym miejscu – obiecał i przeniósł wzrok na Justynę, która obracała w ręku coś przypominającego dużą kostkę Rubika.

– A ty co dostałaś?

– Jeszcze nie wiem – odparła, nie patrząc na niego.

– Box Londyńskiej Orkiestry Symfonicznej – wyjaśniła Agata. – Podobno fantastyczny.

Justyna rozpakowała paczuszkę. Też wydawała się zadowolona z podarunku.

– Dziękuję. – Cmoknęła ją w drugi policzek. – Zaraz coś puszcę.

– Może niekoniecznie – zaprotestował żartobliwie Henryk. Był to żart z drugim dnem. Nie podzielał muzycznych upodobań żony i niespecjalnie miał teraz ochotę na wysłuchiwanie koncertów muzyki klasycznej.

Justyna popatrzyła na niego chłodno.

– A dlaczego nie? – spytała wyzywającym tonem.

Wzruszył ramionami. Wyczuł, że nie jest w nastroju do żartów, i postanowił się wycofać.

– Dobrze, posłucham, jak cię nie będzie w domu. – Z obrażoną miną odstawiła kostkę na blat kuchni.

Zapadła niezręczna cisza. Agata przypatrywała im się badawczo.

– Ej, co jest? – spytała w końcu.

Justyna zdobyła się na uśmiech, który musiał ją chyba kosztować dużo wysiłku.

– Nic, nic... Mam nadzieję, że nic nie jadłaś w samolocie? – spróbowała zmienić temat.

Agata wahała się przez chwilę, jakby się zastanawiając, czy pytać dalej, czy też pozwolić sobie na odwrócenie uwagi. W końcu się zdecydowała.

– Coś tam skubnęłam – odparła wymijająco.

– No wiesz! – zawołała Justyna z udanym oburzeniem.

– Spokojnie, i tak zjem.

– No to proszę... – Wykonała zapraszający gest w stronę stołu.

Henryk musiał przyznać, że nie próżnowała. Stół był gęsto zastawiony półmiskami. Usiedli. Agata na tym samym krześle, które zajmowała, gdy jeszcze mieszkała z nimi. Kiedy to było? Pięć, sześć lat temu? Nie był pewien.

– Otworzysz? – Żona przerwała jego obliczenia, podając mu butelkę i korkociąg. Znowu nie patrzyła przy tym w jego stronę.

Wziął stalowy świderek i w milczeniu zaczął otwierać chilijskie chardonnay. W ciszy słychać było tylko skrzypienie korka. Agata zaczęła się im przyglądać, przenosząc wzrok z Henryka na Justynę i z powrotem.

– Ej, co się z wami dzieje? – spytała po chwili.

– Ale co? – odparł z głupia frant, by zyskać na czasie.

– Napięcie takie, że aż się iskrzy. Co się stało? Nigdy, jak przyjeżdżałam, nie byliście tacy – powiedziała z lekkim wyrzutem w głosie.

– E, zdaje ci się – rzucił bagatelizująco. Korek wyskoczył z głośnym pyknięciem. Rozlał wino do kieliszków.

– Widzę przecież.

Justyna westchnęła. Chyba uznała, że nie uda się zbyć córki byle czym.

– Wiesz, jesteśmy podenerwowani, bo mamy od niedawna nowych sąsiadów. Bardzo kłopotliwych.

Agata nałożyła sobie potrawki, ale nie zaczęła jeść. Patrzyła na matkę pytająco.

– To znaczy?

– No wiesz – odparła z wahaniem. – Chleją, awanturują się...

– Najczęściej po południu, ale i wieczorem potrafią. – Henryk też postanowił włączyć się do rozmowy.

I tak, na przemian uzupełniając swoje wypowiedzi, opowiedzieli jej wszystko. Prawie wszystko. Nie wspomnieli, że cała ta sytuacja źle wpływa na ich wzajemne relacje. Praktycznie więc nie odpowiedzieli na jej pytanie. Nie chcieli psuć jej nastroju.

Agata słuchała w milczeniu, jedząc powoli i co pewien czas pociągając wino z kieliszka.

– No to wesoło – skwitowała, gdy już umilkli.

– No – mruknął Henryk i upił wina. Było dobre, łagodne i delikatne.

Agata się zamyśliła.

– Ale teraz coś ich nie słychać – stwierdziła nieco podejrzliwym tonem.

– Szczęśliwie ich nie ma – wyjaśniła Justyna. Zaczęła jeść, mówiąc

jednocześnie: – To są te rzadkie chwile, kiedy mogę się cieszyć ciszą. Do tego doszło. Przedtem, jak mieszkali tu Górzańscy, nie słyszałam jej, a teraz potrafię usiąść i się nią delectować. Jak muzyką.

Córka popatrzyła na nią ze współczuciem.

– A co się właściwie stało z Górzańskimi? – spytała.

Justyna wzruszyła ramionami.

– Nie wiemy dokładnie. Podobno wpadli w długi i musieli sprzedać dom.

Agata pokiwała głową.

– To was wystawili.

– I owszem – potwierdziła Justyna. Pociągnęła łyk wina.

Przez chwilę wszyscy troje jedli w milczeniu.

– No to wam nie zazdrozczę – odezwała się Agata, po czym rozgadała się, jakby to, co chciała powiedzieć, długo już leżało jej na wątrobie. – I mogę to sobie świetnie wyobrazić. Chamstwo tutaj jest po prostu straszne. Już w samolocie się zaczyna. Jak teraz leciałam, usiadł taki jeden na oparciu mojego fotela, dupą do mnie, i jakby nigdy nic, rozmawiał sobie z kolegą, który siedział po drugiej stronie przejścia. I strasznie był zdziwiony, jak zwróciłam mu uwagę. Przy odbiorze bagażu to samo – wrywanie sobie wózków, choć w kącie stoi ich ze sto, przepychanie się do taśmy, żeby jak najszybciej złapać swoją walizę i ciągnąć ją, jadąc ci po nogach. Oczywiście żadnego „przepraszam”, a jak przepuścisz, to też bez „dziękuję”. Sporo ostatnio podróżowałam i powiem wam, że na świecie jest mnóstwo ludzi niewychowanych, ale takiego chamstwa, jak w Polsce, to nigdzie nie ma. W końcu – między innymi – dlatego wyjechałam.

Słuchał jej w milczeniu, zgadzając się w duchu z każdym jej stwierdzeniem. Ale ostatnie zdanie go zaskoczyło.

– Jak to? – zdziwił się. – Myślałem, że chciałaś studiować grafikę komputerową w LSA.

Córka popatrzyła na niego z pobłażaniem.

– To też. Oczywiście. Ale do wyjazdu potrzebne są dwie siły. Przyciągająca i odpychająca – odparła nieco przemądrzałym tonem. – Przyciągająca to była ta londyńska uczelnia, a odpychająca... – zawahała się – ...no, było ich kilka. Ale między innymi właśnie te pobazgrane ściany kamienic, te watahy gówniarzy na ulicach rzucające „kurwami” na prawo i lewo, to gadanie przez komórkę w kinach. Nie wytrzymałam tego... Wyście zachwycali się wolnością, a ja myślałam: co to za wolność, jeśli każdy może robić, co chce,

zupełnie nie licząc się z innymi? To ja taką wolność chrzanię – prychnęła.

Słuchając jej słów, pomyślał, że bardzo są jednak podobni. Wychowanie zrobiło swoje – mimo różnicy pokoleń pewne rzeczy odbierali tak samo. Tylko z tym ich zachwytem wolnością przesadziła. Nie trwał dłużej niż rok.

– No tak. – Chrząknął i sięgnął po kieliszek. – My już nie wyjedziemy.

Justyna popatrzyła na niego spod oka.

– Ale moglibyśmy się stąd wyprowadzić – rzuciła nieoczekiwanie.

Zdenerwował się. To nie była odpowiednia chwila na takie rozmowy.

– Może nie teraz? – powiedział ostrzej, niż zamierzał, wskazując oczami Agatę.

– A dlaczego nie? – odparła równie ostro. Wino musiało jej uderzyć do głowy, bo na trzeźwo nigdy by sobie nie pozwoliła na taki ton w obecności córki. Ta przyglądała się im zdziwionymi oczami, nie rozumiejąc, o czym mowa. Justyna odwróciła się do niej.

– Ojciec zaparł się i nie chce się stąd wynieść – wyjaśniła. I dodała przedrzeźniająco: – „To mój dom, moje miejsce, nie ruszę się stąd”.

Poczuł, że krew uderza mu do głowy.

– Przestań, dobrze? – warknął. – Agata przyjechała, a ty się chcesz ze mną kłócić?! – Z całej siły powstrzymywał się, aby nie wybuchnąć.

Córka dostrzegła jego wzburzenie. Poklepała go uspokajająco po ręce.

– A dlaczego mamy o tym nie mówić, tato? W końcu to ważna sprawa. – Wpatrywała się w niego intensywnie, jakby chcąc go zahipnotyzować. Gdy stwierdziła, że się odprężył, zwróciła głowę do Justyny. – Ale uważam, że tata ma rację. Niby z jakiej racji macie się wynosić z własnego domu?

Zdziwił się. W domowych sporach zwykle brała stronę matki, która wydawała się teraz równie zaskoczona jak on.

– Pomieszkałabyś kilka dni, tobyś zrozumiała – westchnęła po chwili.

– No to ja z kolei nie bardzo rozumiem, dlaczego nie złożycie skargi na policji – stwierdziła Agata zdecydowanym tonem.

Musiał przyznać, że zmieniła się w tym Londynie, nabrała pewności siebie. Ale w tym momencie wcale nie był z tego zadowolony.

– Przecież to przestępstwo. Zakłócanie miru domowego – tak to się chyba nazywa.

Westchnął w duchu. Czekająca go ciężka przeprawa. Dwie na jednego.

– Ojcu jakoś nigdy nie wpadło to do głowy – odpowiedziała Justyna z przekąsem w głosie.

Żachnął się. Już miał jej powiedzieć, że owszem, wczoraj wieczorem wpadło, ale zrezygnował.

– Bo wiem, że to nic nie da – odparł krótko, patrząc Agacie prosto w oczy.
– Dawno cię nie było, to już zapomniałaś, jak w Polsce działa policja. Od twojego wyjazdu nic się pod tym względem nie zmieniło.

– Spróbować zawsze warto – mruknęła w odpowiedzi.

Zniecierpliwił się.

– A niby po co? Przyjadą, spiszą, upomną, w najlepszym razie skierują sprawę do sądu grodzkiego. Za rok odbędzie się rozprawa, sąsiedzi może dostaną trzystuzłotowy mandat, mamusia za nich zapłaci i dalej będą robić swoje.

– Nie wiadomo – odezwała się w zamyśleniu Justyna.

Robił się coraz bardziej zdenerwowany, ale udało mu się opanować.

– Myślisz, że to by ich czegoś nauczyło? – spytał drwiąco. – Bardzo wątpię. Zresztą, teraz tak mówisz, a przecież równie dobrze sama mogłaś zadzwonić.

Wzruszyła ramionami.

– Uważałam, że takie rzeczy ty powinienes załatwiać.

Nie dodała: „To sprawa dla mężczyzny”, ale to zdanie zawisło nad stołem. Westchnął ciężko. Na to nie miał zbyt wielu argumentów.

– Dla mnie wzywanie policji to ostateczność – powiedział w końcu.

– Ale dlaczego, tato? – Córka patrzyła na niego ze zdziwieniem. – Przecież to nie są zomowcy ze stanu wojennego. To jest normalna służba państwowa, która ma normalnych ludzi chronić przed takimi lumpami.

Machnął tylko ręką.

– Tak, teoretycznie – mruknął i spojrzał na nią z lekką irytacją. – Ciebie jednak długo nie było. Poza tym oni są cwani. Poza jednym wyjątkiem po dziesiątej był już spokój. Z punktu widzenia przepisów trudno się do nich przyczepić.

Pokiwała głową w milczeniu, jakby wreszcie przyznawała mu rację. Nawet Justyna tym razem nie zakwestionowała jego słów. Wstał z miną zwycięzcy, zabrał pustą butelkę ze stołu i sprawnie otworzył następną.

– Tu jest jednak zupełnie inaczej – odezwała się w zamyśleniu Agata, bawiąc się kieliszkiem z resztką wina. – Wiecie, jak tam to działa? Mam sąsiadkę, Aris, taką sympatyczną Hinduskę, która pracuje w banku. Czasami wpadamy do siebie, pijemy herbatę, gadamy. Można powiedzieć: dobra znajoma. – Przerwała na moment, po czym kontynuowała: – W któryś piątek

zrobiłam imprezę dla ludzi z redakcji. Było dosyć głośno, ale znowu nie aż tak strasznie, w Polsce bywało znacznie ostrzej, zwłaszcza gdy was nie było w domu. – Uśmiechnęła się chytrze. – I nagle, o północy, dzwonek. Wchodzi dwoje policjantów i mówią, że sąsiedzi się skarżą na hałas. Okej, ściszyliśmy muzykę. Następnego dnia idę do tej mojej Aris i pytam: „Czemu sama do mnie nie przyszłaś i nie powiedziałaś, że ci przeszkadzamy, tylko od razu na policję?”. A ona, zdziwiona: „Ale dlaczego ja miałam ci zwracać uwagę, przecież policja jest od tego”.

Zapadła cisza. Wszyscy troje zadumali się nad tymi zaskakującymi różnicami kulturowymi. Henryk jako pierwszy wyrwał się z zamyślenia.

– Może była zła, że jej nie zaprosiłaś? – zaryzykował żarcik.

Agata uśmiechnęła się uprzejmie.

– Tak czy inaczej, uważam, że powinniście spróbować – stwierdziła z przekonaniem.

Westchnął. Czy ta rozmowa nigdy się nie skończy? Już myślał, że temat został wyczerpany, a tu znowu.

– To nic nie pomoże, córuś – powiedział ze znużeniem. To może tylko zaszkodzić. Dla nich to będzie jak wywołanie wojny.

– Jakiej wojny? – zdziwiła się.

Wzruszył ramionami, jakby to było oczywiste.

– Tak to potraktują – wyjaśnił z hamowanym zniecierpliwieniem. – Tu jest wieś, Agatko. Tu się tak nie załatwia spraw.

– A jeśli nie można inaczej? – upierała się.

– Nic to nie da. – Pokręcił głową. – Potem będą nam jeszcze bardziej uprzykrzać życie.

– Jeszcze bardziej? – wtrąciła sarkastycznie milcząca dotychczas Justyna. – Nie bardzo to mogę sobie wyobrazić.

Spojrzał na nią chłodno.

– To spróbuj. Zawsze można bardziej. Głośniej wrzeszczeć, głośniej puścić muzykę, rozbić więcej butelek o ścianę.

Znowu zapadła cisza. Agata patrzyła na niego z niedowierzaniem.

– No to faktycznie, lepiej nic nie robić – powiedziała drwiąco.

Rozzłościł się na dobre.

– Tobie to łatwo mówić – burknął. – Ale ty sobie wyjedziesz do Londynu, a my tu zostaniemy.

W tym momencie – jak na wybawienie, bo nie chciał już ciągnąć tej

rozmowy – zadzwoniła jego komórka. Poszedł do salonu, gdzie zostawił ją na stoliku, i zerknął na wyświetlacz. Znowu Jawecki. Przeprosił z nieco obłudnym uśmiechem i wszedł na górę, do gabinetu, aby spokojnie porozmawiać.

Jawecki, jak się okazało już po pierwszych zdaniach rozmowy, tym razem znajdował się w euforycznej fazie: „Przeczytałem jeszcze raz i czuję, że to będzie bomba! – krzyczał. – Absolutna bomba, panie profesorze! Ta praca będzie miała fundamentalne znaczenie dla metodologii badań terenowych!”. Powściągając jego entuzjazm, przerwał mu oschłym stwierdzeniem, że „aż tak dobrej myśli by jednak nie był. Zresztą – dodał po chwili – przeczytam ją dzisiaj jeszcze raz...”. – Jak się spodziewał, Jawecki natychmiast stracił pewność siebie. „Może lepiej nie, panie profesorze” – bąknął, a Henryk uśmiechnął się w duchu. „Proszę się nie obawiać, czytałem wystarczająco dużo razy, żeby wiedzieć, że nie jest aż taka wybitna, ale z pewnością bardzo dobra”. Usłyszał w słuchawce głośne westchnienie ulgi. Nie chciał już dłużej manipulować nastrojami doktoranta, więc po kilku zdawkowych uwagach o składzie komisji zakończył rozmowę.

Gdy schodził na dół, usłyszał, że Justyna i Agata rozmawiają o czymś z ożywieniem; wydawało mu się, że padło słowo „ojciec”. Przystanął na żalomie schodów i wy tężył słuch. Tak, nie mylił się – mówiły o nim.

– Czego on się tak boi? – pytała z irytacją w głosie Agata.

Z kuchni dobiegło głośne westchnienie Justyny.

– Wiesz, ojciec zawsze był taki mało konfrontacyjny. Unika konfliktów. No, taką ma naturę. To samo było w stanie wojennym. Jego koledzy z instytutu udzielali się, stawiali się czerwonemu, a on nic, siedział w tej swojej metodologii, głowy nie wystawiał. No, kilka razy ładnie się zachował: bronił studentów, jakieś listy podpisał, ale generalnie był bierny, nie sprzeciwiał się. Zresztą potem żałował.

Słuchając tego syntetycznego opisu swojej ówczesnej postawy, nie mógł odmówić mu trafności. Justyna dobrze go znała. Nie podobało mu się jednak, że obgaduje go przed córką.

– Tak? – zainteresowała się Agata.

Schodek, na którym stał, nagle zaskrzypiał. Znieruchomiał, cofnął się ostrożnie, aby znaleźć się poza zasięgiem ich wzroku.

– Sam mi powiedział, jak kiedyś o tym rozmawialiśmy – usłyszał głos Justyny.

Nie przypominał sobie tej rozmowy. Ale wykluczyć jej nie mógł.

– Wiesz, ci jego koledzy z uczelni zostali potem ministrami, ambasadorami, dyrektorami – ciągnęła Justyna. – A on utknął na tej swojej posiadce uniwersyteckiej, nikt się do niego nie zgłosił. Chociaż w tym, co robi, jest niewątpliwie fachowcem.

– W tym, co robi, tak – zgodziła się Agata. – Ale widzisz go jako ministra?
– Roześmiała się. Justyna jej zawtórowała. Przez chwilę chichotały.

Poczuł, że zalewa go fala gorąca.

– Nie, nie bardzo – przyznała Justyna, gdy już zapas wesołości im się wyczerpał. – Ale i tak go zabolalo, że nic mu nie zaproponowali. Powiedział, że żałuje, że się bardziej nie zaangażował. Tłumaczył się, że nie wierzył, że się pomylił... – Znów głośno westchnęła. – Ale, jak widzisz, nie wyciągnął z tego wniosków.

Nie chciał już dłużej tego słuchać. Postanowił się ujawnić, by już przerwać tę serię kpin i docinków, choć najbardziej miał ochotę pójść do sypialni, zamknąć za sobą drzwi i zakryć głowę poduszką. Zaczął ostentacyjnie głośno schodzić po schodach. Agata uniosła głowę, dostrzegła go.

– No cóż, nie będę się wtrącać – zwróciła się do Justyny. – To wasze życie.
Justyna kiwnęła tylko głową.

Usiadł ciężko na krześle, udając, że nic nie słyszał, i licząc, że nie zdradzi go rumieniec na twarzy. Przez chwilę przy stole panowała cisza. Odchrząknął.

– A co tam u ciebie? – zwrócił się do córki, starając się, aby zabrzmiało to lekko i bez troski. – Wszystko w porządku?

Twarz Agaty się rozjaśniła. Wydawało się, że córka czekała na to pytanie.

– No, nawet bardziej niż w porządku. Awansowałam na szefa działu – powiedziała z dumą.

– No, brawo! – zawołał z nieco fałszywym entuzjazmem. – Trzeba było nas uprzedzić, kupilibyśmy szampana.

Uśmiechnęła się, unosząc kieliszek i dając do zrozumienia, że wino wystarczy. Atmosfera się rozluźniła. On też nieco się odprężył, choć w uszach wciąż dźwięczały mu usłyszane przed chwilą słowa.

– I co teraz robisz? – spytała Justyna.

Agata uśmiechnęła się szelmowsko.

– Właściwie nic nie muszę robić – odparła lekko. W jej głosie brzmiała satysfakcja. – Akceptuję tylko projekt okładki, layout, układ stron. I to

wszystko. Dobrze mi idzie to nicnierobienie. Jak tak dalej pójdzie, to jeszcze przed wakacjami przejdę do poważniejszego pisma, oczywiście w ramach koncernu.

Miała rozjaśnioną twarz, w oczach iskiereki. Wyglądała na naprawdę szczęśliwą. I chyba nie fantazjowała z tymi swoimi sukcesami. To byłoby do niej niepodobne. Justyna uśmiechnęła się.

– No to świetnie.

Henryk ujął kieliszek.

– Twoje zdrowie.

Tręcili się we trójkę z głośnym brzdęknięciem. Henryk wypił duży łyk wina. Odstawił kieliszek i poczuł, że ciężar, jaki nałożyła na niego podsłuchana rozmowa, lekko zelżał.

– A jak z Nigelem? – Justyna pytała dalej.

Córka uśmiechnęła się figlarnie.

– Spoko... – odparła. Nie zapomniała języka swojej młodości. – Nie jest to już taka wielka namiętność jak na początku, ale fajnie się czujemy ze sobą. Jest okej.

– Chwała Bogu, że chociaż **tobie** się dobrze wiedzie – skomentowała Justyna.

Henryk spojrzał na nią niechętnie. Nie podobała mu się ta aluzja. Zapowiadała recydywę tematu. Agata jednak jakby jej nie usłyszała albo nie zrozumiała. W milczeniu myślała nad czymś, kręcąc kieliszkiem i wpatrując się w wirującą na dnie złocistą ciecz. Nagle uniosła głowę i omiotła ich szybkim spojrzeniem.

– Taaak. No i właśnie... – Zawahała się, po czym wzięła głęboki oddech. – Chciałam wam powiedzieć, że zostaję.

Zapanowała cisza. Głęboka, dźwięczna. Gęsta jak biała farba. Henryk poczuł, jak uchodzi z niego powietrze. Był wstrząśnięty. „Choć właściwie – pomyślał po chwili – wszystko prowadziło do takiego rozwiązania”. Praca, w której się realizowała. Udany związek. I właściwie... czy nie liczyli się z tym już wtedy, gdy jej samolot startował, a oni stali w remontowanej hali odlotów? Czy nie przypuszczali, że tak to się skończy? Więc w sumie nie powinien być tak bardzo zaskoczony. Gdy opowiadała, jak jej się świetnie powodzi w Londynie, z tyłu głowy zaczęła mu się wykluwać myśl, że przygotowuje ich psychicznie do ogłoszenia tej nowiny.

– To znaczy? – odezwała się niepewnie Justyna. Jej głos brzmiał głucho,

jakby wydobywał się z głębokiej studni.

Agata poruszyła się niespokojnie. Mimo to wyglądała na zdeterminowaną.

– Zostaję w Londynie – powtórzyła zdecydowanym głosem. Twarz miała poważną. – Nie wracam do Polski. Właściwie przyjechałam głównie po to, żeby wam to powiedzieć.

Gdy pierwszy szok już minął, Henryk postanowił się wtrącić.

– Ale jak to? – wyjąkał. Dopiero po własnym głosie poznał, jak bardzo jest zdenerwowany. – Miałaś pojechać na kilka lat, postudiować, popracować, odłożyć coś sobie i wrócić.

Popatrzyła na niego spokojnie.

– Taki był plan – wyjaśniła rzeczowo. – Ale plany się zmieniają. Wątpię, żebym dostała taką fajną pracę w Polsce. Nigela też przecież tu nie zabiorę, raczej by się nie odnalazł. A poza tym... no, chyba odzwyczaiłam się od... no, takich sytuacji, jaką wy na przykład teraz macie. Tam się czuję i swobodnie, i bezpiecznie. Tu musiałabym wybierać.

Brzmiało to trochę enigmatycznie, ale logicznie. Pomyślał, że dobrze przygotowała się do tej rozmowy. Jak aktorka, która porządnie przećwiczyła kwestię.

Znów zapadło milczenie. Justyna dopiła wino. Henryk uzupełnił jej kieliszek. „Czy naprawdę powinienem być zaskoczony?” – powtarzał sobie, i nie umiał na to pytanie odpowiedzieć.

– No tak – westchnęła Justyna, patrząc przed siebie, gdzieś w przestrzeń.

Henryk wyprostował się na krześle. Odchrząknął.

– No cóż, trochę nas zaskoczyłaś – powiedział niepewnie. Nie wiedział, co dalej mówić.

Agata spojrzała na niego, potem przeniosła wzrok na matkę i nieoczekiwanie się uśmiechnęła.

– Nie róbcie takich smutnych min – odezwała się żartobliwym tonem. – Przecież będę przyjeżdżać.

– To nie to samo – zauważył.

Nic na to nie odpowiedziała. Postanowił iść za ciosem.

– Poza tym to się tylko tak mówi. Najpierw może przyjedziesz raz czy dwa razy, potem będziesz wpadać coraz rzadziej, aż w końcu przestaniesz. – Westchnął ciężko. – Ale, no cóż, to twoje życie. – Wypowiedzenie ostatnich słów przyszło mu z trudem. Czy mieli jednak wybór? Przecież nie mogli zatrzymać jej siłą ani paść przed nią na kolana i błagać, by wróciła do Polski.

Z drugiej strony wiedział, że w ten sposób niejako akceptuje jej decyzję.

Nie spodziewał się jednak aż tak radosnej reakcji. Agata zerwała się z krzesła i cmoknęła go w policzek. Przemknęło mu przez myśl, że może niepotrzebnie pośpieszył się z tym ojcowskim błogosławieństwem. A gdyby jednak się sprzeciwił?

Córka opadła z powrotem na krzesło. Uśmiechnęła się szeroko.

– Dzięki – powiedziała. – I nie martwcie się. Teraz jesteście zaszokowani, ale jak to spokojnie przemyślicie, to sami uznacie, że to dobra decyzja. – Urwała nagle i spojrzała na zegarek. – O rany, muszę już iść.

– Już? – zdziwiła się Justyna. – Myślałam, że zostaniesz na noc.

Agata pokręciła głową.

– Nie, umówiłam się z kumpelkami w jakimś nowym klubie na Powiślu. Robią imprezę na moją cześć.

Henryk popatrzył na nią z irytacją. Najpierw ogłasza im decyzję o zasadniczym życiowym znaczeniu, a potem spokojnie sobie wychodzi, jakby nigdy nic. Oni będą się gryźli tym, co usłyszeli, a ona będzie się bawić. Nic jednak nie powiedział.

– A jak pojedziesz? – spytała rzeczowo Justyna. Też chyba uznała, że nie ma sensu protestować. Ani w tej sprawie, ani tamtej, daleko poważniejszej.

– Autobusem. Chyba jeżdżą jeszcze, nie?

„Autobus? Średni pomysł o tej porze”.

– Może Czapski będzie akurat w domu? – mruknął.

Wyjął komórkę i wybrał numer sąsiada taksówkarza. Gdy czekał na połączenie, pomyślał, że ostatecznie on sam mógłby odwieźć Agatę, przynajmniej na przystanek. Tylko że na pewno spotkałoby się to ze sprzeciwem Justyny, która nie zgadzała się na prowadzenie samochodu nawet po najmniejszej ilości alkoholu, a on miał w sobie ponad pół butelki wina. Poza tym drogówka w Grabówku była czujna i lubiła się ustawiać w nieoczekiwanych miejscach.

Po drugiej stronie odezwał się Czapski, ale okazało się, że ma nocną zmianę i właśnie jedzie realizować zamówienie na Ursynów. Dowiedziawszy się, o co chodzi, wydawał się autentycznie zmartwiony. „Gdyby wcześniej pan powiedział, tobym panienkę odwiózł” – powiedział z żalem w głosie. „No myślę”. – Henryk uśmiechnął się z przekąsem. „Kurs do Warszawy o tej porze to nie w kij dmuchał, siedem dych najmarniej”. Podziękował mu jednak za gotowość i się rozłączył.

– Odprowadzę cię na przystanek – zdecydował.
Agata uśmiechnęła się z wdzięcznością. Chyba właśnie na to liczyła.
– Czyli... Nie wracasz już dzisiaj? – ni to spytała, ni to stwierdziła Justyna.
Córka popatrzyła na nią jak na nierozgarnięte dziecko, które zadaje głupie pytania.
– Nie, no jak? Będę się tłukła taksówką po nocy? Ile by to kosztowało?
Umówiłam się z Weroniką, że się u niej prześpię.
– Ale zobaczymy się jeszcze przed twoim wyjazdem?
W głosie Justyny był wyraźny sarkazm. Agata to wyczuła.
– No jasne – odparła, wzruszając ramionami. – Wrócę jutro koło południa.
– Po czym podziękowała i szybko pobiegła na górę, żeby przygotować się do wyjścia.

Zostali na dole sami. Justyna dała mu wzrokiem do zrozumienia, żeby wstrzymał się na razie z rozmową o pomyśle córki, wstała od stołu i zaczęła zbierać talerze. On również wstał i podszedł do kredensu, gdzie wisiał wydruk z rozkładem jazdy autobusów. Najbliższy odjeżdżał dopiero za pół godziny, więc nie musieli się śpieszyć. Przeszedł do dużego pokoju, przykląkł przed kominkiem i zaczął rozpalać ogień. To zawsze go uspokajało. Polana szybko chwyciły płomień, który wystrzelił w górę, a z wnętrza komina wydobył się głośny szum, jakby ktoś włączył mechaniczną wentylację. Ciąg był mocny. Z kuchni dobiegał odgłos zmywania naczyń.

Zamknął drzwiczki i usiadł ciężko w fotelu. Tak się cieszyli na jej wizytę, a ona taki numer im wycina. Życie jest jednak bardzo złośliwe.

Kiedyś wyobrażał sobie, że po powrocie z Londynu Agata kupi sobie mieszkanie, wyjdzie za męża, urodzi dziecko i całą rodziną będzie ich co tydzień odwiedzać w Grabówku, a raz na jakiś czas on z Justyną złożą im wizytę w Warszawie. Będą często rozmawiać. Radzić się, pomagać sobie nawzajem. Tymczasem nic z tego. Poczuł gwałtowny przypływ żalu. Jakby twardy kamień rósł mu w piersiach. Westchnął głęboko i ucisk w środku nieco zelżał. Zapatrzył się w ogień, który teraz płonął nieregularnie, to wznosząc się, to opadając. Otworzył drzwiczki i pogrzebaczem poprawił nierówno ułożone polana. Płomień się wyprostował.

Usłyszał szybki tupot na schodach i obrócił głowę. Agata przebrała się wieczorowo: luźny żakiet, bluzka z dekoltem, kusa spódniczka. Justyna lekko się skrzywiła.

– Nie będzie ci zimno? – spytała.

Agata nie złapała aluzji. Nie była w tym mocna.

– Mam przecież grube rajstopy – odparła bez troski. Podeszła do matki i cmoknęła ją w policzek.

– To pa, mamó. I nie martw się. Ja jestem tam naprawdę szczęśliwa.

Justyna nic nie odpowiedziała. W milczeniu, z wyjątkową starannością, układała talerze na suszarce.

Podniósł się sprzed kominka.

– Możemy już iść – mruknął. Agata zaczęła się metodycznie ubierać, jakby dosłownie potraktowała sarkastyczną uwagę matki: polarowa bluza pod spód, narciarska kurtka na wierzch, szyja opatulona szalikiem, na głowie gruba czapka, a na nią nałożone te śmieszne, czerwone nauszники. Wyglądała jak polarnik, ale i tak, gdy wyszli na zewnątrz, wzdrygnęła się z zimna. Rzeczywiście się odzwyczała. Nie było więcej niż osiem stopni.

Zamykając za sobą drzwi, zerknął w okna sąsiadów. Wciąż były ciemne; musieli gdzieś wyjść na wieczór. „A siedźcie tam jak najdłużej” – pomyślał.

Ruszyli w stronę Piłsudskiego, głównej ulicy Grabówka, przy której znajdował się przystanek podmiejskiego autobusu. Noc była ciemna, księżyc chował się gdzieś za chmurami. Wokół panowała cisza. Śnieg pod butami chrząścił jak potłuczone szkło. Szli w milczeniu. Henryk chciał ją zagadnąć o pozostanie w Londynie – o czym innym mieliby teraz rozmawiać? – ale nie wiedział, od czego zacząć. Miał w głowie pustkę. Agata też się nie odzywała.

– Z tymi dojazdami zawsze był kłopot – mruknęła wreszcie.

Kiwnął głową. Ich wyprowadzka z miasta rzeczywiście pociągnęła za sobą pewne komplikacje. Agata chodziła do liceum w Warszawie, nie chcieli jej stamtąd zabierać, nie bardzo zresztą było gdzie, a dojazd (najpierw autobusem, potem tramwajem) zajmował jej godzinę. Kiedy mogli, odwozili ją, ale nie zawsze dawało się skoordynować terminy. Jeszcze większy problem powstawał wieczorami, gdy się gdzieś wypuszczała, bo nie bardzo chcieli, by wracała sama po nocy – linia, zwłaszcza w weekendy, uchodziła za niebezpieczną. Jedynym rozwiązaniem wydawało się zrobienie przez nią prawa jazdy, ale jako kierowca wykazała się prawdziwym antytalentem i po czterokrotnym podejściu do egzaminu zrezygnowała, pogodziwszy się z tym, że należy do dziesięciu procent populacji niezdolnej do prowadzenia samochodu. W efekcie dość często nocowała w Warszawie, co z kolei niezbyt podobało się Justynie.

Westchnął w duchu – dawne problemy w porównaniu z obecnymi wydawały mu się śmieszne. Ale wtedy wiele godzin stawali z Justyną, szukając jakiegoś rozwiązania.

Z naprzeciwka szedł jakiś pijak, zataczając się i gniewnie monologując pod nosem. Z tej odległości nie było słychać słów, ale brzmiały agresywnie. „Dobrze, że ją odprowadzam” – pomyślał. Zatopiona w myślach Agata zdawała się jednak w ogóle nie widzieć zbliżającego się mężczyzny.

– Chyba dlatego jakoś nigdy nie polubiłam tego domu – odezwała się znowu. – Jak mieszkaliśmy w bloku, przynajmniej wszędzie miałam blisko. Kluby, kina, koleżanki. A tu – odludzie, koniec świata. Jak już wróciłam, nie chciało mi się nigdzie ruszać.

„No, czasem się jednak ruszałaś” – pomyślał. Ale nic nie odpowiedział. Nie miało to teraz znaczenia.

– To może dziwne – Agata ciągnęła w zamyśleniu – ale jak tęsknię za Polską, to nie za tym domem, lecz za tym naszym blokiem, trzepakiem, ławką...

– Już tak nie mitologizuj – mruknął.

– Co ja poradzę. – Rozłożyła bezradnie ręce w żartobliwym geście. – Nostalgia to dziwna sprawa. Nie da się nią kierować.

– Często tęsknisz?

– Nie.

Umilkli oboje. Pijak szczęśliwie skręcił w jakąś furtkę i zniknął w ciemności. Zaczął sypać drobny śnieg, płatki wirowały w świetle latarni. Były tak małe, że przypominały konfetti. Agata szła szybkim krokiem. Ledwo za nią nadązał, ale wstydził się poprosić, żeby zwolniła. W końcu jednak musiał to zrobić.

– Nie musimy się tak śpieszyć – wysapał. – Autobus będzie dopiero za siedem minut. Nie ma potem sensu stać na przystanku i marznąć.

Uśmiechnęła się domyślnie, ale posłusznie zwolniła. Zresztą mieli już blisko. Widać było światła nocnego sklepu na rogu Piłsudskiego i kilka chwiejących się przed nim sylwetek. „Dziś piątek” – przypomniał sobie.

– Jesteś już całkowicie zdecydowana? – spytał po chwili. Bez większej wiary, że zaprzeczy. Ale musiał się chwycić tej ostatniej deski ratunku.

– Tak – odparła krótko. – No, może gdyby zdarzyło się jakieś nieszczęście... Ale chyba mi tego nie życzysz?

– No wiesz! – obruszył się.

Dotknęła jego ramienia.

– Żartowałam.

Był przesądny, więc żart niespecjalnie mu się spodobał. Po chwili skręcili w Piłsudskiego. Dwóch meneli pod nocnym sklepem pociągało na przemian wódkę z małej, setkowej piersiówki. Napotkawszy wzrok Henryka, zmierzili go uważnym, taksującym spojrzeniem, jakby się zastanawiając, czy da się go naciągnąć na bezzwrotną pożyczkę. Uznali jednak, że szanse są niewielkie, bo odwrócili głowy i wrócili do flaszki.

Wciąż milcząc, podeszli na przystanek. Pod zniszczoną, pokrytą grzybami wiatą stało kilka osób. Przytulona do siebie para nastolatków kołysała się na chodniku w jednostajnym tańcu, próbując się ogrzać. Chuda kobieta w okularach, wyglądająca na nauczycielkę, przyglądała się im krytycznie. Z boku jakiś wąsaty mężczyzna palił papierosa. „Na takim zimnie?” – zdziwił się Henryk. No, ale nie jego gardło, nie jego płuca, nie jego sprawa.

Zatrzymali się kilka kroków od wiaty. Ulicą pociągnął lodowaty wiatr. Agata się skuliła.

– No dobrze – mruknął. – Jeszcze będziemy mogli o tym porozmawiać.

Nie bardzo w to wierzył ani w to, że taka rozmowa mogłaby cokolwiek dać. Agata zapewne też nie – milczała dyplomatycznie. Postanowił zmienić temat.

– Powiedz mi jeszcze... – Zawahał się. – Ty naprawdę uważasz mnie za tchórza?

Zaskoczył ją. Popatrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

– Podśłuchiwałeś? – spytała po chwili z urazą w głosie.

– Nie. Słyszałem po prostu, jak schodziłem ze schodów. Trudno, żebym zatykał uszy.

Było to kłamstwo, ale Agata najwyraźniej uwierzyła w jego słowa. Wyglądała na zakłopotaną.

– No, uważam, że niepotrzebnie boisz się zawiadomić policję – odparła wymijająco. I szybko dodała: – Ale teraz, jak szliśmy, lepiej cię rozumiem. Tak tu ponuro. – Wzdrygnęła się.

„Miejskie dziecko” – pomyślał. Nigdy nie pozbędzie się głęboko tkwiącego lęku przed wsią, bezludnością, pustką. W londyńskim tłumie pewnie czuje się lepiej.

Z oddali widać już było światła zbliżającego się autobusu. Agata przywitała jego przyjazd z ulgą. Temat rozmowy wyraźnie ją krępował.

– Prześlij SMS, jak dojedziesz.

– Dobrze. – Uśmiechnęła się szeroko. Umawiali się tak zawsze, gdy jechała wieczorem sama, jeszcze jako licealistka, ale ten rytuał, powtórzony teraz wobec dorosłej, dwudziestokilkuletniej kobiety, wyraźnie ją rozbawił. Jego nie. Dla niego wciąż była dzieckiem. Dzieckiem, które wciąż łatwo było skrzywdzić.

Autobus się zatrzymał, pneumatyczne drzwi rozsunęły się z cichym psyknięciem. Agata odwróciła się do niego. Przytulił ją, pocałował w zimny policzek i lekko popchnął w kierunku pojazdu. Wskoczyła zgrabnie na stopień, pomachała na pożegnanie i przeszła do przodu, kupić bilet u kierowcy. Henryk omiół wzrokiem nielicznych pasażerów siedzących za oszronionymi szybami. To też był jego zwyczaj, gdy ją odprowadzał. Sprawdzał, czy w autobusie nie znajduje się jakiś podejrzany osobnik, który mógłby ją zaczepić albo w jakiś sposób jej zagrozić. Oczywiście nie miało to praktycznego znaczenia, bo przecież banda podpitych, agresywnych wyrostków mogła wsiąść choćby na następnym przystanku, ale czuł się spokojniejszy.

Silnik autobusu zawarczał głośno, z rury wydechowej wydobyła się chmura spalin i pojazd z głuchym stęknieniem ruszył. Henryk zdążył jeszcze zobaczyć, że Agata siada z przodu autobusu, tuż za kierowcą. Dobre miejsce, bezpieczne. No chyba żeby doszło do wypadku, ale taka ewentualność była raczej teoretyczna.

Chwilę patrzył za oddalającymi się czerwonymi światełkami ikarusa, po czym odwrócił się i pomaszerował z powrotem, w kierunku domu. Skopiowanie sytuacji sprzed lat, z czasów, gdy jego córka była jeszcze nastolatką, wprawiło go w melancholijny nastrój. „To już nie wróci, to nigdy nie wróci” – pomyślał. Dzieci odchodzą tylko w jedną stronę. I to właśnie w ten sposób: najpierw stopniowo, powoli, małymi kroczkami, a potem dają raptownego susa i już ich nie ma.

W miarę jak szedł, zastanawiając się nad decyzją Agaty, jego smutek narastał. Nie kwestionował sensowności jej pomysłu, miała racjonalne powody, aby zostać na Zachodzie, ale co z tego? Czuł się zdradzony i opuszczony. Zostaną teraz z Justyną sami i w końcu życia będą zdani wyłącznie na siebie. I praktycznie nie będą mieli wnuków. Nie tęsknił wcześniej za nimi, ale świadomość, że będą to obce, żyjące w innym świecie dzieciaki, dla których z kolei oni będą tylko parą egzotycznych i mówiących

dziwnym językiem staruszków, których czasami odwiedza się w wakacje, stała się teraz nie do zniesienia.

Pogrążony w niewesołych rozmyślaniach, nie zauważył nawet, jak znalazł się pod domem. Dopiero teraz poczuł ciężar w nogach i ogarniające go zmęczenie. Dawno nie był na spacerze, w ogóle stronił ostatnio od wysiłku fizycznego. Znów przypomniał sobie, że musi wzmocnić kondycję przed wyjazdem na narty.

Przechadzka miała jednak dobrą stronę: wypity alkohol wywietrzał mu z głowy i umysł miał już całkiem jasny, co nie było bez znaczenia w perspektywie nieuniknionej rozmowy z Justyną. Wszedł przez garaż i niemal od progu muzyka zwała się na niego jak kamienica. Justyna odsłuchiwała płytę z boxu od Agaty; siedziała na kanapie z przymkniętymi oczami, zasłuchana w to unoszącą się, to opadającą falę dźwięków. Westchnął – jeszcze i to! Rozebrał się w przedpokoju, począpał do kuchni i nastawił elektryczny czajnik. Czekał, aż woda się zagotuje, próbował wczuć się w dobiegającą z pokoju muzykę, ale jak zwykle mu się nie udało. Na ten rodzaj artystycznych doznań był kompletnie głuchy.

Czajnik szczęknął, jakimś cudem przebijając się przez ścianę dźwięków. Henryk zalał sobie herbatę i z parującym kubkiem w ręku usiadł obok Justyny. Nie próbował już słuchać muzyki, gapił się tylko przy jej akompaniamencie na tańczący w kominku ogień. Na szczęście płyta skończyła się szybko. Zapadła cisza. Postanowił ją przerwać.

– Co o tym myślisz? – spytał ostrożnie.

– To zależy o czym – odparła Justyna z ociąganiem.

„No przecież nie o symfonii” – pomyślał, ale nic nie powiedział, czekał.

Wyłączyła pilotem odtwarzacz.

– Cóż, trochę mnie dotknęło, że o czymś tak ważnym mówi nam w przelocie, śpiesząc się na spotkanie – powiedziała, nie patrząc w jego stronę. – To trochę lekceważące.

Zniecierpliwił się. Przecież nie o tym mieli rozmawiać.

– No dobrze, ale jeśli chodzi o... – zaczął.

– To było do przewidzenia – przerwała mu. – Jak się zasmakuje lepszego świata, to już się nie chce wracać do gorszego.

Zaskoczyła go. Spodziewał się, że będzie zrozpaczona, oburzona, że zacznie protestować, a tymczasem wydawała się spokojna i całkowicie pogodzona z planami córki.

– Lepszego? Zależy pod jakim względem – mruknął.

Popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

– A pod jakim względem Polska dorównuje Anglii? – spytała z irytacją. – Pokaż mi choć jedną dziedzinę. Jak żyliśmy w PRL-u, to nie czuliśmy się gorsi od Zachodu, bo to był tak inny świat, że nie było sensu się porównywać. Teraz młodzi już mogą, bo tu i tam jest z grubsza tak samo. I widzą, że tu wszystko jest jednak gorsze, brzydsze, zapóźnione, że jesteśmy jakąś pokraczną karykaturą Zachodu. I nie chcą czekać, aż go dogonimy.

Nie mógł temu zaprzeczyć. Nie czuł się też nigdy dobrze w roli obrońcy Polski i polskości. Ale choć miał wrażenie, że cała ta dyskusja jest jakaś zastępcza, to ciągnął ją dalej.

– To prawda. Ale tam zawsze będzie „foreignerem”, kimś z zewnątrz.

Wzruszyła ramionami.

– Teraz tam prawie wszyscy są z zewnątrz. Znajdź mi rodowitego Anglika w Londynie.

– Ale mimo wszystko – upierał się. – Tu ma przyjaciół, i to takich, jakich tam nigdy nie będzie mieć. Prawdziwe przyjaźnie zawiązuje się do osiemnastego roku życia, potem są tylko bliższe znajomości. No i tu ma nas.

Spojrzała na niego z politowaniem.

– A do czego my jej jesteśmy potrzebni? Obudź się. To dorosła, samodzielna kobieta, my jej do szczęścia nie jesteśmy potrzebni.

Była to trzeźwa uwaga, na którą nie znalazł odpowiedzi. Znów zapatrzył się w ogień. Płomień wyraźnie opadł, Henryk wstał więc, sięgnął po polano i wrzucił je do kominka. Sypnęło iskrami.

– To było do przewidzenia już wtedy, gdy wyjeżdżała – powiedziała w zamyśleniu Justyna.

Tak, jemu to pół godziny temu też przyszło do głowy. Musieli się liczyć z taką ewentualnością.

Wrócił myślami do miesięcy poprzedzających jej wyjazd. To były ciężkie dla niej miesiące. Gdy przyszła do nich z wydrukowaną stroną londyńskiej szkoły plastycznej, twierdząc, że tylko tam się widzi i nie wyobraża sobie innego kierunku studiów niż grafika komputerowa, wiedział, że to tylko pretekst. W rzeczywistości chciała wyjechać z powodu tego cholernego Witka.

Kolega z liceum, pierwszy chłopak, pierwsza miłość. Zostawił ją dla dziewczyny z klubu, w którym oboje trenowali szermierkę. Henryk lubił

sobie żartować, że z takim zięciem to trzeba będzie uważać, bo w kłótni gotów przebić szpadą, ale gdy chłopak rzucił Agatę, nie było mu do śmiechu.

Była zupełnie załamana. Nikt jej nie przygotował na takie podstępne uderzenie ze strony życia. Nie wstawała z łóżka, a jak w końcu wstała, snuła się po domu jak widmo. I nic nie jadła. Przez tydzień straciła sześć kilo.

Pomagali jej wtedy, jak mogli. Zawodowe przygotowanie Justyny bardzo się wtedy przydało – codziennie urządzała jej coś w rodzaju sesji terapeutycznej, podsuwała jakieś ziołowe leki, zadawała ćwiczenia relaksujące. On też amatorsko ją wspierał niejako od drugiej, męskiej strony. Przychodził wieczorami, siadał obok tapczanu jak przy łóżku chorego i tłumaczył, że to jeszcze nie koniec świata; że niejedna jeszcze miłość przed nią i niejeden związek, choć teraz wydaje jej się to niemożliwe. I że może dobrze, że skończyło się to wszystko tak szybko, bo co by było, gdyby potrwało dłużej, a ona zaangażowała się jeszcze mocniej? I tak dalej, i tak dalej. Wygłaszając te wszystkie komunały, nie czuł się zresztą najzręczniejszym. Sam nie był święty i w młodości zostawił kilka dziewczyn. Teraz dowiadywał się od własnej córki, jak mogły się wtedy czuć, i ta świadomość nie była dla niego najprzyjemniejsza. Ale niezależnie od tego, jak banalnie ją pocieszał i jak mało oryginalnych udzielał jej rad, jego obecność zdawała się przynosić jej ulgę. Bardzo się wtedy do siebie zbliżyli.

Odwiedzały ją też przyjaciółki, zamykały się z nią w pokoju i gadały, gadały, gadały... Całymi godzinami. Po tygodniu wspólne wysiłki odniosły ten skutek, że przynajmniej zaczęła jeść. Nadal jednak nie chciała chodzić do szkoły, co bardzo go martwiło, bo był to gorący okres, zbliżała się matura. Ale ona tylko malowała, zawzięcie, całymi dniami, co miało przynajmniej tę zaletę, że jej teczka, przygotowywana na ASP, stawała się coraz grubsza. Justyna go pocieszała: przejdzie jej, nie chce chodzić do szkoły, bo tam będzie spotykać tego całego Witka, jego widok będzie ją bolał, ale w końcu się przełamie. I oczywiście miała rację.

Agata po kolejnym tygodniu wróciła do szkoły, zmobilizowała się też do nauki i maturę zdała bez problemów. Wciąż była przybita i milcząca, ale już zdarzały się jej momenty wesołości i cała sytuacja zdawała się wracać do normy. I wtedy nagle, zamiast składać papiery na akademię w Warszawie, wyskoczyła z tą londyńską uczelnią. „Niech jedzie – mówiła Justyna. – Zmiana otoczenia dobrze jej zrobi. Tam łatwiej wróci do równowagi, tu jej się wszystko kojarzy i przypomina”. Więc zgodzili się, choć studia nie były

tanie i właściwie nie było ich stać na taki wydatek, bo co miesiąc musieli spłacać kredyt. Cholera! Gdyby wtedy odmówili, nie byłoby dziś tej rozmowy i tego całego problemu.

– Może – mruknął. I dodał z nagłym rozdrażnieniem: – Czyli uważasz, że dobrze robi, tak?

– Nie powiedziałam, że dobrze robi – sprostowała Justyna. – Powiedziałam, że nie dziwię się jej. Ale gdyby tak się zastanović... – zawahała się – to myślę, że tak.

Był tak zaskoczony jej odpowiedzią, że zamilkł.

– A nie pomyślałaś o nas? – odezwał się po chwili.

Popatrzyła na niego pytająco.

– To znaczy?

Jego komórka dwukrotnie pisnęła, zawiadamiając o nadejściu SMS-a. Wyjął telefon z kieszeni i zerknął na wyświetlacz: „Jestem na miejscu”. Nie zapomniała o umowie.

– Agata. Dojechała – wyjaśnił, chowając komórkę. Wrócił do tematu: – No, że na przykład na starość zostaniemy sami?

– A co, ty... teraz myślisz o starości? – Roześmiała się. Wydawała się autentycznie rozbawiona.

– Mam pięćdziesiąt siedem lat. Muszę myśleć – odparł chłodno.

Nie była to prawda. W rzeczywistości starał się o tym nie pamiętać i świadomość nadciągającej starości udawało mu się wypierać całkiem skutecznie, ale w tym momencie jego słowa wydawały mu się na miejscu.

Justyna wzruszyła ramionami.

– Dla mnie jest ważne, żeby była szczęśliwa, a nie żeby się tutaj mordowała tylko po to, by zapewnić nam na starość opiekę. Żeby ktoś podał nam przysłowiową szklankę herbaty do łóżka. – W jej głosie zabrzmiał sarkazm.

– Dlaczego zaraz „mordowała”? – obruszył się Henryk. – Tu też mogłaby być szczęśliwa.

– Może i mogłaby – zgodziła się Justyna. – Ale to byłoby trudniejsze, a z pewnym typem wrażliwości prawie niemożliwe. Tu się zrobił dość paskudny kraj.

Nie mógł się z tym nie zgodzić.

– Tak, to wszystko prawda – westchnął. I dodał nagle z dziecinną szczerością: – Ale i tak mi smutno. Taki wyjazd na stałe to trochę jak śmierć.

Justyna wzdrygnęła się, jakby przeszedł ją prąd.

– Nie opowiadaj bzdur – odparła ostro. – Co to w ogóle za porównanie! Możesz z nią codziennie rozmawiać na Skypie, przez telefon, mejlować.

„Przecież to tylko substytuty” – chciał powiedzieć, ale się powstrzymał. Faktycznie, jego porównanie było głupie.

Justyna uśmiechnęła się nieoczekiwanie.

– Poza tym, sam kilka dni temu mi tłumaczyłeś, że wszystko się zmienia. Może teraz chce tam zostać, a za pięć lat postanowi wrócić. Nigdy nic nie wiadomo.

Racja! Próbował sobie wyobrazić taką sytuację. Może gdyby ten Anglik ją rzucił? Tak jak Witek kilka lat wcześniej. Ale to było raczej mało prawdopodobne. Nigel, początkujący dziennikarz sportowy, brzydka, rudzielec, którego kiedyś przywiozła do Polski na wakacje, wydawał się w niej ślepo zakochany. Z jej strony nie była to chyba wielka miłość, ale czuła się z nim miło i bezpiecznie. Szanse na to, że jej się znudzi, wydawały się niewielkie. Albo gdyby na przykład nie powiodło się jej zawodowo i została z dnia na dzień wyrzucona z redakcji. Szybko, brutalnie, niesprawiedliwie, bez dania racji – może by ją to zniechęciło do pracy na Zachodzie. Zresztą do tej pory nie rozumiał, jak jego córka, artystyczna dusza, odnajduje się w jakimś koncernie prasowym. Kiedyś ją nawet spytał, czy nie brakuje jej malarstwa. Wzruszyła ramionami i odparła, że maluje już tylko hobbystycznie, weekendowo, bo się z tego w Londynie nie utrzyma, a nie chce być zależna finansowo od Nigela. Zaś z tego, co mówiła dzisiaj, wynikało, że zajęcie grafika prasowego coraz bardziej jej się podoba i coraz lepiej sobie radzi. Jak by to zniosła, gdyby jej tę zabawkę odebrano?

Nagle się zawstydził. A więc do tego już doszło, że źle jej życzy! Jakież to egoistyczne i małoduszne! Gdy Agata spytała go żartobliwie pół godziny temu, czy chciałby, aby powięta jej się noga, zareagował z oburzeniem. A teraz...

Justynie chyba dokładnie to samo przyszło do głowy, bo zamachała rękami, jakby chciała odgonić jakieś głupie myśli. Milczeli przez chwilę. Ogień kołysał się miarowo w kominku.

– Mnie też zresztą jest smutno... – odezwała się cicho po chwili.

– Naprawdę? – Był trochę zaskoczony. Tak spokojnie i logicznie uzasadniała racje córki...

– A jak myślisz? Wiadomo, że mnie to nie uradowało. Ale nie będę przecież jej zatrzymywać na siłę. To jej życie, sam to przecież powiedziałaś.

Musiał się z tym zgodzić.

Pomyślał nagle, że wyjazd Agaty, a właściwie – jak mówili więziennicy – „niepowrót”, miał jedną dobrą stronę – zaczęli z Justyną ze sobą rozmawiać. Normalnie, tak jak kiedyś. Bo przez ostatnie dni co najwyżej wymieniali uwagi na temat stanu jego zdrowia.

Miał już jej o tym powiedzieć, gdy nagle ciszę zakłócił hałas dochodzący zza ściany. Słysząc było głośne trzaśnięcie drzwi i odgłosy wzbierającej jak fala kłótni. Państwo wrócili. Dobrze, że dopiero teraz, pomyślał. Dobrze, że Agata nie będzie musiała tego słuchać

Nastawił uszu. Głosy sąsiadów były już teraz wyraźne. Mówiła głównie ona, z pretensją w głosie. Chodziło o jakieś wesele, na którym tamten miał zagrać.

– Heniek da ci szansę – powtórzyła dwukrotnie.

– A odpierdol się z tym Heńkiem! – ryknął tamten w odpowiedzi. – Nie mogę już grać! Ręce mi latają! I ty, kurwa, dobrze o tym wiesz!

Krzyczał z całych sił. Słysząc było wyraźnie każde słowo.

– Powrót do rzeczywistości – westchnęła Justyna.

Nie odpowiedział.

– To co, kurwa, będziesz robił?! – zajazgotała tamta.

Sąsiad w odpowiedzi trzasnął tylko drzwiami i poszedł na górę. Słysząc było przytłumione kroki na schodach. Ona po chwili popędziła za nim, szybko drobiąc. Dalszy ciąg kłótni przeniósł się na piętro, chyba do sypialni, skąd jej już nie słyszeli.

Przez chwilę przysłuchiwali się nagle zapadłej ciszy.

– Poszli – stwierdziła Justyna z ulgą i jakby z niedowierzaniem.

Skinął głową.

– Dobrze, że sypialnię mają po drugiej stronie – odezwał się po chwili.

Nie spodziewał się, że jego słowa spotkają się z taką reakcją. Gdy uniósł głowę i spojrzął w oczy Justyny, zobaczył w nich złość. Złość i jeszcze coś, czego nie umiał nazwać.

– Tak, to po prostu wspaniale. – Zgryźliwa ironia w jej głosie zatrzeszczała jak piasek w zębach.

Uniósł pytająco brwi. Czekał na dalszy ciąg, który wkrótce nastąpił.

– Podziwiam twoją umiejętność pozytywnego myślenia – ironizowała dalej.
– Zawsze znajdziesz coś pocieszającego.

Zirytował się.

- O co ci chodzi?
- O to, że... – zaczęła, ale po chwili urwała. Po czym dokończyła już innym, poważniejszym tonem. – Agata ma rację. Jak nie chcesz się stąd wyprowadzić, trzeba to będzie w końcu zgłosić na policję.
- Rozmawialiśmy o tym – odparł ze znużeniem. – Nie chcę się powtarzać, ale to naprawdę nie jest dobry pomysł.
- A masz inny?
- Skinął głową.
- Mam.

Popatrzyła na niego z niedowierzaniem, ale nie spytała jaki. Jakby uznała jego odpowiedź za mechaniczne odbicie piłeczki w słownym ping-pongu. Zresztą i tak by jej nie powiedział. Coś rzeczywiście snuło mu się po głowie od dnia, gdy leżał chory w sypialni i wsłuchiwał się w awanturę za ścianą, ale nie chciał nic mówić, zanim jego plan się nie skonkretyzuje.

Justyna wstała i poszła na górę. Posiedział jeszcze pół godziny przed kominkiem, myśląc o decyzji Agaty, po czym podążył w ślady żony.

Dochodziła pierwsza. Siedział w swoim gabinecie pod gablotą z kolekcją fajek, wzbogaconą wczoraj przez córkę, i pisał referat na konferencję w Helsinkach, a właściwie przerabiał tylko artykuł wysłany niedawno do „Przeglądu”; zawsze był zwolennikiem ekonomizacji wysiłku i nie miał nic przeciwko temu, aby ten sam towar sprzedać dwa razy.

Sąsiedzi z samego rana gdzieś wyjechali swoją srebrną skodą, więc przynajmniej na razie mieli ich z głowy. Justyna ćwiczyła w sypialni jogę. Ale on, zamiast cieszyć się z panującej wokół ciszy i pięknej pogody, odczuwał podczas pisania nieprzyjemny niepokój – Agaty wciąż nie było, choć miała wrócić koło dwunastej. „Oduczyła się w tej Anglii punktualności – pomyślał sarkastycznie. – Albo odwrotnie: uważa, że w Polsce ona nie obowiązuje. A może jednak coś jej się stało? *Warsaw by night* nie jest przecież bezpiecznym miejscem”. Powstrzymał się jednak przed zadzwonieniem na jej komórkę.

Jak się okazało, zrobił słusznie. Chwilę potem usłyszał odgłos podjeżdżającego pod dom samochodu, a gdy wyjrzał przez okno – musiał zmrużyć oczy z powodu ostro świecącego słońca – zobaczył taksówkę, z której wysiadała Agata. Odetchnął z ulgą, ale za moment ogarnęła go złość

na siebie. „Co ty się tak o nią martwisz? – pomyślał, schodząc po schodach. – I czemu w ogóle tak się o wszystko niepokoisz? Przedtem taki nie byłeś. To musi być wina tych cholernych sąsiadów. To oni wnieśli w twoje życie lęk, który teraz odzywa się przy byle okazji, szukając dla siebie ujścia.

Otworzył drzwi. Agata wyglądała na bardzo zmęczoną, przez opaleniznę na jej policzkach przebijała bladość. Powitanie z dawnymi przyjaciółkami musiało być długie i mocno zakrapiane. Ale oczy błyszczały jej zadowoleniem.

– Jezu, jaka jestem padnięta – westchnęła, wchodząc i całując go w przelocie w policzek. – Muszę jeszcze dospać.

Pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Ale kluby – ekstra – paplała dalej, ściągając zimowe buty. – Rewelacyjne.

– To może jednak zostaniesz w Warszawie – zażartował.

Uśmiechnęła się, ale nic nie odpowiedziała. Wyminęła go, weszła szybko na górę, przywitała się z Justyną i zamknęła w swoim pokoju. Po chwili chyba już spała, bo gdy wrócił do sąsiadującego z nim gabinetu, nie dochodził stamtąd żaden odgłos.

Wstała po dwóch godzinach, akurat na obiad przygotowany przez Justynę. Pełna energii, rumiana, bez śladów wczorajszego imprezowania na twarzy. Zawsze go zdumiewała regeneracyjna siła młodości. Jedząc z apetytem przygotowane na jej cześć *ratatouille*, pytlowała radośnie o klubach, które odwiedziła wczoraj z przyjaciółkami. Najbardziej podobało jej się na Powiślu.

– Zajebicie – zachwycała się. – Inne miasto.

Justyna uśmiechała się powściągliwie, nie tylko ze względu na jej słownictwo. Nie pochwalała nigdy nocnego życia córki, które w swoim czasie było dość intensywne. On był pod tym względem znacznie bardziej tolerancyjny.

Potem rozmawiali o przyjaciółkach, z którymi prowadziła się jeszcze w liceum. Wszystkie nadspodziewanie dobrze sobie radziły. Jedna była asystentką reżysera w teatrze, druga zaczynała właśnie pracę w amerykańskiej kancelarii prawnej, trzecia założyła własną firmę piarowską. Zawsze gdy słyszał o podobnych karierach rówieśniczek córki, ogarniała go lekka zazdrość. „Ależ mają warunki startu, te siksy” – pomyślał. On sam kończył studia pod koniec lat siedemdziesiątych i perspektywy zawodowe miał zupełnie nieciekawe. Zaczynał od matematyki, ale już po

drugim roku zorientował się, że wybitnym uczonym – takim naprawdę wybitnym, na noblowską miarę – w tej dziedzinie nie zostanie i że jego rzekomy talent, o którym zapewniał go nauczyciel z liceum, nieżyjący już pan Kasztelan, był w sumie niewielki: matematyczne zdolności wystarczą mu na ukończenie bez wysiłku studiów, ale na nic więcej. Pracować w szkole nie chciał – po co powiększać armię panów Kasztelanów? – a innych „opcji”, jak mawiały przyjaciółki Agaty, praktycznie nie było. Przeniósł się więc na socjologię, ponieważ zafascynowało go, że coś tak płynnego i falującego, jak ludzka zbiorowość, daje się ująć w naukowe karby. Gdy ją jednak skończył, wybór pracy w zawodzie pozostawał żałośnie ograniczony. Mógł pójść do jednego z ośrodków badania opinii publicznej, w których wprawdzie przeprowadzano całkiem uczciwe sondaże, ale za to ich wyniki utajniano i publikowano w numerowanych broszurach, czy do któregoś z instytutów branżowych, gdzie można było spokojnie przespać do emerytury, albo też zostać na uniwersytecie, co zaproponował mu jego również nieżyjący już promotor, profesor Zasławski, i co oczywiście było dla niego najbardziej atrakcyjne, więc skwapliwie z tej propozycji skorzystał. Nigdy potem nie żałował swojego wyboru, był Zasławskiemu głęboko wdzięczny, ale fakt, że miał wówczas tak mało możliwości, do tej pory go irytował. Młodym oczywiście nie było lekko – przyjaciółki jego córki należały raczej do wyjątków – ale możliwości zawodowych czy w ogóle wariantów spędzenia życia miały dużo. Może nawet za dużo.

Słuchając teraz podnieconego głosu Agaty, rozprawiającej z dumą o ich osiągnięciach (musiał przyznać, że w ogóle nie było w niej zawiści), miał ochotę wtrącić, że widać niekoniecznie trzeba jechać do Londynu, aby robić coś ciekawego i sensownego. Powstrzymał się jednak. W końcu nie tylko praca i perspektywy kariery ją tam trzymały. Był jeszcze ten ryży Nigel, którego faktycznie nie dałoby się tu przeschepić. Gdy Agata zabrała go do Dębek, zachwycał się plażą, morzem, słońcem, cały czas się uśmiechał, ale widać było, że traktuje Polskę jako egzotyczny, trochę dziki kraj, do którego można wpaść na wakacje z dziewczyną, lecz nigdy, przenigdy zamieszkać w nim na stałe. No, chyba żeby Agata postawiła taki warunek. Ale na to trudno było liczyć.

Skończyli obiad, a ponieważ było jeszcze jasno i utrzymywała się piękna pogoda, zaproponował, aby przeszli się po lesie. Od czegoś trzeba było zacząć przygotowania do wyjazdu na narty, a taka mała rozgrzewka

wydawała mu się na początek idealna. Justyna zgodziła się natychmiast, bo była wielką entuzjastką spacerów i w ogóle ruchu na świeżym powietrzu. Agata, ku jego zaskoczeniu, też nie oponowała. Ruszyli więc we trójkę w stronę Sobocina, tak jak to robili zaraz po przeprowadzeniu się tutaj, gdy Agata była jeszcze w liceum, bo potem się zbuntowała i już nie chciała z nimi chodzić na „rodzinne przechadzki”, jak je pogardliwie nazywała.

Ścieżka prowadząca przez las była wąska, szli więc gęsiego: Henryk z przodu, za nim Justyna, na końcu Agata. Taki układ nie sprzyjał rozmowie, z rzadka więc tylko ktoś rzucał jakąś pojedynczą uwagę. Zresztą widoki, jakie się wokół roztaczały, były tak piękne, że zachęcały do kontemplowania ich w milczeniu. Leżący na wzniesieniach śnieg skrzył się migotliwie w promieniach słońca. Wysmukłe sosny i przysadziste świerki uginały się pod ciężarem białych poduch. Wiatr umilkł i w nieruchomym, czystym powietrzu wszystko wydawało się wyraźne, jakby wyrysowane ostrym ołówkiem. Było tak cicho, że słyszeli szelest osypującego się puchu, gdy któreś z nich zawadziło ramieniem o gałąź. „Zima i lato – pomyślał Henryk – to są te pory roku, gdy mieszkanie na wsi najmocniej udowadnia swoją przewagę nad miastem”.

Dobry nastrój, w jaki wprawiło go słońce, i cudowne widoki wokół stopniowo jednak ustępowały smętnawej melancholii, podobnej tej, która naszła go, gdy odprowadził Agatę na przystanek. Przypomniawszy sobie, jak pokonywali tę trasę we trójkę osiem lat temu, szczęśliwi, roześmiani, z wiarą, że zaczynają nowe życie. Jak wspaniale się wtedy układało między nim i Justyną! Chciał odgonić te wspomnienia, ale co rusz wyskakiwały nieproszone z pamięci. Szedł więc posmutniały i milczący, czując na dodatek, że w swoim markotnym usposobieniu jest odosobniony, gdyż radosne okrzyki zachwytu, wznoszone za jego plecami przez córkę i żonę, świadczyły o tym, że wspólny spacer wprawił je w znakomity humor. Agacie się nie dziwił, ale Justyna? Czyżby już zapomniała, że właśnie traci córkę? Od wielu dni nie widział jej – a właściwie nie słyszał – tak bez trosk. Było to oczywiście pokrzepiające, ale zarazem izolowało go, wyłączało ze wspólnoty istot zadowolonych.

Wkrótce dotarli do szerokiej leśnej drogi, którą miejscowi wykorzystywali jako skrót do znajdującego się w Sobocinie kościoła. Skręcili w przeciwną stronę; w ten sposób, zatoczywszy łagodny łuk, mogli na powrót znaleźć się w Grabówku (na własny użytek nazywali tę trasę z Justyną „małą pętlą”).

Szli teraz obok siebie, całą szerokością drogi gęsto poznaczonej śladami butów. Nie natknęli się jednak na zbyt wielu ludzi – może ze względu na dość późną porę, a może dlatego, że msza miała być dopiero następnego dnia. Spotkali tylko małżeństwo z gromadką małych dzieci i dwóch nastolatków z osowiałym wilczurem.

Agata opowiadała o swoim nowym mieszkaniu w South Kensington, które wynajęli z Nigelem zaraz po urlopie. Wyjęła nawet iPhone'a i pokazała zdjęcia. Słyszając entuzjazm w jej głosie, zastanawiał się, czy podjęła ten temat przypadkowo, czy też chciała w ten sposób podkreślić fakt swojego zakorzenienia w Anglii.

Wokół wciąż było pięknie, choć słońce zbladło, a las stał się gęstszy, jakby zaniedbany, z rachitycznymi samosiejkami brzoź i dębów po obu stronach drogi. Nagle na jednym z zakrętów dostrzegli coś, co wprowadzało w ten krajobraz niemiły dysonans. Były to leżące na poboczu drogi cztery zgniecione puszki po piwie Warka, a obok nich jakieś kawałki nadpalonego plastiku i ułamany kran. Na tle nieskazitelnej bieli śniegu śmieci wyglądały wyjątkowo odrażająco. Henryk zerknął na Agatę, która przystanęła i przyglądała się odpadkom z obrzydzeniem na twarzy. „No tak – pomyślał – nic dziwnego, że chce zostać. Tam takich widoków nie będzie miała”.

– Co za ludzie – westchnęła Justyna i pokręciła głową.

Nic nie powiedział, bo rozmowy o tym, że miejscowi są pod tym względem niereformowalni, prowadzili już nieraz i stały się one zupełnie jałowe. Podobnie bezskuteczne były ich kilkukrotne interwencje w gminie. Wzruszył więc ramionami i zamierzał ruszyć dalej, ale w tym momencie Agata wyjęła z kieszeni plastikową torbę z napisem „Zara” i przykucnąwszy na śniegu, zaczęła wrzucać do niej śmieci. Było w tym coś najzupełniej naturalnego, a jednocześnie niezwykłego. Oboje z Justyną uczestniczyli co roku w akcji „Sprzątanie świata”, ale gdy podczas spacerów natykali się na podobne skupiska odpadków, po prostu je ignorowali. Nie wiedział, co powiedzieć, gapił się tylko na córkę bezmyślnie.

Po chwili skończyła i ruszyła dalej, a oni podążyli za nią w milczeniu. Powtórzyło się to jeszcze kilkukrotnie. Gdy tylko wypatrzyła coś leżącego przy drodze – czy to butelkę po wódce, kawałek żeliwnej rury, czy przemiękkie i nasączone wodą tekturowe opakowania – przyklękała i upychała do torby. zaproponował, że poniesie reklamówkę – też chciał mieć udział w tej ekologicznej akcji – ale pokręciła przecząco głową i zbierała dalej, aż

w końcu torba się wypełniła i gdy wyrósł obok nich stos puszek po farbie, które ktoś pieczołowicie ustawił pod drzewem, Agata musiała się poddać. Nie miała więcej toreb. Henryk przypomniał sobie fragment z *Dzienników Gombrowicza* o tym, jak autor odwracał leżące na chitynowych grzbietach chrząszcze, ratując je w ten sposób, i jak w pewnym momencie przestał, bo musiałby to robić do wieczora. Nie całkiem o to chodziło (tam mówiło się „stop” arbitralnie, ze środka, nie z powodu zewnętrznego ograniczenia, no i szło jednak o życie), ale jakoś mu się skojarzyło.

Doszli do domu tuż przed zmierzchem, w ostatniej właściwie chwili. Henryk wyjął jej wreszcie z rąk przesypującą się reklamówkę, wrzucił do kubła, po czym poklepał córkę po plecach, mówiąc z angielska: *Good job*. Justyna także ją pochwaliła: „Nie spodziewałam się” – powiedziała, kręcąc głową z niedowierzaniem. Agata nic nie odpowiedziała, ściągnęła tylko brudne rękawiczki i oddała matce do prania. Oboje byli z niej dumni, ale jakoś też zawstydzeni. Dała im lekcję, choć nie byli całkiem pewni czego.

Wkrótce potem przyjechała po nią – eleganckim volkswagenem polo, a jakże! – jedna z jej przyjaciółek, ta prawniczka. Wybierały się na wernisaż, a potem jeszcze na jakieś spotkanie. Obiecała jednak wrócić przed nocą. Justyna, zmorzona spacerem i dawką tlenu, którą wchłonęła, poszła się zdrzemnąć. On czuł się rześko, zamknął się więc w swoim gabinecie, aby skończyć referat. Szło mu dobrze. Gdy po trzech godzinach poczuł, że nic już z siebie nie wykrzesze, zapisał tekst, wstał i poszedł do sklepu zrobić zakupy na następny dzień. Samochodu sąsiadów wciąż nie było widać.

Zagadka ich nieobecności wkrótce się wyjaśniła. W sklepie spotkał nieocenioną panią Jadzię. Oczywiście wiedziała wszystko: wyjechali na cały weekend na wesele, do jego rodziny, gdzieś pod Mińsk Mazowiecki. Przypomniał sobie ich wczorajszą kłótnię. Rzeczywiście wspominali coś o weselu. W każdym razie wykazali się dużym taktem, znikając na cały czas wizyty Agaty.

Potem pani Jadzia niemile go jednak zaskoczyła.

– A państwo podobno macie się wyprowadzić? – zagadnęła go, gdy stali w długiej, sobotniej kolejce do kasy. Zdziwił się i zdenerwował. Czyżby Justyna komuś o tym chlapnęła? Nie, to niemożliwe. Nie utrzymywała kontaktów z sąsiadami, w każdym razie nie na tyle bliskich, by zwierzać się ze swoich planów.

– Kto pani to powiedział? – spytał lekko podniesionym głosem.

Popatrzyła na niego swoimi chytrymi oczkami.

– A, tak słyszałam.

I na tym rozmowa się zakończyła. Wracając do domu, pomyślał, że pani Jadzia tylko go sondowała, nic tak naprawdę nie wiedząc. To była jej metoda – podpytywać z niewinną miną. Ale skoro tak, to oznaczało jednak, że uważała takie rozwiązanie za całkiem możliwe i racjonalne. Rzeczywiście, patrząc z zewnątrz, musiało to wyglądać dziwnie: państwo profesorostwo pod jednym dachem z parą bezrobotnych ochlapusów. Nikt by się nie zdziwił, gdyby poszukali lepszego sąsiedztwa. Tym zdroworozsądkowo myślącym ludziom pomysł Justyny mógłby się wydawać całkiem na miejscu. Z niejasnych powodów go to zmartwiło.

Justyna pozazdrościła córce towarzyskiej aktywności i zaraz po jego powrocie też wyjechała do Warszawy. Umówiła się z koleżanką z przychodni na koncert w filharmonii. A może nie chciała przebywać z nim sam na sam w domu. On rozpałił w kominku i rozsiadł się przed telewizorem. *Wiadomości* były nudne, a amerykańska komedia, która po nich nastąpiła, niewiarygodnie wręcz głupia. Nie przeszkadzało mu to. Dobre było wszystko, co pozwalało oderwać się od trapiących go myśli: o oddalającej się w przyspieszonym tempie córce, o zamykającej się przed nim Justynie, o sąsiadach i nawet o tej krótkiej rozmowie w sklepie. Gdy w połowie następnego filmu – tym razem krwawego thrilleru – poczuł się na tyle znużony, że mógł już iść bezpiecznie do łóżka, wiedząc, że złe myśli nie zdążą go dopaść, nim zaśnie, wyłączył telewizor i wdrapał się na górę. Nie mylił się, niemal natychmiast opadł na samo dno snu. Obudził się tylko na moment, gdy z dołu dobiegły go odgłosy otwierania drzwi i ożywionej rozmowy Justyny z Agatą. „Pewnie umówiły się na mieście, żeby wrócić razem” – domyślił się i ponownie zasnął.

Weekend z Agatą przeleciał szybko. Ani się obejrzeni, jak trzeba było myśleć o jej wyjeździe. Przez ten czas ani razu nie podjęli z nią rozmowy o tym, co im ogłosiła na wstępie wizyty, choć oboje czuli, że jak na tak ważną sprawę obeszli się z nią zbyt zdawkowo. Ze sobą też na ten temat nie rozmawiali. Nie mieli zresztą zbyt wielu okazji, aby go podjąć: Agata częściej przebywała ze swoimi przyjaciółkami niż z nimi. Nie miał złudzeń, że stanowią dla niej znacznie mniej atrakcyjne towarzystwo, ale podejrzewał

też, że po prostu stara się ich unikać, aby nie narazić się na dalszy ciąg rozmowy.

Ten dalszy ciąg jednak nastąpił, choć późno, dopiero podczas pożegnalnego obiadu. Ponieważ Agata wylatywała o siódmej, postanowili, że wyjadą wcześniej i po drodze na lotnisko wstąpią do restauracji. Henryk zaproponował małą włoską knajpkę koło biblioteki uniwersyteckiej, w której bywał wielokrotnie podczas oblewania doktoratów i profesur. I tam, już po złożeniu zamówienia, czując się pewnie na niejako swoim terenie, spytał prosto z mostu:

– Słuchaj, ale czy ty jesteś pewna? Tak na sto procent?

– Czego? – spytała. Może ją zaskoczył, a może chciała zyskać na czasie.

– No... że chcesz tam zostać.

– Oczywiście – odparła z przekonaniem, które go trochę zdeprymowało. – Przecież już o tym rozmawialiśmy. – W jej głosie pojawiła się nuta zniecierpliwienia.

Zirytował się.

– Nie nazwałbym tego rozmową – powiedział ostrzej, niż zamierzał. – Po prostu nas o tym poinformowałaś, a potem pojechałaś do koleżanek.

Przechwycił na sobie spojrzenie Justyny. Wpatrywała się w niego z napięciem.

Agata poczerwieniała. Rzadko jej się to zdarzało i było objawem silnego zdenerwowania.

– Myślałam, że to sobie wyjaśniliśmy – powiedziała lekko drżącym głosem. I dodała, nieco już pewniejszym tonem: – I wtedy nie mieliście nic przeciwko.

– No... trochę nas zaskoczyłaś – włączyła się wreszcie Justyna. – Nie zdążyliśmy nawet... – Urwała.

Agata rzuciła jej szybkie, niechętnie spojrzenie. Potem przeniosła wzrok na niego.

– Ale o co wam chodzi? – spytała podniesionym głosem. – Chcecie, żebym wróciła do Polski, tak?

Tak proste, jednoznaczne postawienie sprawy trochę go zaskoczyło.

– No, prawdę mówiąc... wolelibyśmy – odparł po chwili.

Justyna pokiwała głową, ale tak niepewnie, że trudno to było uznać za wsparcie.

Reakcja Agaty była dziwna, trochę nawet wariacka. Zaczęła kręcić głową,

najpierw lekko, potem coraz gwałtowniej. Jej długie blond włosy zamiatały zamasyście powietrze. Kelner, śniady chłopak z wąsikami, rozkładający talerze na stole, przyglądał się jej ze zdumieniem. Oni czekali, aż ta demonstracja sprzeciwu się skończy.

Wreszcie znieruchomiała.

– Nie – powiedziała zdecydowanym głosem. – Ja już tu nie wrócę. Na pewno nie.

Jej kategoryczność zbiła go z tropu. Przez chwilę przy stoliku panowało milczenie. Justyna odwróciła głowę i patrzyła w stronę kuchni, skąd po chwili nadszedł kelner, inny już, starszy. Postawił przed nią i Agatą po dużym kieliszku wina, Henrykowi nalał wody mineralnej i szybko się oddalił, jakby wyczuwając napiętą atmosferę. Nadal nikt się nie odzywał. W końcu Agata, uznawszy widocznie, że należy im się jakieś wyjaśnienie, przemówiła:

– Mam tam fajną pracę, fajnego faceta, fajnie się tam czuję i...

Fajna, fajny, fajnie... – krótka litania szczęścia.

– Fajną pracę możesz znaleźć i tutaj – przerwał jej niegrzecznie. – A facet... – Urwał. Zawahał się, nie chciał jej dotknąć.

Ale i to wystarczyło. Niemal słyhać było, jak się jeży na grzbiecie.

– Co – facet? – spytała ostro. – Co masz przeciwko Nigelowi?

Wzruszył ramionami.

– Nic nie mam – odparł. – Sympatyczny chłopak. Ale obserwowałem was, gdy byliście tu na wakacjach, i nie wydaje mi się, żeby to miała być wielka miłość, taka na całe życie.

Chciał to sformułować możliwie oględnie, ale i to wystarczyło, by córka wpadła w wściekłość. Jej błękitne oczy pociemniały. Wyglądało na to, że zaraz wybuchnie. Opanowała się jednak.

– Tego nigdy nie wiadomo – odparła ze spokojem, który zapewne wiele ją kosztował. – Ale w tej chwili jest tak, że go kocham i nie planuję z nim się rozstać. A gdyby nawet do tego doszło, to... to i tak tu nie wrócę. Znajdę sobie kogoś innego albo i nie znajdę, wszystko jedno. Ale nie wrócę! Rozumiecie?! – ostatnie słowa głośno wykrzyczała. Głowy z sąsiednich stolików obróciły się ku nim. Kelnerzy poszeptywali po kątach.

Henryk poczuł się głupio. Nie dlatego, że stali się obiektem powszechnego zainteresowania, choć oczywiście nie lubił takich sytuacji. Przede wszystkim czuł, że swoim niezgrabnym prowadzeniem rozmowy przywiódł ją na skraj

awantury. A tej nie chciał. Nie wiedział jednak, co powiedzieć. Zmieszany, sięgnął po szklankę. Pił wodę długo, bardzo długo – w gardle mu zaschło, a chciał też przeczekać krytyczny moment. Justyna zerknęła na niego, po czym przechyliła się przez stół i uspokajająco poklepała Agatę po rękę.

– Spokojnie, córeczko – odezwała się łagodnym głosem. Takim tonem przemawiała zapewne do swoich małych pacjentów. – Po prostu chcieliśmy o tym z tobą porozmawiać, a jakoś nie było wcześniej okazji. To przecież ważna decyzja nie tylko dla ciebie. Dla nas też.

Ale do Agaty jej słowa nie przemówiły.

– Czy wy nie rozumiecie, że ja już postanowiłam?! – zawołała głośno. W oczach zakręciły jej się łzy. – Tam jestem u siebie. Polska to fajny kraj, będę tu często przyjeżdżać, ale wolę mieszkać w Anglii.

Miał w zanadrzu kilka kontrargumentów, nie chciał już jednak zaognić sporu. Milczał więc, w gruncie rzeczy zadowolony, że ciężar rozmowy wzięła na siebie Justyna.

– W porządku – powiedziała teraz do Agaty pojednawczym tonem. – Nie cieszy nas to i chyba domyślasz się dlaczego. Ale rozumiemy. Chcieliśmy się tylko upewnić.

Agata pokiwała w milczeniu głową. Potem przetarła oczy wierzchem dłoni i wstała, odsuwając z hałasem krzesło.

– Przepraszam.

Podeszła do kelnera, aby spytać go o toaletę. Potem ruszyła w głąb sali i po chwili zniknęła im z oczu.

„Mogła się mnie spytać” – pomyślał.

Przez chwilę milczeli. Justyna pociągnęła łyk z kieliszka. Pozazdrościł jej. Też miał ochotę na odrobinę alkoholu. Przygębowała go ta rozmowa.

– Głupio wyszło – bąknął – ale musiałem.

Skinęła głową na znak, że rozumie.

– Taaak... – odparła, rozciągając głoski. – Tylko trochę kiepsko to rozegrałeś. Nie trzeba było wspominać o Nigelu. To jej czuły punkt. Wie, że my wiemy, że go nie kocha, i czuje dyskomfort.

Nie odpowiedział, ale nie mógł odmówić słuszności tej uwadze.

– A poza tym – ciągnęła Justyna w zamyśleniu – nie możesz jednego dnia dawać jej błogosławieństwa na drogę, mówić, że to jej życie i niech robi, co chce, a drugiego temu zaprzeczać.

Tak, to też była prawda. Musiał przełknąć i tę gorzką pigułkę. Ta jego

cholerna niekonsekwencja! Faktycznie, zaraz po tym, gdy Agata wyjawiała im swoje plany, nie oponował. Zgodził się odruchowo, nie chcąc prowokować konfliktu i dobrze się czując w skórze wyrozumiałego tatusia, ale potem, gdy dotarło do niego, co ta decyzja naprawdę oznacza – dla niego, dla nich – przestraszył się i próbował ją odwieść od tego pomysłu. „Tak – musiał niechętnie przyznać – w sumie bezsensownie to wyszło”.

Nie mogli jednak o tym dłużej porozmawiać, ponieważ Agata wróciła z toalety. Z umytą twarzą i poprawionym makijażem. Usiadła, nic nie mówiąc. Nie wróżyło to najlepiej i rzeczywiście – dalsza część obiadu przebiegła w ciężkiej, nieprzyjemnej atmosferze. Nie poprawiły jej ani smaczne dania, ani dobre wino, ani uprzejmy starszy kelner, który poznał Henryka i tytułował go „panem profesorem”. Nie pomógł jego pojedynczy toast wzniesiony wodą mineralną „za twój szczęśliwy powrót do Anglii”. Ani wysiłki Justyny, która próbowała nakierować rozmowę a to na plany zawodowe córki, a to na ewentualne sformalizowanie jej związku z Nigelem. Agata zamknęła się w sobie i odpowiadała półsłówkami. On – winowajca – w ogóle się już nie odzywał. Gdy przyszła pora wyjazdu na lotnisko, poczuł ulgę.

Nie lepiej było w samochodzie, gdy pustawymi w niedzielne popołudnie ulicami zjeżdżali w stronę Okęcia. Podczas jazdy nie padło ani jedno słowo, tak jakby każde z ich trójki chciało w milczeniu przetrwać nieudany obiad. I dopiero w hali odlotów, już po odprawie bagażowej, Agata się odprężyła, jakby świadomość, że wkrótce już będzie u siebie, podziałała na nią uspokajająco. Czy mieli się jednak z tego cieszyć?

Wymieniała teraz uściski z Justyną, umawiając się z nią niezobowiązująco na spotkanie w Londynie, a on stał skromnie z boku, czekając na swoją kolej. Gdy ich pożegnalne czułości się skończyły, objął córkę ramieniem i przygarnął do siebie. Nawet przez grubą warstwę ubrań poczuł, jak zeszywniała. Przytulił ją mocniej i szepnął prosto w ucho: „Przepraszam”. Słowo to podziałało jak magiczne zaklęcie. Fizyczne napięcie z niej uszło, mięśnie się rozluźniły, przywarła do niego policzkiem i odparła też szeptem: „W porządku, tato”. I wtedy coś w nim pękło, coś nagle chwyciło go za gardło i ścisnęło tak, że nie mógł wykrztusić słowa, a jednocześnie z oczu popłynęły mu łzy.

Płakał, nie zwracając uwagi na zdumione spojrzenie Justyny, przestraszoną minę Agaty ani nawet na ukradkowe zerknięcia mijających go pasażerów.

Płakał z żalu nad wyjazdem córki i nad jej przyszłością, w której nie było dla nich miejsca. Nad nieudolnością, z jaką usiłował jej to powiedzieć, i nad przykrością, jaką jej tym sprawił. Płakał też nad własną bezsilnością wobec sąsiadów i nad odsunięciem się Justyny. Wszystkie te sprawy zebrały się w nim naraz i wylały nieprzerwanym potokiem łez. Szlochał coraz głośniej, a Justyna przestępowała z nogi na nogę, rozglądając się niespokojnie, Agata zaś, która nigdy nie widziała go płaczącego, głaskała go po ramieniu i powtarzała bezradnie: „Cicho, cicho”, tak jak on, gdy pocieszał ją po zdradzie chłopaka.

Po chwili się uspokoił, przetarł ręką piekące oczy i wydmuchał głośno nos w chusteczkę podaną mu przez Justynę. Nieco zażenowany, pożegnał się jeszcze raz – tym razem krótko i rzeczowo – z córką, która z wyraźną ulgą oddaliła zaraz w kierunku stanowiska kontroli pasażerów. Czasy tarasu widokowego dawno już minęły, więc pomachali jej tylko ręką, gdy znikwała w ciemnym od ludzi pomieszczeniu, i wrócili do zostawionego na parkingu samochodu.

– Możesz prowadzić? – spytała Justyna z niepokojem w głosie. Skinął głową.

Przez całą drogę do domu nie odzywali się do siebie, zatopieni we własnych myślach. Był wdzięczny Justynie, że ani słowem nie skomentowała jego słabości, której się teraz wstydził. Z drugiej strony płacz przyniósł mu ulgę, był teraz znacznie spokojniejszy. I gdy wszystko było już przesądzone i rozstrzygnięte, mógł myśleć bardziej rzeczowo. Próbował wyobrazić sobie przyszłość córki. Czy upodobni się do typowej mieszkanki Londynu? Czy naprawdę będzie przyjeżdżać, tak jak zapowiadała? Czy jej dzieci będą już zupełnymi Anglikami?

To ostatnie pytanie w gruncie rzeczy męczyło go najbardziej. Świadomość, że jego wnuki, istoty z jego łańcucha DNA, krew z jego krwi i kość z jego kości, będą dorastać w innym świecie, przejmowała go dziwnym, niemal metafizycznym lękiem. Czuł się tak, jakby on sam i jego życie zostało przesadzone na obcą ziemię, pozbawiając go gruntu pod nogami. Jakby linia jego rodu miała wygasnąć. I choć wiedział, że takie myślenie w pozbawionej granic Europie jest czystym anachronizmem, to nic nie umiał na to poradzić.

Przypomniawszy sobie, jak jego ojciec, który przywiązywał dużą wagę do rodzinnej genealogii, rysował mu w dzieciństwie jakieś dziwne, rozgałęzione drzewa, a on ziewał ukradkiem. „Dobrze, że stary tego nie dożył” –

pomyślał. Gdyby dowiedział się, że jego prawnuki będą małymi londyńczykami, chybaby drugi raz umarł. Jak wielu ludzi z wojennego pokolenia, miał uraz do Anglików.

– Uważaj! – krzyknęła Justyna, gdy pogrążony we wspomnieniach niemal wpadł na stojący na czerwonych światłach samochód. Na szczęście jezdnia nie była w tym miejscu śliska, udało mu się wyhamować.

– Przepraszam, zamyśliłem się – mruknął. Pokręciła głową z dezaprobatą. Postanowił skupić się na jeździe.

Gdy dotarli do domu, sąsiadów jeszcze nie było. Weszli do środka, Justyna włączyła jakiś kostiumowy dramat na TVN. Jego ten gatunek nudził, ale został dla towarzystwa. W przerwie na reklamy wrócili do rozmowy o Agacie, lecz szybko się okazało, że właściwie wszystko już sobie na ten temat powiedzieli. Miał wrażenie, że Justyna łatwiej niż on pogodziła się z decyzją córki. „Nie zatrzymamy jej” – powiedziała w pewnej chwili. Pokiwał markotnie głową; nie po raz pierwszy mógł się od niej uczyć trudnej sztuki rezygnacji. Film włókł się jak osiemnastowieczna dorożka i Henryk poczuł się nagle strasznie zmęczony – może to płacz na lotnisku tak go wyczerpał? – przeprosił więc żonę i poszedł na górę. W sypialni czekał na niego rozpoczęty kryminał Nesbø. Z ochotą zabrał się do lektury.

Po godzinie zjawiała się Justyna. Też nie zdzierzyła tej historycznej ramoty. Chwilę czytali (ona swoje ukochane „Zwierciadło”), ale niedługo potem zgasili światło, choć nie było jeszcze dziesiątej. Przed rozpoczęciem tygodnia zwykle kładli się bardzo wcześnie.

Usiłował zasnąć, ale nie bardzo mu się to udawało. Leżał w ciemnościach, wsłuchując się w odgłosy zapadającej nocy, niezakłócone obecnością sąsiadów. Gdzieś w oddali czekał zajadle pies, na Piłsudskiego zawyła karetka pogotowia. Był pewien, że Justyna już śpi, ale się mylił. W pewnym momencie odwróciła się do niego, przyciągnęła do siebie i przytuliła jak dziecko. Wciśnięty w jej miękkie, ciepłe piersi nie czuł pożądania, tylko wdzięczność. Po scenie na lotnisku domyśliła się, jak bardzo to wszystko przeżywa, i postanowiła mu pomóc – nie słowami, w które nie wierzył, lecz matczynym gestem. Pocałował ją w usta na dobranoc i po chwili już spał.

Wstał z mocnym postanowieniem, aby nie zadrezczać się już myślami o Agacie. Nie miał wpływu na jej postanowienie, nic nie mógł zrobić. „Niech

się dzieje, co chce – pomyślał. – Może kiedyś zmieni zdanie”.

Sąsiedzi. O, to był problem! Oczywiście zaraz przypomnieli mu o swoim istnieniu. Gdy jadł śniadanie, wrócili właśnie z wesela, obsypując się pretensjami i obelgami. Głównie ona wrzeszczała.

Miał zamiar w związku z tym spotkać się dziś z Witkiem. Pomyśl, który podczas choroby wyklął mu się w głowie, wymagał omówienia z człowiekiem praktycznym i zaradnym. Skończył jeść, zmył naczynia, wsiadł do samochodu i pojechał na uniwersytet. Przyszła odwilż. Jezdnie tonęły w kałużach.

Spotkali się na korytarzu w przerwie pomiędzy wykładami. Było za mało czasu, żeby iść do kawiarni, więc usiedli przy jednym z okien wychodzących na podwórze. Witek, stary nałogowiec, kurzył papierosa oparty o parapet, a on opowiadał o nowych sąsiadach. „Chciałbym się od nich jakoś odgrodzić – zakończył opowieść. – Nie wiem, jakąś dodatkową ścianę postawić czy co...” – Zawiesił głos i popatrzył wyczekująco na przyjaciela.

Ten wydymuchał dym za okno i uśmiechnął się szeroko, prawie wesoło.

– Socjologicznie bardzo ciekawa sytuacja – stwierdził. – Gabinet profesorski i pijacka melina w jednym, no, no... Teraz to już rzadko się zdarza. Za PRL-u takie sąsiedztwa były na porządku dziennym, ale...

– No dobrze, dobrze. Ale jak to technicznie zrobić? – przerwał mu niecierpliwie. Nie oczekiwał uczonych komentarzy, tylko rzeczowej porady.

Witek zaciągnął się i popatrzył na niego jak na dziecko.

– To ty nie wiesz, co się robi w takich sytuacjach? – W jego głosie zabrzmiało autentyczne zdziwienie. – Musisz po prostu wygłuszyć chałupę. Żadna tam druga ściana, żadna murarka. Po prostu izolacja akustyczna.

– A skąd wzięć fachowców? – dopytywał się dalej. Czuł, że dobrze trafił, ale musiał się upewnić.

Przyjaciół spojrzeli na niego z niedowierzaniem.

– No choćby z internetu. Ogłaszają się. – Pokręcił głową. – Oj, Heniu, Heniu... Przecież humanista nie musi być zaraz dupą.

„Jestem dupą – pomyślał Henryk. – Jestem straszną dupą. Że też wcześniej nie wpadłem na taki oczywisty pomysł”. Poczł, że się czerwieni.

– Zresztą, daj spokój z internetem – mówił dalej Witek. Nie zauważył rumieńca na twarzy Henryka albo taktownie udawał, że nie widzi. – Prześlę ci telefon do dobrego fachowca. Moja siostra miała podobną sytuację; jakiś gówniarz w mieszkaniu obok puszczał na full heavy metal. A teraz ma

spokój. Tak całkowicie nie da się wytłumaczyć, ale różnica jest wyraźna. Tyle że ona mieszka w gomułkowskim bloku, ale żebyś ty na wsi miał takie problemy?

– Przecież to bliźniak – przypomniał Henryk.

Witek pokiwał głową. Wiedział, bywał przecież u nich, i to nieraz. Imieniny, obławanie profesury, kiedyś nawet Wigilia, gdy jego żona wyjechała na stypendium do Kanady i siedział w Warszawie sam. Zdusił niedopałek w szklanym spodeczku służącym za popielniczkę i zerknął na zegarek.

– No to wracamy do naszych baranów – rzucił popularne w kręgach akademickich powiedzenie i ruszył do drzwi wyjściowych. Nagle jakby sobie coś przypomniał:

– Słyszałeś o tym, że przygotowujemy list do rady wydziału w sprawie odwołania Średnickiego?

Henryk pokręcił przecząco głową. Nigdy nie uczestniczył zbyt aktywnie w życiu instytutu, a ostatnio prawie w ogóle się nie udzielał. Nic dziwnego, że omijały go takie rewelacje. Zresztą co innego miał na głowie.

Witek nie wydawał się tym zaskoczony.

– Podpisesz?

Henryk się zawahał. Nie był zwolennikiem podpisywania zbiorowych listów czy apeli. Kiedyś, w ostatniej dekadzie PRL-u, zdarzyło mu się nieraz złożyć podpis pod jakimś protestem – nawet Justyna to łaskawie zauważyła, ale teraz, gdy niczym to nie groziło, i gdy widział, jak ci, którzy wówczas migali się, twierdząc, że nic to nie da, teraz tak ochoczo się na epistolarnym froncie udzielają, odczuwał jakiś nieokreślony opór. Z drugiej strony Średnicki rzeczywiście powinien odejść, nie tylko dlatego, że jego polityka była ich po kieszeni, ale za całokształt. Poza tym był coś winien Witkowi.

– Jasne – odparł.

Rozeszli się do swoich sal.

Witek dotrzymał słowa i tego samego dnia po południu przesłał mu SMS-a z nazwiskiem i numerem komórki fachowca. Henryk zadzwonił do niego zaraz po zakończeniu zajęć w szkole. Fachowiec – nazywał się Chruścicki – miał spokojny głos kulturalnego, starszego pana i sprawiał wrażenie człowieka, którego nic już nie może zdziwić. Nie był zaskoczony, że ma

przyjechać na wieś, i nie robił z tego problemu, co się niekiedy zdarzało wzywaniem do Grabówka warszawskim specjalistom. Umówił się na wstępną wizytę już następnego dnia.

Wprawilo to Henryka w dobry nastrój, którego nie była w stanie popsuć nawet ponura, niżowa, dołująca wszystkich wokół pogoda. Nie zwracał uwagi ani na szare niebo z nisko opuszczonymi chmurami, ani na rozedrganą lepką mżawkę, która unosiła się w powietrzu, ani na błyskawiczny wysyp psich kup na chodnikach. Wracał do domu z lekkim sercem, żałując tylko, że tak późno znalazł to genialnie proste rozwiązanie. Iluż nieporozumień między nim a Justyną udałoby się uniknąć, gdyby zrobił to od razu, a choćby tydzień temu!

Gdy dojechał do domu, nie było jej jeszcze. Sąsiedzi odsypiali weselisko. Przez chwilę zastanawiał się, czy powiedzieć jej o jutrzejszej wizycie Chruścickiego. Zwykle konsultowali ze sobą decyzje dotyczące domu. Uznał jednak, że tym razem może zrobić wyjątek. Niech to będzie niespodzianka. Ale tak naprawdę to bał się, że żona zaoponuje.

Chruścicki zjawił się nazajutrz punktualnie o szóstej, tak jak się umawiali, co jeszcze przychylniej usposobiło do niego Henryka. Inni warszawscy fachowcy, jak już zgodzili się przyjechać, to z reguły się spóźniali, tłumacząc się potem nieznaną trasą albo korkami na mieście.

Był to krzepko wyglądający, sześćdziesięcioletni mężczyzna z gładko uczesanymi do tyłu siwymi włosami, cienkim jak drucik wąsem i nieco arystokratycznym wyglądem, który podkreślał złoty sygnet na palcu.

– Inżynier Chruścicki – przedstawił się Justynie.

Nie ukrywała zaskoczenia. Gdy Henryk wyjaśnił jej, kto zacz i w jakim celu przyjechał, zachowała kamienną twarz. Nie zawołała: „Nareszcie!”. Może jednak miała do niego żal, że działa bez porozumienia z nią.

– Hiczewska – odparła chłodno.

Inżynier chyba wyczuł jej rezerwę, bo od razu przystąpił do rzeczy, kierując rozmowę na tematy profesjonalne.

– To gdzie ta konfliktogenna ściana? – spytał.

Justyna spojrzała na niego ze zdziwieniem. Nie spodziewała się po inżynierze tak wyszukanego języka.

Henryk wskazał palcem, miał jednak wrażenie, że Chruścicki doskonale to

wie i pyta tylko dla formalności i z chęci nawiązania kontaktu. Nie na darmo przecież, wchodząc do domu, uważnie się rozglądał. Poza tym na pewno zapamiętał, z której strony znajduje się druga połowa budynku. Podeszedł teraz do obwieszonych obrazami i grafikami ściany w pokoju telewizyjnym i kilkakrotnie w nią zapukał. Odgłos widocznie mu się nie spodobał, bo zmarszczył krzaczaste brwi.

– No tak, cienka jak dykta – stwierdził. I zaraz dodał wyjaśniającym tonem: – Wszyscy teraz stawiają z dziurawki, a nie z pełnej cegły, i takie są efekty. – Zapukał ponownie i odwrócił się do nich. – A jakie hałasy państwu szczególnie przeszkadzają?

Popatrzyli się na siebie niepewnie.

– To znaczy?

– Przenoszone przez powietrze czy uderzeniowe? – Inżynier zmierzył Henryka badawczym wzrokiem, jak śledczy przesłuchiwanego. – To znaczy, czy głośne rozmowy i muzyka, czy raczej kroki, łomoty, trzaskanie drzwiami?

Henryk lekko wzruszył ramionami.

– I jedno, i drugie.

Inżynier pokiwał głową, jakby zadowolony z odpowiedzi, i zapatrzył się przez okno na gałąź orzecha, na której właśnie usiadła sroka. Przez chwilę oświetlony przez latarnię, pięknie upierzony ptak zdawał się skupiać całą jego uwagę.

– Głośny sąsiad to nieszczęście, wiem – powiedział w zamyśleniu, wciąż nie odwracając głowy. – Muszę jednak państwu powiedzieć, że pierwszy raz zdarza mi się tego typu sprawa w bliźniaku. Na ogół uszczelniam mieszkania w blokach. Ale tu, faktycznie, mocno przyoszczędzono. – Jakby na potwierdzenie tych słów kolejny raz zapukał w ścianę. – W takim razie najlepiej będzie zastosować technikę mieszaną. Ona zawsze daje lepszy efekt niż zwykła przegroda. Zrobimy tak: nałożymy podwójną warstwę wełny mineralnej i przykryjemy płytą gipsową. To powinno pomóc.

– Naprawdę? – zainteresowała się Justyna. Henryk milczał, oszołomiony kanonadą fachowych określeń.

Inżynier skinął głową.

– Ale sprzedam państwa – dodał z poważną miną. – To jest półśrodek. Nie wyciszy zupełnie hałasu, tylko go znacząco wytłumi.

Henryk poczuł się nieco zawiedziony. Gdy usłyszał, z ilu dodatkowych

warstw ma się składać ściana, był pewien, że sąsiedzi zostaną całkowicie od nich odcięci.

– To co pan radzi? Jakie jest wyjście? – spytał.

Chruścicki popatrzył na niego z namysłem.

– Można jeszcze wspomóc efekt przez stworzenie własnego tła akustycznego – odparł po chwili. – Mój znajomy nie mógł zasnąć przez hałas z ulicy, więc wykorzystał szum w eterze między stacjami radiowymi. No, ale tego akurat państwu nie polecam. Można by jednak, na przykład, postawić tu jakieś małe szumidełko.

– Szumidełko? – Justyna uniosła brwi.

– No, założyć pokojową fontannę – wyjaśnił uprzejmie inżynier. – To bardzo dobra maskownica. Ale najlepszym wyjściem byłoby zrobić analogiczną przegrodę u państwa sąsiadów. Wiedzą państwo, hałasy najlepiej tłumić od strony, z której powstają. To wyciszy o sześćdziesiąt procent, a od tej tylko o czterdzieści.

Henryk wymienił spojrzenia z Justyną. Zapewne pomyśleli o tym samym.

– Możemy spróbować ich namówić – powiedział z ociąganiem. Nie brzmiał przekonująco.

Inżynier spojrzał na niego ze zrozumieniem.

– Jak się państwu nie uda, to żadna tragedia. Różnica i tak będzie odczuwalna.

Po tej optymistycznej deklaracji ruszyli na obchód mieszkania. Ścian do wygłuszenia zebrało się sporo: w salonie i na schodach, na piętrze w sypialni, łazience i pokoju Agaty. Inżynier mierzył je starannie stalową taśmą i bez przerwy coś notował w eleganckim notesie. Justyna spytała go w pewnym momencie, na ile zmniejszy się przez to powierzchnia mieszkania, na co się roześmiał i wyjaśnił, że „optycznie nawet pani nie zauważy”. Wszystko wydawało się jasne i niebudzące wątpliwości, a pewne kontrowersje pojawiły się dopiero w łazience, gdy doszli do ściany wyłożonej pięknymi hiszpańskimi kafelkami, które teraz trzeba by było zrywać. Henryk wolał tego unikać; szkoda mu było je niszczyć, tym bardziej że szanse na ich odkupienie po ośmiu latach oceniał na minimalne. No i kucie znacząco wydłużyłoby całą robotę.

Justyna jednak uważała, że dla dobra sprawy należałoby je poświęcić. Mruknęła coś o tym, żeby nie żałować róż. On upierał się przy swoim. Inżynier, do którego zwrócili się o arbitraż, nieoczekiwanie poparł Henryka.

– Tak, trochę szkoda. Zwłaszcza że kafle już dają pewną osłonę.
Justyna chciała coś chyba powiedzieć, ale się rozmyśliła. Henryk postanowił arbitralnie zamknąć temat.

– Czyli zostawiamy. A ile by to wszystko kosztowało? – spytał szybko.
Chruścicki wyjął z kieszonki staroświecki kalkulator i zaczął coś obliczać.
Trwało to dłuższą chwilę.

– Około pięciu tysięcy. A jeśli zrobimy też od strony tych hałaśliwych sąsiadów, to mniej więcej osiem – odparł rzeczowo.

Henryk wymienił zdumione spojrzenia z Justyną. Nie spodziewali się tak wysokiej ceny. „No to automatyczna brama będzie musiała poczekać na lepsze czasy” – pomyślał.

– To chyba dosyć drogo – mruknął.
Inżynier rozłożył ręce.
– No, proszę państwa, za komfort trzeba płacić.
Spojrzał pytająco na Justynę. Opuściła powieki na znak, że się zgadza.

– Okej – powiedział. Sprawa była zbyt ważna, aby się teraz targować.
Inżynier potwierdził zawarcie porozumienia skinieniem głowy.
– To w takim razie możemy jutro zaczynać. Przywiozę chłopaka, materiały, da pan zaliczkę i ruszamy z robotą.

– Świetnie – ucieszył się Henryk. „Im prędszej, tym lepiej” – pomyślał.
Zeszli na dół. Wizyta była skończona. Chruścicki, jako człowiek dobrze wychowany, pożegnał się najpierw z Justyną, całując ją szarmancko w rękę. Wbrew swoim zasadom przyjęła to bez protestu. Potem mocno ścisnął dłoń Henryka.

– Tylko niech się państwo porozumieją z sąsiadami, żebyśmy wiedzieli, na czym stoimy – rzucił, wkładając elegancki lodenowy płaszcz, nieodpowiedni na dzisiejszą pogodę. Ukłonił się nisko obojgu i wyszedł. Po chwili usłyszeli odgłos zapuszczanego silnika i stojące na podjeździe ciemne audi wytoczyło się na uliczkę.

Justyna włączyła elektryczny czajnik. Henryk usiadł na krześle i popatrzył na nią z wyczekiwaniem. Spodziewał się jakiegoś komentarza, po cichu liczył nawet na pochwałę. Nie doczekał się jej jednak.

– No i co? – spytał w końcu.
W pierwszej chwili nie odpowiedziała. Stała przed szafką i przyglądała się opakowaniom z różnymi gatunkami herbaty, jakby zastanawiając się, które wybrać.

– No... – odparła z wahaniem. – Nie załatwia to wszystkiego, ale jest to jakiś pomysł.

Nie mógł powstrzymać irytacji.

– Czy ty kiedyś będziesz zadowolona?!

Odwróciła głowę i popatrzyła na niego z niechęcią.

– Zobaczymy, jak to się sprawdzi – wyjaśniła spokojnie. – Poza tym... jasne, że dobrze by było odizolować się od nich, ale... – Urwała, machnęła ręką. – Nieważne zresztą, nie wytłumaczę ci tego.

Co miała na myśli? Że to tylko namiastka? Tyle to sam wiedział. Pewno, że lepiej by było ich stąd wykurzyć, ale jak?

Postanowił nie kontynuować tej rozmowy i od razu pójść do sąsiadów. Po spotkaniu z inżynierem, które natchnęło go nadzieją, czuł przypływ energii. Chciał działać. Wstał i szybko się ubrał.

– Idę do nich – mruknął.

Kiwnęła głową.

– Zalać ci herbaty?! – zawołała za nim, gdy już wychodził.

Nie odpowiedział.

Na dworze było ciemno i wilgotno, wciąż utrzymywała się plucha. Buty zapadały mu się w szaroburą maź, pod stopami chlupotało. Unosząc wysoko stopy, dobrnął pod furkę sąsiadów. Była jak zawsze niezamknięta. „Dom otwarty – pomyślał zgryźliwie. – Meta dla wszystkich”. Wszedł na teren posesji. Stojący po lewej stronie, szybko topniejący bałwanek wpatrywał się w niego bystrymi oczami węgielków.

Nacisnął dzwonek. W środku odezwał się gong. Po chwili drzwi otworzyły się z rozmachem i stanął w nich ubrany w polarową bluzę sąsiad. „Jak on ma na imię? – zastanowił się Henryk. – Edek. Tak, Edek”. Edek przeżuwał coś w ustach, za jego plecami widać było stół, przy którym siedziała reszta rodzinki: wpychająca sobie chleb do ust sąsiadka i chłopczyk ze znieruchomiałym w powietrzu widelcem, na którego końcu dyndał kawałek parówki. Poczł się nieco winny, że przychodzi niezapowiedziany i przeszkadza im w kolacji. „Ale niby jak miałem się zapowiedzieć? – pomyślał zaraz. – Przecież nie mam ich telefonu”.

– Smacznego – powiedział.

Edkowi udało się wreszcie przełknąć kęs.

– Dziękuję – mruknął niewyraźnie. Jego żona nic nie odpowiedziała. Patrzyła na Henryka bez sympatii.

Przeprószył za najście i w skrócie przedstawił swoją ofertę. Wymienił wszystkie zalety dodatkowej izolacji i podkreślił, że zadziała skutecznie, gdy obejmie ścianę z obydwu stron. Przez chwilę czuł się jak akwizytor.

Tamci słuchali w milczeniu. Nie zaproponowali, aby usiadł. Sąsiadka wróciła spokojnie do jedzenia i wskazała talerz małemu, który zapatrzył się na niego szeroko otwartymi, smutnymi oczami. Henryk urwał i przeniósł wzrok na stojącego naprzeciwko sąsiada. Ten uśmiechnął się nieoczekiwanie.

– Tak wam przeszkadzamy? – spytał.

Henryk westchnął. Ile razy miał to powtarzać? Hamując zniecierpliwienie, zaczął po raz kolejny tłumaczyć, że ich rozmowy (tak to ujął – rozmowy!) doskonale u nich słychać, co jest krępujące, a oni też chyba nie chcą być podsłuchiwanie. I że podwójne zabezpieczenie mogłoby ten problem rozwiązać raz na zawsze, ku obopólnemu zadowoleniu. Gdy skończył, Edek popatrzył na niego uważnie, jakby go to wreszcie zaciekało, ale jego żona nie podzielała jego zainteresowania.

– Nie mamy pieniędzy na takie luksusy – burknęła znad talerza.

Był przygotowany na taką odpowiedź.

– O pieniądze proszę się nie martwić – zapewnił. – Oczywiście my to wszystko sfinansujemy.

Tamci popatrzyli po sobie. „Konsultują się ze sobą identycznie jak my”, pomyślał. Wynik konsultacji okazał się jednak dla niego niekorzystny.

– My tam waszej łaski nie potrzebujemy – odparła tamta.

Ogarnęła go złość, poczuł, że się czerwieni. Miał zamiar nawrzucać tej prymitywnej, chamskiej babie, nawymyślać jej od najgorszych. Opanował się jednak.

– Nie chodzi o łaskę, tylko... – zaczął.

– Po co nam to? – przerwała mu bezceremonialnie. – Jakaś rujnacja w chałupie? No, chyba że przy okazji remont byśmy zrobili. – Zamyśliła się.

Henryk zwietrzył szansę. Postanowił kuć żelazo, póki gorące.

– Na pewno byłoby najpraktyczniej – stwierdził.

– I co, opłaciłby pan? – Uśmiechnęła się chytrze.

Popatrzył na nią zaskoczony. Nie był pewny, czy dobrze zrozumiał.

– Ale co? Cały remont? U państwa? – spytał z niedowierzaniem.

Tamta potwierdziła energicznym skinieniem głowy.

„Co za bezczelność” – pomyślał.

– No nie – odparł chłodno. – To już byłaby przesada.

– No to nie – podsumowała krótko tamta.

Miał już dość tej rozmowy, ale postanowił podjąć jeszcze jedną próbę. Sprawa była zbyt ważna, aby mógł tak łatwo odpuścić.

– Ale może jednak się państwo namyśla? Dla państwa też byłaby wygoda.

– Nam jest wygodnie – przerwała mu. – Do widzenia.

Znów poczuł, że krew napływa mu do policzków. Nie był przyzwyczajony do takiego traktowania. Wymienił spojrzenia z sąsiadem, który podczas całej tej rozmowy nie odzywał się, jakby chcąc zachować neutralność. Teraz rozłożył bezradnie ręce: skoro kobita sobie nie życzy...

Nie odpowiedział, wykonał tylko sztywny ukłon i wyszedł. Sąsiad zamknął za nim drzwi. Odchodząc, usłyszał jego głos: narzekał, że mu jedzenie wystygło. Potem oboje zaczęli jednocześnie o czymś mówić. Zatrzymał się, zawrócił pod drzwi i przyłożył do nich ucho. Były grube, solidne, ale przepuszczały rozmowę. Tak jak się spodziewał, omawiali jego propozycję.

– Jak za darmo byśmy mieli... – W głosie sąsiada słychać było wahanie.

– A co ja będę obcych wpuszczała do chałupy, żeby mi bałagan robili. – Kobieta z kolei mówiła głosem pewnym siebie, donośnym, wyraźnie słychać było każde słowo. – A poza tym nie potrzebujemy. Niech se sami ścianę budują.

„Co za złośliwa suka” – pomyślał.

Sąsiad umilkł, potem znów coś mruknął o zimnych kartoflach.

– Podgrzeję ci – odparła tamta.

Henryk usłyszał skrzypnięcie odsuwanej krzesła i szuranie kapciami po podłodze.

Nie miał już po co dłużej tam sterczeć. Głupio by zresztą było, gdyby zobaczyła go przez okno w kuchni, stojącego z uchem przyklepionym do drzwi. Szybkim krokiem, prawie biegnąc, dotarł do furki i wypadł na zewnątrz. Odetchnął głęboko. Nieprzyjemna była ta rozmowa.

Gdy wrócił do domu, Justyna siedziała przy stole, popijając herbatę i czytając jakiś specjalistyczny periodyk. Na jego widok przerwała lekturę i uniosła wzrok.

– Nie zgodzili się – powiedział krótko. Zdjął kurtkę. Miał ochotę się czegoś napić i nie była to herbata.

– Tak myślałam – odparła z westchnieniem, zamykając pismo. – Im to chyba sprawia jakąś sadystyczną przyjemność.

Nie skomentował tego, ale po cichu przyznał jej rację. Jeśli chodziło

o sąsiadkę, to trafiła w dziesiątkę.

– Chcieli, żebyśmy przy okazji sfinansowali im remont – dodał, nalewając sobie do szklanki dużą porcję johnnie walkera.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

– Co? No wiesz, to już szczyt.

Pokiwał kilkakrotnie głową. Usiadł w fotelu koło wygaszonego kominka i pociągnął łyk nierozcieńczonej whisky. Poczował miłe ciepło rozlewające się po ciele.

– No nic – westchnął. – Poradzimy sobie.

Nie odpowiedziała, ale zerkając na nią znad krawędzi szklanki, stwierdził z zadowoleniem, że przez te kilkanaście minut, które bezowocnie spędził u sąsiadów, zaszła w niej jakaś zmiana. Wydawała się bardziej rozluźniona, spokojniejsza, jakby bardziej przekonana do jego pomysłu. Może potrzebowała czasu, żeby się z nim oswoić.

Sama też zaczęła rozmowę o organizacyjnej stronie całego przedsięwzięcia. Było to w końcu coś w rodzaju małego remontu, bo po zamontowaniu nowych ścian należało je jeszcze pomalować. Na szczęście odnawiali mieszkanie niecałe trzy lata temu, a ponieważ szef ekipy zamówił za dużo farby, zostały im jeszcze spore zapasy, z kilkanaście puszek. Trzeba też było ustalić terminarz dyżurów, kto i kiedy zostanie, aby dopilnować „chłopaka”, jak określał swojego pracownika Chruścicki. Nie mieli wprawdzie powodu, aby mu nie ufać, ani też nie posiadali kosztownych rzeczy, które mogłyby kogoś skusić, ale uznali, że na wszelki wypadek lepiej być na miejscu – wyjaśnić, gdyby były wątpliwości, odpowiedzieć na ewentualne pytania. Choćby na początku.

Po krótkiej dyskusji postanowili, że przez pierwsze dwa dni, gdy robota będzie się jeszcze rozkręcała, w domu zostanie Henryk. Justyna miała ważne zebranie, kilka pilnych wizyt, a on tylko swoje rutynowe zajęcia. Poza tym, ze względu na wyższe stanowisko, łatwiej mu było zwolnić się z dnia na dzień, jak teraz. Był w sumie nawet zadowolony z tego krótkiego urlopu – spokojnie dokończy referat. Ale jeszcze bardziej cieszyło go to, że Justyna najwyraźniej wyzbyła się początkowego sceptycyzmu i omawiała z nim szczegóły techniczne z zapałem i energią. Lubił prowadzić z nią takie rzeczowe, konkretne rozmowy. Przypominały mu czasy, gdy wspólnie dyskutowali nad urządzeniem domu.

Gdy już wszystko ustalili, dopił resztkę whisky i poszedł do gabinetu

rozesłać mejle na uczelnię z informacją o przełożeniu zajęć. Potem, tą samą drogą, zawiadomił też studentów. Jak znał życie, nie zmartwili się. Wziął później prysznic i położył się z kryminałem do łóżka. I tego wieczoru, po raz pierwszy od wielu dni, zasnął spokojnie.

Rano obudził się wcześniej i po szybkim śniadaniu poszedł do gabinetu. Ledwo jednak usiadł do pisania referatu, gdy zza okna dobiegł go nietypowy odgłos samochodowego silnika. Przez osiem lat nauczył się odróżniać wszystkie samochody z ich uliczki. Ten dźwięk był inny, donośniejszy. Podniósł się zza biurka i wyjrzał na zewnątrz. Ucho go nie zwiodło: w otwartą bramę wjeżdżała właśnie tyłem biała furgonetka, z trudem mieszcząc się na wąskim, przystosowanym do osobowych aut podjeździe. Spojrzał na zegarek. Dochodziło wpół do dziewiątej. Chruścicki przyjechał nawet wcześniej, niż zapowiadał.

Szybko zbiegł na dół i otworzył pilotem garaż. Na dworze było ciepło, śnieg się roztopił i na podjeździe utworzyły się rozległe, czarne kałuże. Inżynier zdążył już wysiąść z furgonetki i stał teraz obok mniej więcej osiemnastoletniego, ciemnowłosego chłopaka, coś mu tłumacząc, podczas gdy ten otwierał tylne drzwiczki samochodu. Na widok Henryka przerwali rozmowę. Chruścicki przywitał się i przedstawił stojącego w milczeniu nastolatka.

– To Robert, mój siostrzeniec.

Henryk wyciągnął do niego rękę, którą tamten ujął niezgrabnie, jakby bokiem, i wymamrotał coś pod nosem, nie patrząc mu w oczy. „Mały dzikus” – pomyślał.

Wymienił z inżynierem kilka uwag o pogodzie („Dobrze by było, żeby odwilż utrzymała się aż do malowania”), podczas gdy chłopak zaczął wyciągać z furgonetki płyty gipsowe, rulony wełny mineralnej, płachty przezroczystej folii oraz długie, metalowe szyny, których przeznaczenia Henryk nie potrafił odgadnąć. Spojrzał pytająco na inżyniera. Ten uśmiechnął się pod nosem, wyraźnie rozbawiony jego techniczną ignorancją.

– To profile – powiedział, jakby to coś wyjaśniało, po czym dodał: – Na czymś ta konstrukcja musi się trzymać, panie profesorze.

Henryk pokiwał w milczeniu głową. Popatrzył na uwijającego się Roberta. Choć chłopak był raczej drobnej postury, okazał się nadspodziewanie silny

i bez większego trudu przenosił wszystkie materiały do garażu, gdzie układał je starannie pod ścianą, uważając, aby nie zadraskać stojącego tam clio. Widać było, że niepotrzebna mu żadna pomoc. Henryk zaprosił więc Chruścickiego na filiżankę kawy. Inżynier nie odmówił. Po drodze zajrzał jeszcze do kabiny samochodu i wyciągnął z niej brązową, sfatygowaną teczkę.

Przeszli przez garaż, mijając dźwigającego rulony wełny Roberta. Henryk zamknął drzwi od kuchni, wskazał Chruścickiemu krzesło i nastawił ekspres. Korzystali z niego rzadko, zadowolając się na co dzień neską, ale uznał, że gościowi należy się coś lepszego. Gdy urządzenie, prychając, wypluwało z siebie kolejne porcje smolistego napoju, inżynier wyciągnął z teczki fakturę z pobliskiej hurtowni i monotonnym głosem zaczął czytać kolejne pozycje wraz z cenami. Wyszło w sumie dwa tysiące złotych, mniej więcej tyle, ile wcześniej zapowiadał. Henryk słuchał go nieuważnie. I tak niewiele mu to wszystko mówiło. Obiecał zrobić tego dnia przelew i postawił na stole dwie parujące filiżanki.

Przez chwilę gawędzili niezobowiązująco o różnych gatunkach kawy. Chruścicki okazał się prawdziwym koneserem, sypał nazwami i ciekawostkami. Za drzwiami prowadzącymi do garażu słychać było kroki Roberta krążącego między furgonetką a prowizorycznym magazynem. Nagle zadzwoniła komórka Henryka. Przeprosił, podniósł podrygujący na blacie kuchni aparat i odszedł na bok. Nie wziął z góry okularów, więc nie mógł odczytać na wyświetlaczu numeru i był niemile zaskoczony, gdy usłyszał z drugiej strony głos asystentki kanclerza uczelni. Była to wysoka, chuda blondynka o imieniu Aldona, przed laty reprezentantka Polski w siatkówce; plotkowano, że spotyka się po pracy ze swoim szefem.

– O co chodzi? – spytał nieuprzejmym tonem. – Przecież wysłałem wczoraj mejla. Mam prawo raz na semestr skorzystać z dwudniowego nieplanowanego urlopu.

– Tak, wiem, wiem – odparła asystentka – ale pan kanclerz – słowo to wymówiła niemal z nabożną czcią – chciałby pana pilnie widzieć.

Henryk obruszył się.

– Przez te dwa dni to będzie niemożliwe – odparł stanowczo.

– Ale to bardzo ważna sprawa – upierała się asystentka.

W końcu zgodził się przyjechać następnego dnia na czternastą. Aldona pożegnała go oficjalnym tonem i rozłączyła się. „Co znowu? – pomyślał,

wsuwając komórkę do kieszeni spodni. – O co tu chodzi?”

Usiadł z powrotem przy stole i pociągnął mały łyżeczek kawy. Nie zdążyła wystygnąć. Inżynier przyglądał mu się z uśmiechem.

– Nie mogą już bez pana wytrzymać? – spytał.

Henryk potwierdził niewyraźnym mruknięciem. Wciąż się zastanawiał, co się kryło za tym dziwnym zaproszeniem.

– Ech, etat – westchnął Chruścicki. – Mówię panu, panie profesorze, nie ma jak na swoim. Wolny człowiek wreszcie jestem. Jak pomyślę, ile lat wytrzymałem na państwowej posadzie, to nie mogę uwierzyć.

Henryk słuchał z roztargnieniem słów inżyniera, zachwalającego posiadanie własnej firmy. Jego to nie dotyczyło, chyba żeby założył prywatną pracownię socjologiczną, na co się nie zanosilo. Myślał o następnym dniu.

– Sądzi pan, że będę mógł zostawić go samego? – spytał, wskazując kciukiem na drzwi do garażu.

Choć pytanie było sformułowane delikatnie, inżynier zeszywniał i zmierzył Henryka nieprzyjemnym spojrzeniem.

– Pyta się pan, czy chłopak nie kradnie? – spytał oschle, z urazą w głosie.

Henryk poczuł się zakłopotany.

– To chyba naturalne pytanie – odparł obronnie.

Inżynier złagodniał i pokiwał kilkakrotnie głową.

– No tak – przyznał. – Ma pan prawo pytać, bo złodziejstwo teraz straszne, ale ja bym panu złodziejowatego pracownika do domu nie wprowadził. Może pan wychodzić, kiedy pan chce, a nawet zostawiać mu klucze. To mój siostrzeniec – powtórzył z naciskiem, tak jakby przynależność do jego rodziny stanowiła oczywistą rękojmię uczciwości.

Henryk nie odpowiedział. Przez chwilę pili kawę w milczeniu. Inżynier odstawił filiżankę, podniósł się i uchylił drzwi do garażu.

– Dużo ci zostało?

– Już kończę – odparł chłopak ze środka lekko zdyszonym głosem.

Chruścicki kiwnął głową i zamknął starannie drzwi. Usiadł z powrotem i przesunął się z krzesłem bliżej Henryka.

– Dla mnie to nawet więcej jak siostrzeniec – odezwał się ściszym głosem. – Zajmuję się nim od śmierci jego matki, mojej młodszej siostry, bo jej mąż to zawsze był ladaco.

Henryk spojrział na niego pytająco. Nie wiedział, do czego ten zmierza.

– Chłopak miał straszne przeżycie – ciągnął dalej inżynier. – Jak moja siostra zmarła po wylewie – od młodości chorowała na nadciśnienie – to on miał pięć lat. I był z nią wtedy w domu sam, bo ojciec gdzieś się szlajał. Siedział potem osiem godzin ze zwłokami matki leżącymi na dywanie. Okropny szok wtedy przeżył, okropny! – zakończył inżynier, podnosząc dramatycznie głos. Zamyślił się i dopił resztę kawy.

Henryk zakręcił się niespokojnie na krześle. Czuł się nieco skrępowany bezpośredniością człowieka wprowadzającego go w tak intymne szczegóły swoich rodzinnych historii. Poza tym bał się, że chłopak może wszystko usłyszeć przez cienkie drzwi.

– Rozumiem – bąknął, a gdy niemal w tym samym momencie do kuchni wszedł Robert, przyjrzał mu się uważnie, szukając na jego twarzy potwierdzenia swoich obaw, nic na to jednak nie wskazywało.

– Skończyłem – zameldował krótko.

Henryk uśmiechnął się do niego życzliwie. Teraz patrzył już na niego trochę innym wzrokiem. Jego milkliwość i zamknięcie w sobie stawały się bardziej zrozumiałe. Chłopak nie zareagował jednak na jego uśmiech. Patrzył wyczekująco na wuja.

Chruścicki spojrzał na zegarek i kiwnął z aprobatą głową, jakby czas rozładunku go satysfakcjonował. Wstał od stołu, podziękował za kawę i skinął na siostrzeńca.

– Pokażę mu, co ma robić – rzucił wyjaśniająco.

We trójkę ruszyli na obchód domu, zaczynając od piętra. Inżynier wziął na siebie rolę przewodnika – oprowadzał chłopaka po pokojach, wskazując ściany do wygłuszenia i rzucając fachowymi terminami, których Henryk nie rozumiał. Nastolatek jednak wydawał się zorientowany, a z jego rzeczowych pytań wynikało, że ma pojęcie o tej robocie. Henryka niepokoił tylko jego młody wiek. „Ile razy mógł coś takiego robić?” – zastanawiał się. Wolałby, aby inżynier nadzorował na bieżąco jego pracę, ale to nie wchodziło w rachubę. Chruścicki miał też inne zamówienia.

Gdy wszystko było już ustalone, Robert poszedł przebrać się do łazienki, a Henryk odprowadził inżyniera do samochodu.

– Proszę się nie martwić, panie profesorze – powiedział ten na pożegnanie, jakby czytając w jego myślach. – Wszystko będzie na tip-top. Chłopak zna fach. A za jego uczciwość daję rękę. – Po czym wskoczył energicznie do furgonetki i manewrując zgrabnie na podjeździe, odjechał. Henryk zamknął

za nim bramę i wrócił do domu.

Robert, przebrany w niebieski kombinezon, schodził właśnie do garażu. Henryk zaproponował mu kawę, chłopak jednak pokręcił przecząco głową.

– Potem sobie zrobię – odparł, wskazując kolorowy kubek i mały czajnik elektryczny, które pojawiły się na blacie w kuchni, przywiezione najwyraźniej przez niego z domu. „Jaki samowystarczalny – pomyślał zgryźliwie Henryk. – Niczego od nikogo nie chce i o nic nie prosi. Może jednak wujek mu tak kazał”.

Chłopak uznał rozmowę za skończoną, przeniósł do przedpokoju pierwszą partię materiałów i zabrał się rażno do roboty. Porozkładał folię na podłodze, zdjął wieszak i wdrapawszy się z wiertarką na wysoką drabinę, zaczął wywiercać otwory w ścianie. Henryk kręcił się chwilę, obserwując jego pracę, ale stwierdziwszy, że jest absolutnie zbędny, poszedł na górę. Nie mógł jednak się skupić, gdyż przenikliwy wizg wiertarki docierał do gabinetu mimo zamknięcia drzwi. Jedyne pocieszeniem było to, że tamci też musieli go słyszeć. „Może teraz zrozumiecie, co to znaczy akustyczny dom” – pomyślał złośliwie. Ale od tego nie pisało mu się lepiej.

Włączył radio, lecz świdrujący odgłos przebijał się nawet przez głośną muzykę, wyjął więc z szuflady woskowe zatyczki, którymi w swoim czasie wzgardziła Justyna, i wcisnął sobie do uszu. Teraz wreszcie mógł pracować.

Pisał przez cztery godziny; siostrzeniec Chruścickiego go nie niepokoił, robił swoje, o nic nie pytając. Skończył pierwszą część tekstu, wydrukował, a potem zszedł na dół coś zjeść, bo poczuł nagle gwałtowny głód. W domu panowała cisza, Robert też zapewne zrobił sobie akurat przerwę. Schodząc, zauważył, że ciągnąca się wzdłuż schodów wysoka ściana została poszatkowana tymi dziwnymi, metalowymi szynami, przyśrubowanymi do niej w równych, mniej więcej metrowych odstępach. „Szybko się z tym uwinął” – pomyślał z uznaniem i wszedł do kuchni. Folia, którą była wyłożona posadzka, szeleściła mu pod stopami. Chłopaka nigdzie nie było. Dopiero gdy wyjrzał przez okno, dostrzegł go stojącego na podjeździe i palącego papierosa.

Gdy po chwili wrócił i zobaczył Henryka, wydawał się przestraszony, jakby został przyłapany na nieróbstwie (choć może chodziło o ten papieros?). Trochę aby go uspokoić, a trochę z grzeczności, Henryk zaproponował mu obiad. Ten jednak, zgodnie z przewidywaniami, odmówił.

– Dziękuję, mam kanapki.

– Kanapki to nie obiad. – Uśmiechnął się zachęcająco.

– Obiad zjem po pracy, jak wuj przyjedzie.

„Nie, to nie” – pomyślał, wrzucając na patelnię odmrożony befsztyk z polędwicy. Nietowarzystwo chłopaka zaczynała go jednak trochę drażnić. Jak wytrzyma z takim mrukiem dwa dni pod jednym dachem? Ale może to „wuj” nie pozwalał mu się spoufalać z klientami. Zresztą, najważniejsze, żeby zrobił dobrze i szybko.

Jadł w milczeniu smażone mięso, zerkając znad talerza na Roberta, który rozwinął na podłodze rulony waty mineralnej i wielkimi krawieckimi nożycami ciął ją na równe, dwumetrowe pasy. Żelazne ostrza szczękały w ciszy.

Po obiedzie zrobił sobie jeszcze jedną kawę i wrócił na górę, przeciskając się obok stojącego na drabinie chłopaka, który z wyraźnym wysiłkiem wsuwał w metalowe szyny szerokie płyty wełny. Już czysto kurtuazyjnie spytał, czy mu w niczym nie pomóc, na co, ku wielkiemu zaskoczeniu, usłyszał, że tak, choć jeszcze nie teraz, i że on w odpowiednim czasie go zawoła. Zdziwiony, zamknął się w gabinecie.

Położył na biurku wydruk artykułu, który miał zamiar poddać testowi lektury; nie lubił czytać z ekranu komputera. Zamiast tego jednak zaczął się zastanawiać, czy Robert zgodził się na jego pomoc ot tak, dla świętego spokoju, czy też naprawdę Henryk był mu do czegoś potrzebny. I właściwie czemu on, w końcu klient, płacący za wykonanie konkretnej usługi, tak się ze swoją pomocą narzuca? Czemu w ogóle odczuwa wyrzuty sumienia, gdy ktoś obok pracuje fizycznie, podczas gdy on siedzi przy biurku? Nie pierwszy raz się to zdarzyło. Gdy w jego obecności jakiś fachowiec – wszystko jedno, hydraulik, posadzkarz czy glazurnik – wykonywał swoją pracę, on czuł się jak jakiś niecny wyzyskiwacz, paskudny pasożyt. Czy to przekłete dziedzictwo życia w socjalizmie? W końcu nie było tak, że siedział sobie wtedy i pił kawę – też przecież pracował i nie była to praca bezużyteczna. Ale i tak miał irracjonalne poczucie winy, czuł jakiś dziwny dyskomfort.

Westchnął i zaczął czytać tekst. Wydał mu się całkiem dobry, choć w dwóch miejscach wymagał jeszcze drobnych poprawek. Akurat skończył, gdy rozległo się nieśmiałe pukanie do drzwi.

– Proszę! – zawołał, odwracając się od biurka.

Stojący w drzwiach Robert wydawał się skrępowany.

– To ja... może panu pokażę – rzucił, po czym szybko się wycofał i zniknął

z pola widzenia.

Henryk wstał i ruszył za nim. Chłopak przystanął na schodach i wyjaśnił, na czym polegałoby jego zadanie: miał podawać z dołu gipsowe płyty, które on następnie zamierzał mocować do ściany, by przykryły warstwę wełny mineralnej. Nie wyglądało to na nic trudnego, szybko jednak się przekonał, że był w błędzie. Płyty okazały się nadspodziewanie ciężkie. Gdy unosił je nad głową, czuł narastający ból w mięśniach i bał się, że za kolejnym razem ramiona mu omdleją, a płyta rozbije się na stopniach. „Tak to jest, gdy się zaniedbuje ćwiczenia fizyczne” – pomyślał.

Zacisnął jednak zęby i dalej, jakby nigdy nic, dźwigał białe, lekko śliskie w dotyku prostokątne ścianki, starając się ukryć przed Robertem coraz silniejsze drżenie rąk i próbując uciszyć własny oddech, który mógłby zdradzić, jak wiele wysiłku kosztuje go ta gimnastyka. Miał krótkie chwile odpoczynku, gdy chłopak wsuwał podawane płyty w wyżłobienia w szynach, ale robił to tak sprawnie i szybko, że przerwy trwały tyle, co nic, nie dawały wytchnienia. I znów trzeba było sięgać po kolejną płytę.

Gdy unosił już w górę ostatnią z nich, modląc się, aby Robert jak najszybciej wyjął ją z jego obolałych rąk, zazgrzytał klucz w drzwiach wejściowych i do domu energicznie wkroczyła Justyna. Na widok Henryka stojącego koło drabiny uśmiechnęła się lekko pod nosem.

– Dzień dobry – przywitała się wesoło. – Widzę, że robota się posuwa.

Nie miał siły, żeby odpowiedzieć, kiwnął więc tylko głową i dyskretnym ruchem otarł pot z czoła.

Justyna przywitała się z Robertem, przyglądając mu się z zaciekawieniem. Chłopak wydawał się jeszcze bardziej onieśmielony; spuścił wzrok i bąknął coś niewyraźnie. Z ulgą wrócił do wsuwania płyty, po czym błyskawicznie, z małą zręcznością, zsunął się z drabiny. „Mały dzikus” – pomyślał znowu Henryk, patrząc, jak młodzieniec przenosi się z całym swoim majdanem do pokoju telewizyjnego, idąc tak szybko, jakby przed kimś uciekał. Spytał, czy będzie mu jeszcze potrzebny, ale na szczęście Robert pokręcił przecząco głową. Ściana w pokoju była znacznie niższa, montaż mógł już zrobić sam.

Justyna krzątała się po kuchni, szykując sobie obiad. Wydawała się rozluźniona i naładowana dobrą energią. Mówiła z ożywieniem o zebraniu, na którym przegłosowano nowy, sensowniejszy system dyżurów, i o jakiejś anorektyczce, której przybyło dwa kilo. Patrząc na nią spod oka, zastanawiał się, na ile na jej dobry nastrój wpłynęła ta korzystna zmiana organizacyjna,

na ile wracająca do jedzenia chudzina, a na ile prowadzone w domu prace. Pewno wszystko naraz.

„Czemu tak późno wpadłem na ten pomysł? – wyrzucał sobie. – Czemu tak z tym zwlekałem?” Nie byłoby tych bezsensownych rozmów o wyprowadzce ani tego stałego, nieprzyjemnego napięcia między nimi, które dopiero teraz wydawało się ustępować. Wiertarka zaczęła warczeć, więc Justyna przeniosła się z jedzeniem na górę, a on postanowił dotrzymać jej towarzystwa. Usiedli w sypialni, ona z talerzem przy biurku, on na łóżku. Nie rozmawiali, bo musieliby się przekrzykiwać. Jadła z apetytem. Gdy skończyła, zaproponował, żeby się przeszli. Zgodziła się chętnie: też nie miała ochoty siedzieć w tym hałasie.

Pogoda wciąż była paskudna, więc szybko wrócili. Robert na szczęście przestał już wiercić otwory i teraz wśrubowywał w nie szyny. Wkrótce potem przyjechał Chruścicki.

Nie tracił czasu. Przywitał się, ściągnął, mimo ich protestów, buty i założywszy okulary, zaczął oglądać, centymetr po centymetrze, wyłożoną gipsowymi płytami ścianę koło schodów, niemal dotykając jej czubkiem nosa. Oględziny zapewne wypadły zadowolająco, bo przywoławszy do siebie Roberta, pochwalił go, a następnie wymienił z nim kilka fachowych uwag, których oczywiście nie zrozumieli, ale wynikało z nich, że wszystko przebiega prawidłowo. Potem obaj przeszli do pokoju telewizyjnego, gdzie rytuał oględzin się powtórzył. Na koniec klepnął siostrzeńca po plecach i kazał mu się przebierać.

Henryk przyglądał się inżynierowi z sympatią. Podobało mu się, że Chruścicki tak starannie dogląda roboty. Ujmujący był też sposób, w jaki odnosił się do siostrzeńca – serdeczny, niemal ojcowski. Ale widać również było, że mu nie pobrażał i wymagał od niego tyle samo, co od każdego pracownika, a może nawet więcej.

Justyna zaproponowała mu kawę, ale podziękował. Robert wyszedł po chwili z toalety, którą traktował jako przebieralnię, obaj panowie pożegnali się z nimi i wsiedli do „audika” inżyniera. Był to, jak teraz dopiero zauważył Henryk, całkiem nowy model. Chruścicki nie narzekał chyba na brak klientów.

Pokój telewizyjny był rozgrzebany, meble zasłane folią, w powietrzu unosił się kręcący w nosie pył, usiedli więc z herbatą przy stole w kuchni. Rozmawiali o pracującym u nich, milkliwym chłopaku. Henryk opowiedział

jej usłyszana od inżyniera historię śmierci jego matki. Justyna oczywiście bardzo się nią przejęła.

– Biedny dzieciak – powtórzyła dwukrotnie.

Skinął głową, upił łyk herbaty.

– Zastanawiam się, czy można go jutro zostawić samego – odezwał się po chwili. – Muszę pojechać do szkoły. Kanclerz mnie wzywa – dodał, widząc jej pytający wzrok.

Justyna się zawahała.

– Myślę, że można – odpowiedziała niepewnie.

Umilkli. Myśleli o tym samym.

– A zresztą. – Machnęła w końcu ręką. – Jakby chciał coś zwędzić, to i tak nie upilnujesz, chyba żebyś stał mu ciągle nad głową. Ale on nie wygląda...

Pokiwał głową w milczeniu. Jemu też tak się wydawało. Chwilę jeszcze rozmawiali, po czym żona podreptała na górę poćwiczyć jogę, a on narzucił kurtkę i wyszedł na dwór. Podjazd tonął w błocie, więc postanowił go uprzętnąć. Przy okazji chciał rozruszać mięśnie, które po popołudniowej gimnastyce z płytami gipsowymi miał zeszywniałe i obolałe. Metodę „klin klinem” doradził mu kiedyś Kubica.

Wokół panowała ciemność, niebo było jedną wielką chmurą, księżyc zniknął. O gwiazdach nie było nawet co mówić. Tylko w oknach okolicznych domów świeciły się światła. Sąsiadów nie było; widocznie znowu gdzieś się wypuścili i zabrali ze sobą dzieciaka. Zapalił halogenową lampę nad bramą garażu, wziął opartą o ścianę szuflę i miarowymi ruchami zaczął odgarniać czarną maź. Było to zajęcie czysto mechaniczne i niewymagające wielkiego skupienia, mógł się więc oddać swobodnym rozmyślaniom. Myślał o tym, że dawno już nie zdarzyło im się rozmawiać z Justyną tak swobodnie i miło, tak naturalnie. Odtajała, opuściła tę bryłę lodu, w której się wcześniej zamknęła. Może dlatego, że wreszcie **coś zrobił**.

Po piętnastu minutach podjazd był oczyszczony. Odstawił szuflę na miejsce i wszedł przez garaż do środka. W ciemności bieląca sterta płyt kartonowo-gipsowych. Nie zapalając światła, zdjął kurtkę i pobiegł na górę, prosto do łazienki. Marzył o kąpieli. Dźwiganie ciężarów, spacer z przeskakiwaniem kałuż, teraz to odgarnianie błota – nie ma co, dał sobie w kość. Z ulgą zrzucił przeпоcone ubranie. W łazience temperatura była niższa niż w całym domu, od kafelków bił nieprzyjemny chłód, szybko więc wskoczył pod prysznic i odkręcił kurek z gorącą wodą.

Po dziesięciu minutach wyszedł z wanny, rozgrzany jak po saunie i przepełniony energią. Idąc do łazienki, nie zabrał ze sobą piżamy, narzucił tylko szlafrok na nagie ciało i plaskając bosymi stopami o podłogę, przeszedł do sypialni. Justyna, która następnego dnia wstawiała wcześniej rano, leżała już w łóżku, trzymając w ręku ostatni numer „Sensu”. Przewiesił szlafrok przez oparcie fotela i wślizgnął się pod kołdrę, przyjmując bijącą od jej ciała falę ciepła. Poczul nagły przypływ pożądania. Czy dlatego, że prawie od dziesięciu dni się nie kochali? Czy też dlatego, że po tygodniu wzajemnego oddalenia znów byli ze sobą blisko i chciał skrócić wcześniejszy dystans do minimum? Nie zastanawiał się nad tym. Odwrócił się w stronę żony, zdecydowanym ruchem wyjął jej czasopismo z ręki i odrzucił na bok. Upadło na podłogę z cichym plaśnięciem. Spojrzała na niego z filuternym uśmiechem; wiedziała, o co mu chodzi. Objął ją lewym ramieniem, przysunął bliżej siebie i delikatnie pocałował. Usta miała miękkie i suche. Oddała pocałunek ochoczo, wpychając mu do ust swój gruby, mięsisty język. Całowali się coraz mocniej i zachłanniej. Wciąż oddzielała ich cienka warstwa jej koszuli nocnej. Justyna uniosła w górę ramiona i pomogła mu ją ściągnąć przez głowę. W nozdrza uderzył go zapach mydła migdałowego. Słysząc było szum drzew z pobliskiego lasu i nawoływanie się psów. Przysunął się jeszcze bliżej i przywarł do niej mocno. Poczula jego sztywny członek, zadrżała lekko i przyciągnęła go do siebie. Czubki jej twardej piersi załaskotały skórę na jego żebrach. Krew uderzyła mu do głowy, poczuł, że dłużej już nie wytrzyma tego rozdzierającego ciała napięcia. Ona też była już gotowa.

Pchnął ją lekko na plecy i umościł się niecierpliwie między jej nogami. Uniosła biodra i objęła go udami, tak że nie musiał właściwie wykonywać już żadnych ruchów, aby znaleźć się w jej wilgotnym, rozpalonym wnętrzu. Wsunął się głębiej, najgłębiej, jak mógł. Jęknęła głośno, jakby poczuła ból, a on zaczął poruszać się w niej miarowo, potem coraz szybciej i gwałtowniej, jakby chciał ją przebić na wylot. Skończyli szybko, głośno krzycząc.

Sturlał się z jej dużego, rozłożystego ciała i odetchnął. Jej oddech stopniowo się uspokajał. Gdy leżeli tak w milczeniu, przytuleni do siebie, zaczął się zastanawiać, czy tamci ich nie usłyszeli. Nie, to niemożliwe, uprzytomnił sobie po chwili, przecież ich jeszcze nie ma, nie wrócili, a poza tym sypialnia przylega do pokoju, którego praktycznie nie używali. Zresztą nawet gdyby, to co? Dom jest akustyczny, wielokrotnie ich ostrzegał.

A w ogóle nie ma sensu tak ciągle o nich myśleć, bo to już się robi jakaś obsesja.

Justyna wstała i nie ubierając się, poszła do łazienki. On po chwili podążył za nią. Był to ich stały rytuał: po uprawianiu seksu brali razem prysznic, myjąc się wzajemnie. Idąc przez zastygły w ciszy, ciemny dom i stając potem pod strugą ciepłej wody naprzeciwko nagiej żony, myślał o tym, że w ich wzajemnym przyciąganiu się jest jednak coś niezwykłego. Byli ze sobą ponad dwadzieścia pięć lat, a jeszcze się sobie nie znudzili. Łóżko zawsze ich łączyło. Zdarzały się kryzysy, napięcia, milczące dni, tak jak niedawno, i wtedy nie zbliżali się do siebie, ale gdy tylko ustępowało napięcie, rzucali się na siebie jak para wygłodzonych seksualnie nastolatków. Tak jak dzisiaj.

W zasadzie było to zjawisko przeciwne naturze – być trzydzieści lat z jedną kobietą. No, może nie całkiem z jedną. Przez ten czas przytrafiły mu się dwie czy trzy nieznaczące przygody, wszystkie podczas wyjazdów zagranicznych, bardziej w wyniku nadużycia alkoholu niż wielkiego erotycznego zauroczenia. Za każdym razem miał zresztą potem tak silne poczucie winy, że gra wydawała mu się niewarta świeczki. Było to poczucie winy czyste i niezmacone lękiem przed karą, gdyż ryzyko, że Justyna o czymkolwiek się dowie, niemal nie istniało. Nic jej też o tych jednonocnych wyskokach nie powiedział: cierpienie, jakie mógłby jej zadać, byłoby niewspółmierne do ich znaczenia.

Ciało Justyny, po którym krążył teraz namydloną gąbką, obudziło w nim czułość. Nie było już doskonałe – czas zrobił swoje i odcisnął na nim rozpoznawcze znaki. Jej piersi opadły i rozlewały się na boki, nad biodrami pojawiła się dodatkowa fałda tłuszczu, a z tyłu ud skóra była nierówna i lekko pomarszczona. Żona wciąż jednak wydawała mu się apetyczna. Być może należał do nielicznej kasty ludzi, na których ciało znajome i oswojone działało mocniej niż „świeże mięsko”, jak obleśnie mawiał Tadeusz, największy kobieciarz z ich trójki. Nie korzystał więc z licznych okazji, których dostarczała mu praca wykładowcy uniwersyteckiego. Pokusy romansu z tą czy inną studentką, wysyłającą w jego stronę zachęcające sygnały, odpierał bez trudu. Nie dlatego, że zabraniał tego kodeks uczelnianej etyki. Jego wierność nie wymagała poświęceń – młode kobiety już go po prostu nie interesowały.

Myślał o tym, jednocześnie przecierając gąbką jej krągłe ramiona, podczas gdy ona, namydliwszy jego członek, myła go posuwistymi ruchami dłoni.

I nagle, ku swojemu zdziwieniu – na Boga, nie miał przecież siedemnastu lat! – znów poczuł przelatujący po plecach dreszcz i przyjemne mrowienie w podbrzuszu. Odrzucił gąbkę w kąt wanny, położył jej rękę na plecach, wyczuwając pod palcami mokrą, gładką skórę, i przyciągnął ją do siebie. Ich ciała zderzyły się ze śmiesznym plaśnięciem, poczuł dotyk napierających na niego gorących, mokrych piersi. Zaczął ją łapczywie całować. Nie przeszkadzał mu gorzki smak mydła w ustach ani lejąca się z góry woda, której cienkie strumyki spływały mu po twarzy. Gdy na moment przerwali, odsunęła się lekko od niego i zniknęła w kłębach pary na dole. Po chwili poczuł, jak bierze w usta jego członek, ale to nie było już potrzebne. Przyklęknął naprzeciwko niej i przywarł ciasno do jej ciała, wciąż obsypując ją pocałunkami. Osunęli się powoli na dół i przez chwilę kotłowali się beładnie na śliskim, piskliwie skrzypiącym dnie wielkiej wanny, nie mogąc znaleźć dla siebie odpowiedniej pozycji. Wreszcie Justyna szepnęła: „Zaczekaj”, i odwróciwszy się tyłem, wsparła się rękami na jej krawędzi. Uniósł się, mocno chwycił ją rękami za biodra i patrząc na niecierpliwie wypięte, białe, szerokie pośladki, wsunął się w nią mocnym, gwałtownym pchnięciem. Westchnęła głośno, choć nie był pewien, czy się nie przesłyszał – wszystko zagłuszał szum wody.

Trwało to długo, dużo dłużej niż poprzednio – od pewnego momentu musiał walczyć z obezwładniającym, fizycznym zmęczeniem, a gdy skończyli, opadł na dno wanny, ciężko dysząc. Ona odwróciła się powoli i usiadła między jego rozrzuconymi beładnie nogami. Też musiała opanować rozgorączkowany oddech. „Zachciało się starszemu państwu pofiglować” – pomyślał, a ona uśmiechnęła się, jakby myślała o tym samym.

– Przynajmniej przysnąć blisko.

Kiwnął tylko głową – był zbyt wyczerpany, by cokolwiek odpowiedzieć.

Chwilę odpoczywali, po czym umyli się po raz drugi i żartując z tego nagłego wybuchu seksualnej aktywności („więcej już nie, ile razy można się kąpać?”), wrócili do sypialni, trzymając się za ręce jak para dzieci. Justyna sięgnęła po „Sens”. Popatrzył na nią z lekkim niedowierzaniem, zawsze go zdumiewała łatwość, z jaką przechodziła od erotycznych uniesień do prozaicznych czynności. On mógł teraz tylko leżeć, z głową oczyszczoną z jakichkolwiek myśli, i delektować się tą miłą pustką. Pomyślał tylko, że było to godne ukoronowanie udanego dnia, najodpowiedniejsza puenta.

Ogarniała go już senność, gdy usłyszał przytłumiony odgłos trzaśnięcia

drzwiami, po którym natychmiast rozpoczęła się zawzięta kłótnia. Na szczęście toczyła się na dole, więc docierała do nich jakby owinięta w miękką watę. Słyszał tylko, jak Pyzikowa wykrzykuje coś piskliwym głosem, unoszącym się w wysokie staccato, a on wtrąca co chwila niskie pomruki przypominające buczenie trzmiela. Justyna nie komentowała awantury i z kamienną twarzą dalej czytała czasopismo. Nie wspominała nic o wzywaniu policji, może uznała, że teraz już nie warto? Wyglądało tak, jakby udawała, że nic nie słyszy. Może zresztą rzeczywiście nie słyszała? Miała taką zdolność koncentracji, że podczas lektury udawało jej się zupełnie wyłączyć ze świata. On wsłuchiwał się w zniechęcone odgłosy, powoli oddalając się od nich. „To już niedługo, bardzo niedługo”, powtarzał sobie i z tymi słowami usnął.

Robert przyjechał następnego dnia autobusem i zabrał się do układania płyt w salonie. Justyna zaraz wyszła. Henryk siedział w gabinecie i pisał. Pracowało mu się lekko i przyjemnie, jak zawsze, gdy był w dobrym nastroju.

Dochodziła pierwsza, gdy chłopak zapukał do drzwi. Chciał już zacząć wiercić otwory na górze. „Dobrze się składa – pomyślał – zaraz i tak muszę jechać na spotkanie z kanclerzem”. Ustalili, że na początek weźmie się za pokój Agaty. Jeszcze rano, przed wyjściem Justyny do pracy, zastanawiali się, czy warto go wyciszać, ale w końcu uznali, że tak. Gdyby z tego zrezygnowali, przyznaliby, że uważają decyzję Agaty za ostateczną. Zresztą zawsze mogła przyjechać z wizytą i dlaczego miałyby być wtedy narażona na wysłuchiwanie czyichś wrzasków? Teściowa czy inni goście też na to nie zasługiwali.

Wchodząc tam teraz z chłopakiem, poczuł ukłucie w sercu, ostry, przeszywający ból na myśl, że córka tu nigdy nie wróci. I że jej pokój jest właściwie tylko salą muzealną pozostawioną na jej cześć. Czy miało sens wygłuszanie muzeum? Ekspozatom hałas nie przeszkadza. No ale już zdecydowali.

Robert rozglądał się po pomieszczeniu z ciekawością – pokój, choć na pierwszy rzut oka przypominał pracownię malarsko-fotograficzną, zachował dziewczęcy charakter.

– To córki – bąknął Henryk. – Jest teraz w Londynie.

Chłopak przyjął wiadomość obojętnie. Jego wzrok spoczął na dużej szafie, wypełnionej ubraniami Agaty. Mierzył ją wzrokiem, jakby zastanawiając się, czy zdoła odsunąć mebel od ściany.

– Będzie pan potrzebował mojej pomocy? – spytał domyślnie Henryk.

Robert uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Poradzę sobie – odparł.

Henryk przypomniał sobie, z jaką łatwością rozładował wczoraj materiały, i zawstydził się swojej nadgorliwości.

Zostawił go rozkładającego ostrożnie folię na meblach, a sam zszedł na dół przegryźć coś przed wyjściem. Po jedzeniu wrócił jeszcze na górę. Chłopak stał odwrócony tyłem z wiertarką w ręku. Nie usłyszał jego wejścia – na uszach miał ochraniacze, jakie Henryk widział u robotników drogowych i które przypomniały mu Agatę w tych jej śmiesznych nausznikach. Dotknął ręką jego ramienia w chwili, gdy ten przymierzał się do wywiercania pierwszego, oznaczonego krzyżykiem otworu. Chłopak odwrócił się gwałtownie, jakby przestraszony. „Nerwusik” – pomyślał Henryk. Zrobił uspokajający gest i wyjaśnił, że chciał mu tylko powiedzieć o swoim wyjściu. Robert kiwnął obojętnie głową i z powrotem założył ochraniacze. Henryk rozejrzał się po pokoju i stwierdził z zadowoleniem, że wszystko – meble, obrazy, fotogramy – zostało porządnie zabezpieczone. Podobało mu się to, lubił czystą robotę. Zamknął drzwi i gdy schodził ze schodów, z tyłu dobiegł go świdrujący warkot wiertarki. „Dobrze, że jadę” – pomyślał znowu.

Zabrał teczkę, której dziś właściwie nie potrzebował, ale bez której czuł się trochę nieswojo, i założył krótką skórzaną kurtkę. Puchówka wróciła do szafy. Z rana termometr wskazywał cztery stopnie. Gdy zamknąwszy starannie drzwi, wyszedł na dwór, stwierdził, że jest jeszcze cieplej.

Na zachmurzonym niebie krążyły czarne ptaki. Dzień był szary i ponury, ale nawet on nie mógł mu odebrać utrzymującego się od wczoraj dobrego nastroju. Nawet czekająca go rozmowa z Sowińskim przestała go niepokoić i już tylko ciekawiła.

Na drodze dojazdowej i w samej Warszawie ruch był raczej niewielki – nie bardzo wiadomo dlaczego, bo zwykle w takie dni na ulice wyjeżdżało więcej samochodów, ale Henryk już dawno zrezygnował z szukania tu logicznych prawidłowości i uznał, że miasto jest nieobliczalne. Nie trafił na żaden korek i zająkał pod gmach uczelni piętnaście minut przed wyznaczoną godziną spotkania.

Zatrzymał się przed szlabanem, zbliżył plastikowy identyfikator do czytnika i zjechał do dwupoziomowego podziemnego garażu, gdzie miał swoje stałe miejsce z wypisanym na betonowej posadzce numerem rejestracyjnym toyoty. Parkując, cicho westchnął: gdybyż uniwersytet choć w połowie zapewniał takie wygody! Tam musiał szukać miejsca dla samochodu na wąskiej uliczce koło instytutu i nie zawsze mu się to udawało. Często lądował aż na Browarnej.

Wjechał windą na parter i skierował się do bufetu, gdzie postanowił spędzić kwadrans pozostający do rozmowy. Prowadząca lokal pani Ela, energiczna pięćdziesięciolatka z włosami upiętymi w staromodny kok, parzyła wyjątkowo dobrą kawę. W dodatku było prawie pusto. Trwały jeszcze zajęcia, a barek zapełniał się właściwie tylko podczas przerw. Przy stoliku w kącie siedziało kilku studentów, popijając coca-colę. Na widok Henryka zrobili zdziwione miny, nie spodziewali się go dzisiaj. Ich twarze były znajome, ale nie potrafili powiedzieć, z którego są roku ani jakie ma z nimi zajęcia. Za dużo ich w sumie było, tutaj i na uniwersytecie, mieszało mu się wszyscy. Studenci wykonali niepewne ukłony w jego stronę, a jeden z nich zawołał wesoło: „Dzień dobry, panie profesorze!”. „Dzień dobry”, odpowiedział lekkim tonem, odklonił się pozostałym i zamówił małe espresso u pani Eli.

Gawędził z nią leniwie, popijając małymi łyżkami gęstą, mocną kawę. Była to przyjemna, niezobowiązująca rozmowa. Z osobami w swoim wieku znacznie lepiej się rozumiał niż z młodszymi, nawet jeśli dzieliła ich różnica wykształcenia i nawet gdy były to tylko rozmowy o pogodzie. Dopiero gdy rozmówczynie zaczęła się rozwódzić nad psimi kupami, które odwilż wydobyła na powierzchnię chodników, uznał, że wolałby nie poruszać tego tematu w miejscu, gdzie serwuje się jedzenie, i szybko się pożegnał. Zresztą i tak musiał już iść do kanclerza.

Gdy wszedł do sekretariatu, Aldona przywitała go chłodno, mówiąc „dzień dobry” identycznym tonem, jakim rozmawiała z nim przez telefon. „Pan kanclerz zaraz pana przyjmie”, dodała, jakby to Henryk miał do niego jakiś interes i usilnie zabiegał o spotkanie. Nic jednak nie odpowiedział i usiadł na stojącym pod ścianą foteliku.

Po kilku minutach obite ciemnobrązową skórą drzwi gabinetu się uchyliły i w wąskiej szparze błysnęły okulary Sowińskiego.

– Proszę – rzucił sucho i nie witając się z Henrykiem, wrócił do biurka

i zaczął pisać coś na laptopie. – Już kończę – mruknął i nie unosząc głowy znad monitora, wskazał krzesło naprzeciwko siebie.

Henryk usiadł nieco poirytowany zachowaniem kanclerza; Sowiński nigdy wcześniej na tak jawną niegrzeczność sobie nie pozwalał. „Jeśli będzie pisał jeszcze pół minuty, wyjdę” – obiecał sobie. Do tego jednak nie doszło. Po chwili kanclerz zatrzasnął kłapkę laptopa i popatrzył na niego z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

– Panie kolego – odezwał się oficjalnym tonem – nie będę z panem rozmawiał o tym nagłym urlopie ani wnikał w jego przyczyny, bo w sensie formalnym ma pan do tego prawo. No i nigdy go pan nie nadużywał. Sprawa jest innego rodzaju. – Zawiesił głos i spojrzał bystro na Henryka. – Pan zapewne wie, że w naszej uczelni dbamy o komfort studentów.

Henryk przytaknął. To była przecież główna zasada obowiązująca w szkole. Nawet na billboardach reklamowych używano hasła „Komfort nauczania”.

– No właśnie – kontynuował Sowiński. – A jak ma się komfort nauczania do wyrzucania studentów z wykładu? – Popatrzył z naganą na Henryka zza pozbawionych oprawek szkieł.

„Ach, więc o to chodzi. O tego studenta, który spał na wykładzie”. Właściwie mógł się tego domyśleć.

Zaczął opisywać tamtą sytuację, ale Sowiński nie chciał słuchać wyjaśnień. Nie przerwał mu wprawdzie, wysłuchał w milczeniu do końca, ale przez cały czas kręcił głową, jakby nie zgadzał się z jego słowami. Okulary rzucały małe zajączki po kątach gabinetu.

– Panie kolego – odparł, gdy Henryk już skończył. – My tu mamy znacznie nowocześniejsze relacje ze studentami niż na pańskiej macierzystej uczelni. – W jego głosie zabrzmiały jednocześnie duma i lekceważenie. – Chyba pan zauważył. I dajemy im też znacznie szerszy margines wolności.

– Włącznie z wolnością spania na wykładach? – spytał sarkastycznie Henryk. Robił się coraz bardziej poirytowany.

Kanclerz zignorował to pytanie i oschłym tonem poinformował, że student złożył skargę. I że żąda zwrotu czterdziestu złotych za stracony wykład, ale że jest gotów wycofać zażalenie, jeśli Henryk go przeprosi.

– Przeprosi? – powtórzył z niedowierzaniem. Myślał, że się przesłyszał.

– Tak – potwierdził spokojnie kanclerz. – Powie mu pan, że się pan zdenerwował, i zamkniemy tę nieprzyjemną sprawę.

W pierwszej chwili bym tak przywołał i powiedziałem że miałem zamiar znaleźć
słów.

– Ja... ja... – jęknął się, nim wreszcie wykrztusił: – To wykluczone.
Absolutnie wykluczone. Nie ma już miejsca na słowo „przy”, które już przepadło. Znam
chałabym to słowo. Ewentualnie – podkreślił.

Kanclerz wyjął z kieszeni portfel. Przyniósł się do niego i z niego wyjął
przebieżny i szorstki, jakby z papieru, list. Wzruszył ramionami, sięgnął

– No cóż, w takim razie będziemy musieli zastanowić się nad óną

go nie spotkała podobna sytuacja. Student, który byłby na tyle bezczelny, aby złożyć tego rodzaju skargę, zostałby wyrzucony za drzwi. Dyrektor instytutu, nawet taki fiut, jak Średnicki, też nigdy by się nie ośmielił wystąpić wobec niego z podobną propozycją. Nie miał wątpliwości, co było ważniejsze.

Nie miał też wątpliwości, że dobrze zrobił. Nie był tylko pewien, czy tak samo zdecydowanie postawiłby się Sowińskiemu, gdyby nie to, że prawdopodobnie w niedalekiej perspektywie i tak miał się rozstać z uczelnią. Kilka miesięcy wcześniej czy później – co za różnica? „Nie, nie – przekonywał sam siebie. – Na pewno tak samo bym się zachował. Odmówiłbym mu niezależnie od sytuacji”.

„O co mu w ogóle chodziło?” – zastanawiał się, jadąc powoli w kierunku Śródmieścia. Żeby go upokorzyć? A jeśli tak, to po co? Tak bezinteresownie, by pokazać, kto tu rządzi, czy żeby sprowokować go do odejścia? Nie wyobrażał sobie, aby kanclerz nie zdawał sobie sprawy z tego, że jego propozycja jest nie do przyjęcia. Więc po co? Testował go? A gdy się zorientował, że posunął się za daleko, postanowił się wycofać? Tak, na to wyglądało.

Postanowił zjechać jeszcze na uniwersytet. Nie, nie po to, aby znaleźć się w miejscu, gdzie go szanowano, kłaniano się mu i nie poddawano go takim próbom. Po prostu nie chciało mu się jeszcze wracać do domu, gdzie czekał go hałas wiertarki i kręcący się po mieszkaniu Robert. Nie najlepiej się czuł w jego milczącej obecności. Zresztą zawsze marnie tolerował obecność obcych osób w domu; gdy przez pewien czas przychodziła do nich sprzątaczką, pani Helenka z Sobocina, też zaraz uciekał.

Pomyślał, że wykorzysta swoją nieplanowaną wizytę, aby spotkać się z Witkiem. Powinien mu podziękować za znalezienie Chruścickiego, ich niewątpliwego dobroczyńcy. Może nawet obiad postawić? Poza tym przypomniał sobie, że kolega wspominał mu o odwołaniu Średnickiego. Zatem upiecze od razu dwie, a właściwie trzy pieczenie przy jednym ogniu.

Zjechał na chodnik i wybrał numer komórki przyjaciela. Dla pewności zerknął na zegarek – powinien odebrać, właśnie zaczynała się przerwa. I istotnie, Witek zgłosił się już po dwóch sygnałach. Zaproszenie na obiad przyjął z zadowoleniem, ale zastrzegł się, że za trzy kwadransy zaczyna wykład, więc żadna restauracja nie wchodziła w rachubę, co najwyżej bar szybkoobsługowy. Stało więc, jak zawsze, na stołówce profesorskiej.

– Nie wykpisz się tym – roześmiał się Witek, wskazując na porcję ruskich pierogów, którą Henryk przed nim postawił.

Rzeczywiście, nie wyglądały apetycznie: grube, jakby wymiętoszone.

– Wiem, wiem – mruknął, siadając po swojej stronie stolika. – Chciałem ci w ogóle strasznie podziękować. Uratowałeś mnie. To była dla mnie naprawdę ważna sprawa.

Witek machnął lekceważąco ręką, że nie ma za co, po czym rażno zabrał się do jedzenia. Połykał pierogi łapczywie, jakby od kilku dni nie miał nic w ustach. Widocznie nie były takie złe. Henryk obserwował go przez chwilę i przystąpił do krojenia swoich naleśników z serem.

– Jak ci się mogę zrewanżować?

Przyjaciel znów machnął ręką, jakby na znak, żeby mu nie przeszkadzać w uczcie.

– Kupisz mi jakąś dobrą whisky i będziemy kwita – odparł po chwili z pełnymi ustami. Przełknął wyjątkowo duży kęs i popił kompotem.

Henryk kiwnął głową. Nie była to wygórowana cena za spokój w domu. Zajadając suche naleśniki, opowiedział mu potem o incydencie ze śpiącym studentem i o swojej dzisiejszej rozmowie z kanclerzem. Witek, który dorabiał w Collegium Novum, innej prywatni uczelni, wcale nie był zaskoczony.

– Miałem podobną historię. Uwaliłem panienkę z socjologii ogólnej, no, taką już beznadziejną, że nie można było inaczej. I tego samego wieczoru miałem telefon od prezydenta – bo wy macie kanclerza, a my prezydenta – który mnie zaczął błagać, żebym ją przepuścił, bo jej tatuś jest jednym ze sponsorów, wyposażył kiedyś pracownię komputerową, teraz też coś funduje.

– I co? – zainteresował się Henryk.

– Powiedziałem, że jak się nauczy, to ją przepuszczę.

Tak, to do niego pasowało. Witek był zawsze bardzo pryncypialny. Henryk podziwiał go za to, on sam miał bardziej miękki kręgosłup.

– I nauczyła się?

– Lepiej, niż oczekiwałem – roześmiał się Witek. – Jak już są pod ścianą, zaczynają się starać. Ale dopiero wtedy. – Dokończył pierogi i odsunął od siebie błyszczący od tłuszczu talerz. – Dobrze, że mu tak powiedziałaś. Z nimi tylko tak można.

– No, nie wiem. – Henryka nagle opadły wątpliwości. – Nie wiadomo, jak to się wszystko skończy. Być może wywalą mnie stamtąd i wtedy cały ten

problem z pracą na różnych uczelniach sam się rozwiąże. To byłoby nawet wygodne. Nie będę musiał wybierać.

– Eee tam. – Witek znów machnął ręką. Dziś był to jego ulubiony gest. – Sam powiedziałeś, że ten twój kanclerz od razu skruszał. – Nagle przerwał. Wykonał niecierpliwy gest ręką, jakby unieważniając obecny wątek rozmowy.

– A właśnie. Zupełnie zapomniałem. Przecież głównie po to miałem się z tobą spotkać. – Sięgnął po teczkę stojącą na sąsiednim krześle, otworzył zamek szyfrowy i wyciągnął z niej jakieś pismo.

Henryk wytarł palce w serwetkę i wziął ostrożnie spięte ze sobą cztery kartki. Był to list skierowany do rady wydziału w sprawie odwołania Średnickiego. „Arogancja”, „nadgorliwość wobec ministerstwa”, „działanie na szkodę pracowników instytutu” itd. – przeleciał wzrokiem długą listę zarzutów. Z większością się zgadzał, choć w zasadzie sprowadzały się do jednego: nie dawał im zarobić.

Pokiwał w milczeniu głową. Witek ponownie sięgnął do teczki, wyjął z niej ozdobnego parkera i wręczył mu błazeńsko uroczystym gestem, jakby przekazując królewskie berło. Henryk odkręcił skuwkę i złożył zamaszty podpis na dole kartki. Z tego co mógł się zorientować, był jednym z ostatnich. W każdym razie ostatnim z tych, których nazwisko liczyło się w instytucie.

Przyjaciół wyjął mu pióro z ręki, schował wraz z pismem do teczki i zamknął ją z głośnym trzaśnięciem.

– *Una pura formalità* – stwierdził z zadowoleniem w głosie. – Przegonimy skurwiela.

Gdy wrócił do domu, siostrzeniec Chruścickiego kończył już obijać płytami pokój Agaty. Na widok Henryka odwrócił się, grzecznie przywitał i otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale się rozmyślił. Henryk popatrzył na niego zachęcająco: odkąd ten chłopak tu był, jeszcze się sam z siebie nie odezwał.

Robert jeszcze przez chwilę się wahał, aż w końcu się przemógł.

– Ten pana sąsiad to rzeczywiście... – Pokręcił głową z niedowierzaniem. – Jakiś wariat. Wrzeszczał, tłukł się, rzucał czymś. – Wydawał się zdumiony, choć przecież w tej pracy nasłuchiwał się niejednego.

– No to teraz rozumiesz, po co tu jesteś. – Henryk się roześmiał. Chłopak pokiwał w milczeniu głową i wrócił do roboty.

On sam zszedł na dół, spodziewając się, że niedługo zacznie się warkot wiertarki: znał już rytm jego pracy. Chwilę czytał, a gdy terkot, który w istocie zaraz nastąpił, stał się nieznośny, wyszedł na krótki spacer. Wracając do domu, zerknął na zegarek. Trochę go dziwiło, że jeszcze nie ma Justyny. Musiało jej coś wypaść.

Postanowił ugotować dla niej obiad. Rzadko to robił, to ona zwykle wracała pierwsza z pracy i pitrasila, dziś jednak zamiana była naturalna, zwłaszcza że niczego innego nie mógł wykonywać przy akompaniamencie wiertarki.

Przygotowywanie posiłku – może przez to, że było niecodziennym zajęciem – sprawiało mu przyjemność. Z ochotą obrał ziemniaki, poszatkował kapustę i pokroił mięso na bitki. Ponastawiał garnki i przeszedł do dużego pokoju, aby zagłuszyć telewizorem dochodzący z góry warkot. Na szczęście ten szybko umilkł.

Doglądał skwapliwie swojego dania, mieszając je i regulując ogień, a w przerwach przerzucał w fotelu książkę Hoskinsa. Justyny wciąż nie było. W pewnym momencie zaczął się już niepokoić i zadzwonił na jej komórkę, ale nie odbierała.

Zamiast niej przyjechał wkrótce Chruścicki, aby odebrać siostrzeńca i rzucić okiem na jego pracę. Na widok Henryka krzątającego się po kuchni w fartuszku Justyny wydawał się zgorszony, ale nic nie powiedział. Ściągnął buty i błyskawicznie wspiął się na piętro. Po kilku minutach zszedł na dół z Robertem.

– I jak pan ocenia, panie inżynierze? – spytał Henryk, mieszając kapustę.

Chruścicki sprawiał wrażenie ukontentowanego.

– W porządku – odparł krótko. – Chłopak wie, co robi.

Poklepał siostrzeńca po plecach. Robert skromnie spuścił wzrok i szybko poszedł się przebrać do toalety.

Henryk zaproponował kawę, ale inżynier znowu bardzo gdzieś się śpieszył. Ponaglał Roberta przez drzwi, a gdy ten opuścił już swoją przebieralnię, wyprowadził go szybko na zewnątrz i natychmiast odjechali. Na odchodnym rzucił jeszcze Henrykowi lekko kpiące spojrzenie: jako człowiek przedwojenny, nie uznawał takich ekstrawagancji, jak mężczyzna w kuchni, do tego w fartuszku w kwiatki.

Henryka to jednak zupełnie nie obeszło. Myślał o tym, co się dzieje

z Justyną. Musiało się wydarzyć coś niespodziewanego, bo zazwyczaj była punktualna, a gdy miała się spóźnić, dzwoniła i uprzedzała. Ponownie zatelefonował, ale tym razem włączyła się automatyczna sekretarka. Nagrał się, a potem pozostawało mu tylko czekać. Miał ochotę na papierosa.

Przyjechała pół godziny później i gdy weszła, wiedział już, że stało się coś złego. Była blada i zdenerwowana.

– Miałam piekło – wyrzuciła z siebie, odkładając płaszcz na krzesło. – Ten młody gej próbował popełnić samobójstwo. Najpierw przez pół godziny siedziałam z dyrektorką, potem rozmawiałam z jego matką, aż komórka mi się rozładowała.

Nie chciała jeść. Zresztą obiad i tak już wystygł. Poszła na górę, do sypialni – wolała być sama. Został z Hoskinsem, a po pewnym czasie postanowił do niej zajrzeć. „Jak nie urok, to sraczka – myślał, wdrapując się po schodach. – Jak nie sąsiedzi, to ten chłopak”. Ledwo zaczęli rozwiązywać jeden problem, pojawił się nowy. Przypomniała mu się matka, która lubiła powtarzać: „Nie może być wszystko dobrze”. No, faktycznie.

Zapukał cicho do drzwi, bo myślał, że ćwiczy jogę (tak się najszybciej uspokajała), i nie chciał jej przeszkadzać. Ze środka nie dobiegał żaden odgłos. Nacisnął klamkę i wszedł do pokoju.

Najpierw rzucił mu się w oczy panujący tam bałagan. No, może nie bałagan, bo w zasadzie wszystko było na swoim miejscu, ale typowo remontowa atmosfera. Wyłożona białymi płytami ściana, przykryte folią meble, pył unoszący się w powietrzu. „Trzeba będzie przenieść się na noc do gabinetu” – przemknęło mu przez głowę.

Justyna leżała na łóżku, przodem do ściany. Na podłodze piętrzyła się zgarnięta z niego folia, obok ładowała się komórka. Przeszedł nad wetkniętym do gniazdka przewodem i położył się koło żony. Miała zamknięte oczy, ale nie spała. Objął ją ramionami i leżeli tak w milczeniu przez kilka minut.

– Nie opilnowałam go – powiedziała w końcu, nie otwierając oczu.

Nieco się uniósł i zaczął ją głaskać po włosach miarowymi ruchami.

– Nie zadręczaj się – odezwał się po chwili. – Rodzice są od pilnowania, nie ty.

Pokręciła głową, tak że ręka opadła mu na narzutę.

– Nie, nie, nie. To też moja wina. Gdybym porozmawiała z jego ojcem...

– A skąd wiesz, że dałby sobie coś wytłumaczyć? – przerwał jej. – Może by

w ogóle nie rozumiał. Zresztą mówiłaś, że się miga od rozmowy.

– Właśnie – odparła. Otworzyła wreszcie oczy. Był w nich smutek, ale i drobne iskierki złości. – Mogłam go przycisnąć.

I tak rozmawiali jeszcze przez chwilę: ona wyrzucała sobie rzekome zaniedbania, a on ją pocieszał, tłumacząc, że nic więcej nie mogła zrobić. Temat się powoli wyczerpał, Justyna umilkła i z powrotem zamknęła oczy, a on usłyszał w tym momencie coś, czego najpierw nie rozpoznał. Dopiero po kilku sekundach się zorientował, że to po prostu sąsiedzi rozpoczęli codzienną awanturę. Jej odgłos był jednak tak cichy i przytłumiony, jakby dochodził z bardzo dalekiej odległości. Rozmowy sąsiadów w peerelowskim bloku na Ochocie słychać było głośniej.

A więc działało! Izolacja działała! Potrząsnął Justynę za ramię.

– Słyszysz?! – zawołał, nie mogąc ukryć podniecenia.

Otworzyła oczy i przez chwilę patrzyła na niego nieprzytomnie. Może zasnęła?

– Co? – nie rozumiała.

– To. – Wskazał na ścianę.

Przez chwilę przysłuchiwała się, po czym na jej ustach powoli, stopniowo pojawiał się uśmiech. Już do niej dotarło.

– Faktycznie, jest różnica – stwierdziła, unosząc się na łokciu.

– No – potwierdził. Z dumą, jakby to on własnoręcznie kładł te płyty.

Uśmiech Justyny zgasł jednak tak szybko, jak się pojawił. Znów zapadła się w siebie. zaproponował, aby przenieśli się na kanapę w jego gabinecie, ale nawet tego nie chciała, choć pył zapewne kręcił ją w nosie nie mniej niż jego. Przytulił ją mocniej do siebie i leżał przyciśnięty do jej piersi, wsłuchując się w ledwo słyszalne głosy zza ściany, jakby to była najpiękniejsza muzyka. Po chwili jednak się zawstydził. Jak może się cieszyć się w takiej chwili, zapominając o tragedii tego Dawida i cierpieniu Justyny? Pogłaskał ją czule po policzku. Westchnęła głęboko, wysunęła się z jego objęć i wstała z łóżka.

– Chodźmy jeść – rzuciła.

„Dobry znak” – pomyślał.

Zanim za nią wyszedł, zatrzymał się przy oddzielającej ich od sąsiadów ścianie i dokładnie przyjrzał się robocie Roberta. Wyglądała na perfekcyjną – na ile, jako laik, mógł to ocenić. Płyty ciasno przylegały do siebie, tworząc jednolitą, gładką powierzchnię. „Dobrze, że chociaż to się udało” – pomyślał.

Gdy zszedł na dół, Justyna stała już nad kuchenką, przekładając bitki

w rondelku. Zabrał jej widelec.

– Ja to zrobię.

Czyżby się uśmiechnęła? Nie był pewien.

Usiadła posłusznie przy stole, a on odgrzewał obiad, jednocześnie nasłuchując, czy tu, na dole, są równie dobrze oddzieleni od hałasów zza ściany. Byli. Kłótnia sąsiadów brzmiała tak cicho, że nie dałby głowy, czy jeszcze w ogóle trwa.

Gdy jedli, Justyna nie chciała już rozmawiać o tym nieszczęsnym nastolatku, więc głównie on mówił. Opowiedział o spotkaniu z kanclerzem. Słuchała w milczeniu, z roztargnieniem, miał jednak wrażenie, że udało mu się ją oderwać od złych myśli. Zadawała pytania, kiwała głową, gdy odpowiadał. Krótko mówiąc – uczestniczyła w rozmowie. Pochwaliła też bitki. A gdy skończyli jeść, wstała, zebrała talerze i idąc do kuchni, pochyliła się nad nim i go pocałowała.

– Dziękuję – szepnęła.

Nie wiedział dokładnie, za co, ale miał nadzieję, że nie tylko za obiad.

Resztę wieczoru spędzili osobno. Ona słuchała na dole płyty, którą dostała od Agaty, a on rozłożył kanapę w gabinecie, pościelił i wsunął się pod kołdrę. Nie mógł jednak czytać ani Hoskinsa, ani nawet niewymagającego skupienia kryminału. Myślał o tym biednym nastolatku, tak zagubionym i przestraszonym, poddanym tak sprzecznym impulsom, że za jedyne wyjście z tego piekła chaosu uznał śmierć. I o Justynie, która temu nie zapobiegła, a teraz się zamartwiała i szukała ukojenia w muzyce Haendla. Ale także o tym, że choć remont jeszcze się nie zakończył, to można było już uznać, że cel został osiągnięty.

Ta ostatnia myśl tak poprawiła mu nastrój, że w innym świetle widział teraz nieszczęście chłopaka i udrękę Justyny. Najważniejsze, że małemu nic się w końcu nie stało. Grunt, że żyje. Będzie można jeszcze nad nim popracować, przywrócić mu równowagę. Justyna to potrafi. Będzie dobrze. Niedługo pewnie sama dojdzie do tego wniosku.

Szkoda tylko, że tak to się wszystko zbiegło. Nieszczęście tego dzieciaka i udana „próba akustyczna”, niezależnie od tego, jak bardzo niewspółmierne były to wydarzenia. Znowu przypomniał sobie słowa matki: „Nie wszystko, synku, może być dobrze”. Zgadzał się w duchu z tym fatalistycznym stwierdzeniem, ale i tak był trochę zły na los, że zepsuł mu moment, o którym marzył tyle dni.

Muzyka z dołu dobiegała do niego łagodną, kołyszącą falą. Czuł, że powoli ogarnia go senność. „Chyba nie ma dziś zamiaru przesłuchać całego boxu” – pomyślał i z tą myślą zasnął.

Końcowa część remontu przebiegała bez zakłóceń i zgodnie z planem. Siostrzeniec Chruścickiego szybko pomalował ściany; gips wchłaniał farbę jak gąbka i natychmiast wysychał. Chłopak ledwo nadązał, biegając z góry na dół z pędzlami i puszkami. Jedynym problemem był rozchodzący się po domu ostry zapach rozpuszczalnika i emulsji – skończyła się odwilż, wrócił mróz i nie bardzo można było już wietrzyć. Musieli wędrować po pokojach w poszukiwaniu czystszej powietrza.

Poza tym był to całkiem przyjemny okres – tak przynajmniej go potem wspominał. Justynie, początkowo przygnębionej z powodu desperackiego kroku pacjenta, nastrój znacznie się poprawił po spotkaniu z jego ojcem. „Wreszcie się zgodził – powiedziała, wychodząc któregoś dnia do pracy. – Syn musiał się aż pociachać żyletką, żeby się, kutas jeden, zreflektował”. Po południu wróciła pełna optymizmu i nadziei: „Hura! Już nie chce go leczyć z homoseksualizmu, coś jednak załapał”. Chłopak tymczasem dochodził do siebie na oddziale psychiatrycznym i wyglądało na to, że wygrzebie się z dołka.

On czekał na dalszy ciąg rozmowy z kanclerzem, ale ten wcale się do niej nie kwapił. Wyraźnie go unikał, a gdy doszło między nimi do przypadkowego spotkania na korytarzu, głęboko mu się uklonił i poszedł dalej. Udawał najwyraźniej, że nic się nie stało, on też nie wykazywał inicjatywy, aby nawiązać do ich ostatniego spotkania. Uznał więc sprawę studenta za zamkniętą.

Jego stosunki z Justyną też układały się jak najlepiej. Była mu wdzięczna za to, że się nią zajął w krytycznym momencie, i rewanżowała się teraz sympatią i życzliwością. Któregoś wieczoru wdrapali się na strych i znieśli sprzęt narciarski. Potem usiedli razem przed komputerem i zarezerwowali przez internet pokój w pensjonacie w austriackim miasteczku koło granicy ze Szwajcarią. Byli tam już kiedyś, wspominali to miejsce jak najlepiej i cieszyli się teraz na ponowną wizytę.

Wszystko było w jak najlepszym porządku i tylko pod sam koniec remontu zdarzył się pewien niemiły, choć nieznaczący incydent. Jak zawsze po

wyjściu Roberta oglądali postępy robót i byli właśnie w pokoju Agaty, gdy Justyna nagle zmarszczyła brwi i spytała, wskazując półkę:

– Słuchaj, czy tu nie stał jej stary nikon?

Potwierdził. Rzeczywiście. Agata robiła nim zdjęcia w liceum – chciała wtedy zostać zawodową fotograficzką. I nie zabrała go ze sobą do Londynu, zostawiła w domu na pamiątkę. Był to piękny, klasyczny model, z czarną obudową, srebrzystym pierścieniem obiektywu i fioletowo połyskującą soczewką. Teraz zniknął. Henryk przypomniał sobie myszkujejący wzrok Roberta po wejściu do pokoju córki. Czy już wtedy coś kombinował? Ale patrząc na puste miejsce, zauważył, że półka, na której stał aparat, jest równomiernie przyprószone cienką warstwą kurzu, tak jakby został z niej zdjęty przed remontem. Więc...

– Może Agata go wzięła? – powiedział z nadzieją w głosie.

Justyna pokręciła głową.

– Nie, widziałam go jeszcze po jej wyjeździe.

Pewności w jej głosie jednak nie było. W ogóle sprawiała wrażenie zagubionej. Jakby zniknięcie aparatu zupełnie wytrąciło ją z równowagi.

– Zajmę się tym – obiecał.

Gdy wrócił do gabinetu, w pierwszym odruchu chciał zadzwonić do inżyniera. W końcu ręczył głową za uczciwość siostrzeńca. Niech się teraz tłumaczy, a przede wszystkim niech pogada z chłopakiem. To jedyna szansa, żeby odzyskać aparat.

Ale czy na pewno Robert to zrobił? Na co by liczył? Że nie zauważą braku sprzętu, bo rzadko zachodzili do tego pokoju? Przecież musiał zdawać sobie sprawę, że kradzież wcześniej czy później wyjdzie na jaw, a on będzie pierwszym podejrzanym. A może zakładał, że spostrzegą się już tak późno, że głupio im będzie wracać do sprawy? W takim razie nie zrobiłby tego w trakcie remontu, lecz na zakończenie. Nie, to wszystko było mało prawdopodobne. Z drugiej strony, słyszało się przecież o znacznie bardziej nieprawdopodobnych kradzieżach. Jego koleżanka z wydziału, Iga, młoda pani doktor, miała ukraińską sprzątaczkę. Mieszkała samotnie, więc nawet zaprzyjaźniła się z tą Ałłą czy Iriną – rozmawiały, popijały kawę, Iga załatwiła jej zaproszenie w Wydziale Spraw Cudzoziemców przy Długiej, podżyrowała ratalny zakup telewizora. A ta ją cały czas skubała, podkradała kosmetyki i pieniądze. „Nie mogłam uwierzyć – opowiadała potem. – To był szok, ale zostawiłam na wierzchu sto złotych, spisałam numery, a kiedy

banknot zniknął, kazałam pokazać torebkę przy wyjściu. No i niestety, potwierdziło się” – zakończyła ze smutkiem w głosie.

Nie mógł wykluczyć kradzieży, ale przede wszystkim chciał zyskać pewność, że to naprawdę Robert zwinął tego nikon. Ładnie by wyglądał przed inżynierem, gdyby oskarżył jego siostrzeńca, a potem okazało się, że to Agata zabrała aparat. Aż stuknął się w głowę. Co za idiota! Jak mógł w ogóle myśleć o dzwonieniu do Chruścickiego przed rozmową z córką. Gdy jednak wybrał jej londyński numer, w słuchawce odezwał się kobiecy głos z taśmy, informujący po angielsku, że abonent jest niedostępny. Nagrał się więc z prośbą o pilne oddzwonienie i odłożył komórkę na biurko.

Teraz mógł już tylko czekać. Przymknął oczy i zaczął wyobrażać sobie, jak by wyglądała jego ewentualna rozmowa z Chruścickim, gdyby kradzież się potwierdziła. Inżynier na pewno w pierwszej chwili obruszy się, zaprotestuje, być może powtórzy swoją opowieść o dramatycznych wydarzeniach z dzieciństwa Roberta. On tymczasem będzie obstawać przy swoim: nikt inny nie bywał w pokoju córki po jej wyjeździe. W końcu inżynier obieca oschłym tonem, że sprawdzi, i odłoży słuchawkę bez pożegnania. A kilka godzin później, wieczorem, rozlegnie się dzwonek do drzwi. Otworzy. W drzwiach będzie stał Chruścicki, zakłopotany i zmieszany, z nikonem Agaty w ręce. Okaze się, że odzyskał go w ostatniej chwili, bo Robert już wystawił go na Allegro. Henryk zaprosi go do środka. Starszy pan po chwili wahania przyjmie zaproszenie. Gdy wejdzie i siądzie ciężko przy stole, Henryk zauważy, że mężczyzna się zmienił, jakby przybyło mu dziesięć lat. Popijając zaparzoną kawę, będzie powtarzał bezradnie: „w życiu bym nie pomyślał...”.

Potrząsnął głową, jakby chciał z niej wygnać tę niewesołą wizję. Znów zaczął myśleć praktycznie: co będzie dalej z remontem? Przecież zostało jeszcze malowanie sypialni, a nie wyobrażał sobie, żeby po tym, co się stało, mogli wpuścić chłopaka do domu.

W tym momencie telefon komórkowy, bucząc i podskakując, zaczął przesuwając się po blacie biurka. Wziął go do ręki i przybliżywszy do oczu, odczytał numer na wyświetlaczu. Agata. W głosie córki słyhać było zaniepokojenie. Prawie nigdy do niej nie dzwonili – rozmowy były drogie, porozumiewali się raczej na Skypie – uznała więc, że skoro zatelefonował, musiało się stać coś złego. Justyna zachorowała albo coś podobnego. Może też bała się, że po gruntownym przemyśleniu będzie ją dalej odwodzić od pomysłu pozostania w Londynie. W każdym razie w jej głosie wyczuwało się

napięciu.

Uspokoił ją szybko i spytał o aparat. Przez bardzo długą sekundę, gdy w słuchawce zaległa cisza, czuł, że jego serce raptownie przyśpiesza, jak samochód po nagłym naciśnięciu pedału gazu.

Nie mógł powstrzymać się od głośnego westchnienia ulgi, słysząc jej okrzyk: „O rany, zapomniałam wam powiedzieć!”. Ulga była podwójna. Raz, bo okazało się, że jednak nie zostali bezczelnie okradzeni. Dwa, że uniknął w ten sposób rozmowy z inżynierem, która – spodziewał się – byłaby bardzo nieprzyjemna dla Chruścickiego, ale i dla niego, bo zrobiłby przykrość człowiekowi, którego bardzo polubił.

Agata była jeszcze w redakcji i nie bardzo mogła dłużej rozmawiać, więc dodał tylko, tytułem wyjaśnienia, skąd wzięła się cała ta afera. Zainteresowała się. „Remont? Chyba niedawno robiliście”. Gdy odpowiedział jej, że nie chodziło o malowanie i że dzięki jego pomysłowi właściwie rozwiązali swoje problemy z sąsiadami, skomentowała to niemal dokładnie tak samo, jak na początku Justyna: „No, jest to jakieś wyjście...”. W jej głosie nie było entuzjazmu. Może uważała, że to tylko półśrodek, a może po prostu musiała już kończyć rozmowę. Zaraz się więc pożegnał – sam też się śpieszył, aby jak najszybciej powiadomić Justynę, że wszystko jest w porządku i że nie musi się już zamartwiać.

Znalazł ją w sypialni. Zareagowała tak, jak się spodziewał. Gdy skończył jej relacjonować krótką rozmowę z Agatą, przyłożyła rękę do serca i wydobyła z siebie przeciągłe „uff”. Potem podziękowała mu i przeprosiła, że narobiła zamieszania. „Nie wiem, co mi się przywidziało – potrząsnęła głową i uśmiechnęła się smutno. – Starzeję się, coraz gorzej z moją głową”. Uprzejmie zaprzeczył („przecież mnie też się tak wydawało”), ale w rzeczywistości trochę był na nią zły. Niepotrzebnie wpadła w histerię, a on niepotrzebnie jej uległ. Sprawa wyjaśniła się szybko, ale kosztowała ich oboje sporo nerwów. Rozwiązali problem, który sami stworzyli. „Ileż czasu tracimy na podobne bzdury – skonstatował. – Wymyślamy sobie fikcyjne kłopoty, jakby brakowało prawdziwych. I zachowujemy się tak, jakby istniały naprawdę. Jacy potrafimy być śmieszni!” Zamknął drzwi i przeszedł do swojego gabinetu.

W niezakłóconym już, dobrym nastroju dotrwali do końca remontu.

Ostatniego dnia, wieczorem, gdy w domu unosił się jeszcze zapach farby, przyjechał Chruścicki. Chodził po pokojach w okularach zsuniętych na czubek nosa, opukiwał ściany, sprawdzał, czy wkręty, na których Robert zawiesił z powrotem obrazy i grafiki, mocno się trzymają. Inspekcja wypadła zadowolająco, bo po jej zakończeniu poklepał siostrzeńca po ramieniu, co, jak już wiedzieli, było z jego strony wyrazem najwyższego uznania. Oni też nie zgłaszali żadnych zastrzeżeń. Chłopak spisał się na medal. Henryk poczuł się przez chwilę winny, że mogli go podejrzewać o kradzież.

Zaprosili inżyniera i jego siostrzeńca na specjalnie zakupioną nigeryjską kawę, aby odebrać nieuchronnemu rytuałowi płacenia formalny i bezosobowy charakter. W końcu, poza zadowoleniem z wykonanej usługi, byli im też po ludzku wdzięczni, jak jest się wdzięcznym lekarzowi, gdy wyleczy, a przynajmniej zaleczy chorobę. Justyna postawiła na stole upieczone poprzedniego dnia ciasto, Henryk zaproponował jeszcze koniak. Robertowi zaświeciły się oczy – jak wielu nieśmiałych introwertyków zapewne lubił alkohol – ale inżynier pokręcił przecząco głową.

– Ja prowadzę, a ty jeszcze za młody jesteś – uciął krótko.

Pogawędzili trochę o pogodzie i polityce, a gdy kawa była już wypita, ciasto zjedzone i podstawowe tematy wyczerpane, inżynier sięgnął do swojej teczki i wydobył z niej fakturę. Kwota nieznacznie przewyższała początkowo ustaloną. Chruścicki wytłumaczył różnicę wzrostem kosztów materiałów, co brzmiało niezbyt przekonująco, ale Henryk machnął ręką i wyciągnął przygotowane zawczasu pieniądze. Spokój i cisza w domu warte były każdej ceny.

Starszy pan pokwitował, spojrzął na zegarek i dał siostrzeńcowi znak do wyjścia. Wstając od stołu, zapytał jeszcze, jakby chciał się ostatecznie upewnić, czy są zadowoleni z końcowego efektu. Potwierdzili – nie mieli powodu do narzekań.

Chruścicki uśmiechnął się.

– Niech państwo jeszcze przekonają tych swoich sąsiadów – wskazał kciukiem na ścianę – to chętnie wygłuszemy z ich strony. Będzie jeszcze ciszej.

Henryk pokiwał głową, ale nic nie odpowiedział. Nie miał zamiaru znowu do nich chodzić i prosić ani też nie wydawało mu się to potrzebne. Także konieczność zapłacenia drugi raz całkiem sporej sumy nie zachęcała do dalszych działań. Nie chciał jednak już o tym mówić. Pożegnali się, po czym

staroświecki inżynier i jego małomówny siostrzeniec odjechali. Po ich wyjściu Henryk uśmiechnął się szeroko do Justyny. Ona odwzajemniła uśmiech. Nie potrzeba było żadnych słów. Przenieśli się też zaraz do dużego pokoju – zakończenie remontu należało uczcić.

Rozpalił kominek i poszedł do kuchni, skąd wrócił po chwili z dwoma kieliszkami i wyciągniętą z lodówki butelką francuskiego szampana. Był to luksusowy zakup, ale przy takiej okazji nie zamierzał oszczędzać. Usiadł obok Justyny na kanapie, otworzył butelkę i rozlał musujący płyn do kieliszków.

– No to żebyśmy mieli już spokój.

Toast był niewyszukany, ale całkiem na miejscu. Tręcili się kieliszkami i wypili po łyku. Szampan miał ostry, orzeźwiający smak. Przez chwilę siedzieli w milczeniu, sycąc się panującą wokół ciszą. Gdzieś za ścianą sąsiadów jak zawsze rozpętała się awantura, ale prawie zupełnie niesłyszalna, jakby toczyła się pod wodą – trzeba było nadstawić uszu, aby w ogóle ją usłyszeć.

– Dawno już powinienem był na to wpaść – westchnął Henryk.

Justyna wzruszyła ramionami. Już to słyszała.

– Lepiej późno niż wcale – odparła i uśmiechnęła się wybacząco.

Uzupełnił kieliszki. Zaczęli rozmawiać o codziennych sprawach – on o próbie odwołania dyrektora instytutu, ona o niedoszłym samobójcy, którego odwiedziła w szpitalu. Zwyczajna rozmowa, jedna z takich, jakie prowadzili przedtem, zanim **tamci** się nie pojawili – znak, że sytuacja wracała do normy.

Po godzinie butelka była pusta. Justyna, z zaróżowionymi od alkoholu policzkami, wstała i poszła na górę do łazienki. Henryk dorzucił polano do ognia i stanąwszy przy oknie, zapatrzył się w tonący w ciemnościach ogród. Padał drobny śnieg. Płatki opadały wolno jak kłaczki wełny w szklanej kuli, która stała na półce w domu rodziców. Białe pnie brzózek jaśniały w kącie ogrodu. „To moje miejsce – pomyślał. – Moje. Nigdy się stąd nie ruszę”.

Wciąż jeszcze kontemplował zimowy krajobraz, gdy usłyszał kroki żony na schodach. W pierwszej chwili nie wiedział, co go zaniepokoiło, ale poczuł, że coś jest nie w porządku. Dopiero później zrozumiał, skąd wzięło się to nieokreślone uczucie: Justyna schodziła dziwnie wolno, jak człowiek chory albo bardzo osłabiony. Odwrócił się i przeżył *déjà vu* – wyglądała podobnie jak tego dnia, gdy dowiedziała się o samobójczej próbie Dawida. Miała

ściągniętą twarz, a wcześniejsze wypieki nabrały jaskrawego koloru. Szła przez pokój jak lunatyk, nim opadła ciężko na kanapę, z której kilka minut wcześniej wstała rozluźniona i radosna.

– Co się stało? – spytał. – Źle się czujesz?

Nie odpowiedziała.

– Co się stało?! – powtórzył głośniej. Krzyknął właściwie.

Popatrzyła na niego nieprzytomnym wzrokiem.

– On... on... go... gwałci – wykrztusiła z siebie, każde słowo wymawiając osobno, jakby na wypowiedzenie pełnego zdania zabrakło jej sił.

W pierwszej chwili nie zrozumiał. Usiadł na fotelu obok.

– O czym ty mówisz?

Ogień w kominku buchnął głośno, trzasnęło polano. Justyna z widocznym trudem skupiła na nim swój wzrok. Źrenice miała rozszerzone.

– On gwałci swojego synka – powiedziała napiętym jak struna głosem. – Tego małego chłopczyka.

– Jak to? – spytał niedowierzająco. Wciąż nic nie rozumiał.

– Słyszałam w łazience – odparła z wysiłkiem. – „No, weź laleczkę, weź laleczkę tatusia”. Tak mówił...

W pokoju zaległa cisza. Słysać było tylko trzask trawionego ogniem drzewa.

– On go gwałci – powtórzyła Justyna. – A jeśli nie gwałci, to wykorzystuje seksualnie. Tak to się oficjalnie nazywa.

Wtedy do niego dotarło. I zrozumiał, że wszystko na nic. Że cały ten remont niczego nie załatwił. Że za wcześnie się cieszył. I że teraz dopiero zaczną się prawdziwe kłopoty.

Tylko... czy to na pewno prawda? Jeśli tak, to byłby to rzeczywiście koszmar. Wyobraził sobie tego pijaka z chłopczykiem i aż wzdrygnął się z obrzydzenia. Może jednak jej się tylko zdawało? Po tym, jak wywołała sztuczną aferę z aparatem Agaty, nie miał do niej pełnego zaufania. Też przecież była wtedy przekonana, że go widziała. Zmysły ją zawodzą.

– Pewna jesteś? – spytał ostrożnie.

– Absolutnie – odparła.

Westchnął cicho.

– Ale nie przesłyszałaś się? Może...

– Nie! – przerwała mu ze złością. I dodała: – Słyszałam wyraźnie. Już zresztą wcześniej zdarzyło się coś podobnego. Kiedyś, gdy wróciłam

z basenu. Ale wtedy nie byłam pewna. Dzisiaj jestem.

Przypomniał to sobie. To dlatego była wtedy taka zachmurzona. Nagle ogarnęła go złość. „Dlaczego nie wygłuszyliśmy tej cholernej łazienki? A właściwie: dlaczego **ja** się na to nie zdecydowałem? Zachciało mi się oszczędzać na kafelkach. Żał mi było ich zrywać. Bałem się, że nie dobierzemy odpowiednich na ich miejsce. I takie są skutki. Gdyby nie moja małostkowość, nie byłoby teraz sprawy”.

– Szkoda, że tam też nie obłożyliśmy ścian – wyrwało mu się.

Popatrzyła na niego ze zdumieniem i jakby z niedowierzaniem. Zmarszczyła brwi.

– I to jest wszystko, co masz na ten temat do powiedzenia? – spytała po chwili lodowatym tonem. Widać było jednak, że w środku aż się w niej gotuje. Na policzkach znów zakwitły jej krwistoczerwone rumieńce.

Zawstydził się.

– Nie, nie. Tak sobie tylko pomyślałem – pośpieszył z wyjaśnieniem. Usiłował się wycofać, ale szło mu niezręcznie. Nie miał zresztą drogi odwrotu.

– Pomyślałeś... – powtórzyła przeciągle. Popatrzyła na niego w milczeniu. W jej wzroku była nieskrywana pogarda.

Zdenerwował się.

– To co mam w tej sytuacji zrobić?! – krzyknął. – Pójść do niego i poprosić, żeby tego więcej nie robił?! Czy dać mu w mordę?

Pogardę w jej oczach zastąpiło zdziwienie.

– No chyba zwariowałaś – powiedziała powoli. – Przecież to zupełnie co innego niż awanturowanie się z żoną.

– To co z tym zrobimy? – spytał już spokojniej.

Nic nie odpowiedziała. Wstała z kanapy, zabierając ze sobą butelkę po szampanie i puste kieliszki. Nawet w najbardziej stresujących sytuacjach nie zapomniała o zrobieniu porządków. Po chwili usłyszał z kuchni stukot pustej butelki opadającej na dno kubła i szum wody w zlewie.

– Ja to załatwię – rzuciła za siebie, gdy skończyła już zmywać i szła na górę.

Nie miał wątpliwości, że to zrobi.

Część III

Justyna zaczęła działać niemal natychmiast. Następnego dnia rano wypatrzyła, że sąsiad gdzieś wyjeżdża samochodem, i pobiegła do jego żony. Ta jednak jej nie wpuściła, a gdy po południu, po powrocie z pracy, ponowiła próbę, sąsiadka była już tak pijana, że nie dało się z nią porozumieć. Taka sama sytuacja powtórzyła się następnego dnia: kobieta albo nie chciała rozmawiać, albo nie mogła. Justyna wkurzyła się i postanowiła pójść oficjalną drogą. Zgłosiła sprawę w ośrodku pomocy społecznej.

Następnego dnia, gdy jedli akurat kolację, zza okna dobiegła ich rozmowa. Dwie kobiety, głos jednej z nich należał do sąsiadki. Justyna wstała od stołu i podeszła do okna. Po chwili wróciła.

– Co tam? – spytał.

– Nic – odparła z rozdrażnieniem. – Ktoś z opieki społecznej.

Popatrzył na nią pytającym wzrokiem.

– „Wandzia” – powiedziała przedrzeźniającym tonem. – Znajoma naszej kochanej sąsiadki. Umawiały się na kawę.

Nie była zdziwiona, gdy nazajutrz zadzwoniła do ośrodka i usłyszała, że „podczas wywiadu nieprawidłowości wychowawczych nie stwierdzono”. Poszła więc do biura zajmującej się takimi sprawami fundacji, z którą czasem współpracowała. Dobrze znała jej prawniczkę i liczyła na to, że ta dopilnuje sprawy. Henryk obserwował jej zabiegi z życzliwością, ale sam się nie angażował. To była jej działka; miała do czynienia z takimi przypadkami i lepiej orientowała się w procedurach. Jej wysiłki ostatecznie jednak nic nie przyniosły. Pewnego dnia wróciła zdenerwowana z rozmowy z prawniczką i rozbierając się, powtarzała:

– Nic nie potrafią załatwić! Po co oni w ogóle są?!

– A co? – spytał sprzed telewizora.

– Mogą zrobić testy dzieciakowi najwcześniej za trzy miesiące – powiedziała, wchodząc do pokoju.

Wyłączył telewizor.

– Bo najpierw musi się zebrać sąd rodzinny, dać skierowanie do ośrodka diagnostyki, tam kolejka... Kurwa mać! – zaklęła, co było do niej

niepodobne. – Czy w tym kraju wszystko musi tyle trwać?! A ten skurwysyn będzie nadal robił swoje...

Siadła na fotelu i zapatrzyła się przed siebie.

– No nic. W tej sytuacji trzeba zawiadomić policję – powiedziała po chwili.

Zdrętwiał. Policja? Po co policja? Zgłoszenie do ośrodka mogło być anonimowe, na policję już nie.

– Myślisz, że to coś da? – spytał z powątpiewaniem w głosie.

Popatrzyła na niego ze zdumieniem w oczach.

– Jak to, co to da? Oczywiście, że nie wsadzą zaraz skurwysyna, ale przynajmniej tak go postraszą, że przestanie. Do prokuratora też pójde, żeby ich pośpieszył.

„Wieczna optymistka” – pomyślał cierpko. Niezłomnie wierzy w sprawność działania instytucji, choć tyle razy doświadczyła ich nieskuteczności. No, ale to było u niej nieuleczalne.

– To nie takie proste – mruknął.

Spojrzała na niego nieprzyjaźnie, z ukosa.

– Ja wiem. To twoje ukochane wyrażenie – wycedziła. – Ale dla mnie akurat to jest bardzo proste. Nie będę udawać, że nic się nie dzieje. Tu nie wystarczy zamurować ściany, wsadzić sobie zatyczki do uszu czy włączyć szumidełko.

Obruszył się.

– Doskonale o tym wiem. Uważam tylko...

– ...że to nie ma sensu – wpadła mu w słowo. – Że to nic nie da. Wiem. Ale nawet jeżeli rzeczywiście nic nie da, to będę miała przynajmniej poczucie, że zrobiłam wszystko, co mogłam.

„Dlaczego ona jest czasem taka teatralna? – pomyślał ze złością. – Zupełnie jakby recytowała kwestie z jakiejś sztuki”. Z trudem stłumił irytację.

– Dobrze. – Kiwnął głową. – Pójdiesz i co powiesz? Że słyszałaś przez ścianę łazienki, jak sąsiad molestuje dziecko, tak?

– Dokładnie tak.

Poprawił się w fotelu.

– Myślisz, że ci uwierzą na słowo? Nie sądzę. Te sprawy są strasznie trudne do udowodnienia.

Wiedział, co mówi. Kilka lat temu studentka trzeciego roku oskarżyła go o molestowanie seksualne po tym, jak czwarty raz oblał ją na egzaminie. Była bardzo tępa, ale na swój sposób sprytne. Poszła do dziekana

i poskarżyła się, że złożył jej łóżkową propozycję, a gdy odmówiła, nie zaliczył jej przedmiotu. Wszystko bezbłędnie przekręciła o 180 stopni – mściła się, twierdząc, że to on mścił się na niej. Jakoś udało mu się z tego wykaraskać, ale długo musiał się tłumaczyć dyrektorowi. Gdyby na jego miejscu był już ten inkwizytor Średnicki, chyba by się nie wybronił.

Przypomniała mu się teraz obrzydliwa, upokarzająca konfrontacja w gabinecie, w trakcie której ta mała cwaniara łągała jak z nut. Uratowali go koledzy, którzy potwierdzili, zgodnie zresztą z prawdą, że w zamian za zaliczenie miała zwyczaj składać im niedwuznaczne propozycje. To była oczywiście zupełnie inna sytuacja, ale jakoś mu się skojarzyła.

Justyna wzruszyła ramionami.

– Wiem, do czego pijesz, ale co ma jedno do drugiego?

– To, że w takich sprawach jest jeden do jednego, słowo przeciwko słowu – odpowiedział z rosnącą irytacją. – Wszystkiego się wyprą, z małego też nic nie da się wyciągnąć. Dlaczego właśnie tobie policja miałaby uwierzyć?

Nie odpowiedziała od razu. Zamyśliła się, jakby wcześniej w ogóle nie wzięła tego pod uwagę.

– Nie wiem – odparła po chwili, już bez poprzedniej pewności w głosie. – Ale myślę, że się tym zainteresują.

Wstał, wyjął z barku koniak i wypełnił nim mały, pękaty kieliszek. Spojrzał na Justynę pytająco. Pokręciła głową. Gdy siadał z powrotem w fotelu, wydawała się odzyskiwać już poprzedni rezon.

– Ja w każdym razie nie darowałabym sobie, gdybym nic nie zrobiła – stwierdziła stanowczym tonem.

Pociągnął długi łyk koniaku. Zapieкло go w gardle, ale po chwili po ciele rozlało się przyjemne ciepło. Wzruszył ramionami.

– Jak uważasz. Ale moim zdaniem...

– Nie bój się tak – wpadła mu nieoczekiwanie w słowo. W jej głosie zabrzmiała pogarda.

Poczuł, jak czerwienieją mu policzki. Serce zabiło mocniej.

– Ja się nie boję – odezwał się drżącym ze zdenerwowania głosem. – Tylko...

– Boisz się – przerwała mu bezlitośnie.

Może rzeczywiście się bał? Tamci im przecież tego nie darują. Ale nie mógł tak tego zostawić.

– Tak? – Uśmiechnął się krzywo. – A ty co? Chcesz mi pokazać, jaka jesteś

odważna?

Był to kompletnie demagogiczny argument, ale Justyna, o dziwo, potraktowała go poważnie. Chwilę się zastanawiała.

– Nie – odparła. – Tak naprawdę to ja też się boję. Wiem, co to są za ludzie. Ale nie mogłabym znieść myśli, że ten drań robi to dalej, zupełnie bezkarnie, tylko dlatego, że stchórzyłam.

Uznała rozmowę za skończoną, wstała i poszła na górę ćwiczyć jogę. Jemu nie pozostawało nic innego, jak nalać sobie drugi kieliszek.

Oczywiście poszła. Nie musiał jej nawet o to pytać. Nie spytał też o przebieg wizyty na posterunku, a ona nie kwapiła się z jej relacjonowaniem. W ogóle tego dnia niewiele ze sobą rozmawiali, krążyli tylko wokół siebie w milczeniu, jak ryby w akwarium. Jakaś ściana wyrosła między nimi.

Tak było też następnego dnia i dopiero dzień później wydarzyło się coś, co sprawiło, że ściana na moment zniknęła. Było późne popołudnie, oboje wrócili już do domu. Justyna drzemała w sypialni, a on robił sobie herbatę w kuchni. Stojąc w oknie i czekając, aż woda się zagotuje, dostrzegł światła reflektorów zbliżającego się samochodu, a chwilę potem pod ich domem zatrzymał się granatowy policyjny passat. Z auta wyskoczył energicznie mocno zbudowany mężczyzna i przycisnął dzwonek przy furtce. Henryk wpuścił go i stanąwszy u podnóża schodów, krzyknął głośno: „Policja przyjechała!”, aby obudzić Justynę. Mężczyzna zapukał do drzwi. Henryk upewnił się najpierw, czy jego wołanie odniosło skutek, i dopiero gdy usłyszał dochodzące z góry szuranie pantofli, otworzył.

Policjant miał około czterdziestu lat, był ubrany po cywilnemu, w skórzaną czarną kurtkę z futrzanym kołnierzem. Miał plebejską, ale przystojną twarz, gęste, czarne włosy i nieco skośne, bystre oczy, którymi zaraz po wejściu uważnie omiótł pomieszczenie, jakby chciał się zorientować, kim są mieszkańcy i czego można się po nich spodziewać.

– Komisarz Muszyński, komisariat Grabówek – przedstawił się. – Czy mieszka tutaj pani Justyna Hiczewska?

Henryk potwierdził skinieniem głowy. Nie musiał nic więcej mówić, gdyż żona, nieco jeszcze zaspana, właśnie schodziła po schodach.

Policjant uklonił się grzecznie.

– Komisarz Muszyński, komisariat Grabówek – powtórzył mechanicznie swoją formułkę. – Pani Justyna? Chciałbym z panią zamienić kilka słów.

Nie wyglądała na zaskoczoną.

– Proszę bardzo – odparła rzeczowym tonem. zaproponowała mu herbatę, ale odmówił. Zdjął tylko kurtkę. Usiedli we trójkę przy stole w kuchni i policjant, uprzedzając ich pytania, wyjaśnił, że przyszedł, aby uzupełnić zeznania Justyny, a nie chciał jej wzywać na formalne przesłuchanie na posterunek. Od razu też przystąpił do rzeczy – widać było, że nie lubi tracić czasu na rozmowy o niczym. Powiedział, że po południu przesłuchał obywatela – jak to określił – Edwarda Pyzika i że ten wszystkiemu zaprzeczył.

– A pan liczył na to, że się przyzna? – spytał Henryk sarkastycznie. „Co za naiwniak” – pomyślał.

Policjant przeniósł na niego spojrzenie. Wyglądało, jakby się zastanawiał, czy obecność Henryka w tym miejscu jest niezbędna. Nie posunął się jednak do tego, by go wyprosić.

– Nie – odparł łagodnie. – Ale jego tłumaczenie jest wiarygodne. Twierdzi, że dał się synkowi pobawić lalką. Określenia „tatusia” użył w sensie „kupioną przez tatusia”. Sprawdziliśmy. W łazience jest taka lalka.

– Dość nietypowa zabawka jak na chłopca, nie sądzi pan? – wtrącił Henryk.

– I szkoda, że nie słyszał pan odgłosów, jakie wydawał, gdy dzieciak bawił się tą... lalką – dodała Justyna. Widać było, że z trudem hamuje wzburzenie. Henryk położył rękę na jej dłoni i lekko ją ścisnął.

Policjant wzruszył ramionami.

– W łazience robi się różne rzeczy – odparł. – Poza tym była przecież u nich pracownica z pomocy społecznej. Przepytała chłopca, a on również nic nie potwierdził.

– Pracownica ośrodka nie ma do tego żadnych kwalifikacji – odparła zimno Justyna. – Poza tym to ich dobra znajoma. Myśli pan, że można liczyć na jej obiektywizm?

Policjant chwilę się zastanawiał.

– W tak drastycznej sprawie chyba można.

– Wątpię – mruknęła Justyna.

Muszyński przeniósł wzrok na Henryka. – Pan też słyszał?

Henryk wzruszył ramionami.

– Nie, ale nie mam powodu nie wierzyć żonie.

– A mógłbym obejrzeć łazienkę?

– Proszę bardzo – odpowiedziała szybko Justyna. Podniosła się i bez słowa ruszyła w kierunku schodów. Policjant podążył za nią.

Henryk również wstał od stołu, żeby wreszcie zrobić sobie herbaty. Podgrzał wystygniętą już nieco wodę i wyjął z szafki dwie filiżanki – pomyślał, że Justyna też się pewnie napije. Nalewając do nich wrzątku, zaczął się zastanawiać, czy jednak coś jej się nie przywidziało. Czy na pewno słyszała to, co słyszała? Czy nie uległa jakiejś dziwnej sugestii? A może była to projekcja jej niechęci, nienawiści nawet, do człowieka zza ściany? Incydent z aparatem Agaty był pouczający, wskazywał, że nie można do końca wierzyć jej słowom.

I po co w ogóle poszła na ten posterunek? Nic nie wskóra, to było wiadomo od początku. Czemu jej nie zatrzymał? Dlaczego nie próbował jej przekonać? Widać przecież, że ten gliniarz, traktujący ją jak histeryczkę, chce całą sprawę zamknąć. A tamci na pewno im tego nie zapomną. Postawił ze złością filiżanki na stole, aż herbata chlusnęła na obrus.

Siedział przez chwilę sam, mechanicznie namaczając we wrzątku torebkę herbaty i przysłuchując się przytłumionym odgłosom prowadzonej na górze rozmowy. Justyna chyba sprzeczała się z policjantem, ale nie mógł rozróżnić słów.

Wrócili po kilku minutach. Ona schodziła pierwsza, a jej zacięta twarz świadczyła o tym, że konfrontacja w łazience nie poszła po jej myśli. Policjant – jak też mu było? Muszyński? – również wyglądał na poirytowanego.

– No i co pan stwierdził? – spytał go zaczepnie Henryk.

Muszyński nie odpowiedział od razu. Siadając naprzeciwko nich, długo podciągał nogawki uprasowanych w kant spodni.

– Cóż, ściana faktycznie jest cienka. Mogła pani coś przez nią usłyszeć – przyznał niechętnie.

„Dobre i to – pomyślał Henryk. – Przynajmniej w tym punkcie się nie upiera”.

– Słyszałam dokładnie – powiedziała z naciskiem Justyna.

„Sprzeczka z góry przenosi się na dół – pomyślał Henryk. – Pewno powtarza mu to po raz dziesiąty”.

Policjant pokiwał głową na boki i zrobił minę, która mówiła: „może tak, może nie”. Justyna lekko poczerwieniała.

– Dlaczego pan mi nie wierzy? – spytała ostro.

– Opieram się na zeznaniach i wyciągam wnioski – odparł oschle Muszyński. – Wiara nie ma tu nic do rzeczy.

„Nie, to nie naiwniak – pomyślał Henryk. – Bystry jest”. Ale nim któreś z nich zdążyło coś odpowiedzieć, policjant spytał szybko:

– A jak wyglądają państwa stosunki z sąsiadami?

Justyna wzruszyła ramionami.

– Jeśli pan ich zna, to chyba może pan to sobie wyobrazić.

Policjant uśmiechnął się lekko. Tak się przynajmniej wydawało Henrykowi.

– Wolałbym to usłyszeć od państwa.

– No, wiadomo. – Znow wzruszyła ramionami. – Piją, awanturują się. To właściwie melina.

– Czyli można powiedzieć, że są niedobre – podsumował Muszyński.

Henryk poruszył się na krześle. Było jasne, w którą stronę tamten zmierza.

– Tak, można tak powiedzieć – powiedział przedrzeźniającym tonem. Pochylił się ku niemu. – Co pan sugeruje? Że moja żona złożyła to doniesienie, żeby się na nich zemścić? Za to, że hałasują? Przecież to śmieszne.

Policjant wytrzymał jego spojrzenie.

– Prywatnie tak nie myślę – odparł. – Ale jako policjant muszę brać pod uwagę wszystkie możliwości. No, nie będę państwu zabierał więcej czasu.

Podniósł się od stołu i przeszedł do przedpokoju. Nie odprowadzili go, ale nie wydawał się tym urażony. Wkładając kurtkę, odwrócił się jeszcze do nich.

– Osobiście bardzo współczuje, że macie państwo takich sąsiadów – powiedział i zabrzmiało to szczerze. – Ale nie każdy pijak musi być od razu zbrojcem – dodał i otworzył drzwi.

Justyna, która siedziała dotąd jakby w odrętwieniu, zerwała się z krzesła.

– Zaraz, chwileczkę! – zawołała, idąc szybko w jego stronę. Mężczyzna zatrzymał się w drzwiach. – Znaczy, że to już koniec? Zamykacie sprawę?

Policjant rozłożył ręce. „To jedno potrafią robić doskonale” – pomyślał Henryk.

– Nie mamy podstaw, żeby prowadzić ją dalej – powiedział rzeczowo Muszyński. – Gdyby pani, na przykład, to nagrała, byłby jakiś dowód. Ale tak... – Jeszcze raz powtórzył swój gest. – Przykro mi. Do widzenia.

– Do widzenia – odparł Henryk, gdy policjant zniknął już za drzwiami.

Justyna zamknęła za nim. Wróciła do stołu, usiadła ciężko i zapatrzyła się na filiżankę prawie czarnej, parzącej się zbyt długo herbaty.

– Możesz nalać mi koniaku? – spytała, nie patrząc w jego stronę.

„Teraz jej kolej” – pomyślał. Wstał, wyjął pękatą butelkę z barku i napełnił kieliszek – chyba ten sam, którego używał kilka dni temu. Postawił go przed nią ruchem kelnera i usiadł z powrotem na swoim krześle. Pociągnęła najpierw jeden długi łyk, potem jeszcze kilka mniejszych. Nie odzywał się, czekał.

– Coś niebywałego – westchnęła, patrząc przed siebie, w ciemność za oknem.

Miał ochotę jej powiedzieć, że nie powinna być zaskoczona. Gliniarze nie lubili takich domowych, rodzinnych afer. I tak cud, że zrobili cokolwiek. Przeczytali raport pracownicy z pomocy społecznej, wezwali tego obwiesia na przesłuchanie – jak na nich, bardzo się wysilili. Może ten znajomy prokurator Justyny ich zmobilizował. A że nic z tego nie wyniknie, było łatwe do przewidzenia.

Powstrzymał się jednak od komentarza. Nie chciał już jej dobijać. Ale tego jednego, jedyne pytania nie mógł jej nie zadać, choć wiedział, że ją zabolii.

– Słuchaj... – Zawahał się, odchrząknął. – Ale czy ty jesteś tak całkiem pewna? Że... że to wszystko słyszałaś?

Zareagowała tak, jak się spodziewał. Spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami, w których ciemniał gniew.

– Ty też mi nie wierzysz?

Nagle wybuchła głośnym śmiechem. Trwało to dłuższą chwilę. Śmiała się histerycznie, a on patrzył na nią bezradnie, nie wiedząc, co robić, nim śmiech nie urwał się równie raptownie, jak się zaczął.

– Uważasz, że sobie to zmyśliłam? Albo że mam omamy, tak?

Zmieszał się.

– Nie, nie... Nie uważam – zapewnił ją nieszczerze. Jej śmiech wciąż dźwięczał mu w uszach.

Machnęła tylko ręką. Dopija koniak, wstała i po umyciu kieliszka poszła szybko na górę. Nie sądził, aby w tym stanie mogła dokończyć przerwana drzemkę. Najpewniej zajęła się jogą. Sam siedział przez chwilę, myśląc o tej dziwnej wizycie (nie była chyba zgodna z obowiązującymi procedurami, poza tym Muszyński nie robił nawet notatek) i kończąc za mocną herbatę. Tę nietkniętą przez Justynę wylał do zlewu, odstawił filiżanki i poszedł do

siebie, do gabinetu, aby pisać referat.

Pracowało mu się całkiem dobrze, choć niedawne wydarzenia nie powinny właściwie ułatwiać mu koncentracji. Ale może właśnie dlatego, by uciec od rzeczywistości, zamknął się szczelnie w świecie naukowych abstrakcji, a takie odizolowanie zawsze przynosiło dobre efekty.

W pewnym momencie usłyszał za oknem chrzęst kroków na śniegu i zbliżające się głosy. Kobieta i mężczyzna. Nie uchylał żaluzji, ale i tak wiedział, że to oni. Ich kroki były niepewne – widocznie po nerwowym przesłuchaniu poszli do rodziny albo znajomków, żeby się zrelaksować. Sąsiad powtarzał coś miarowo, jakby skandował hasło. Henryk natężył słuch i po chwili udało mu się rozróżnić wybijane rytmicznie słowa: „Kurwy, chuje, kurwy, chuje...”.

Gdy oboje znaleźli się na wysokości ich domu, sąsiad rozdarł się na cały głos: „Kurwy! Chuje!”, tak jakby przedtem tylko ćwiczył tę kwestię niczym aktor przed wyjściem na scenę. Żona zaczęła go uciszać, ale wrzasnął jeszcze raz: „Kurwy!”. Potem zapadła cisza. Słysząc było tylko szczekanie zaniepokojonego psa Kulczyków, nierówne kroki i skrzypnięcie furtki obok. Henryk siedział bez ruchu, z palącymi policzkami. Nie wrócił już tego dnia do pisania.

Gdy przyjechał nazajutrz do domu po zajęciach w szkole, Justyny jeszcze nie było. Zdziwił się i trochę zaniepokoił. Czyżby znowu coś się stało? Może ten mały gej kolejny raz próbował skończyć ze sobą, tym razem skutecznie? Sięgnął po komórkę, ale w tym samym momencie, jakby ściągnięta telepatyczną siłą, zadzwoniła ona.

Okazało się, że gdy wracała do Warszawy, jej siedmioletnie clio zaczęło się dziwnie zachowywać – traciło przyśpieszenie, przystawało. Zajechała zatem do mechanika, a ponieważ awaria okazała się poważniejsza i nie mogli usunąć jej od ręki, telefonowała teraz, aby ją zabrał z warsztatu. Był jeszcze ubrany, wsiadł więc od razu do samochodu. Padał gęsty śnieg, było ciemno i ślisko, nie mógł przekraczać czterdziestu kilometrów na godzinę, ale dotarł na miejsce już po pięciu minutach. To była jedna z zalet mieszkania w Grabówku: wszędzie było blisko.

Czekała już pod bramą warsztatu, nad którą wisiał dumnie napis: „J. Żulczyk. Zakład istnieje od 1991 roku”, co zawsze go rozczulało: tych

marnych dwadzieścia kilka lat miało oznaczać bardzo długą tradycję, być rękojmnią solidności. Gdyby zobaczył to jakiś Holender, nieźle by się ubawił.

Wyglądała na zziębniętą i zirytowaną. Gdy zatrzymał koło niej toyotę, wsiadła szybko i zatrzasnęła drzwi mocniej niż trzeba.

– Cześć – mruknęła.

– Cześć.

Po wczorajszej kłótni po wizycie policjanta stosunki między nimi znów się ochłodziły. Gdy przyszedł do łóżka, nawet się nie odezwała. Odłożyła książkę, odwróciła się tyłem i nie mówiąc „dobranoc”, zasnęła.

Teraz też nic nie mówiła. Patrzyła prosto przed siebie, z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

– Co się stało? – zagadnął, gdyż przez telefon nie podała żadnych szczegółów.

– Nie wiadomo. Zdaje się, że coś z rozrzędem.

„No to nieźle zapłacimy” – pomyślał. Żulczyk był dobrym mechanikiem, ale liczył sobie drogo. A rozrząd to jednak poważna sprawa.

– I kiedy odbierasz? – drążył dalej. Zepsuty samochód oznaczał, że będzie prawdopodobnie musiał ją odwozić i przywozić z przychodni. Czasem było to kłopotliwe.

Wzruszyła niechętnie ramionami.

– Też nie wiem. Jak nareperują.

Powiedziała to tonem, który nie zachęcał do dalszej rozmowy, nawet na tak neutralny temat. Umilkł więc i włączył na chybił trafił radio, aby przesłonić kurtyną dźwięków ciszę, jaka między nimi zapadła. Z głośników buchnęła piosenka Lady Pank o zimnej i niegościnniej Warszawie: „Wszystko byłoby inne, gdybyś tu była, ja wiem...” – przekonywał Janusz Panasewicz. Justyna wyciągnęła rękę i ściszyła odbiornik. Nie zaprotestował.

Wokół było ciemno, tylko białe śmy śniegu krążyły wokół latarni. Sypało coraz gęściej. Na Piłsudskiego ruch był niewielki, a nieliczni przechodnie przemykali pośpiesznie, kuląc się przed uderzeniami wiatru. Jechali w milczeniu, ciężkim, głębokim milczeniu zalepionym sztucznie kolejną piosenką z Radia Zet. Nie kojarzył wykonawcy. Nie bardzo go to zresztą interesowało. Myślał o tym, w jaki sposób – oprócz wywrzaskiwania obelg pod oknem – sąsiedzi zareagują na interwencję Justyny.

Odpowiedź przyszła szybciej, niż przypuszczał. Gdy zatrzymali się pod domem, a Justyna wysiadła z samochodu, aby otworzyć bramę, z boku nagle coś się poruszyło i na płocie zamigotały czarne cienie.

To byli oni. Musieli zacząć się za swoją furtką, a teraz, ślizgając się po oblodzonej nawierzchni ulicy, biegli w stronę jego żony.

Wyskoczył błyskawicznie i zagroził im drogę. Zatrzymali się na chwilę, ciężko oddychając. Owionęła go kwaśna chmura alkoholu.

– Wy kapusie pierdolone! – wrzasnął sąsiad. Ruszył w stronę Henryka, a tymczasem jego żona odbiła w bok, aby wyminąć samochód. Chciała zająć Justynę od tyłu.

– Proszę odejść – odezwał się Henryk. Czuł, że głos mu drży.

Tamten w odpowiedzi podskoczył do niego i popchnął tak mocno, że musiał oprzeć się o karoserię, aby nie stracić równowagi. Ślisko było.

– Na psiarnię biegacie? – spytał złowieszczym szeptem. Pod zsuniętą na czoło czapką błysnęły przekrwione, złe oczy. – Zboka ze mnie robicie?! – ryknął tak, że słuchać go było chyba na całej uliczce.

Biały pies Kulczyków rzucił się na ogrodzenie, szczekając wściekle. Gdzieś – najpewniej u pani Jadzi – uchyliły się drzwi.

Henryk cofnął się o krok i zerknął na stojącą nieruchomo Justynę: w świetle latarni jej twarz była trupio biała. Sąsiadka obeszła już samochód i zbliżała się do niej, wyciągając oskarżycielsko palec.

– To ona! Ona tam polazła – wysyczała nienawistnie.

– Proszę stąd odejść! – powtórzył Henryk. Tym razem pewniejszym głosem.

Tamta nie zwróciła uwagi na jego słowa. Szła uparcie w stronę Justyny, kołysząc się na krótkich nóżkach – była równie pijana, jak jej mąż.

– Ty suko! Będiesz na mojego nadawała?!

Rzuciła się do przodu z rozczapierzonymi drapieźnie palcami. Skoczył w jej kierunku, osłaniając Justynę, która wciąż stała jak skamieniała, i chwyciwszy za przeguby rąk, odepchnął ją z całych sił w stronę napierającego z boku sąsiada. Wpadła na niego z takim impetem, że oboje z trudem utrzymali się na nogach.

– Wracajcie do domu! – wrzasnął. – Bo zaraz wezwę policję!

Jego determinacja zrobiła na nich wrażenie. Zawahali się. Nagle zrobiło się bardzo cicho. Tylko pies Kulczyków wciąż szczekał jak oszalały.

– Dobra – powiedział jakby z namysłem sąsiad. – Pójdziemy. Ale nie

odpuścimy wam. Damy wam tak popalić, że pożałujecie, żeście się wyprowadzili z tej zaszranego Warszawy!

Odwrócił się do żony.

– Chodź, Bacia – mruknął i ruszył powoli w stronę ich posesji. Sąsiadka chwilę jeszcze stała, jakby niezdecydowana, ale w końcu zakręciła się na pięcie i dołączyła do niego.

– Suka! – rzuciła na pożegnanie.

Zniknęli w furtce. Henryk odetchnął głośno z ulgą. Podeszedł do Justyny, która stała wciąż w tym samym miejscu, opierając się plecami o pręty bramy. Jej blada twarz była pozbawiona wyrazu, zamknięta jak maska. Oddychała ciężko. Objął ją ramieniem i delikatnie nią potrząsnął.

– Idź już do domu – powiedział łagodnie. Otworzył pilotem garaż.

Nic nie odpowiedziała, zagryzła tylko wargi i ze spuszczoną głową weszła do środka. Odprowadził ją wzrokiem, po czym wsiadł do pracującego cały czas samochodu i wjechał nim do garażu. Potem wrócił do bramy i zamknął ją starannie na kłódkę. Zwykle wisiała tylko dla zachowania pozorów, nie zamykali jej na co dzień, żeby nie tracić potem czasu na otwieranie, ale teraz uznał, że lepiej z niej skorzystać. Sprawdził, czy mocno trzyma, i wszedł do domu.

Justyna siedziała w ubraniu na najbliższym krześle przy stole. Jakby nagle uszła z niej energia i nie miała już sił zdjąć kurtki.

– Chcesz z tym iść na policję? – spytał, idąc w stronę wieszaka, i dopiero po chwili, gdy rozbierał się w przedpokoju, zorientował się, że mogło to zabrzmieć ironicznie.

Pokręciła przecząco głową i nagle oczy jej się zaszklily i zaczęła bezgłośnie płakać. Łzy rozmyły makijaż, po policzkach pociekły jej czarne strużki tuszu.

Był to dla niego nowy widok. Szokująco nowy. W ciągu tego całego czasu, gdy byli ze sobą, Justyna prawie nigdy nie płakała. Nawet po śmierci ojca, którego bardzo kochała. Wszystko przeżywała w środku. „To normalne, że rodzice odchodzą” – powiedziała wtedy. Jej umiejętność godzenia się z koniecznościami życia imponowała mu. I to zawsze. Pamiętał, jak wiele lat temu, jeszcze na początku ich znajomości, rozmawiali o śmierci. Ot, taka typowa studencka dyskusja, trochę przemądrzała i abstrakcyjna, ale o tyle autentyczna, że jego w tamtym okresie myśl o śmierci – o tym, że zniknie, a świat spokojnie, jak gdyby nigdy nic, będzie trwał dalej – rzeczywiście przerażała. Jej – w ogóle, i nie była to żadna poza. Wzruszała tylko

ramionami i powtarzała, żeby nie przejmować się tym, co nieuniknione. Jej argumenty nie były szczególnie wyrafinowane, ale brzmiały przekonująco. Już wtedy miała mocną wewnętrzną konstrukcję, a studia na psychologii jeszcze ją wzmocniły. Poznała mechanizmy cierpienia i rozpaczy i umiała je na pewno lepiej kontrolować niż on. Była twarda z natury, a jako wykształcona psycholożka tę naturalną twardość jeszcze w sobie ugruntowała.

Musieli jej dopiec do żywego, dotrzeć do miejsca, gdzie te mechanizmy kontrolne już nie działały. Czy tym miejscem było doznane właśnie upokorzenie, czy bezsilność? Wszystko jedno, to nie był czas na teoretyzowanie. Podeszedł do niej szybko, przykucnął obok, niezgrabnie objął ją ramieniem i przycisnął mocno do siebie. Oparła się o niego całym ciężarem i wtuliła mokrą twarz w jego szyję. Przez gruby materiał płaszcza czuł szybkie jak perkusja uderzenia jej serca. I nagle coś w niej pękło, jakaś niewidoczna tama runęła – zaczęła głośno szlochać. Wyglądała jak mała, bezradna dziewczynka. Przytulił ją mocniej, jakby chciał odebrać jej oddech i stłumić płacz.

– Cicho, cicho – szeptał, głaszcząc ją po włosach. – Cicho, cicho.

Trwało to chwilę, nim się uspokoiła i poprosiła ochrypłym głosem o chusteczkę. Wydmuchała nos, umyła pokrytą ciemnymi smugami twarz i poszła od razu na górę. On szybko do niej dołączył. Nie kochali się tego wieczoru, choć on – co stwierdził ze zdumieniem, a Justyna z pewnością zauważyła – miał na to ochotę. Leżeli tylko w ciemności, ciasno wciśnięci w siebie, jak pragnące się ogrzać zwierzęta, i odgradzali się sobą od świata. Awantura z sąsiadami miała jedną dobrą stronę: znów się do siebie zbliżyli. Było już chyba po północy, gdy prawie jednocześnie zasnęli.

Sąsiedzi dotrzymali słowa. Już następnego dnia zaczęli obrzydzać im życie. Po południu puścili na cały regulator swoje ulubione disco polo, ale wzmocnione izolacyjną warstwą ściany wytrzymały napór dźwięków. Atak był nieskuteczny, spóźniony: przed remontem chybaby oszaleli, ale teraz? Prawie nic nie było słychać, wystarczyło otworzyć telewizor. Koncert nie trwał zresztą długo. Może im też w końcu zbrzydła radosna muzyczka?

Następny atak był już silniejszy i lepiej zorganizowany. Nazajutrz urządzili przyjęcie, co mogło być oczywiście przypadkowe, ale Henryk podejrzewał,

a Justyna się z nim zgadzała, że raczej nie. Sądząc po niewielkiej ilości samochodów parkujących na uliczce (jednym z nich bezczelnie zastawiono im bramę, ale na szczęście nareperowane clio odebrali wcześniej i nigdzie się już nie wybierali), impreza była kameralna, tym niemniej dość huczna. Znów dudniło disco polo, słychać było ryki coraz bardziej pijanych gości, jakieś bliżej niezidentyfikowane łomoty. To jednak też dało się wytrzymać, gdyż dźwięki przechodziły jakby przez grubą poduszkę, osłabione, i Henryk po raz kolejny pogratulował sobie pomysłu. „Bawcie się, bawcie – uśmiechał się w duchu. – Mnie wasza zabawa w ogóle nie przeszkadza”. Nieprzyjemnie zrobiło się dopiero po zakończeniu imprezy.

Była to jakby powtórka, tyle że w ostrzejszej postaci, sytuacji sprzed kilku dni, gdy sąsiad ciskał pod ich domem obelgi – niby rzucone w powietrze, niezaadresowane, ale jednoznacznie skierowane do nich. Tak jak wtedy, Henryk siedział w gabinecie i pracował, gdy za oknem usłyszał podniesione, pijackie głosy opuszczających przyjęcie gości. Wstał od biurka i dyskretnie odchylił listwy żaluzji. W bladym świetle latarni dostrzegł kilka osób. Trzech mężczyzn i kobietę. Stali obok zastawiającego bramę starego opla i gapili się w ich okna. „Dobrze, że zamknąłem bramę” – pomyślał. Teraz już robili to codziennie.

Jeden z mężczyzn musiał go zauważyć, bo zaczął wskazywać w jego stronę, mówiąc coś półgłosem do pozostałych. Tamci, jak na dany znak, unieśli głowy, podążając za jego wzrokiem; po chwili cztery pary oczu celowały w Henryka. Cofnął się odruchowo, listwy wróciły na miejsce z cichym trzaskiem, ale było już za późno. Natychmiast spadła na niego salwa bluzgów: „Chuj! Kapuś! Pokaż się, kapusiu! Wyłaż, kurwa!”. Najgłośniej krzyczała kobieta. Po chwili dotarł do niego lekki brzęk: któreś z nich musiało rzucić kawałkiem lodu w zostawiony na podjeździe samochód Justyny, ale sądząc po odgłosie, trafił w karoserię, nie w szybę.

Stojąc przed zasłoniętym oknem, zastanawiał się, co robić. Zejście na dół nie wchodziło w rachubę, bo dyskusja z trzema nabuzowanymi mężczyznami mogła się dla niego źle skończyć. Wezwać policję? Chyba nie pozostawało nic innego. Za chwilę mogli poharatać auto Justyny albo powybić szyby w oknach. Ale gdy sięgał już po komórkę, goście pod domem nieoczekiwanie się uspokoili, wypełnione agresją głosy nagle umilkły. Usłyszał zatraskiwanie drzwi samochodu, ryk odpalanego, przegazowanego silnika i po chwili cała czwórka odjechała. „Ciekawe, które z nich prowadzi” –

przemknęło Henrykowi przez głowę. Wszyscy byli równo pijani.

Odetchnął z ulgą, ale w środku nadal czuł się nieswojo. Było w tym coś upokarzającego – zostać zelżonym we własnym domu. Na ulicy, przez przypadkowego pijaka, byłoby to łatwiejsze do przyjęcia. Pocieszało go tylko, że Justyna najprawdopodobniej tego wszystkiego nie słyszała, podobnie jak wcześniej wrzasków sąsiada. Sypialnia, gdzie zamknęła się z książką, wychodziła na ogród, jedne i drugie drzwi były zamknięte i odgłosy z ulicy tam nie docierały.

Nie chodziło mu o własną dumę, która pewnie ucierpiałaby bardziej, gdyby upokorzenie dokonało się w obecności świadka. Szło wyłącznie o nią, Justynę. Od momentu napaści pod domem bardzo źle znosiła całą sytuację. Była przygnębiona i milcząca. Poszła jeszcze w sprawie chłopca do biura Rzecznika Praw Dziecka, ale już bez większego przekonania. Najczęściej po powrocie do domu kładła się na łóżku i czytała, od czasu do czasu podrzemując. Przestała nawet ćwiczyć jogę. Koncert bluzgów pod oknem chyba rozwaliliby ją zupełnie. Sam trzymał się lepiej, jakby to, że wszystko potoczyło się tak, jak przewidywał, pozwalało mu łatwiej amortyzować ciosy, a nawet dostarczało mu jakiejś perwersyjnej, masochistycznej satysfakcji. Poza tym był akurat bardzo zajęty z powodu referatu, który musiał szybko ukończyć, rozpoczynającej się sesji i przygotowań do obrony pracy Jaweckiego. Studenckie zaliczenia, telefony do recenzentów, terapeutyczne rozmowy z coraz bardziej przerażonym doktorantem – wszystko to absorbowało go tak bardzo, że nie miał już siły myśleć o niczym innym.

Jedno uczucie wciąż jednak go nie opuszczało, był to strach. Wszedł mu jeszcze głębiej pod skórę tego wieczoru, gdy zostali zaatakowani przez sąsiadów – czuł, że na tym nie poprzestaną. Gdy pijana czwórka oblegająca jego dom odjechała, poczuł, że jest cały mokry, i musiał natychmiast zmienić przesiąkniętą potem koszulę. Ale strach nie zniknął, towarzyszył mu wiernie przez całą resztę wieczoru, a następnego dnia zyskał dodatkową pożywkę.

Wracał późnym wieczorem po długiej, trwającej prawie dziesięć godzin turze egzaminów. Był wykończony, chciał jak najszybciej być już w domu. Postanowił skrócić sobie drogę i skręcił w las przed Grabówkiem. Była to niewielka brzezina stanowiąca kapryśny odprysk zaczynającej się obok

puszczy.

Jechał ostrożnie, w lesie było kompletnie ciemno, droga zupełnie oblodzona, kiedy nagle z tyłu, nie wiadomo skąd, pojawił się samochód. Miał włączone długie światła. Jego kierowca prowadził szybko, nie zważając na śliską nawierzchnię, i po kilkunastu sekundach go dogonił. Sunąc bezpośrednio za nim, nie przełączył ostrych, oślepiających świateł. Henryk uznał, że widocznie bardzo się śpieszy i daje w ten sposób znak, że chce go wyprzedzić. Posłusznie zjechał więc na bok, słysząc, jak gałązki rosnących na skraju lasu rachitycznych drzewek uderzają o przednią szybę. W tym momencie pomyślał, że być może popełnia błąd: gdyby tamten kierowca miał wobec niego złe zamiary, mógł go teraz wyprzedzić, a następnie zatrzymać, blokując mu drogę. Miejsce do ewentualnego napadu było idealne: ciemny las, rzadko uczęszczana w zimie droga, ciemność. Już to sobie wyobraził: samochód staje w poprzek, a ze środka wybiega dwóch mężczyzn z kijami bejsbolowymi w rękach, trochę podobnie jak wtedy, gdy miał zatarg z szoferem Mizaka. No nic, pocieszył się, mam w końcu wsteczny bieg. Nie dogonią mnie na piechotę.

Ale samochód wcale nie kwapił się do wyprzedzania, również zwolnił i jechał dalej za nim, celowo go oślepiając. Henryk odgiął więc wsteczne lusterko, kierując odbite światło reflektorów na sufit, i przyspieszył. Chciał jak najszybciej wydostać się z lasu. Droga przechodziła bezpośrednio w ulicę Grabówka, gęsto zabudowaną i jasno oświetloną. Dwukrotnie wpadł w poślizg i tyłem toyoty zarzuciło, ale wreszcie dojechał do swojej miejscowości i poczuł się pewniej. Tu raczej nic mu nie groziło: gdyby ktoś chciał go napaść, zrobiłby to wcześniej, w dogodniejszych warunkach. Zwolnił zatem, niemal przystając. Samochód jechał chwilę za nim, wciąż na długich światłach, po czym wyprzedził go nagle z rykiem piłowanego silnika. Był to polonez. W środku mignęły mu twarze trzech mężczyzn, ale gdyby kazano mu je potem opisać, nie potrafiłby.

Przyspieszył. Przez chwilę myślał, co by było, gdyby w rewanżu poślepiął tamtego kierowcę, by się przekonał, jaka to przyjemność, ale zrezygnował z tego pomysłu. Zemsta byłaby dziecinna, poza tym nie chciał zadzierać z trzema facetami. Zresztą kierowca poloneza być może nawet nie wiedział, że jedzie na długich światłach, choć było to raczej mało prawdopodobne. Najpewniej zrobił to dla kawału: okoliczni mieszkańcy mieli mało wyrefinowane poczucie humoru.

Ale może nie. Może to nieprzyjemne zdarzenie miało jakiś związek z ich konfliktem z sąsiadami? Może ci trzej to jacyś ich znajomkowie? Przypomniał sobie, że przy drodze dojazdowej do Grabówka widział stojący na poboczu samochód z wygaszonymi światłami. Czy to nie był właśnie ten polonez? Może zaczaili się na niego. Ale po co? Żeby zrobić mu dowcip? Postraszyć? A może sprowokować awanturę? Może liczyli, że wkurzy się, zatrzyma auto i wyjdzie do nich? Jeżeli tak, to przeceniali jego odwagę. „A w ogóle, to nie wpadaj w paranoję – upomniał się, wjeżdżając na podjazd. – Pamiętaj, strach ma wielkie oczy. Mógł to być czysty przypadek”. Tupnął na ujadającego za płotem psa Kulczyków i wszedł do domu.

Justyna leżała już w łóżku, przebrana, ale zanim zdążył jej opowiedzieć o tej dziwnej przygodzie, natychmiast zaczęła mówić, co przytrafiło jej się w delikatesach, gdy wstąpiła po zakupy.

Niemal na progu natknęła się tam na sąsiadkę. Obie krążyły po sklepie, mijając się bez słowa i udając, że się nie widzą ani nie znają, ale gdy stała już w kolejce do kasy, tamta stanęła za nią, z koszykiem wypełnionym puszkami warki, pochyliła się i szeptem, aby nikt inny nie usłyszał, wysyczała jej prosto w ucho: „Ty kurwo!”. Justynie zrobiło się gorąco, ale nie straciła głowy. Odwróciła się i wrzasnęła na cały sklep: „A odczep się ode mnie, ty babo cholerna!”. Kasjerka uniosła głowę, klienci też odwrócili się w ich stronę, patrzyli z zainteresowaniem. Sąsiadka poczerwieniała, ale opanowała się: „Nie wiem, o co chodzi tej pani” – powiedziała pewnym tonem i wskazując na Justynę, zakręciła palcem przy skroni. Ona jednak się nie poddała. „Dobrze pani wie – odparła ostro. – I proszę natychmiast przestać!” Sąsiadka znów się zmieszała, pozostali klienci zerkali na nią podejrzliwie, jej opuchnięta twarz nie wzbudzała zaufania. Zamruczała więc coś pod nosem i zaczęła odliczać pieniądze z portmonetki, udając, że nic się nie stało.

Tak to miało przebiegać. Ale choć od incydentu minęło już kilka godzin i w zasadzie, dzięki milczącemu wsparciu świadków, dobrze się skończył, Justyna wciąż była wzburzona. Nie dziwił się jej. Nie dość, że została kolejny raz zelżona, to już samo spotkanie z sąsiadką – pierwsze od wieczoru, gdy ta próbowała ją pobić – wytrąciło ją z równowagi. Widząc to, zrezygnował z opowiedzenia jej o podejrzanym samochodzie. Ale nie próbował jej też uspokoić, obrócić przygodę w sklepie w żart – wiedział, że to nie poskutkuje. Zamiast tego, zaraz po powrocie spod prysznic, kładąc się obok niej do łóżka, zaczął się głośno zastanawiać, kto mógłby u nich zamieszkać podczas

wyjazdu na narty. To był jedyny temat, przy którym się ostatnio ożywiła.

Poza tym rzeczywiście był to pewien problem. Gdy wyjeżdżali na krótko, oddawali zapasowe klucze Kulczykowej, ale na dziesięć dni nie chcieli zostawiać domu bez opieki. Na ogół w takich sytuacjach zjeżdżała do nich z Lublina teściowa, ale tym razem Justyna nie chciała jej ściągać. Rozumiał to. Zaproponował Witka, który już raz jej matkę zastępował, bo się akurat rozchorowała, i bardzo sobie potem z żoną ten pobyt na wsi chwalili. Justyna miała jednak inną kandydaturę: kolegi z pracy, który akurat się rozwodził i pilnie potrzebował mieszkania, nawet na krótko. Zgodził się na kolegę.

Tę kwestię mieli już więc przegadana, poza tym stwierdził z zadowoleniem, że w trakcie rozmowy żona trochę się odprężyła się, rozluźniła. Skupienie na konkretnych sprawach zawsze dobrze jej robiło. I jeszcze ten wyjazd, który pojawił się w tle – chyba tylko dzięki jego perspektywie się trzymała, odliczała dni. On zresztą też. Miał nadzieję, że w tym czasie sytuacja wróci do normy. Nastrój psuła mu jedynie myśl, że wyjazd miał się stać właściwie ucieczką.

Justyna wzięła proszek i zaraz zasnęła jak ścięta toporem. On nie. Wciąż przypominał mu się jadący za nim samochód. Ciemny las, ostre światła, potem te niewyraźne plamy trzech twarzy. Wzdrygnął się. Nieprzyjemne to było, ale mogło nic nie znaczyć. W każdym razie postanowił nie wspominać o tym żonie. Musi ją chronić, trzymać od tego z daleka – jeśli w ogóle miało z nim związek. Wkrótce wyjadą i cała sprawa, jak to się kiedyś mówiło, przyschnie. Nawet nie zauważył, jak zasnął.

Choć chciał za wszelką cenę uchronić Justynę od skutków tej małej wojny, nie zawsze było to możliwe. Przekonał się o tym już w sobotę rano. Poprzedniej nocy padało, więc wyszedł z szuflą pod dom, aby odgarnąć śnieg z podjazdu. Machał rażno łopata, gdy zauważył Kulczykową, wychodzącą z torbą na wózku do sklepu. Przywitał się z nią uprzejmie. Z nimi zawsze żyli dobrze, tylko ten pies go wkurzał. Kulczykowa uśmiechnęła się, odpowiedziała wesoło „Dzień dobry, sąsiedzie!” i już odchodziła, gdy nagle zatrzymała się i zmarszczyła brwi. Podeszła do bramy.

– Ale państwu nabazgrali... – powiedziała, kręcąc głową i wskazując ręką ogrodzenie.

W pierwszej chwili nie zrozumiał, lecz gdy wyszedł na zewnątrz, wszystko

stało się jasne. Ich płot – pięknie wybejcowane, zwarto przylegające do siebie deski, tworzące drewniany mur – został oszpecony wymalowanym czerwoną farbą napisem „KAPUŚ”. Litery były wielkie, każda miała dobrze ponad pół metra wysokości. Ktoś, kto to zrobił, pracował w pośpiechu, gdyż z napisu ściekała cienkimi strużkami farba, znikając w przylegającej do ogrodzenia przyzbie śniegu. Czerwone krople, którymi była spryskana, przypominały krew.

Stłumił przekleństwo. Kulczykowa też się zdenerwowała, wyciągnęła elektronicznego papierosa.

– Widziała może pani, kto to zrobił? – spytał na wszelki wypadek.

Zapalając papierosa, potrząsnęła przecząco głową.

– Widzieć nie widziałam, ale chyba to wiadomo kto – odparła, wypuszczając kłąb pary. – Te skurwysyny, co się obok pana wprowadziły.

On też nie miał wątpliwości, mimo że nikogo za rękę nie złapał. „Skurwysyny”, dobrze ich nazwała. I poczuł się różnie, że ma do sąsiadów podobny stosunek jak oni.

– Skurwysyny – potwierdził.

– Za co one chleją? Matka im daje czy co?

Nie odpowiedział. Teraz myślał już tylko o tym, żeby jak najszybciej usunąć paskudny napis. Kulczykowa, kobieta praktyczna, też chyba pomyślała o tym samym.

– Jarka bym przysłała, ale podłapał z ojcem fuchę w Warszawie i teraz na okrągło tam siedzą.

Faktycznie, dawno ich już nie widział.

– Nie szkodzi. Poradzę sobie – mruknął. – Ale dziękuję.

Pożegnał się z wciąż kręcącą z niedowierzaniem głową sąsiadką i wrócił na teren posesji. Na podjeździe zalegało jeszcze sporo śniegu, ale jego uprzątnięcie odłożył na później. Wstawił szuflę do garażu, wsiadł do samochodu i pojechał do sklepu chemicznego. Na szczęście w soboty był otwarty. Kupił rozpuszczalnik, grubą gąbkę i gumowe, różowe rękawice. Przyjechawszy do domu, od razu zabrał się do zmywania. Szło na szczęście łatwo – pokryte warstwą lakieru deski nie wchłaniały farby i schodziła szybko.

Zmazując gąbką grube litery, myślał o reakcji Kulczykowej. Nie lubiła sąsiadów, podobnie zresztą – jak wynikało z rozmowy z Czapskim, którego spotkał kiedyś przy bramie – pozostali mieszkańcy uliczki. To byli ciężko

pracujący ludzie i denerwowało ich, że tamci, nic nie robiąc, żyją sobie całkiem dobrze, a nawet stać ich na wódkę. Gdyby sytuacja się zaogniła, mogliby chyba liczyć na ich wsparcie. Naturalnie wszyscy wiedzieli o ich konflikcie, choć nie znali szczegółów, zwłaszcza z ostatnich dni. Mogli się tylko czegoś domyślać, bo w końcu pani Jadzia była świadkiem awantury pod ich domem. Nic jednak nie komentowali. Na wsi obowiązywała dyskrecja.

Pracował w pośpiechu, chcąc skończyć, zanim Justyna się obudzi. Szczęście w nieszczęściu, że w soboty lubiła odsypiać tygodniowe zaległości, a po estazolamie spała jeszcze dłużej. Nie zdążył jednak. W pewnym momencie zauważył jakiś ruch w kuchni – znak, że już zeszła na dół, a chwilę potem stanęła w otwartych drzwiach, ubrana tylko w szlafrok, pytając podejrzliwie, co tam robi. Nie miał innego wyjścia, musiał powiedzieć, a zrobił to z takim zawstydzeniem, jakby sam był autorem obraźliwego napisu. Justyna zarzuciła na ramiona kurtkę i mimo że próbował ją powstrzymać, krzycząc, że się przeziębi, wyszła na uliczkę. Na szczęście napis był już właściwie zmyty, zostały tylko krwawe smugi. Popatrzyła w milczeniu, pokiwała głową.

– Przyjdź na śniadanie, jak skończysz – rzuciła obojętnym tonem, który go nieco zaskoczył. Myślał, że bardziej ją to poruszy.

Zmył płot do czysta, zostawił w garażu rękawiczki, gąbkę i butelkę z resztką rozpuszczalnika i wszedł prosto do kuchni. Żona szykowała jajecznicę.

– Muszę jechać do Lublina – zakomunikowała mu od progu.

Okazało się, że obudził ją telefon od matki. Teściowa, skarżąc się na bóle w sercu, prosiła, aby córka ją odwiedziła, „póki jeszcze jest czas”. Nie było to nic nowego, takie telefony powtarzały się regularnie i Justyna już do nich przywykła, a nawet traktowała jako swoisty rytuał, choć oczywiście zdawała sobie sprawę z obecnego w nich emocjonalnego szantażu. Zawsze też przyjmowała te specyficzne zaproszenia, nawet jeśli wyjazd był jej nie na rękę, z reguły zastając potem matkę w znakomitym zdrowiu. Bała się jednak, że za którymś razem starsza pani okaże się rzeczywiście chora. „Nie wybaczyłabym sobie” – tłumaczyła Henrykowi, gdy zirytowany pytał, czemu pozwala tak prymitywnie sobą manipulować. Sam nie cierpiał manipulacji – czy nie dlatego odmówił kiedyś skacowanemu sąsiadowi „pożyczki” na piwo? Nie spierał się jednak dalej – trudno, żeby zabraniał jej odwiedzać

ponadsiedemdziesięcioletnią kobietę.

Tym razem był wręcz zadowolony z jej wyjazdu. Uznał, że nawet taka krótka, weekendowa zmiana otoczenia dobrze jej zrobi, pozwoli nabrać dystansu. Widział przecież, w jak kiepskiej jest formie. Poza tym im też by nie zaszkodziło, gdyby trochę odpoczęli od siebie.

Justyna najwyraźniej również tak uważała. Zwykle perspektywa wizyty w Lublinie wcale jej nie radowała. Zapewne denerwowało ją, że tak łatwo daje się podchodzić, a naturalnej potrzeby kontaktu z matką nie miała. Ich stosunki były co najmniej skomplikowane: Justyna kochała ją na swój sposób, ale nie mogła jej wybaczyć traktowania ojca, który w końcu nie wytrzymał codziennej tresury i zmarł, a także błyskawicznie zawartego po jego śmierci małżeństwa (następca też zresztą szybko opuścił ten ziemski padół). Również obecna aktywność matki na polu towarzysko-uczuciowym – Henryk miał nadzieję, że nie na erotycznym – działała jej na nerwy. Nie lubiła tam jeździć i robiła to wyłącznie z poczucia obowiązku. Dziś jednak było inaczej: wyraźnie się cieszyła. Może dlatego tak lekko zareagowała na paskudny napis na ogrodzeniu? Podczas śniadania nie nawiązała do niego ani słowem – jakby go w ogóle nie było. No, skądinąd go nie widziała: gdy wyszła, Henryk w zasadzie kończył robotę. Ale przede wszystkim myślami była już w Lublinie. Chciała wyjechać jak najszybciej, co go nie dziwiło, choć z drugiej strony żałował, że nie pocelebrują sobie śniadania. W tygodniu albo się rano nie widzieli, albo pośpiesznie wrzucali w siebie byle co, żeby tylko nie wychodzić z domu na czczo.

– Weźmiesz samochód? – spytał.

– Nie. Mówili, że będzie ślisko. Wolę pociągiem.

Ucieszył się w duchu. Wprawdzie Żulczyk przy okazji naprawy rozrządu zrobił ogólny przegląd samochodu i podobno doprowadził auto do idealnego stanu, ale Henryk nie miał pełnego zaufania do jej umiejętności za kierownicą, zwłaszcza w zimowych warunkach, i zawsze trochę się niepokoił, gdy wyruszała w dłuższą trasę. Chętnie więc odwiózł ją po śniadaniu na dworzec, skąd następnego dnia wieczorem miał ją odebrać. Wracał do domu całkiem zadowolony. O napisie na płocie niemal zapomniał. Grunt że Justyna się nim nie przejęła.

Przez resztę dnia pracował. Zrobił ostatnią redakcję referatu i wysłał

mejlem do tłumaczki z angielskiego, dystygowanej pani Lilianny, z prośbą o sprawdzenie i ewentualną korektę językową. Przeczytał końcowy rozdział doktoratu Jaweckiego, szukając w nim słabych punktów, do których mógłby się przyczepić profesor Socha z PAN-u, jeden z recenzentów, który nie lubił Henryka. Na koniec przygotował się do zajęć na najbliższy tydzień i z miłym poczuciem sensownie spędzonego dnia poszedł do łóżka poczytać najnowszy kryminał Mankella.

Zanim zabrał się do lektury, zadzwonił jeszcze do Justyny. Wprawdzie zaraz po przyjeździe przesłała mu SMS-a, ale zawsze przedkładał rozmowę nad te krótkie, bezosobowe komunikaty, a poza tym, jeśli już nie leżała obok niego, to chciał chociaż usłyszeć jej głos. Odebrała szybko, niemal natychmiast. Ucieszył się, choć sama rozmowa nie przyniosła wielkich niespodzianek. W pociągu był tłok, ale udało jej się znaleźć miejsce w jedyńce. Matka oczywiście czuje się dobrze, ma nowego, młodszego o piętnaście lat adoratora, jej niegdysiejszego ucznia zresztą, i była ciekawa opinii Justyny. Teraz czekają na niego z kolacją. Krótko mówiąc, w Lublinie bez zmian.

Cieszył się, że mówi mu o tym wszystkim swoim normalnym głosem: pełnym energii, rozbawionym, z lekką nutką sarkazmu. Była w wyraźnie lepszym nastroju. Ze swojej strony nie miał nic ciekawego do powiedzenia – jego praca była mało anegdotyczna. Pożegnali się i teraz już mógł spokojnie wrócić do swojego ulubionego komisarza Wallandera.

Czytał do północy, a gdy poczuł, że oczy mu się zamykają, odłożył książkę na stolik. Rozstawał się z nią niechętnie, był ciekaw dalszego ciągu intrygi. Próbował walczyć z sennością, ale nie miał już sił. Zgasił lampkę i od razu zaczął zasypiać, gdy nagle zadzwonił telefon. Nie jego komórka, ale domowy, stojący na małym biurku Justyny bezprzewodowy siemens. Zdziwił się: teraz mało kto telefonował do nich na numer stacjonarny. Odrzucił kołdrę, zerwał się z łóżka i jeszcze nie całkiem oprzytomniały przebiegł przez pokój, plaskając bosymi stopami po podłodze. Przemknęło mu przez głowę, że może coś się stało w Lublinie, a Justyna nie mogła dodzwonić się na komórkę – czasami w nocy mieli problemy z zasięgiem.

To jednak nie była Justyna. Gdy podniósł słuchawkę i lekko zdyszonym głosem wyrzucił z siebie „Halo”, z drugiej strony odpowiedziała mu cisza. Ale niecałkowita: można było usłyszeć czyjś stłumiony oddech. Ktoś – z niewiadomych powodów uznał, że jest to mężczyzna – musiał stać gdzieś

na ulicy – w tle co chwila przejeżdżały samochody.

– Halo! – powtórzył.

Znowu cisza. I nieco głośniejszy oddech, jakby ktoś nabierał powietrza, aby coś powiedzieć, ale się w ostatniej chwili rozmyślił.

– Słucham – spróbował raz jeszcze.

To samo.

Odłożył więc słuchawkę i wrócił do łóżka. Był już całkowicie rozbudzony, serce waliło mu mocno, jakby przejście przez pokój kosztowało go mnóstwo wysiłku. Ledwo się jednak położył, telefon znowu się odezwał. Dopadł do aparatu w dwie sekundy.

– Czego chcesz?! – wrzasnął w słuchawkę.

Cisza. Oddech. Sapanie.

– Odpieprz się!

Wcisnął ze złością słuchawkę do ładowarki, zanurkował pod biurko i wyszarpnął kabel z gniazdka. Położył się, ale nie mógł już zasnąć. Znowu czuł znajomy niepokój. I choć złościło go, że w ten sposób dzwoniący najprawdopodobniej osiągnął swój cel, nic nie mógł na to poradzić. Wyrwanie z pierwszej fazy snu, ostry dzwonek, chrapliwy oddech w słuchawce – wszystko to sprawiło, że leżał teraz w ciemności, nasłuchując w napięciu, czy skądś nie dobiegnie jakiś inny ostrzegawczy odgłos – majdrowanie przy kłódce, chrobot koło drzwi, stukanie w okno. W domu panowała jednak kompletna cisza. Sąsiedzi już spali.

Nie miał wątpliwości, że nie była to pomyłka i że ten nocny telefon wiąże się bezpośrednio z wymalowanym napisem. Może nawet kryła się za tym ta sama osoba. Czy był to sąsiad? Niewykluczone. Być może nie chciał się odezwać nie tylko z chęci wywołania złowieszczonego nastroju, ale i z obawy przed rozpoznaniem. Ale raczej nie. Mógł to być jakiś jego uczynny kolega. Mało to miał kumpli w okolicy?

Wiercił się jeszcze w łóżku przez godzinę, przewracając się z boku na bok i próbując odegnać opadające go lęki. W końcu uznał się za pokonanego. Wstał, poszedł do łazienki i wziął z apteczki listek zostawionego przez Justynę estazolamu. „Teraz moja kolej” – pomyślał. Zażył pastylkę i zasnął.

Obudził się po dziesiątej, z ciężką głową i szumem w uszach. Nie był przyzwyczajony do środków nasennych. Przez watę w głowie uparcie

przebijało się wspomnienie nocnego telefonu. Czuł się rozbity, wstał z trudem. Śniadanie zjadł bez apetytu. Po drugiej kawie wróciło mu trochę energii, więc mimo pochmurnej pogody postanowił pójść na spacer. Maszerując szybkim krokiem przez las, stwierdził z niezadowoleniem, że rozgląda się na boki. Rozzłościł się. „Bez paranoi, człowieku – przywołał się do porządku. – Przestań się wszystkiego bać”.

Spacer, choć trudno było go uznać za trening przed wyjazdem na narty, dobrze mu zrobił. Poczul się orzeźwiony, mgła zalegająca mu głowę rozrzedziła się, nastrój się trochę poprawił.

Po przyjsciu do domu wypił jeszcze trzecią kawę i połączył się na Skypie z Agatą. Była radosna, opowiadała mu z entuzjazmem o włoskim skuterze, który dostała w prezencie od Nigela, aby łatwiej mogła się przebijać przez londyńskie korki. Słuchał jej podekscytowanego głosu z mieszanymi uczuciami. Z jednej strony cieszył go dobry humor córki, z drugiej – wiedział, że takie kosztowne podarunki, dobre samopoczucie i udany związek jeszcze głębiej zakorzeniają ją **tam**.

– Słucham? – spytał, bo nie dosłyszał jej pytania.

– Gdzie mama? – powtórzyła głośnie. Jej twarz na monitorze rozciągnęła się karykaturalnie, jakby odbita w krzywym zwierciadle. Widocznie przysunęła się bliżej sprzężonej z mikrofonem kamery.

– W Lublinie. Babcia znów gorzej się poczuła – odparł i przymrużył oko.

Uśmiechnęła się porozumiewawczo i nie pytała już więcej. Znała babcine zagrywki. Za jej plecami przemknął półnagi Nigel, ubrany w bokserki w barwach jakiegoś londyńskiego klubu. „No tak, niedziela, paraduje po mieszkaniu w gaciach” – pomyślał. Poczul przypływ irytacji. Wszystko, co przypominało mu o tym, że ten ryży Anglik sypia z jego córką, działało mu na nerwy. Nigel przystanął, nachylił do kamery i przyjaźnie mu pomachał. Nie miał wyjścia, pomachał mu również.

– No to pozdrów ją. Znaczą mamę – poprawiła się natychmiast Agata.

– A ty tego rudego z tyłu – odparł. „Ale ze mnie hipokryta” – pomyślał. I na tym zakończyli rozmowę. Nie wspomniał jej o tym, że ich konflikt z sąsiadami wszedł już w ostrzejszą fazę i że przy obecnych problemach wcześniejsze hałasowanie było niewinną zabawą.

Wstał od komputera i szedł do kuchni, bo po spacerze zaczął odczuwać głód. Zawahał się. Nie lubił przyrządzać posiłku wyłącznie dla siebie i w ogóle jeść samemu. Postanowił zadzwonić do Jaweckiego i zaprosić go

gdzieś na lunch. Będzie mógł mu przy okazji przekazać swoje uwagi do ostatniego rozdziału.

Miał obawy, czy nie jest za późno na takie nagłe zaproszenie, ale okazało się, że jego doktorant, który rok temu się rozwiódł, siedzi teraz sam w domu, nie bardzo wiedząc, co zrobić z wolnym dniem. Propozycję lunchu, choć było jeszcze wcześniej, przyjął z wyraźnym zadowoleniem. Henryk przypomniał sobie, jak asystentowi wyrwało się kiedyś w jego obecności: „Nienawidzę niedziel”. Poradził mu wtedy, żeby wziął więcej godzin ze studentami studiów zaocznych, uczącymi się w weekendy, nie pamiętał jednak, czy Jawecki skorzystał z jego rady.

Umówili się za czterdzieści minut (w niedzielę powinien zdążyć bez problemów) w czynnej przez cały tydzień stołówce profesorskiej, tam gdzie często jadał obiady z Witkiem. Miejsce wydawało mu się odpowiednie: spokojne, z dużymi odstępami między stolikami, tak że można było swobodnie rozmawiać, i położone mniej więcej w połowie drogi pomiędzy nimi (Jawecki mieszkał na Ursynowie). Nie chciał też peszyć nieśmiałego asystenta zaproszeniem do eleganckiej restauracji.

Wsiadł od razu do samochodu i dotarł na uniwersytet na dziesięć minut przed umówioną godziną. Wziął z bufetu kanapkę, aby oszukać głód, i usiadł w kącie pustawej sali. Zjadł szybko niezbyt świeżą bułkę z szynką, po czym wysłał do Justyny SMS-a z pytaniem o godzinę powrotu. Odpowiedź przyszła natychmiast. Miała być w Warszawie o piątej. Pomyślał, że po obiedzie z Jaweckim zostanie mu jeszcze dużo czasu, ale do Grabówka już nie będzie opłacało się wracać.

Doktorant zjawił się punktualnie i na widok siedzącego już przy stoliku Henryka wyraźnie się zmieszał. Ten szybko go uspokoił: „Nie, nie. Nie spóźnił się pan”. Razem podeszli do bufetu i zamówili po porcji pierogów z mięsem i szklance herbaty. Gdy stali przy ladzie, czekając na realizację zamówienia, które się przeciągało, Jawecki przekazał mu krążącą po instytucie plotkę, że Średnicki złożył dymisję i w ciągu najbliższych dni odejdzie. Henryk przyjął nowinę obojętnie. Prawdę mówiąc, niezbyt go to w tej chwili obchodziło. Chciał jak najszybciej wrócić do stolika – jego asystent miał prawie dwa metry wzrostu i rozmawiając z nim, trzeba było zadzierać głowę, co zawsze wprawiało Henryka w lekki dyskomfort. Na siedząco różnica wzrostu zniknęła. Poza tym nadal był bardzo głodny.

W okienku pojawiły się talerze z zamówionymi daniami i zarządzająca

stołówką pani Lucyna postawiła je na plastikowych tacach, sumitując się, że musieli czekać tak długo; w niedzielę zawsze miała problemy ze skompletowaniem pracowników. Henryk pokiwał ze zrozumieniem głową i wyciągnął pieniądze. Jawecki oczywiście zaprotestował, ale on postawił na swoim, w końcu zaproszenie wyszło z jego strony, a opłata za stołówkowy obiad nie była wygórowana. Wiedział też, że taki drobny gest sprawi asystentowi przyjemność.

Pierogi okazały się niezbyt smaczne (Henrykowi przyszło nawet do głowy, że w niedzielę odgrzewają niewykorzystane porcje z tygodnia), ale zjadł je błyskawicznie. Po skończonym posiłku, już przy herbacie, zaczęli omawiać szczegóły zbliżającej się obrony. Urządzili coś w rodzaju próby generalnej – Henryk wskazywał słabe punkty dysertacji i zadawał złośliwe, podchwytliwe pytania, a Jawecki próbował na nie odpowiadać. „Jesteśmy jak dwaj przestępcy uzgadniający zeznania przed przesłuchaniem u prokuratora” – przemknęło mu przez głowę. I rzeczywiście – profesor Socha, który mu kiedyś wytknął, że nie skończył studiów socjologicznych, miał w sobie coś z prokuratora.

Potem przeszli do spraw pozazawodowych. Henryk spytał Jaweckiego, czy wciąż nie lubi niedziel. Ten raptownie spochmurniał.

– Chyba jeszcze bardziej – odparł z goryczą w głosie.

Okazało się, że była żona utrudnia mu weekendowe spotkania z córką. Wykręca się, szuka wybiegów, zmienia w ostatniej chwili plany. Był już w tej sprawie w Stowarzyszeniu Praw Ojca i tam mu poradzili, żeby wniósł sprawę do sądu. Bał się jednak, że nic nie wskóra, a tylko pogorszy stosunki z eks-małżonką.

Henryk słuchał zwierzeń asystenta ze współczuciem, ale niewiele mógł mu w tej sprawie poradzić – to była dla niego zupełnie abstrakcyjna sytuacja. Próbował sobie wyobrazić, jak by się czuł, gdyby Justyna rozwiodła się z nim i nie pozwoliła spotykać z Agatą. Nie, to by było niemożliwe. Czułby się, jakby wyrwano mu kawałek ciała, pozbawiono ręki lub nogi. „Ludzie to mają prawdziwe problemy” – pomyślał. Przy niemożności widywania się z kochanym dzieckiem ich zatarg z sąsiadami wydawał się błahy.

Dopili herbatę i wstali od stolika. Pożegnali się przy Krakowskim Przedmieściu, po czym Jawecki poszedł na przystanek autobusowy. Henryk odprowadził go wzrokiem. Dryblas szedł przygarbiony, ze swoimi dwoma metrami wzrostu wyglądał jeszcze bardziej bezradnie. Henryk nie dziwił się

specjalnie, że żona się z nim rozwiodła – życie z człowiekiem o tak chwiejnych nastrojach mogło być gehenną – ale żeby tak się mścić? Pozbawiać go kontaktu z dzieckiem? Koszmar. „Niech już obroni tę swoją pracę, może choć trochę poprawi mu się nastrój” – pomyślał. Ruszył na parking pod kościołem Świętej Anny, gdzie zostawił samochód.

Tak jak obliczał, do przyjazdu Justyny zostały mu prawie trzy godziny. Postanowił spędzić je na jakimś filmie. Wybrał multipleks w położonych przy dworcu Złoty Tarasach. Bez problemu znalazł miejsce na podziemnym, słynnym z wysokich opłat parkingu. Dawno nie był w kinie, z Justyną co najwyżej oglądali płyty DVD dołączane do jej czasopism, i z początku oszołomiła go liczba oferowanych tytułów, tłum kłębiący się w holu przed kasami i głośno dudniąca muzyka. Zauważył też, że był tam najstarszy.

Po przestudiowaniu elektronicznej tabeli zorientował się, że o tej godzinie ma do wyboru dwa filmy, komedię i thriller, obydwa oczywiście amerykańskie. Ten pierwszy od razu sobie odpuścił. Współczesne komedie częściej go przygnębiały, niż rozweselały. Nawet nie same w sobie – dobijały go reakcje widowni. Gdy wybuchała głośnym śmiechem przy dowcipach, które on sam uważał za żenujące, czuł się wyobcowany i samotny. Thrillery zaś lubił, choć chyba nigdy nie udało mu się wyciągnąć na nie Justyny. Przemocy nie znosiła nawet na ekranie.

Kupił bilet w automacie i zajął miejsce z brzegu, w przedostatnim rzędzie. Sala była wypełniona mniej więcej w połowie. Po dwudziestu minutach reklam, podczas których zaczął się już niecierpliwie kręcić, rozpoczął się film, ale nie mógł się na nim skupić. Do mdlącego zapachu oleju, na którym smażono popcorn, był już jakoś przyzwyczajony, jednak nowa obyczajowość, jaka zrodziła się w kinach podczas jego kilkuletniej nieobecności, trochę go zaskoczyła. Wielu widzów rozmawiało ze sobą zupełnie bez zażenowania, jakby siedzieli w kawiarni. Jakies trzy dziewczyny w wieku Agaty kilka rzędów przed nim terkotały niemal bez przerwy. Co chwila z różnych punktów sali dochodziły głośno wymieniane komentarze i wybuchy śmiechu. Dzwoniły komórki, a ich właściciele odbierali je i spokojnie konwersowali, nie starając się nawet ściszyć głosu. Najbardziej go jednak dziwiło to, że nikomu, oprócz niego, zdawało się to nie przeszkadzać. Już wcześniej, bywając w kinie, spotykał się z takimi zachowaniami, ale nie na masową skalę. To były odosobnione przypadki,

a poza tym zawsze na sali znalazł się ktoś, kto przywoływał niesfornego widza do porządku. Teraz wszyscy najwyraźniej uznali, że ten styl jest jak najbardziej *cool*, i nikogo to nie raziło.

Poczuł się przez chwilę jak stary dziad, który ma wszystko wszystkim za złe. Nie chciał wchodzić w tę rolę. Próbował nie zwracać uwagi na panujące na sali zwyczaje, ale gdy siedzący przed nim chłopak w kapturze wyjął iPhone'a i zaczął esemesować, błyskając mu po oczach szerokim wyświetlaczem, nie wytrzymał. Pochylił się do przodu i rzucił półgłosem:

– Przepraszam. Może pan to wyłączyć? Daje po oczach jak latarka.

Chłopak obejrzał się za siebie. Miał może szesnaście lat i wydawał się szczerze zaskoczony zwróconą mu uwagą. Nic nie odpowiedział i nie wyłączył telefonu, ale przynajmniej przechylił go pod takim kątem, że nie oślepiał już Henryka.

W tych warunkach z trudem nadążał za biegiem akcji, choć nie była szczególnie skomplikowana. Ot, tajemniczy terroryści wysadzili w powietrze obiekty przemysłowe w Stanach i Hongkongu, a oficer chińskiej armii sprzymierzył się w walce z nimi z genialnym amerykańskim hakerem. Szum panujący na sali ciągle go jednak rozpraszał. Przypomniawszy sobie, jak Agata podczas swojej wizyty wymieniła kino jako jedno z tych miejsc, które obrzydziły jej życie w Polsce. Wiedziała, co mówi, chodziła do multipleksów znacznie częściej niż on. Teraz ją rozumiał. Co po automatach z biletami, szerokim ekranie, ostrym obrazie i komfortowych fotelach? To tylko oprawa, zewnętrzna forma. Liczy się ludzka treść, która się w nią wlewa. Czy nie podobnie było z całą Polską?

W pewnym momencie miał już zamiar wstać i wyjść, ale pożałował dwudziestu pięciu złotych wydanych na bilet. Nie uśmiechała mu się też perspektywa długotrwałego wystawiania na peronie. Został więc do końca.

Gdy na sali zapaliły się światła i podnosił się z fotela, napotkał wzrok nastolatka, któremu zwrócił uwagę. Nie było to przyjazne spojrzenie: chłopak przypatrywał mu się z namysłem, jakby się zastanawiał, czy mu czegoś nieprzyjemnego nie powiedzieć. W końcu jednak zrezygnował i odwrócił głowę. Może wiek Henryka go powstrzymał.

Tak czy inaczej, poczuł raptowny przypływ niepokoju, podobny do tego w nocy. Nieokreślony z początku lęk nabrał w końcu konkretnego kształtu. Zaczął sobie wyobrażać, co zastaną z Justyną po powrocie do Grabówka. Czy podczas jego kilkugodzinnej nieobecności nic tam się nie stało? Nie

pomazano im znowu płotu albo nie wymyślono jeszcze czegoś gorszego? Pusty dom wydał mu się nagle pozostawiony samemu sobie, opuszczony, bezbronny.

Dręczony ponurymi wizjami (widoczny z daleka, snujący się po niebie dym, wozy straży pożarnej stojące pod dopalającą się połówką bliźniaka), zjechał ruchomymi schodami na parter galerii, gdzie znajdował się samoobsługowy sklep spożywczy. Zrobił zakupy na kolację i dopiero ta prozaiczna, ale wymagająca pewnego skupienia uwagi czynność pomogła mu oderwać się od katastroficznych myśli. Gdy dotarł na dworzec, był już spokojniejszy. „Jakie podpalenie, człowieku? – strofował sam siebie. – Przecież nie narażaliby na pożar swojej części domu!”

Pociąg spóźnił się piętnaście minut. Tej zimy była to właściwie norma. Przez ten kwadrans chodził z jednego końca peronu na drugi, próbując się rozgrzać, ale niewiele to pomagało. Panująca na dole chłodna wilgoć przenikała przez ubranie. Wreszcie pociąg wtoczył się, sapiąc i dysząc, i po chwili zatrzymał się z przenikliwym zgrzytem hamulców; do Lublina nadal jeździły stare lokomotywy. W jednym z pierwszych wagonów Henryk dostrzegł stojącą w oknie korytarza Justynę.

Ten widok zawsze poruszał w nim czułe struny. Na początku ich znajomości, jeszcze podczas studiów, Justyna często podróżowała do rodziców, bardziej zresztą ze względu na ojca niż matkę, i choć właściwie nie było to konieczne, to utarło się między nimi, że zawsze ją z niedawno zbudowanego Centralnego odbierał. Wokół tego zwyczaju powstała wówczas emocjonalna otoczka, składająca się z tęsknoty i radości, niecierpliwości i ulgi, która w mocno wprawdzie zwietrzałej formie przetrwała do dzisiaj. Uczucia, które mu wówczas towarzyszyły, ulotniły się, ale obraz Justyny w ramie wolno przesuwającego się okna na powrót przywoływał je i ożywiał, sprawiał, że robiło mu się cieplej koło serca. „Gdyby częściej podróżowała pociągami, nasz związek byłby mocniejszy” – pomyślał. Pomachał jej ręką. Zauważyła go, uniosła dłoń i uśmiechnęła się porozumiewawczo. Kiedyś mu się przyznała, że odbiera powroty do Warszawy tak samo jak on.

Gdy po chwili pojawiła się w drzwiach wagonu, przecisnął się przez tłum, pomógł zejść po schodkach i przyciągnął ją do siebie. Jej włosy pachniały aloesem, policzki miała ciepłe, rozgrzane podróżą. Gdy oderwali się od siebie, ujął jej niewielką, sportową torbę i ruchomymi schodami, które akurat działały, wjechali na górę. Samochód zostawił na parkingu Żółtych Tarasów,

nie mieli daleko, tyle że musiał zapłacić ponad dwadzieścia złotych.

Podczas jazdy powrotnej Justyna była początkowo ożywiona. Z humorem opowiadała o matce i jej ostatnim wielbicielu, który nawet jej się oświadczył, ale został odrzucony; teściowa wciąż ceniła sobie męskie towarzystwo, ale po dwukrotnym owdowieniu nie chciała formalizować swoich związków. „Może i dobrze – pomyślał – chłop ma szansę pożyć dłużej”. Jednak im bliżej było domu, tym bardziej cichła i zamykała się w sobie. Żeby podtrzymać gasnącą rozmowę, opowiedział jej o wczorajszej rozmowie z Agatą, ale słuchała nieuważnie. Z powrotem zaczynała się gryźć. Gdy mówił o rodzinnych kłopotach swojego asystenta, wydawała się już zupełnie nieobecna, choć takie historie zawsze ją interesowały – zawodowo i prywatnie. Przerwał więc i resztę drogi przebyli w milczeniu, tylko przy akompaniamencie muzyki z radia. Żeby zrobić jej przyjemność, włączył RMF Classic. O nocnych telefonach oczywiście nie wspomniał, choć zdawał sobie sprawę, że wcześniej czy później trzeba będzie z powrotem podłączyć aparat.

Gdy podjechali pod dom, omiół wzrokiem płot. Był czysty, żadnych nowych haseł. U sąsiadów paliły się światła, ale nie wyglądało na to, żeby odbywała się jakaś impreza. Żadne obce samochody nie stały zresztą na ulicy. Wokół panowała cisza.

Zaraz po wejściu Justyna poszła na górę wziąć prysznic, a on zabrał się do robienia kolacji. Ugotował makaron, rozrobił na patelni sos pomidorowo-czosnkowy. Gdy przebrana w szlafrok zeszła na dół po piętnastu minutach, proste spaghetti było już gotowe. Zapalił świeczkę zapachową, otworzył pinot noir kupione po promocyjnej cenie w Żółtych Tarasach i usiedli do stołu.

Trochę odtajała, rozchmurzyła się. Może to ta zrobiona przez niego kolacja? W każdym razie wróciła jej ochota do rozmowy. Zastanawiała się właśnie, czy jazda Agaty skuterem po ulicach Londynu będzie bezpieczna, gdy nagle od strony kuchni dobiegł ich głośny trzask rozbijanej szyby. Henryk odwrócił się błyskawicznie i zobaczył okrągły biały przedmiot toczący się jakby w zwolnionym tempie po kuchennej posadzce. W pierwszej chwili wziął go za duży, oblepiony śniegiem kawał lodu, ale szybko uprzytomnił sobie, że to niemożliwe: najtwardszy lód nie zdołałby przebić podwójnej szyby. Biała kula przeturlała się przez kuchnię, nim znieruchomiała po uderzeniu o ścianę. Zapadła cisza, w której tym donośniej

zabrzmiał dochodzący od strony rozbitego okna ryk silnika ruszającego raptownie samochodu. Henryk zerwał się od stołu, popędził do drzwi i wypadł na zewnątrz. Gdy wybiegł przez furtkę na uliczkę, zobaczył już tylko tylne światła auta skręcającego w Wyszyńskiego. Nie miał szans dogonić samochodu, bo zanimby uruchomił toyotę i otworzył bramę, tamten dawno by zniknął. Poczł dreszcz na plecach. Nie był pewien, czy od panującego na dworze zimna, czy od nieoczekiwanego zastrzyku adrenaliny. Wszystko jedno. Szybkim krokiem wrócił do domu i zamknął za sobą drzwi.

Justyna stała na środku kuchni z kawałkiem pogniecionego papieru w ręku. Gdy podszedł, podała mu go bez słowa. Była to wilgotna, umazana błotem duża kartka, na której ktoś napisał czarnym flamastrem: „KAPUSIE WON!”. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w koślawe litery. Kostka brukowa, w którą zawinięto ten krótki list, leżała na blacie kuchni, a obok wiła się wędkarska żyłka służąca do jego obwiązania. Od rozbitego okna ciągnął chłód.

– To samo, co na płocie – mruknął. – Nie są oryginalni.

– I co zrobimy? – spytała. Miała bladą, ściągniętą twarz.

Zastanawiał się chwilę.

– Najpierw opatrzymy to okno, a potem pójdę na policję – odparł. Sam się zdziwił kategorycznością tego postanowienia.

Popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

– Naprawdę?

Przytaknął.

– No przecież jestem „kapusiem” – odparł z cierpkim humorem.

Nic już nie powiedziała. Podszedł bliżej okna. Kostka wybiła w nim dziurę, przez którą, wraz z chłodem, wpadały teraz płatki śniegu, topiąc się w znajdującym się niżej zlewie. Justyna stanęła za jego plecami. Oboje w milczeniu wpatrywali się w straszący ostrymi krawędziami otwór.

Podzielili się pracą. Ona poszła na górę włożyć coś cieplejszego, wróciła, wzięła zmiotkę i zaczęła zgarniać na szufelkę rozsypane wokół kawałki szkła. On poszedł do garażu, skąd wrócił, niosąc jedną z trzech płyt kartonowo-gipsowych, które szczęśliwie pozostały po niedawnym remoncie. Udało mu się też znaleźć mocną taśmę klejącą. Z szuflady w kuchni wyjął jeszcze duże, krawieckie nożyczki i sprzęt miał skompletowany. Już miał wyjść na dwór, gdy się zawahał, odstawił płytę, wyciągnął z kieszeni komórkę i pstryknął dwa zdjęcia. Znając podejrzliwość policji – jej patronem

mógłby być niewierny Tomasz – chciał mieć w ręku coś w rodzaju dowodu. Potem ubrał się, wyszedł na dwór i jeszcze raz, cofnąwszy się kilka kroków w głąb zaśnieżonego ogrodu, sfotografował okno od zewnątrz.

Teraz mógł się już zabrać do pracy. Przyłożył płytę do okiennicy i próbował przykleić ją taśmą, ale okazało się to trudniejsze, niż zakładał. Mocno wiało i wiatr traktował ją jak żagiel, wyszarpywał z rąk. Taśma była twarda, jakby zeszywniała, i niechętnie poddawała się nożyczkom, którymi usiłował ciąć ją na kawałki. „Szkoda, że nie ma młodego Kulczyka – pomyślał. – Ten by sobie od razu poradził”.

Przez okno widział stojącą z komórką przy uchu, rzucającą mu krótkie spojrzenia Justynę, i świadomość, że obserwuje jego groteskowe wysiłki, dodatkowo go krępowała. Gdyby nakręciła z tego film, tak jak kiedyś nad morzem, gdy próbował rozstawić staroświecki, drewniany leżak, byłby murowany hit na YouTube. Nie poddawał się jednak i po dziesięciu minutach płyta była przymocowana. Wyglądała jak opatrunek na zranionym budynku. Miał nadzieję, że wiatr jej w nocy nie zerwie i gdy rano zejda do kuchni, nie będzie wyziębiona jak kostnica.

Zmęczony, przemarznięty od podmuchów wiatru, czując pot spływający mu cienką strużką po plecach, wstąpił jeszcze do domu. Usłyszał, jak żona umawia się na następny dzień ze szklarzem i kończy rozmowę. Wrzucił kamień wraz z żyłką do plastikowej torby, wsunął też do niej pogniecioną kartkę papieru i pomachawszy żonie na pożegnanie, wyszedł do samochodu.

Jednym z dyżurujących policjantów był poznany wcześniej komisarz Muszyński. Jego obecność zaskoczyła go; nie spodziewał się, że oficer tej rangi będzie siedział w niedzielny wieczór na komendzie. Nie wnikał jednak w przyczyny – może był pracoholikiem albo cierpieli na braki kadrowe? – ważne, że nie musiał w tej sytuacji zaczynać wszystkiego od zera.

Na jego widok Muszyński odsunął od siebie papierową teczkę z dokumentami, które właśnie studiował, i spojrzał na niego pytająco. Henryk wyjaśnił mu, że chciałby złożyć zeznanie. „W tej samej sprawie?”, spytał niechętnie policjant. „Nie – uspokoił go – ale z nią związanej”. Muszyński wymienił spojrzenia z siedzącym przy sąsiednim biurku, zajętym właśnie pisaniem na starym komputerze policjantem i gestem wskazał Henrykowi krzesło.

W małym, skąpo umeblowanym pokoju było bardzo gorąco, zdjął więc kurtkę i bez pytania powiesił ją na stojącym w kącie wieszaku. Potem usiadł naprzeciwko Muszyńskiego i opowiedział mu, jak od czasu doniesienia na sąsiada są nękani w nocy głuchymi telefonami i że ktoś wymalował im na płocie obelżywe wyzwisko. Drugi z policjantów przerwał pisanie i przysłuchiwał mu się z zaciekawieniem. Muszyński wydawał się najbardziej zainteresowany nocnymi telefonami. W pewnym momencie przerwał Henrykowi.

– Jak często? – spytał.

– Co jak często? – nie zrozumiał Henryk.

– Jak często dzwoniono?

– Dwa razy – przyznał wstydliwie. Nie była to imponująca liczba, dodał więc szybko: – Potem wyłączyłem telefon.

– I co? Delikwent się odezwał?

Henryk się zachnął.

– Nie – odparł, hamując irytację. – Słysząc było tylko oddech.

Muszyński popatrzył na niego w milczeniu.

– Trudno to zaklasyfikować jako groźbę karalną – mruknął.

Henryk wzruszył ramionami.

– Dla mnie jest to zastraszanie – odparł z naciskiem. – Proszę pamiętać o tym napisie. Ale to jeszcze nie wszystko. To był tylko początek.

Sięgnął do opartej o nogę krzesła torby, wydobył z niej szary brukowiec i ostrożnie położył na biurku. Do kompletu dołączył żyłkę i kartkę.

– A to nam wrzucili pół godziny temu przez okno. Oczywiście po drodze je rozbijając.

Policjant zerknął na szarą kostkę, jakby ważył ją w myślach.

– Ktoś miał mocny rzut – skomentował. – Państwo macie oczywiście podwójne szyby?

Henryk potwierdził.

– Gdyby akurat żona weszła wtedy do kuchni, to nie chciałbym myśleć, co by było.

Choć właściwie on też mógł po coś tam zajrzeć.

Muszyński kiwnął głową, jakby się z nim zgadzał, po czym wziął kartkę do ręki i rzucił na nią przelotne spojrzenie. Miał nieodgadniony wyraz twarzy. „Chyba nie sądzi, że sam to napisałem” – pomyślał Henryk. Przypomniał sobie o zdjęciach. Sięgnął po komórkę i podsunął mu pod nos wyświetlacz.

– Tak to wygląda.

Policjant odłożył kartkę na biurko, wyjął telefon z ręki Henryka i przybliżył sobie do oczu.

– No tak – stwierdził. I nagle jakby wstąpiła w niego energia. Oddał aparat, szybko złożył leżące na biurku dokumenty, spakował je do teczki, zakręcił się na krześle i włączył drzemiący dotąd komputer. Potem poprosił Henryka o dowód osobisty i zaczął spisywać zeznanie. Wyglądało na to, że tym razem nie zamierza sprawy bagatelizować. W serce Henryka wstąpiła otucha. „Może nie wszyscy gliniarze olewają swoją pracę” – pomyślał.

Gdy ponownie opowiedział, jak jedli z żoną kolację i kamień wpadł przez okno, Muszyński przerwał pisanie i popatrzył na niego badawczo.

– Widział pan może, kto to zrobił?

Henryk pokręcił głową.

– Nie – wyjaśnił. – Jak wybiegłem przed dom, zobaczyłem tylko tył odjeżdżającego samochodu.

– Zauważył pan może tablicę rejestracyjną?

– Nie, no skąd. Za daleko było.

– A marka? Rozpoznałby pan?

Henryk już tylko wzruszył ramionami. W tym momencie odezwał się stojący na sąsiednim biurku radiotelefon i ktoś przez głośne trzaski zameldował o bójce pod całodobowym sklepem monopolowym. Drugi policjant, który cały czas przysłuchiwał się opowieści Henryka, wstał i skinąwszy głową Muszyńskiemu, szybko wyszedł z pokoju. W drzwiach mocno wcisnął czapkę na głowę.

Muszyński odprowadził go wzrokiem i odwrócił się do Henryka.

– Macie państwo jakieś podejrzenia, kto państwu robi te wszystkie psikusy?

Henryk popatrzył na niego ze zdumieniem. Jego wcześniejszy optymizm się ulotnił. „Czy on się naprawdę nie domyśla, czy tylko udaje?”

– Psikusy? – powtórzył z sarkazmem w głosie. – Łagodnie pan to nazywa.

Policjant nie odpowiedział. Patrzył dalej pytającym, nagłym wzrokiem.

Henryk wzruszył ramionami.

– Oczywiście, że mamy. To chyba jasne. – Opowiedział mu o zajściu pod domem, gdy tamci rzucili się na nich z pięściami. Miał nadzieję, że nie pozostawi to żadnych wątpliwości.

– To było tego samego dnia, kiedy go przesłuchiwaście – zakończył. – I też nam wtedy nawymyślali od kapusiów. To chyba składa się w całość,

prawda? Wiadomo, że to oni.

Policjant pokręcił głową.

– Aż tacy głupi nie są.

– Nie twierdę, że osobiście – zgodził się kompromisowo Henryk. – Ale co to dla nich za problem poprosić o pomoc znajomych? Przecież są stąd, wszystkich tu znają.

Muszyński zastanawiał się przez chwilę.

– A z nikim innym państwo nie zadarli? – spytał, dobierając starannie słowa.

– Nie – pokręcił głową Henryk. W tym momencie fala złości, która w nim powoli wzbierała, wylała się na zewnątrz. – A zadarliśmy, jak pan to łaskawie określił, właśnie dlatego, że moja żona zgłosiła do was przestępstwo. Jak się zresztą okazało, zupełnie niepotrzebnie. No i teraz się mszczą.

Policjant kilkakrotnie pokiwał w milczeniu głową.

– Tak, na to wygląda – przyznał niechętnie. Po czym dodał: – Sprawdzimy to.

– Ale co sprawdzicie? Co tu jest jeszcze do sprawdzania?! – Henryk podniósł głos.

Policjant popatrzył na niego jak na rozkapryszone dziecko.

– A choćby billingi telefoniczne – odparł flegmatycznie.

Henryk zamilkł. O tym nie pomyślał. W następnym momencie przyszło mu do głowy, że niewiele to da, bo tamten najprawdopodobniej używał telefonu na kartę, ale nic nie powiedział. Tymczasem Muszyński włączył drukarkę, jakby dając znak, że zeznanie zostało zakończone. Był to stary, igłowy model, pracujący z piskliwym rżeniem, które uniemożliwiało jakąkolwiek rozmowę. Henryk rozejrzał się po pokoju – był tu pierwszy raz, a nie miał w tym momencie ciekawszego zajęcia. Wnętrze tchnęło smutkiem i zaniedbaniem: przerdzewiałe kraty w oknach, doniczka z palemką na parapecie, trzy stłoczone biurka pośrodku, żelazna szafa, paździerzowy stolik ze stojącym na nim dzbankiem elektrycznym i kilkoma kubkami. Obok, na mniejszym stoliku, plastikowy alkomat z przybrudzoną rurką. Wszystko, oprócz dzbanka i komputerów na biurkach, wydawało się pochodzić z głębokiego PRL-u. „Żadna przyjemność pracować w takim pomieszczeniu” – ocenił.

Drukarka wciąż rżęła, przesuając się mozolnie po papierze. Lewo,

prawo, lewo, prawo. „Mogliby używać jej jako narzędzia tortur – pomyślał Henryk. – Przestępcy wszystko by wygadali, byleby tylko ją wyłączyć. Swoją drogą, jak ci biedni gliniarze mogą przy niej siedzieć?”

Na szczęście wkrębowujący się w uszy wizg nie trwał już długo. Muszyński wyciągnął z drukarki gęsto zadrukowaną stronę i podsunął Henrykowi do podpisu, a on szybko przeczytał tekst. Musiał przyznać, że jego zeznanie zostało spisane wiernie, w sposób oddający istotę sprawy i zaskakująco dobrą polszczyzną. Policjant wciąż stanowił dla niego zagadkę. Raz wydawał się kompletnym tępakiem, a innym razem dawał dowody sporej inteligencji. Może na tym polegała jego zawodowa taktyka?

Nie zgłaszając żadnych zastrzeżeń, podpisał egzemplarz protokołu. Muszyński wsunął go starannie do papierowej teczki z tajemniczymi cyframi i literami na wierzchu. A więc założył sprawę.

– A z Edkiem przeprowadzę rozmowę ostrzegawczą – odezwał się, kładąc teczkę na stosiku identycznych aktówek. – Trochę go postraszę.

Henryk zeszywniał. „Z Edkiem?” No, ciekawe.

– To pana kolega? – spytał złośliwie.

Policjant się zmieszał.

– Za dużo powiedziane – odparł wymijająco, nie patrząc na Henryka. – Ale znam go. Tutaj, jak sam pan profesor zauważył, wszyscy się znają.

„Pan profesor”. Skąd wiedział? Ach, przecież podał swoje miejsce pracy na początku zeznania. Po co jednak użył jego tytułu? Aby mu się przypochlebić? Czy też była w tym ukryta głęboko ironia? Nie miał pewności.

Tymczasem policjant odsunął szufladę, wyjął z niej wizytówkę i przesunął po blacie biurka w stronę Henryka.

– Jeśli jeszcze coś podobnego się zdarzy, naturalnie, proszę o kontakt.

Henryk wziął bilecik i wsunął do kieszeni marynarki.

– Naturalnie – powtórzył sarkastycznie. Wstał, podszedł do wieszaka i zaczął się ubierać. – Nie dziwię się teraz, że ludzie nie chcą z wami współpracować.

Wychodząc, usłyszał jeszcze za sobą lekko kpiący głos Muszyńskiego:

– Mamy swoje procedury, panie profesorze.

Trzasnęła głośno drzwiami; policjant siedzący w dyżurce przy wejściu na posterunek popatrzył na niego z naganą, ale nic nie powiedział. Wyszedł na zewnątrz. Po pobycie w nagrzanym wnętrzu wydawało mu się teraz, że jest

bardzo zimno.

Na Piłsudskiego było pusto. Po ulicy krążył wiatr, podrywając w górę tumany śniegu i wyganiając do domów nielicznych przechodniów. Tylko pod monopolowym stała grupka pijaków, tłumacząc coś, jeden przez drugiego, sierżantowi, którego Henryk widział na posterunku. „Bez kolejki wszedł! Bez kolejki!” – usłyszał czyjś oburzony głos. Skręcił w Oгородową, ulicę, którą szedł niedawno, odprowadzając Agatę na przystanek. Wiodła niemal prosto do domu.

„Po co właściwie do nich poszedłem? – zastanawiał się, jadąc powoli po zaśnieżonej nawierzchni. – Czy naprawdę wierzyłem, że to coś da, czy też wystraszyłem się i chciałem poprosić policję o coś w rodzaju ochrony? Nie, nie. – Pokręcił głową. – To nie tak. Zrobiłem to dla Justyny”. To był taki gest solidarności – znak, że są razem, grają w jednej drużynie i postępują jednomyślnie. Ale czy coś z tego mogło dalej wyniknąć? Zważywszy, że Muszyński jest znajomkiem sąsiada, raczej niewiele. „Cholera – pomyślał – przecież to jedna wielka rodzina. Najpierw ta kobieta z opieki społecznej – jak jej było? Chyba Wandzia. Teraz ten. Zwarty klan. Choć może, jeśli go zna, to przemówi mu do rozumu, trochę postraszy. A dobrze, strasz”.

Po kilku minutach był już pod domem. Otworzył bramę i wjechał na podjazd. Gipsowa płyta białała w ciemnościach. Podeszedł do niej i ująwszy delikatnie w palce, sprawdził, czy się trzyma. Nawet nie drgnęła. Wiatr nie powinien jej w nocy zerwać.

Wszedł przez garaż do kuchni. Okno od środka wyglądało upiornie, w bieli z drugiej strony było coś śmiertelnego. Nie mógł znaleźć lepszego słowa, ale kojarzyła mu się z prześcieradłem na łóżku chorego. Na środku szyby szczyrzyła się dziura, ale przynajmniej od niej nie ciągnęło. W kuchni było całkiem ciepło.

Dopiero po chwili ją zauważył. Siedziała na kanapie, nieruchoma jak pomnik. Na stoliku stał kieliszek i opróżniona do połowy butelka wina. Telewizor był otwarty, ale z wyłączoną fonią. Na ekranie migąły obrazki z jakiegoś azjatyckiego kraju. Japonia? Korea? Nie mógł zgadnąć. Rozebrał się i usiadł koło niej. Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Nie spytała o wizytę na posterunku, jakby uważała, że i tak nie miała znaczenia. Zamiast tego opróżniła do końca kieliszek i zaraz naląła sobie kolejny. Zerknął na nią

z ukosa. Nie zdarzało jej się pić samej.

– Słuchaj, Henryk – odezwała się po chwili. – Myślałam o tym w Lublinie, już przed tym. – Wskazała za siebie, na okno w kuchni. – A teraz myślę jeszcze bardziej...

– O czym? – spytał, choć chyba wiedział. Rozmawiali już o tym, w znacznie mniej poważnej sytuacji.

Nie mylił się.

– Że ja już nie chcę tu mieszkać – odparła. – Nie chcę tu zostać. Jeśli ty chcesz, proszę bardzo, ale ja się stąd wyprowadzam. Gdziekolwiek. Nie chcę mieszkać obok tych ludzi. Niech sobie chleją, wrzeszczą, biją się, gwałcą. Ale już nie przy mnie.

Milczał. Co miał powiedzieć? Że życiowe decyzje podejmuje się na trzeźwo, jak mu zawsze powtarzała? Wiedział jednak, że dojrzała do niej już wcześniej, bez alkoholu.

– Tego skurwysyna wcześniej czy później złapią – ciągnęła dalej. – Zrobią chłopakowi testy i wszystko wyjdzie. Ja już do tego nie będę potrzebna, zrobiłam swoje. A teraz mogę się już wynieść.

Nadal milczał. Popatrzył przez okno tarasu na ciemny ogród. W kącie białe pnie brzoź. Poczł naraz ogromne zmęczenie.

– Dobrze – usłyszał po chwili swój głos.

Odwróciła głowę i przyjrzała mu się uważnie. Wydawała się zaskoczona.

– Co powiedziałeś? – spytała, jakby chcąc się upewnić, czy się nie przesłyszała.

– Dobrze – powtórzył z westchnieniem. – Wyprowadzimy się stąd.

Twarz jej się rozjaśniła, ustąpiło z niej napięcie. Pochyliła się ku niemu i pocałowała go w policzek. Poczł kwaskowaty zapach wina.

– Naprawdę? – spytała, jakby wciąż nie mogła uwierzyć.

Skinął głową.

– Nie ma chyba innego wyjścia.

I nagle poczł się tak, jakby miał się zaraz rozpłakać. Wstał szybko i ukrył się w toalecie. Tej, której Robert używał podczas remontu jako swojej garderoby. Co nie miało już teraz żadnego znaczenia.

„Wygrali” – to słowo uporczywie tłukło mu się po głowie, gdy przewracał się z boku na bok, nie mogąc usnąć. Wygrali. Wykurzyli nas. Może od

początku im o to chodziło? Może chcieli się nas pozbyć, żebyśmy zrobili miejsce dla jakichś ich krewniaków czy pociotków?

„Nie, to jednak mało prawdopodobne, przeceniasz ich. Są zbyt prymitywni, niezdolni do takiej perfidnej, wyrachowanej gry. I pewnych rzeczy nie mogli przecież zaplanować ani nawet przewidzieć. Na przykład tego, że Justyna podsłucha brzydkie zabawy tatusia w łazience”.

Spojrzał na leżącą obok żonę. Spała. Ukołysał ją alkohol i poczucie ulgi. Oddychała równo, twarz miała zupełnie spokojną.

On nie był spokojny. Im dłużej myślał o zarządzanej przez nią wyprowadzce, tym większe odczuwał przygnębienie. Żałował teraz, że się na nią zgodził. Świadomość, że będzie musiał zrezygnować z domu, w którym czuł się wreszcie u siebie i w którym miał zamiar mieszkać aż do śmierci, napawała go przerażeniem. Te cztery ściany to było święte miejsce, w którym ogniskowało się jego życie, a kawałek ziemi obok domu uważał za swój prywatny łącznik z kosmosem. Tak to nazywał, choć nie lubił egzaltacji i starał się jej unikać. Ale co poradzić? Tak to właśnie odbierał, zwłaszcza latem, gdy stojąc wieczorem na środku ogródka, zadzierał głowę i patrzył na usiane gwiazdami niebo. Jeszcze tego domu nie opuścił, a już czuł się wrzucony w czarną dziurę, zawieszony w niekończącej się, nieprzytulnej przestrzeni. Nagle przypomnieli mu się bezdomni, których mijał na Miodowej w drodze na uniwersytet. Jakim koszmarem musiało być ich życie!

Przywołał się do porządku. „Co to w ogóle za porównanie? – pomyślał z rozdrażnieniem. – Odbija ci już, człowieku. Gubisz proporcje. Jesteś przecież w luksusowej sytuacji. Jakiś dom będziesz miał”.

Wcale go to jednak nie pocieszało, gdyż pomijając lęki, które wahał się nazywać metafizycznymi, przerażały go też sprawy bardziej prozaiczne, które wiązały się z wyprowadzką. Te wszystkie biurokratyczne formalności, te wizyty po urzędach, ta cała mitręga, przez którą trzeba będzie teraz przejść. W końcu nie tylko musieli sprzedać dom, lecz także znaleźć coś nowego dla siebie. Ani jedna, ani druga część operacji nie wydawały mu się łatwe. Nie lubił jeżdżenia i oglądania domów, bo choć wiele z nich wydawało mu się wartych kupienia, to w każdym podejrzewał istnienie ukrytego feleru, który mógł wyjść na jaw później i sprawić, że będą żalowali zakupu. Nie lubił targowania się, bo zawsze bał się, że albo przesadzi z ceną i odstraszy kupca, albo sprzeda poniżej wartości i wyjdzie na frajera. Nie znosił przeglądania ksiąg wieczystych i aktów własności, bojąc się, że przegapi

w nich jakiś kruczek i w rezultacie padną ofiarą oszustwa. Nie nadawał się do tego.

Popatrzył na leżącą obok żonę z nagłą niechęcią. Sprytnie się urządziła. Wygodnie. Zawsze to ona dostarczała pierwszego impulsu do zasadniczych zmian w ich życiu, a potem szybko przekazywała mu pałeczkę. W końcu był mężczyzną, nie? A to do mężczyzny należy załatwianie ważnych spraw. Rzucała hasło, a potem dyskretnie się wycofywała, ale zawsze robiła to w momencie, gdy został przekroczony jakiś punkt krytyczny i nie było już odwrotu. Co miał w tej sytuacji robić? Ciągnął sprawę dalej, a potem się dziwił, że to, co wydawało mu się nie do pokonania, okazywało się całkiem łatwe.

Zaraz, zaraz... Właśnie! Czy nie tak wyobrażał sobie to całe **załatwianie**, gdy zaczęli rozmawiać o wyprowadzce z Warszawy? Czy nie dlatego tak długo zwlekał? A przecież jak doszło co do czego, okazał się całkiem operatywny i zdecydowany. Żadnej rozlazłości, żadnych wahań. Gdy Górzeński pokazywał im dom, od razu wiedział: to jest to. Późniejsze formalności załatwiał tak sprawnie, jakby nigdy nic innego nie robił. „Więc nie bój się, poradzisz sobie. Zawsze sobie radziłeś”.

„Nie, nie – to nie to samo”. Wtedy wierzył, że zastępując mieszkanie w bloku domem pod Warszawą, zmienia gorsze na lepsze. Teraz, wymieniając wymarzony dom na inny, będzie miał poczucie klęski i degradacji. Poza tym to, że przeszedł tamtą drogę gładko, nie znaczy jeszcze, że teraz też tak będzie. Był młodszy, silniejszy.

„No, już nie przesadzaj. Nie jesteś jeszcze taki stary”. Pięćdziesiątka, nawet z hakiem – co to za wiek? Siedemdziesięciolatkowie pokonują oceany. I ten Grabówek to nie jest żaden cud świata, zwłaszcza z tymi sąsiadami. Dużo jest fajnych domów. Może uda im się znaleźć taki, w którym znowu poczują się u siebie. A w ogóle to tylko u Polsce przywiązuje się taką wagę do mieszkania. „Przypomnij sobie tego profesora socjologii z Phoenix”. Na kongresie w Paryżu powiedział mu, że przeprowadzał się siedemnaście razy – pewno już zresztą nie ma go w Phoenix. Łatwość, z jaką porzucał dotychczasowe domy i przenosił się do nowych, wprawiała Henryka w podziw. Może właśnie tak trzeba?

„Nie, nie. To nie dla mnie. Dom to dom. Musi być ten jeden, właściwy, najwłaściwszy”. Tylko czy nawet jak go znajdą, będzie ich stać na zakup? Nie mają gotówki, na kredyt są za starzy, a ze sprzedażą tego może być

ciężko. Już przecież o tym myślał. Kto zechce kupić chałupę z pijakami za ścianą?

No to może nie uda się im sprzedać i cała sprawa upadnie? Zostaną tutaj.

„Nie byłoby to złe”.

„No, nie. No, kurwa, zdecyduj się, czego chcesz!”

Nie chciał się wyprowadzać, ale wiedział, że Justyna już dłużej tu nie wytrzyma. To jasne. Poza tym obiecał jej. Słowo się rzekło. Nie wycofa się teraz rakiem. Obiecał. „Wyjeżdżamy do Austrii, a po powrocie zabieramy się do roboty”.

„A może?”

„Nie, to raczej niemożliwe”.

„Ale może jednak?” Może po urlopie Justyna spojrzy na wszystko innym okiem? Wyluzuje się na tych nartach, zdystansuje? Może tamci dadzą im już wtedy spokój? A może nawet już jutro, jak się z tym prześpi, uzna, że to jednak zbyt pochopna decyzja? W końcu była trochę pijana, gdy z tym wyskoczyła.

Ba! Ale to już nie pierwszy raz. Wtedy była trzeźwa, a sytuacja, w porównaniu z obecną, sielankowa.

Bił się tak z myślami, aż w końcu walka go wyczerpała. Nie na tyle jednak, aby uśpić go od razu – leżał jeszcze przez godzinę z nieprzyjemną pustką w głowie. Świtało, gdy zapadł w krótki, niespokojny sen.

Jeśli liczył na to, że nazajutrz żona się rozmyśli i wycofa z wcześniejszego postanowienia, to się mylił. Od razu, gdy zszedł na dół, nawiązała do tematu. Zamierzała zamieścić ogłoszenia jeszcze przed wyjazdem. Nie oponował, wiedział, że i tak cała operacja potrwa, poza tym był niewyspany i nie miał siły dyskutować. Z przerażeniem myślał o całym dniu egzaminów, który go czekał.

Sesja odbywała się w szkole, więc wyjechał wcześniej, bo na Mokotów podróżował zwykle dłużej niż na Krakowskie Przedmieście. Justyna została w domu – wzięła sobie wolny dzień. „Szczęściara” – pomyślał, wychodząc.

Dobry humor, jaki od rana demonstrowała, trochę go irytował. Znał jego przyczynę. Czy jej się naprawdę wydaje, że wyprowadzka będzie oznaczała koniec ich wszystkich problemów? Zaczną się nowe, tylko inne.

Podczas egzaminów, mimo wypicia podwójnego espresso u pani Eli, wciąż

był ospały. Zadawał pytania niemrawo, nieuważnie słuchał odpowiedzi. Studenci udawali, że nie widzą jego niedyspozycji. Na ile mógł się zorientować, odpowiadali raczej słabo. Ale chyba tylko na tyle było ich stać.

Ostatni zdawał krótko ostrzyżony chłopak – ten sam, który zażądał odszkodowania za wyrzucenie go z wykładu. Henryk przywitał się z nim chłodno i wskazał mu krzesło. Zadał dwa pytania, w miarę trudne, ale bez przesady, bo nie chciał stwarzać wrażenia, że się w tak prymitywny sposób mści. Jedno dotyczyło różnic między moralnością a obyczajowością.

Ku jego zaskoczeniu, chłopak był znakomicie przygotowany („starają się, gdy są przyparci do ściany” – tłumaczył mu Witek). Odpowiadał wyczerpująco i płynnie, pewnie obawiał się, że Henryk wykorzysta sytuację do odegrania się na nim, i wykuł na blachę. A przy tym zapewne był zdolny, bo przy dodatkowych pytaniach, które aluzyjnie nawiązywały do zajścia między nimi, wykazywał się refleksem i bystrością umysłu. Odpowiedź mieściła się gdzieś między bardzo dobrym a celującym. Wahał się przez chwilę. W końcu postawił mu piątkę. Chłopak odebrał indeks, zajrzał do niego i lekko się uśmiechnął.

– Dziękuję. – Wstał z krzesła i przewiesił sobie przez ramię czarny plecak.
– I przepraszam.

Henryk skinął głową, ale nic nie powiedział. Był jednak zadowolony z takiego finału sprawy.

Sesja skończyła się przed drugą, w przerwie postanowił zjeść coś w bufecie. Wychodząc z sali, zerknął na wyciszoną na czas odpytywania studentów komórkę i zobaczył, że ma sześć nieodebranych połączeń. Trzy z nich były od Justyny. „Co się stało? – zaniepokoił się. Przecież wie, że mam egzaminy”. Może znowu coś z sąsiadami? Bo chyba nie znalazła w ciągu tych kilku godzin wspaniałego domu, do którego mogliby się jutro przenieść.

Połączył się szybko. Odebrała równie błyskawicznie.

– Wiem, że egzaminujesz – powiedziała usprawiedliwiającym tonem. – Myślałam, że cię złapię podczas jakiejś przerwy.

– Właśnie jest przerwa – odparł. – Co się stało?

Wzięła głęboki oddech.

– Nie pojedziemy na narty.

Aż zakręciło mu się w głowie.

– A co? Dlaczego? – spytał podniesionym ze zdenerwowania głosem.

– Skręciłam nogę w kolanie. A dokładniej to naciągnęłam więzadła. Nic takiego strasznego, ale byłam u Kubicy i powiedział, że o nartach mogę w tym sezonie zapomnieć.

Świetnie. Jeszcze i to. Kolejny sezon zmarnowany. Wtedy jego stopa, teraz jej kolano.

– Jak to się stało? – spytał już spokojniej.

Okazało się, że gdy wychodziła do sklepu, poślizgnęła się przy furtce, wywróciła na drogę i nie mogła wstać. Na szczęście Czapski akurat wyjeżdżał na dzienną zmianę i podrzucił ją do przychodni. Tam po prześwietleniu założyli jej usztywnienie. Teraz jest już lepiej, może chodzić, tylko utyka, ale z nart nici.

Cholera! A tak na to liczyli!

– No nic, trudno – powiedział sztucznie obojętnym tonem. – Wrócę wieczorem, to pogadamy.

– Nie gniewaj się na mnie – powiedziała szybko.

– No co ty? Zwariowałaś? – obruszył się na serio. – Wypadki chodzą po ludziach.

„Tylko dlaczego w takiej chwili?” – pomyślał, chowając komórkę do kieszeni.

Przypomniał sobie, że na ich uliczce faktycznie rano była ślizgawka. No tak: wczoraj w miarę ciepło, a w nocy ścisnął mróz. Gdyby się tak dzisiaj nie śpieszył, mógłby wysypać popiół pod domem. Nie byłoby tego całego nieszczęścia.

Przetrwał jakoś popołudniową sesję i z klejącymi się z niewyspania i zmęczenia oczami ruszył o siódmej w drogę powrotną do domu. Prowadził bardzo ostrożnie. Dotarł za kwadrans ósma.

Zamykając bramę na kłódkę, stwierdził z zadowoleniem, że okno zostało już wstawione; szklarz miał przyjść po południu i nie nawalił. Wszedł przez garaż do kuchni. Justyna wstała od telewizora. Trochę utykała, ale nie wyglądało to tak źle, jak sobie wyobrażał, no ale jeździć na nartach oczywiście nie mogła.

– Siedź, siedź – powstrzymał ją, widząc, że zmierza do kuchni. – Sam sobie odgrzeję.

Podczas kolacji uradzili, że w tej sytuacji nie ma co odwoływać urlopu i że poświęcą go na szukanie nowego domu. „Wspaniałe wakacje” – pomyślał z sarkazmem, ale nic nie powiedział. Przyszło mu do głowy, że mógłby

właściwie polecieć na zjazd do Adelaide (miał dobre układy w tamtejszym stowarzyszeniu, przyjęliby go nawet w ostatniej chwili), ale nie chciał zostawić teraz żony samej, tym bardziej że miała sprecyzowane plany, a on w nich swoją rolę do odegrania.

Ustalili jeszcze, że Justyna odwoła swojego kolegę rozwodnika, który miał zajmować się domem podczas ich nieobecności („nie ucieszy się, strasznie się zapalił, choć go uprzedziłam, że mamy kiepskie stosunki z sąsiadami”), i wstał od stołu. Ubrał się, wziął z garażu kubeł z popiołem z kominka i wyszedł przed dom. „Rychło w czas – pomyślał. – No ale jutro też tu będziemy chodzić, przynajmniej ja”. Sypnął garść popiołu na pokrytą lodem ścieżkę prowadzącą do furtki. „Co za pech – pomyślał. – Co za cholerny rok!”

Wysypał ścieżkę popiołem i wyszedł przez furtkę na drogę. „To tutaj – pomyślał. – Tu się to zdarzyło”. Nagle coś go zaintrygowało. Przykucnął, zdjął rękawicę i przesunął dłonią po powierzchni lodu. Wydawał mu się podejrzenie gładki, równy. Podobnie było przed bramą wyjazdową. Jakby ktoś wylał tam wcześniej wodę. „Czyżby to te skurwysyny? No nie, to już normalnie szczyt! Zabić to mało”. Ale gdy porównał nawierzchnię z tą na wysokości posesji sąsiadów i z drugiej strony, przed domem Kulczyków, jego pewność osłabła. Wszędzie było cholernie ślisko. Tyle że tam lód był jakby bardziej porowaty i pogarbiony. Nie jak stół. Ale różnica była niewielka, głowy już by nie dał. Może mu się tylko wydaje.

Przez chwilę zastanawiał się, co z tym fantem zrobić. Jeśli rzeczywiście sąsiedzi zrobili im tego „psikusa”, jak to nazywał ten cały Muszyński, i w nocy wylali im kubeł wody pod furtkę, to właściwie kwalifikowało się to do sądu, zwłaszcza że efekty były wymierne: kontuzjowana noga i zmarnowany urlop. Przypomniało mu się, jak w Stanach spotkał kolegę z matematyki, który wyemigrował zaraz po studiach. Opowiedział mu, że kiedyś w nowojorskiej knajpie, idąc do toalety, poślizgnął się na rozlanej plamie oleju i dostał takie odszkodowanie, że przez dwa lata mógł właściwie nic nie robić. No ale to była Ameryka, a tu jest Polska. Jak im to udowodnić? Chyba żeby przypadkiem pani Jadzia widziała, ale ona w nocy spała mocnym snem bezgrzesznej. Gdyby poszedł z tym do Muszyńskiego, ten by go wyśmiał. Powiedziałyby, że policja ma ważniejsze sprawy niż zajmowanie się duperelami. Albo że nie ma pieniędzy na przeprowadzanie takich ekspertyz, jak badanie konsystencji lodu. Znajomy prokurator Justyny też by zapewne

nie wykazał zainteresowania.

Nie, to wymagało reakcji bezpośredniej. W zasadzie powinien zadzwonić teraz do drzwi sąsiadów, a gdy otworzą, nawrzucać im od ostatnich, nawrzeszczyć, może nawet dać tamtemu w mordę. Ale to się łatwo mówi: „dać w mordę”. Sąsiad był młodszy, silniejszy i zapewne bardziej wprawiony w bójkach. Nie skończyłoby się to dla niego dobrze. Więc może chociaż nawymyślać? Za biedną Justynę, za odwołany wyjazd? Tyle że gdyby to był przypadek – choć już za dużo ostatnio tych przypadków – i oni nie mieliby z tym nic wspólnego, wyszedłby na idiotę, jakiegoś walniętego pieniacza. Mieliby prawo popukać się w czoło i wyprosić go za drzwi. A przecież pewności nie miał. Jeszcze raz przeszedł kilkudziesięciometrowy odcinek uliczki, co pewien czas przysiadając, przyglądając się uważnie nawierzchni i obmacując ją ręką – miał nadzieję, że nikt go podczas tej czynności nie obserwuje, bo musiał wyglądać głupio – ale nic to nie dało. Wątpliwości miał nawet większe.

Jedno musiał im przyznać, nie pierwszy raz zresztą – byli sprytni. Zawsze pogrywali tak, że potem mogli się wszystkiego wyprzeć.

Postanowił więc w końcu nic z tym nie robić. Przyjąć do wiadomości i już nie zawracać sobie tym głowy. Zignorować. No i oczywiście nie wspominać o swoich podejrzeniach Justynie. To by ją załamało. Łatwiej znieść myśl, że padło się ofiarą nieszczęśliwego wypadku niż celowego działania.

„Och, co za złośliwe bydlaki!”

Może dobrze, że się stąd wyprowadzą. Z takimi sąsiadami faktycznie nie da się żyć. Co tu się będzie działo w lecie, gdy zaczną wyprawiać *garden parties*? Po raz pierwszy poczuł, że pomysł Justyny ma sens. Kupią sobie jakiś ładny, niewielki domek; teraz, gdy Agaty z nimi nie ma, nie potrzebują takiego dużego. Ale koniecznie osobny, wolno stojący. Broń Boże bliźniak. Tylko że to wszystko może okazać się nie takie proste.

Westchnął, opróżnił kubek do końca i wrócił do domu.

Jego złe przeczucia po raz kolejny się sprawdziły. Kupno domu okazało się nawet trudniejsze, niż myślał. Ofert w agencjach nieruchomości było mało, a te, które sprawdzili, zupełnie nieatrakcyjne. Próbowali więc znaleźć coś na własną rękę, jeździli najpierw po okolicy, potem poszerzyli obszar poszukiwań i penetrowali obrzeża Warszawy ze wszystkich stron, ale skutek

był podobny. Domy, które oglądali, raczej im się nie podobały, a jeśli już trafił się jakiś ładniejszy, to okazywał się za drogi.

Wszystko wyglądało zupełnie inaczej niż wtedy, gdy osiem lat temu wykonywali podobne objazdy. Była wiosna, zielona i rozkwitająca, a nie ponura, skłaniająca do pozostania w domu zima. Wtedy mieli do tego energię, entuzjazm, perspektywa wyprowadzki z Warszawy ich nakręcała, teraz coraz szybciej się zniechęcali. Początkowy zapał Justyny wyczerpał się szybko, zgasła, zmarkotniała. Ich życie seksualne, też ostatnio skromne, nieomal zamarło. Tyle dobrego, że noga przestała jej dokuczać i mogła już swobodnie chodzić. Ale co z tego chodzenia, skoro kręcili się w kółko?

Gdyż sprzedaż ich własnego domu szła im równie ciężko. Choć dali ogłoszenie w cotygodniowym dodatku mieszkaniowym „Wyborczej”, zgłosili ofertę w kilku dużych agencjach, zamieścili w internecie – odzew był nikły. Spece od nieruchomości rozkładali ręce i powtarzali jak mantrę, że rynek wtórny zamarł, a zima to w ogóle kiepski okres. W to akurat mogli uwierzyć.

Owszem, zdarzali się chętni, ale gdy przyjeżdżali, kręcili nosem. A to nie odpowiadało im, że bliźniak, a to, że wokół same wiejskie chałupy – nie chcieli mieszkać przy uliczce zamieszkaną przez miejscowych. „Lokalsi to jednak inna cywilizacja” – wyjaśnił młody, niewiele starszy od Agaty chłopak, informatyk z zawodu, który przyjechał z bardzo ładną dziewczyną. Inny „klient”, jak ich nazywali, brodaty tłumacz z angielskiego – wdał się z nim w dyskusję na temat wyższości kryminałów skandynawskich nad amerykańskimi – wydawał się szczerze zainteresowany, obiecał następnego dnia zadzwonić, po czym przepadł jak kamień w wodę. Henryk podejrzewał, że po wyjściu od nich zasięgnął języka u mieszkańców uliczki na temat sąsiadów. Nie dziwił mu się, sam by tak zrobił. I tak samo by się wycofał.

Wszyscy naokoło naturalnie wiedzieli o ich planach. Mogli się zorientować po ich częstych wyjazdach i po większej niż zwykle liczbie samochodów zatrzymujących się na krótki czas pod bliźniakiem. Pani Jadzia czuwała, a syn Czapskiego, zmyślny dwunastolatek, wygugłował ich ogłoszenie w internecie. Zresztą nie robili z tego tajemnicy. Henryk któregoś dnia nawet przeszedł się po wszystkich chałupach, żeby podpytać, czy nie słyszeli o jakimś domu na sprzedaż w okolicy. Mogło się okazać, że oni miotają się od Łomianek po Górę Kalwarię, a pod nosem stoi jakieś чудо. Ale nie słyszeli.

Nie byli też zaskoczeni ich decyzją. Wyglądali raczej na zdziwionych, że następuje to tak późno, że tak długo z sąsiadami wytrzymali, choć minęły raptem trzy tygodnie. Ale nie komentowali, kiwali tylko głowami ze zrozumieniem. Jedynie Kulczykowa powiedziała: „Szkoda, że państwo się wyprowadzają, a nie tamci”. Ba! Też żałował.

„Tamtych” w tym okresie nie było. Wyjechali z małym na ferie, które zafundowała im „diedziczka”, jak ironicznie pani Jadzia nazywała matkę sąsiadki. Na ich miejsce czasowo wprowadziła się siostra z dwójką małych dzieci. Trochę rozrabiały, ale i tak prawie nie było ich słychać. „Szkoda, że siostrzyczka nie wprowadza się tu na stałe” – myślał.

W każdym razie tamci najpierw zepsuli im urlop, a potem sami wyjechali na zasłużony odpoczynek. Oni zostali, mając coraz silniejsze poczucie, że poruszają się w błędnym kole. Wypadki okazywały się jałowe, a wizyty ewentualnych klientów w ich domu trwały z reguły bardzo krótko. Nie mogli go sprzedać. W tej sytuacji także zakup nowego stawał pod znakiem zapytania, nawet gdyby jakimś dziwnym trafem znaleźli coś odpowiedniego, na co się jednak nie zanosilo.

Aż pewnego dnia, gdy tamci zameldowali się już z powrotem, pojawił się ktoś, kto wydawał się rzeczywiście zdecydowany na zakup. Był to energicznie poruszający się, czterdziestoletni wążacz z Warszawy, właściciel drukarni, która, sądząc po klasie jego samochodu terenowego, bardzo dobrze prosperowała. Dom obejrzał dokładnie, pokój po pokoju, wyszedł na taras, potem przespacerował się po pobliskim lesie – i zapowiedział, że przyjedzie jeszcze raz, z żoną. Umówili się na sobotę po południu.

Przyjechał – ze śniadą, wyglądającą na cudzoziemkę dwudziestolatką w zaawansowanej ciąży. Imię też miała egzotyczne, Aida, nie Aida. Ponownie odbyli rundę po mieszkaniu, tym razem z nią: kuchnia z nowo wstawionym oknem, przy którym ściany wydawały się nieco zszarzałe, duży pokój, taras, toaleta, sypialnia na górze, gabinet, pokój Agaty, łazienka, zejście na dół...

– Jedne okna wychodzą na ogród, a drugie na uliczkę, ale tu jest cicho, mało kto przejeżdża – zachwalał Henryk jak rasowy agent nieruchomości, gdy usiedli już przy kawie.

Wążacz wydawał się coraz bardziej zainteresowany. Zerknął na żonę, ale jakby tylko dla formalności. Widać było, kto tu rządzi. Skinęła lekko głową.

– Mhmm – mruknął niezobowiązująco. – To ile państwo sobie życzyacie?

– Siedemset tysięcy – odparł Henryk. Taką cenę sugerowano im w agencjach.

Wąsacz rozejrzył się uważnie po wnętrzu.

– Za sześćset pięćdziesiąt wezmę.

– Sześćset osiemdziesiąt – odparował Henryk. Targował się bardziej dla zasady niż z żądzy zysku.

Justyna spojrzała na niego z niepokojem. Bała się, żeby nie przelicytował. Niepotrzebnie się jednak martwiła. Wąsacz nie zniechęcił się, nie wyszedł, tylko jeszcze trochę się potargował. Stańło na sześciuset siedemdziesięciu. Podali sobie ręce.

W tym momencie zza okna kuchni dobiegły czyjeś wrzaski. Henryk wstał, podszedł bliżej i przez lekko zaparowaną szybę zobaczył sąsiadów stojących naprzeciwko ich domu. Kłócili się z furią o cenę drzewa do opalania.

– Trzysta za metr! Kurwa, idioto! Na składzie w Niechodzinie jest po dwieście!

– Chuja tam dwieście! Byłem, sprawdzałem! Tyle samo, kurwa, jest, a mokre!

– Gównu sprawdzałeś! Nie chciało ci się, kurwa, pojechać!

Wąsacz też wstał i zbliżył się do okna akurat w momencie, gdy obrzucając się coraz soczystszymi wyzwiskami, podchodzili do swojej furtki. Chwilę patrzył na nich w milczeniu. Uśmiech, który przed chwilą gościł na jego twarzy, zniknął.

Henryk próbował ratować sytuację.

– Miejscowi – rzucił bagatelizującym tonem.

– Widzę, że wręcz najbliżsi sąsiedzi – wycedził tamten. Odwrócił się od okna i wymienił szybkie spojrzenia z żoną.

Henryk wiedział, co to znaczy. Próbował jeszcze interweniować.

– A, tak. – Machnął lekceważąco ręką. – Kłóć się czasem, jak to na wsi. Ale w środku nic nie słyhać. Dom jest dobrze wyciszony. Poza tym mają się niedługo wyprowadzić. Nie stać ich na ogrzewanie – skłamał.

Było już jednak za późno. Wąsacz zakręcił się niespokojnie w miejscu i rzuciwszy żonie jeszcze jedno spojrzenie, zaczął się zbierać do wyjścia. Nawet kawy nie skończył.

– W takim razie – powiedział przeciągle – ja jeszcze zadzwonię do państwa. Dziękuję bardzo. Do widzenia.

– Do widzenia – odpowiedzieli, unikając wzajemnie swojego wzroku.

Egzotyczna żona ukłoniła się z przepaszającym uśmiechem i szybko razem wyszli. Po chwili terenowy samochód odjechał, wzbijając za sobą chmurę śnieżnego puchu. Nad ranem świeżo napadało.

Henryk odprowadził dżipa wzrokiem i zatrzasnął głośno drzwi. Nie mógł pohamować złości. Uderzył pięścią w poręcz schodów.

– Cholera jasna! A już tak blisko byliśmy!

Justyna pokiwała głową z zaciętą miną.

– Oni celowo to zrobili – stwierdziła kategorycznie. – Też już wiedzą, że chcemy sprzedać, i odstawili tę szopkę, żeby nam odstraszyć klienta.

Popatrzył na nią z powątpiewaniem. Nie bardzo w to wierzył, ale wykluczyć nie mógł. Może faktycznie mieli kogoś upatrzonego – na przykład tę siostrę z dziećmiakami – i chcieli usunąć konkurencję? Ale dlaczego w takim razie nie przyszli po prostu do nich i nie powiedzieli: mamy chętnego na wasz dom, zapłaci tyle i tyle. Czyżby liczyli na ich zmęczenie i czekali, aż będą gotowi zgodzić się na każdą cenę? Nie, to raczej niemożliwe. Już bardziej prawdopodobne, że zrobili to z bezinteresownej złośliwości, ot, tylko po to, aby uprzykrzyć im życie. Ale najpewniej po prostu swoim zwyczajem darli się na siebie, nie zwracając uwagi, czy ktoś ich słyszy, czy nie. Najprostsze wyjaśnienia na ogół są prawdziwe.

– Możliwe – odparł. Nie chciał się z nią spierać.

Nagle twarz Justyny ściągnęła się w dziwnym, ptasim grymasie, a w oczach zabłyśły jej łzy. Opadła ciężko na kanapę.

– O co im chodzi?! – zawołała łamiącym się głosem. – Najpierw nas wyganiają, a teraz... Czy oni chcą nas zadreczyć?! – Zaczęła płakać, znowu, jak wtedy. Ostatnio często jej się to zdarzało. Usiadł obok, objął ją ramieniem, siedziała jednak sztywno jak manekin, nie reagując, jakby odrzucając jego milczące wsparcie. Wstał więc, podszedł do okna wychodzącego na taras. Zapatrzył się na pokryty świeżym śniegiem ogród. Za plecami słyszał ciche, regularne jak oddech pochlipywanie. Po chwili ucichło.

– To mógł być przypadek – mruknął, odwracając się.

Uniosła głowę i popatrzyła na niego pytająco. Oczy miała zapuchnięte, ale nie współczuł jej, raczej był zły.

– Co mówisz? – spytała ochryplym głosem.

– Mówię, że po prostu mogli się akurat kłócić – wyjaśnił spokojnie. – Ale to nie ma znaczenia. Oni nawet nie muszą robić takich przedstawień.

Przecież każdy, kto będzie chciał kupić dom, najpierw przeprowadzi wywiad, żeby się dowiedzieć, kogo będzie miał za ścianą, a wtedy... – Umilkł, nie chciał głośno dopowiadać tej myśli, jakby wydała mu się zbyt straszna.

Ona patrzyła na niego zaczerwienionymi, ale szeroko otwartymi oczami. Dopiero do niej docierało, co to oznacza.

– Kurwa mać! – zaklął. I dodał zrezygnowanym tonem: – Nikomu tego nie sprzedamy.

W jej wzroku pojawiło się przerażenie.

– Co ty mówisz?

Wzruszył ramionami. W tej sytuacji był to gest niemal brutalny, ale nie zamierzał już jej oszczędzać.

– Chyba że, nie wiem... Za połowę ceny.

Patrzyła na niego z namysłem. Widać było, że już się opanowała, że nad czymś się zastanawia.

– No to sprzedajmy za połowę – powiedziała już spokojniej, ale w jej głosie była determinacja. – Nawet za jedną trzecią. Za każdą cenę, byleby się stąd wynieść.

Wzruszył ramionami.

– To głupota – stwierdził. – Zresztą, nawet gdyby... To co dalej? Co kupimy za jedną trzecią? Z czego dołożymy resztę? Myślisz, że w naszym wieku tak łatwo dostaniemy kredyt? I że bank weźmie pod zastaw chałupę w ciemno? Też będą sprawdzać.

Spojrzała na niego z lękiem. Znow była zdezorientowana, zagubiona jak mała dziewczynka.

– No ale mamy przecież jakieś oszczędności? – spytała niepewnie.

Nie mógł powstrzymać uśmiechu. Była osobą trzeźwą i praktyczną, ale w sprawach finansowych wykazywała słabe poczucie rzeczywistości. Jakby żyła na innej planecie.

– To, co mamy, starczy nam na pokój na Tarchominie – odparł krótko. I ciągnął dalej w jakiejś bolesnej samoudręce: – A nawet jak dostaniemy kredyt, to jak go spłacimy? Ja już nie mam sił, żeby szukać chałtur. I nie chcę zaczynać wszystkiego od początku.

To była prawda. Nie chciał. Gdy wspominał okres, gdy spłacali tamten, wcześniejszy, ogarniał go wstyd. To latanie z wywieszonym językiem za wszelkimi okazjami zarobku, te poranne wyjazdy do Lublina, te noclegi u teściowej, te badania spożycia chrupek i batoników, to wysłuchiwanie

uwag od gówniarzy w garniturach... Nie, nie chciał już wchodzić na tę drogę.

Justyna wpatrywała się w niego z napięciem.

– To znaczy co? – spytała drżącym głosem. – Że... że jesteśmy skazani na życie tutaj? Jak w więzieniu? Nie... – jęknęła. – To jakiś koszmar.

Spojrzał na nią niechętnie. Już dawno wzbierała w nim złość na nią, teraz się wylała.

– To wszystko twoja wina – wyrzucił z siebie.

Podniosła głowę i popatrzyła na niego w zdumieniu.

– Moja? – powtórzyła. Nic nie rozumiała. Rozzłościło go to jeszcze bardziej.

– Tak! – wrzasnął, czując, że brnie coraz głębiej i nie może się już zatrzymać. – Mówiłem ci, że jakoś musimy się z nimi ułożyć. Trudno, nie chcieliśmy ich tutaj, ale skoro już się pojawili, to trzeba było nauczyć się z nimi żyć. Nie chciałem iść na udry, nie chciałem zaognić konfliktów, właśnie dlatego byłem przeciwny pójściu na policję, a nie dlatego, że się bałem. Wiedziałem, jak to się skończy. No ale ty się uparłaś i teraz masz!

Nie przygotowywał sobie tej przemowy, sama ułożyła mu się w głowie. I przeleciała teraz przez gardło wartkim potokiem słów. Ale jeśli liczył, że Justyna pochyli nisko głowę, okazując głęboką skruchę, to się przeliczył. Zareagowała dokładnie odwrotnie. Wyprostowała się gwałtownie na kanapie, oczy jej pociemniały. Teraz już wiedział, że przesadził.

– Więc niby co? – spytała agresywnie, zaczepnym tonem. – Więc miałam milczeć? Tak dla świętego spokoju?

Jezu, jak czasem nienawidził jej pryncypialności. „Nauczycielska córka – pomyślał z irytacją. – Dydaktyczne skłonności ma w genach, wysrane z mlekiem matki”.

– No i co osiągnęłaś? – spytał drwiąco.

Zastanowiła się przez chwilę.

– Nie wiem... – odparła z wahaniem. I dodała po chwili, już pewniejszym głosem: – Przynajmniej od tamtej pory nie zabawia się z małym w łazience. W każdym razie ani razu nie słyszałam.

Jej naiwność bywała jednak rozbijająca.

– No, to wielkie osiągnięcie – wycedził z ironią. – Nie wiem, czy wiesz, ale w tamtym domu są jeszcze inne pomieszczenia. Nie tylko łazienka.

Jego uwaga jeszcze bardziej ją rozjątrzyła. Poczzerwieniała.

– Ale mam przynajmniej czyste sumienie! – krzyknęła. – Czyste sumienie! To też coś jest!

„Ciekawe, czy tamci nas słyszą – przemknęło mu przez głowę. – Możliwe”. Takiego krzyku nawet wygłuszone ściany mogły nie zatrzymać.

– No to masz swoje czyste sumienie – odparł spokojnie. – Jest bardzo wygodne, tylko że trudno w nim zamieszkać. A jedyny efekt twojej interwencji jest taki, że nie mamy gdzie się teraz podziać.

Powiedział swoje i zaczął się ubierać. Chciał przejść się, rozchodzić złą energię, zaczerpnąć świeżego powietrza. Zaczął wciągać śniegowce. Justyna przyglądała mu się w milczeniu.

Nakładał kurtkę, gdy dobiegł go jej głos:

– Słuchaj... – powiedziała powoli. – Jeśli uważasz, że to moja wina, to ja... ja nie chcę już być z tobą.

Kiwnął głową, nie odwracając się.

– Może to jest jakieś rozwiązanie – mruknął i zamknął za sobą drzwi.

Szedł ścieżką w kierunku Sobocina, tą samą trasą, którą spacerowali kilka tygodni temu z Agatą. Jakże inaczej to wszystko wtedy wyglądało! Fakt, mieli problem, ale co to był za problem? Problemik najwyżej. Teraz dopiero tkwili w pułapce, z której nie było widać wyjścia. W każdym razie on nie widział. Beznadziejna sytuacja, kompletnie patowa. Nie mogli znaleźć kupca na dom, mieszkać w nim też już nie mogli. Kto mógł sobie wtedy wyobrazić, że tak to się potoczy?

„Nigdy się stąd nie wyniesiemy – pomyślał. – Nie ma szans. Każdy zachowa się jak ten wąsacz. Będziemy siedzieć w tym domu jak dwa szczury w pułapce: wrogie, zagryzające się nawzajem. Ach, prawda, mamy się przecież rozstać. Ale jak to by wyglądało w praktyce? Przecież zamiana na dwa mieszkania była tak samo nierealna”.

W gruncie rzeczy nie bardzo w ogóle wierzył w pogrózkę Justyny. Wiadomo, że podczas kłótni padają różne słowa, ale są tylko razami, które ludzie sobie wymierzają, żeby tego drugiego zabolą. Nie mają znaczenia, nic z nich dalej nie wynika. Mieliby się rozstać po tylu latach? I gdzie by poszła? Wróciła do Lublina, do matki? Wynajęła mieszkanie w Warszawie? Nie wydawało mu się to możliwe.

No tak, ale zasadniczej sprawy i tak to nie rozwiązywało.

Zachciało mu się nagle zapalić. W Sobocinie był czynny w soboty sklep, a on znajdował się już całkiem blisko wsi, bo idąc szybkim, marszowym krokiem, nawet nie zauważył, jak dotarł do głównej drogi. Po chwili wahania skręcił jednak w przeciwną stronę, na Grabówek. Za dużo go kosztowało rozstanie się z nałogiem, aby miał w jednej chwili te wszystkie wysiłki zaprzepaścić. Przyśpieszył jeszcze kroku, jakby chcąc oddalić pokusę.

Chodził po lesie jeszcze godzinę, nim nieco spokojniejszy i uwolniony od złej energii wrócił do Grabówka. Justyna przez resztę popołudnia nie odzywała się do niego, więc i on milczał. Nie próbowali podejmować rozmowy. Starali się w ogóle nie wchodzić sobie w drogę, przemykali po domu jak dwa cienie. A na noc przeniosła się do jego gabinetu.

Przez kilka następnych dni nic się nie zmieniło. Nadal ze sobą nie rozmawiali, chyba że o sprawach ściśle praktycznych, codziennych, wymagających zapytania lub uzgodnienia. Henryka zaczęła męczyć ta atmosfera – czuł, że są jak para lokatorów wynajmujących to samo mieszkanie, ale złączonych jedynie koniecznością płacenia za prąd, gaz i wodę. Świadomość, że Justyna zapewne męczy się tak jak on, wcale nie była pocieszająca. Nie potrafił jednak się przemóc, próbować przeprosić, wyjaśnić; miał w środku jakiś opór, którego nie umiał przełamać. Nigdy tak nie było. Owszem, zdarzały im się ciche dni, ale szybko mijały. Justyna czasem się obrażała, raz nawet mu powiedziała, że ma go dość, ale zwykle łatwo się godzili. Teraz zacięli się w sobie, żadne nie zamierzało ustąpić. Nawet sypiali osobno.

Sprawa zakupu domu zeszła na dalszy plan. Jeszcze w niedzielę rano byli umówieni przez pośrednika na oglądanie siedliska za Starczewem, ale Henryk uznał, że w tej sytuacji nie ma to sensu. Jak to się zresztą miało do zapowiedzianego przez nią rozstania? Nie widział w tym logiki. Poza tym takie przedsięwzięcia jak wybór domu wymagają współdziałania, elementarnej zgodności, a stosunki między nimi były tak napięte, że gdyby jemu się akurat chałupa spodobała, to jej na pewno nie. Albo odwrotnie. Nawet więc w tak prostej sprawie nie doszli do porozumienia. On nie chciał jechać, ale ona się uparła i oznajmiła oschłym tonem, że w takim razie sama się tam wybierze. Urlop jej się kończył i chciała wykorzystać ostatni wolny dzień. Nie protestował. I nic jej nie odpowiedział, gdy rzuciła mu na

pożegnanie, że może tak będzie lepiej. **Logicznie**.

Po powrocie nic nie mówiła. Nie musiał pytać, z wyrazu jej twarzy mógł łatwo odczytać, że to nie było to. Nawet gdyby sama chciała tam zamieszkać. Wieczorem do domu zadzwonił pośrednik i zaproponował obniżenie ceny o pięćdziesiąt tysięcy. Akurat on odebrał telefon, więc zasłaniając słuchawkę, spytał Justynę, co ona na to. Pokręciła przecząco głową.

Poza tym jednym przypadkiem nic się w kwestii zakupu-sprzedaży domu nie działo. Skończyła się przerwa międzysemestralna, musiał wrócić do rutynowych zajęć, wykładów, seminariów, Justyna zaczęła chodzić do pracy, dni były krótkie i nie mogli sobie swobodnie jeździć, gdzie i kiedy chcieli, a w gruncie rzeczy wcale się do tego nie palili. Mogli tylko czekać na telefon z agencji i wtedy ewentualnie się umówić. Ale telefon nie dzwonił.

Podczas tych ponurych dni tylko jedno było dobre: sąsiedzi jakby o nich zapomnieli. Nikt nie robił im głupich dowcipów, nie dzwonił po nocach, nie pisał obelżywych haseł na płocie, nie rzucał kamieniami w okno. Henryk nie był pewny, czemu to przypisać. Czyżby to Muszyński przemówił Edkowi do rozumu? Wziął gdzieś na piwo i powiedział: odczepcie się od tego profesorka, bo ciągle, cholera, przybiega do mnie i będę musiał w końcu się tym zająć? Czy jakoś inaczej go nastraszył? A może po prostu odpuścili, bo w zasadzie osiągnęli swój cel? „Kapusie” przecież szli won, a przynajmniej chcieli.

Tylko czemu im wtedy z tym wąsaczem przeszkodzili? Coraz częściej myślał o tym, że jednak mają kogoś upatrzonego na ich miejsce, od samego początku mieli. Wszystko było jedną wielką manipulacją. Ale w takim razie czemu zwlekają? Przecież manipulacja się udała, a teraz jest już odpowiedni moment, aby zadzwonili do nich i obłudnie zaproponowali pomoc: Słyszeliśmy, że chcecie sprzedać dom, a siostra akurat szuka...

Może by samemu do nich pójść i spytać? Nie, nie, to byłby błąd. Nie mówiąc o upokorzeniu, którego by chyba nie przeżył. „Tylko na to czekają – pomyślał. – No to niech czekają”. On też będzie czekał. W końcu nic innego mu nie pozostało.

Jak zawsze odtrutką na fatalny nastrój była praca – jej stały, regularny rytm przywracał porządek w ogólnym chaosie. I jak zawsze na początku nowego

semestru dużo się działo. Średnicki, zgodnie z oczekiwaniami, oszczędził i na jego miejsce trzeba było kogoś wybrać. Z chęcią poszedł na zebranie i zaniósł przy okazji obiecaną Witkowi whisky. P.o. dyrektora została rozegzaltowana docent Walewska. Wkrótce też miała się odbyć obrona pracy Jaweckiego i należało jeszcze dograć trochę szczegółów. Musiał również wysłać poprawiony przez panią Lilianę referat do Helsinek. W sumie miał w co uciekać. A do tego jeszcze pewnego dnia do Warszawy niespodziewanie przyjechał jeden z organizatorów kongresu, profesor Kuisso, i chciał się z nim koniecznie spotkać.

Był to pewien kłopot, bo Fina, mającego z pewnością wpływ na wybór referatów, a zarazem starego, dobrego znajomego, który go kiedyś zaprosił na tłuste finansowo stypendium, wypadałoby godnie ugościć, a najlepiej podjąć kolacją w domu, co przy obecnym stanie stosunków z Justyną było raczej niemożliwe. Wymagałoby stworzenia sztucznej, niby przyjemnej atmosfery, czego nie znosił i czego robić nie potrafił. Na szczęście okazało się, że Kuisso był jedynie przejazdem, śpieszył się, w Warszawie miał tylko załatwić jakieś sprawy i następnego dnia leciał już do Budapesztu, więc sam zaproponował, aby spotkali się w saunie w jego hotelu. Henryk odetchnął, to rozwiązywało problem.

Przyjechał wieczorem do nowo wybudowanego, stylizowanego na przedwojenną kamienicę hotelu na Poznańskiej, całkiem zadowolony, że będzie mógł się dodatkowo zrelaksować po całym dniu zajęć. Nie chodził do sauny, ale z pobytu w Helsinkach zachował z takich wizyt dobre wspomnienia.

Kuisso czekał na niego w holu. Zapadnięty w skórzany, pufiasty fotel, popijał whisky z grubej szklanki. Na widok Henryka zerwał się, podbiegł do niego i serdecznie go uściskał. Był krzepkim, ogorzałym mężczyzną, starszym od niego o ładnych dziesięć lat, z krótką szcnotką siwych włosów na głowie, która upodabniała go do pruskiego oficera. Gdy zrobili ruskiego „niedźwiedzia” na środku lobby, recepcjonista za kontuarem uśmiechnął się pod nosem.

Wsiedli do windy i zjechali do podziemi, gdzie mieściło się centrum rekreacyjne. Oprócz sauny znajdował się tam jeszcze salon odnowy biologicznej i dobrze zaopatrzona siłownia. Było pusto, o tej porze roku hotel nie miał wielu gości. Pobrali frotowe ręczniki od podsypiającej recepcjonistki, rozebrali się i weszli pod prysznic. Henryk z przyjemnością

spłukiwał z siebie zmęczenie. Stojący w sąsiedniej kabinie Kuisso prychał głośno jak mors. Po kilku minutach wystawił głowę i dał mu znak, że mogą już iść. Henryk ruszył posłusznie za nim. W tym miejscu Fin był gospodarzem.

Hotelowa sauna okazała się niewielkim, wyłożonym jasnym drewnem pokoikiem i Kuisso, wchodząc do niej, lekko się skrzywił, jakby rozczarowany jej rozmiarami. W środku, na najwyższej półce, siedziało dwóch mężczyzn w średnim wieku. Fin skinął im głową, rozejrzał się, po czym, w ogóle się nie krępując, zdjął owinięty wokół bioder ręcznik, rozłożył na dolnej ławie i usiadł. Widać było, że czuł się tam swobodnie, jak u siebie. Henryk nie mógł się oprzeć ciekawości i nim zajął obok niego miejsce, rzucił okiem na ciało swojego towarzysza. Nie prezentowało się najlepiej: skóra na ramionach była pomarszczona, piersi zwisały, sflaczały brzuch opadał w kilku grubych fałdach, spod których ledwo wystawał skurczony, przypominający miniaturową trąbę słonia członek, ginący w gęstwinie poskręcanych siwych włosów. Kuisso zdawał się jednak zupełnie nie przejmować swoim nieapetycznym wyglądem. Henryk poszedł za jego przykładem i usiadł gołą pupą na kawałku frotowej tkaniny, czując pod nią rozgrzane deski. Dwaj mężczyźni patrzyli na nich z ciekawością i jakby dezaprobatą. Obaj byli starannie przepasani ręcznikami. Fizyczne obnażanie się nie było chyba w tej saunie w zwyczaju.

Kuisso sięgnął ręką po drewniany kubełek z wodą i chlusnął nią na rozgrzane kamienie. W górę buchnęła para. Jeden z mężczyzn na górze powiedział coś do drugiego. Chyba nie był zadowolony, że Kuisso ledwo wszedł, a już zaczął się rządzić, Fin jednak w ogóle tego nie zarejestrował, rozsiadł się wygodniej, jak baba na przyzbie, i przymknął oczy. Wyglądał, jakby spał i śniło mu się coś przyjemnego.

Siedzieli tak raptem kilka minut, gdy Henryk poczuł ogarniającą go słabość. Ostatni raz był w saunie chyba pięć lat temu, kiedy dostrzegł u siebie pierwsze objawy tycia i postanowił w ten mało aktywny sposób zbić wagę. Teraz jego odzwyczajone od przebywania w tak wysokich temperaturach ciało zaczęło protestować. Skórę miał pokrytą grubą, przypominającą bezbarwny lakier warstwą potu, czuł w głowie narastające tętnienie krwi, serce waliło mu głucho. Bał się, że zaraz zemdleje. Przeprosił więc swojego towarzysza i pokazał mu gestem, że musi się schłodzić. Fin spojrział na niego z widocznym zdziwieniem, ale nie oponował.

Pchnął drewniane, parzące w dotyku drzwi i znalazł się w cudownie chłodnym, wyłożonym ozdobnymi kafelkami pomieszczeniu, na środku którego znajdował się płytki basenik, podobny do zbiorników przeciwpożarowych, jakie widywał na wsi. Wszedł do niego ostrożnie i usadowił się na czymś w rodzaju kamiennej ławy ciągnącej się wzdłuż dna. Uch, cóż to była za ulga! Sięgająca po szyję woda miała nie więcej niż dziesięć stopni, ale pławił się w niej z prawdziwą rozkoszą. Czuł, że jego ciało powoli odzyskuje równowagę.

Po minucie zjawił się Kuisso. Fin chyba chętnie by się jeszcze pogrzał, ale postanowił dla towarzystwa dołączyć do Henryka, przystosowując się do jego nieprzepisowo krótkich rytmów. Siadając obok niego i opierając się łokciami o gładką cembrowinę, spytał swoim śmiesznym, dziwnie akcentowanym, trochę chińskim angielskim:

– *You, Henry, don't go to sauna very often?*

– *Not really* – przyznał Henryk z lekkim zakłopotaniem.

Kuisso pokiwał głową, ale nic nie powiedział. Może żałował, że wybrał się do świętego dla Finów miejsca z takim profanem? Po chwili jednak zaczął mówić, i to tak swobodnie, jakby znajdowali się w kawiarni, a nie w zbiorniku z lodowatą wodą. Najpierw pochwalił jego referat, który już zdążył przeczytać, i obiecał umieścić go na głównej sesji kongresu, a nim Henryk zdążył mu podziękować, przeszedł do właściwego celu ich spotkania. Okazało się, że podjął współpracę z Nokią, na jej zlecenie organizował badania rynków we wschodnioeuropejskich krajach i zaproponował mu koordynowanie tego programu w Polsce. Henryk się ożywił. Nikogo, oprócz życzliwego kolegi, nie miałby nad sobą, a poza tym propozycja była atrakcyjna finansowo. Przy wymienionym przez Fina miesięcznym honorarium zakup nowego domu nie był tak nierealny, jak mu się jeszcze wczoraj wydawało. Zaczął szybko przeliczać w myślach kwotę na raty ewentualnego kredytu. Wychodziło całkiem nieźle.

– *Well, Henry* – odezwał się Kuisso, biorąc najwidoczniej jego milczenie za oznakę wahania. – *You don't need to answer now. But think about it.*

Uśmiechnął się w duchu – *what a misunderstanding!* Nad czym tu było myśleć? Spadł mu z tą Nokią jak z nieba. Na uniwersytecie też nie powinni się krzywić – w końcu firma tego rodzaju nie była konkurencją dla uczelni, najwyżej zazdrośni koledzy będą się naśmiewać, że „robi w telefonach”, a co bardziej pryncypialni wypominać chałturzenie. Ale tym już się nie

przejmował.

– *I don't need to think about it any more. Of course, I accept it* – odparł.

Kuisso uśmiechnął się szeroko.

– *That's fine.*

Poklepał go po plecach, po czym szybko wstał, wzbudzając powierzchnię wody, która groźnie zafalowała. Henryk uznał, że jest to znak powrotu do sauny, i również się podniósł. Moment był odpowiedni, zaczynał już marznąć.

W drzwiach minęli się z wychodzącymi właśnie dwoma mężczyznami. Nie patrzyli na nich, wręcz ostentacyjnie odwracali wzrok – raził ich widocznie widok dwóch starych golasów. „A pieprzcie się – pomyślał. – Co to jest, sauna czy kaplica? Co za pruderyjny naród. Ciekawe, czy pod prysznic też wchodzić w tych ręczniczkach”.

Teraz mieli już całą saunę dla siebie. Kuisso wspiął się na środkową półkę. Henryk postanowił do niego dołączyć, ale po chwili tego pożałował. Panujące tam gorąco zatykało, odkładało się żarem w płucach, odbierało oddech. Za każdym razem gdy wciągał powietrze, miał uczucie, jakby połykał ogień. Na szczęście jego towarzysz wykazał się zrozumieniem i dobrotliwym gestem kazał mu zejść z powrotem. Szybko spełnił jego nieme polecenie i odetchnął z ulgą. W porównaniu z tamtym piekłem tu było całkiem znośnie. „Ciekawe, jak jest najwyżej, pod sufitem, gdzie siedziało tych dwóch skromnisiów” – pomyślał. Wolał sobie tego nie wyobrażać.

I tak siedzieli jakiś czas – Fin na górze, on na dole, z dyndającymi mu nad głową fińskimi genitaliami. Starał się nie patrzeć w ich stronę, myślał z wdzięcznością o propozycji ich właściciela. Pojawiła się w odpowiedniej chwili. I tak jak należy – bez żadnych zabiegów, proszenia się. Samo badanie użytkowników telefonii komórkowej – czyli praktycznie całego społeczeństwa – nie wydawało się specjalnie ciekawe, ale raczej łatwe. No i ta forsa: byłby wynagradzany według fińskiej siatki płac. Miło.

Wkrótce jednak znów zaczął odczuwać skutki panującej w saunie temperatury. Pot zaczął lać się z niego strugami. Co chwila zerkał na wiszący nad drzwiami, lekko zaparowany zegar, ale wskazówki przesuwwały się przeraźliwie wolno. Popatrzył z nadzieją na Kuisso, ten jednak tkwił na swojej półce nieruchomo jak posąg i nic nie wskazywało na to, aby w najbliższym czasie miał zamiar z niej schodzić. W końcu Henryk nie wytrzymał, podniósł się i dał Finowi znak, że musi już wyjść. Ten pokręcił

z niezadowolaniem głową, ale również wstał i podążył za nim. „Mam nadzieję, że nie wycofa się ze swojej oferty tylko dlatego, że kiepski ze mnie kompan do sauny” – pomyślał Henryk.

Zaraz po zanurzeniu się w zimnej wodzie profesor znowu zaczął gadać, jakby chciał zaprzeczyć obiegowej opinii o milkiwości Finów. Wątek zawodowy uznał za wyczerpany i szybko przeszedł do wyznań bardziej osobistych. Okazało się, że zakochał się w młodziutkiej stypendystce z Tajwanu i zostawił dla niej żonę, z którą przeżył trzydzieści lat.

– *Poor Sanna – wzdychał – but you know, Henry, love... love is something stronger.* – Sapał przy tym ciężko, jakby jednak męczyło go poczucie winy. – *But what to do?* – pytał retorycznie. – *I love her, she loves me...*

Henryk popatrzył w milczeniu na jego opasy brzuch, unoszący się teraz na powierzchni wody jak napompowany balon i na pokryte zmarszczkami ramiona. Nie bardzo mógł uwierzyć w bezinteresowność uczuć młodej Chinki, ale nic nie powiedział. Nieco też dziwiła go, a nawet trochę krępowała otwartość, z jaką Fin opowiadał mu o prywatnych sprawach. W końcu nie byli przyjaciółmi, widywali się raz na rok na socjologicznych spędach. Przypisywał to wypitemu przedtem przez Kuisso alkoholowi, a także zjawisku, które zaobserwował już w Finlandii: mieszkańcy tego kraju robili się w saunie niesłychanie wylewni, tak jakby rozbierając się, stawali się też gotowi do psychicznego negliżu. W każdym razie nie przerywał mu, kiwał grzecznie głową na znak, że słucha uważnie, a od czasu do czasu wtrącał przeciągłe „yeeee...”. Nic nie komentował, ale Kuisso najwyraźniej tego nie oczekiwał. Chciał się chyba tylko wygadać.

Gdy skończył, popatrzył badawczo na Henryka.

– *And you, Henry – spytał – how’s your life? Everything okay?*

Henryk poczuł, że wypadałoby się teraz odwzajemnić jakąś równie osobistą opowieścią, ale nie miał ochoty na zwierzenia. Skarżyć się na sąsiadów? Fin w ogóle nie rozumiałby problemu. A o swoim kryzysie małżeńskim tym bardziej nie chciał mówić.

– *Okay, I’m not in love with a new girlfriend – odparł z porozumiewawczym uśmiechem. – All the time with the same woman. Justine... You met her. Sometimes we have hard days, but... we are together – zakończył niezbyt poprawnie.*

„Czy jednak na pewno jesteśmy razem – pomyślał – czy już tylko razem mieszkamy?” Nie chciał jednak ciągnąć tego wątku. Nie otwierał się zbyt

łatwo. Pod żadnym względem nie był w saunie Finem. Poza tym historia wymagałaby długiego wstępu, a jemu zaczynało być trochę zimno. Kuisso wydawał się rozczarowany zdawkowością jego odpowiedzi, dorzucił więc jeszcze kilka słów o pozostaniu Agaty za granicą. Fin, którego jeden z synów pracował w Stanach i też nie kwapił się z powrotem do rodzinnego kraju, pokiwał głową ze zrozumieniem. Chwilę wymieniali banalne uwagi o dzieciach, które nie wiadomo kiedy zmieniają się w dorosłych, po czym Kuisso na szczęście zarządził powrót do sauny.

Na szczęście też była to już ostatnia runda. Henryk zajął swoje miejsce na najniższym poziomie, a Fin wdrapał się na górną półkę i patrzył stamtąd na niego z lekkim politowaniem. Wyjaśnił mu więc, że miał pięcioletnią przerwę. Kuisso nie mógł uwierzyć.

– *Five years?! – powtarzał. – Five years you wasn't in a sauna?! –* Na twarzy malowała mu się zgroza.

– *It's not so popular here, in Poland –* odparł nieśmiało.

Fin pokiwał głową, zamyślił się i powiedział surowo:

– *After such a break, you should be even shorter. –* Zaraz też zarządził wyjście.

Po prysznicu ubrali się w szatni i wjechali windą do holu. Mimo że nie stanowił w saunie godnego dla Kuisso towarzystwa, ten nie wydawał się zawiedziony. Jego zaczerwieniona od gorąca twarz promieniowała zadowoleniem, siwy język sterczał zawadiacko, małe oczka śmiały się wesoło. Pożegnali się serdecznie, a Fin obiecał mu, że gdy znowu będzie w Polsce, za dwa tygodnie, dogadają szczegóły współpracy.

Wsiadł do samochodu zostawionego na parkingu hotelowym, przerobionym z podwórka studni, i ruszył do domu. Humor mu się nieco poprawił. Nie da się ukryć, przyjemna niespodzianka. Nie za wiele zmienia w sytuacji ogólnej, ale zawsze coś. Los jest jednak na swój sposób sprawiedliwy: dokopuje, dokopuje, ale potem pogłaszcze po główce. W jakiś, sobie tylko wiadomy sposób próbuje wyrównać rachunki. Przypomniał sobie naiwne życiowe mądrości matki na podobne okazje i pomyślał, że wcale nie były takie głupie. Jednocześnie z zawstydzeniem uświadomił sobie, że dawno nie był na grobie rodziców. „Trzeba będzie pojechać w którąś niedzielę, odsnieżyć”.

Rzadko o nich myślał. Zmarli przecież tak dawno i tak jak żyli – cicho i spokojnie. Kończył pierwszy rok studiów, gdy ojciec, któremu stalinowskie więzienie zniszczyło zdrowie, dostał zawału, pierwszego i jak się okazało,

ostatniego. Matka poszła za nim trzy lata później; zjadł ją nowotwór, którego zaczęła w sobie hodować zaraz po śmierci ojca. Kiedy to było? Dobrze ponad ćwierć wieku temu. Miał prawo już trochę zapomnieć. Ale na cmentarz się wybierze.

Teraz chciał jak najszybciej powiedzieć Justynie o nieoczekiwanej ofercie pracy. Powinna się ucieszyć. Może nawet zaczną ze sobą rozmawiać? Znowu pomyślał z wdzięcznością o Kuisso. Potem zaczął się zastanawiać nad rewolucją, której ten dokonał w swoim życiu. Nie ma co, radykalna decyzja: zostawić żonę i związać się z młodziutką, będącą pewno w wieku jego Agaty dziewczyną... Nie pochwalał tego, ale w jakiś sposób mu to zaimponowało – zaczynać nowe życie w wieku sześćdziesięciu lat! On chyba nie byłby do tego zdolny. Ale czy nie będzie musiał, czy chce tego, czy nie? Co będzie, gdy rzeczywiście rozstaną się z Justyną? Zostanie sam, jak taki typowy, przysłowiowy uczony, otoczony tylko zakurzonymi książkami? Nie, raczej znajdzie sobie kogoś. Nie był stworzony do samotności, praca by mu nie wystarczyła. Tylko że nie byłaby to dwudziestokilkuletnia doktorantka, a raczej ktoś starszy, może nawet w jego wieku.

„Co ty, do cholery, wymyślasz? – skarcił się szybko. – O czym w ogóle mówisz?! Przecież to całe rozstanie jest niemożliwe!” Zaraz opowie Justynie o propozycji Fina, pochwali się, że jego zdolności kredytowe znacznie wzrosną. I to będzie początek długiej rozmowy, podczas której wszystko sobie wyjaśnią. Ich sytuacja się nie zmieni, ale przynajmniej znów będą razem.

Rozmyślając tak przez całą drogę, dojechał do domu. Wyszedł z samochodu otworzyć bramę i usłyszał, jak zza nowo wstawionego okna w kuchni dochodzi stłumiona muzyka. Justyna ostatnio często słuchała płyt otrzymanych od Agaty, jakby w ten sposób chciała podtrzymać kontakt z nieobecną córką. Tym razem, o ile mógł się zorientować, była to symfonia Mahlera. Wracał już do samochodu, gdy nagle usłyszał za sobą szybki tupot na śniegu.

Odruchowo odwrócił głowę. Było ich dwóch. W skąpym świetle latarni zdążył dostrzec, że na twarze mają naciągnięte czarne kominiarki. Musieli zacząć się gdzieś w głębi uliczki albo, co bardziej prawdopodobne, czekali na niego za furtką sąsiada. Ten, który dobiegł do niego pierwszy, zamachnął się i wymierzył mu cios w policzek. Nie zdołał go uniknąć, poczuł tępy ból ogarniający całą twarz i ziemia umknęła mu spod nóg. Zwalił się plecami na

pryzmę śniegu zalegającą pod ogrodzeniem. „Ratunku!” – zdołał krzyknąć, zanim drugi z mężczyzn nie kopnął go w brzuch. Muzyka Mahlera wzniosła się w crescendo, Justyna nie miała szans, aby usłyszeć jego krzyki przez tę ścianę dźwięków. Zmobilizował wszystkie siły i przeturlał się w bok, na drogę, niemal podcinając nogi pierwszemu z napastników. Tamten zachwiał się, zaklął półgłosem, cofnął się o krok i wymierzył mu kopniaka w plecy, ale tak słabego, że właściwie go nie poczuł. „Dobrze, że jestem grubo ubrany” – pomyślał. Drugi z napastników, stojący po przeciwnej stronie, kopnął go w żebra i to uderzenie było znacznie mocniejsze. Pies Kulczyków rozszczękał się wściekle, ale robił to często, więc nikt nie zwróci na to uwagi, pomyślał. Zresztą Kulczyka nie ma – przypomniał sobie – siedzi w Warszawie. Znów dostał kopniaka, tym razem w bok. Nie mógł tak biernie leżeć, stanowił zbyt łatwy cel dla butów zamaskowanych facetów, zaczął więc rozpaczliwie turlać się po pokrytej śniegiem drodze, nie próbując nawet wstać, a tylko zasłaniając instynktownie ramionami głowę i krzycząc „Ratunku!”. Jego głos brzmiał jednak cicho, trudno mu było w tej pozycji i przy takim wysiłku porządnie zaczerpnąć powietrza. W pewnym momencie otrzymał tak potężne kopnięcie, że całkowicie stracił oddech. Znieruchomiał na środku drogi, czekając na kolejne uderzenie. Był teraz zupełnie bezbronny. Londyńska orkiestra symfoniczna wciąż grała, jakby nigdy nic.

W tym momencie usłyszał czyjś głośny kobiecy krzyk dobiegający z głębi uliczki. „Wy łobuzy jedno! Człowieka chcecie zabić?!” To była pani Jadzia. Ten pierwszy zawahał się, chciał mu jeszcze wymierzyć kopniaka na pożegnanie, ale drugi odciągnął go mocnym szarpnięciem za rękaw. Nie odbiegł jednak od razu, najpierw pochylił się nad Henrykiem. Z widocznych w wyciętym w kominiarce otworze ust bił zapach psujących się zębów przemieszany z odorem przetrawionej wódki. Wysyczał mu prosto w twarz: „Jak doniesiesz, to cię dobijemy”, po czym wyprostował się i ruszył pędem w stronę wylotu uliczki. Drugi dołączył do niego. Biegli szybko, ślizgając się po oblodzonej powierzchni. Minęli po chwili panią Jadzię, która natychmiast zeszła im z drogi i oparta plecami o płot Czapskiego, krzyczała za nimi: „Bandyci! Bata na was nie ma!”. Po dobiegnięciu do rogu skręcili w prawo, w Wyszyńskiego. Za chwilę usłyszał odgłos zapuszczanego silnika i szuranie opon obracających się w śniegu. Odjechali.

Unióś się do pozycji siedzącej i jęknął. Całe ciało miał poobijane; bolały go plecy, żebra, coś kłuło w żołądku jak wbijana od środka igła. Czuł, jak

puchnie mu policzek. Z trudem udawało mu się chwytać oddech.

Pani Jadzia podeszła i pochyliła się nad nim.

– Żyje pan?

Uniósł głowę. Brązowa torebka zapinana na klamrę, czarny paltocik z baranka, moherowy beret. Strój wyjściowy. Widocznie wracała z wieczornej mszy, jak zawsze o tej porze.

Przytaknął w milczeniu i posykując z bólu, zaczął się powoli dźwigać na nogi. Chciała mu pomóc, ale odmówił. Dość już dzisiaj dla niego zrobiła.

Wstał, otrzepał się ze śniegu i schylił po czapkę, która mu spadła podczas szamotaniny. A może już po pierwszym ciosie. Wtedy tego nie zauważył ani też nie czuł chłodu spowijającego mu głowę. Teraz, gdy adrenalina opadła, organizm zaczynał reagować normalnie. Wstrząsnął nim dreszcz. Nacisnął kaszkiet na głowę.

– Dziękuję. Gdyby nie pani... – Urwał. Nie musiał kończyć. Oboje wiedzieli, co się mogło stać, gdyby przypadkiem nie przechodziła.

Przypadkiem? Wracała przecież z kościoła, więc właściwie uratowała go jej religijność. Popatrzył na nią trochę innym okiem. Podśmiewali się z niej czasem z Justyną. Z jej dewocji, włączonego na okrągło Radia Maryja, z tego śmiesznego bereciku, a tymczasem gdyby nie ta pobożność... „Tylko mi tu teraz nie popadaj w mistycyzm – upomniał się. – Żadna boska interwencja. Po prostu miałeś fart”. Musiał jednak przyznać, że zachowała się po chrześcijańsku. Na widok bitego człowieka podniosła alarm, spłoszyła napastników. Inni, jak choćby Czapski, dyskretnie by się wycofali, udali, że nie widzą, przeczekali w spokojnym miejscu. Nie miał wątpliwości.

Wymienili kilka uwag o panoszącym się chuligaństwie, po czym jego wybawicielka ruszyła w stronę swojego domku na końcu uliczki. Idąc, mocno przyciskała do piersi staromodną torebkę, jakby się obawiała, że teraz i na nią ktoś może napaść i wyrwać cenny przedmiot. Henryk wsiadł z trudem do stojącego wciąż z włączonym, cicho szumiącym silnikiem samochodu i wjechał na podjazd. Przy wysiadaniu jęknął z bólu. Odezwało się stłuczone żebro. Dopiero teraz zauważył, że od tarzania się w śniegu ma zupełnie przemoczoną kurtkę i spodnie.

Zamykając bramę, zerknął w okna sąsiadów. Były ciemne i zdawały się patrzeć na niego obojętnym wzrokiem. „To nie my – twierdziły. – My nie mamy z tym nic wspólnego”. Sąsiadów nie było, widocznie chcieli mieć alibi. Jakże był naiwny! Myślał, że po powrocie z ferii dadzą im już spokój.

Że ostrzegawcza rozmowa z Muszyńskim – czy w ogóle ją przeprowadził? – poskutkuje. A oni tylko przyczaili się, uspili jego czujność. I znowu zaatakowali.

Gdy wszedł do domu, uderzyła w niego fala muzyki. Spojrzał z irytacją na siedzącą na kanapie Justynę. Nie była to oczywiście jej wina, że go nie słyszała, ale nie mógł powstrzymać irracjonalnej złości. Jego tam tłukli, a ona się delectowała Mahlerem. Trzaśnięcie drzwi jednak usłyszała. Odwróciła głowę. Oczy jej się zrobiły okrągłe, wydała z siebie dziwny odgłos, ni to okrzyk, ni to jęk, i zasłoniła dłonią usta. Musiał wyglądać strasznie.

– Jezus Maria! – krzyknęła, zrywając się z kanapy. Wyłączyła płytę, podeszła do niego szybkim krokiem i dotknęła dłonią zapuchniętego policzka. Syknął i odruchowo odchylił głowę.

– Co ci się stało?!

Opowiedział jej w kilku zdaniach, co się wydarzyło. Słuchała z szeroko otwartymi oczami. I z każdym jego słowem wyglądała na bardziej przerażoną.

– O Jezu... – jęknęła, gdy skończył. Pomogła mu zdjąć mokrą kurtkę i posadziła na krześle. – Może wezwać pogotowie?

Pokręcił przecząco głową.

– Nie, nie. Nie trzeba.

– Lepiej, żeby cię przebadali – upierała się.

– Mówię ci, że nie trzeba – odpowiedział ostrzej, niż zamierzał. Nie chciał tu żadnych lekarzy. Aż tak źle się nie czuł. Przynajmniej fizycznie.

– Na pewno?

Kiwnął ze zniecierpliwieniem głową. Kazała mu zostać na miejscu, po czym pobiegła do apteczki w łazience, skąd po chwili wróciła z miseczką ciepłej wody, ściereczką i tacką z jakimiś medykamentami. On w tym czasie zdążył ściągnąć przesiąknięte zimną wodą spodnie. Siedział teraz w samych gatkach i gapił się przez okno. W głowie miał pustkę.

Zaczęła delikatnie obmywać mu opuchniętą twarz. Gdy patrzył na nią, skupioną całkowicie na tej czynności, czuł, że wszystko złe, co stało się między nimi, rozpuszcza się teraz jak lód wrzucony do kominka, a niewidoczna ściana znika. Kwestia ewentualnego rozstania wydała się nagle zupełną abstrakcją, jakimś głupim żartem. Znów byli razem, miał absolutną pewność, nie trzeba było żadnych wstępnych rozmów, przeprosin, tłumaczeń. „Ci dwaj bandyci uratowali moje małżeństwo” – pomyślał.

– I tak pod samym domem? – spytała.

Kiwnął głową.

– Nie ruszaj się – upomniała go, gdyż wskutek tego odruchowego gestu płyn, którym przecierała mu policzki, dostał mu się do oka. Zapiekło. Zrobiła krótką przerwę, po czym wróciła do obmywania obolałej twarzy. Po chwili skończyła i wyprostowała się, jakby chcąc ocenić efekt swoich zabiegów.

Poprawił się na krześle i natychmiast syknął z bólu. Znow ten lewy bok. Czyżby miał pęknięte żebro?

Pomyślała chyba o tym samym.

– Może cię jednak zawiozę na pogotowie? Przy okazji zrobisz sobie obdukcję.

Wzruszył ramionami.

– Po co?

Nie odpowiedziała. Podeszła do lodówki, otworzyła jednorazową foremkę z kostkami lodu i wrzuciła je do plastikowej torebki. Zagrzechotały w środku, gdy mu ją podawała.

– Przyłóż sobie – powiedziała, a gdy to zrobił, wróciła do tematu. – Choćby po to, żeby zgłosić to potem na policji.

Wybuchnął śmiechem.

– Policji? Ty chyba żartujesz. Nie słyszałaś, co mi powiedzieli na pożegnanie? Jeszcze mi życie miłe.

Popatrzyła na niego przeciągle.

– Więc co, zostawisz to tak, jak jest?

– Nie – odparł. – Inaczej to załatwię.

– Jak?

Wzruszył ramionami. Lodowy okład piekł jak ogień. Zmrażał rękę i twarz. Ale pomagał.

– Po prostu... inaczej – odpowiedział. Nie wiedział dokładnie jak, ale był pewny, że tego już nie odpuści. Że coś zrobi, choć żadnego konkretnego pomysłu nie miał.

Popatrzyła na niego, ale nic nie powiedziała. On też nic jej nie powiedział o niespodziance, jaką mu sprawił Kuisso. Jakoś wyleciało mu to z głowy.

Czuł to już wtedy. I potem, gdy biorąc prysznic, oglądał swoje potłuczone i posiniaczone ciało. I teraz, gdy obudził się w środku nocy, zapewne pod

wpływem bólu, który pulsował w jego lewym boku. Czuł po prostu, że jakaś granica została przekroczona.

Przewrócił się na prawy bok i choć uczynił to powoli i ostrożnie, ból po drugiej stronie ciała odezwał się ze zdwojoną siłą. Stłumił jęk, aby nie obudzić Justyny. Spała na wznak, z półotwartymi ustami, lekko pochrapując, a jej profil rysował się niewyraźnie na tle ciemnego okna. Obiecał, że pójdzie rano do Kubicy, ale zrobił to tylko dla świętego spokoju. Teraz był już jednak pewien, że wizyta u lekarza rzeczywiście będzie potrzebna. Żebra mogły być uszkodzone. Ból był zbyt silny, żeby mogło go wywołać zwykłe stłuczenie. Ale i tak był niczym wobec innego bólu, który zalegał mu na piersiach ciężkim kamieniem. Przywalał go jak wielki głaz. I nie można go było zrzucić.

Czuł się sponiewierany. Zbrukany. Upokorzony. To ostatnie chyba było najgorsze. „Nic się nie stało – powtarzał sobie. – Tylko cię pobili. Tysiącom ludzi na całym świecie się to dziś przytrafiło”. Nic to jednak nie pomagało. Ból, który w nim zaległ, był bezrozumny, jakby pierwotny, rodzący się w tych ciemnych zakamarkach jego umysłu, które formowały się w dzikich, jaskiniowych czasach. Tkwił korzeniami za głęboko, aby można było do niego dotrzeć i wyrwać jak ropiejący ząb. A jednocześnie z jakimś masochistycznym upodobaniem wciąż przypominał sobie całą scenę, jakby przesuwając przed oczami film, klatka po klatce. Odtwarzał pierwszy, decydujący cios, każdy późniejszy kopniak, dotyk śniegu, obrzydliwy zapach z ust tamtego, gdy wypluwał mu w twarz pogróżki. Ledwo skończył, zaczął od początku. Nie mógł przestać, to było silniejsze od niego.

Żeby przerwać tę upiorną projekcję, wstał po cichu z łóżka i poszedł do łazienki. Zapalił światło i poczuł ulgę. Natrętne wspomnienie zniknęło, zupełnie jakby wampir umknął przed słońcem. Otworzył apteczkę i wyjął opakowanie paracetamolu. To była już trzecia tabletką tej nocy i gdy ją przełknął, poczuł mdłości. Szybko odkręcił kran, pochylił się nad nim i długo, łapczywie pił wodę. Ustąpiły.

Wrócił do sypialni i starając się nie obudzić Justyny, wsunął się obok niej pod kołdrę. W miejsce bólu wszedł teraz gwałtownie gniew, gniew i wściekłość. Z masochisty zmienił się w sadystę. Wyobrażał sobie, jak nagle podrywa się ze śniegu, widzi zdumione oczy napastników, dwoma dobrze mierzonymi ciosami powala ich na ziemię i zaczyna kopać, kopać, kopać, w głowę, w brzuch, po twarzy i po nerkach, aż tracą przytomność

i nieruchomieją na środku ośnieżonej, skropionej krwią uliczki. A potem to samo robi z sąsiadem. Idzie do niego, tamten otwiera drzwi, niczego się nie spodziewając, on łapie go za koszulę pod szyją, przyciąga do siebie i jednocześnie uderza go z główki, tamten pada na kolana, powoli osuwa się na podłogę, a on zaczyna go kopać, kopać, kopać bez litości. Aż poczuł gorąco na tę myśl.

Jeszcze przez chwilę upajał się krwawymi wizjami, aż w końcu oprzytomniał. I natychmiast zawstydził się tych dziecinnych rojeń. On, poważny, dorosły człowiek wraca mentalnie do szkoły podstawowej, gdy wszystkie spory na korytarzu i boisku rozstrzygało się za pomocą pięści... Potrząsnął głową. Co za gówniarskie, kretyńskie fantazje! Czuł jednak, że tym razem tego nie może tak zostawić.

Powoli pogrążył się w sen. Jakaś niewyraźna myśl zamajaczyła w głębinach, ale nim zdążył ją chwycić, odpłynęła. Nie podążył za nią, zasnął.

Obudził się dopiero po dziewiątej. Łóżko po drugiej stronie było puste. Justyna już dawno musiała pojechać do pracy, a on spał z rana tak mocno, że nawet nie usłyszał, jak wstawała. Wciąż czuł się kompletnie rozbity. Żałował, że nie ma jej obok. Chciałby wtulić się w jej duże, ciepłe ciało i tak już zostać.

W tej sytuacji nie pozostawało mu jednak nic innego niż wstanie. Miał zresztą co robić. Kubica, wizyta u pani Jadzi, której chciał podziękować, zajęcia na uniwersytecie o dwunastej. Krótki pakiet zwyczajnych spraw, które świata nie zbawiają, ale dają poczucie, że robi się coś konkretnego i pożytecznego. Poza tym wiedział, że samotne wylegiwanie się w ten pochmurny zimowy poranek tylko pogorszy jego podły nastrój.

Zaczął od przychodni. Nie spodziewał się wprawdzie żadnej niepokojącej diagnozy, ale wolał się jednak upewnić.

Kolejka ciągnęła się przez cały korytarz. Okularnica w recepcji powiedziała mu z satysfakcją w głosie, że numerki skończyły się o ósmej rano. Chciał już zrezygnować, ale na szczęście Kubica akurat wychodził do ubikacji, zauważył go i natychmiast zaprosił do gabinetu. Kolejka niemrawo zaprotestowała, ale lekarz kompletnie to zignorował. Mógł sobie pozwolić na takie arbitralne i niedemokratyczne poczynania – był tu Bogiem, pacjenci go

uwielbiali. Szmerek niezadowolenia był więc cichutki i nieśmiały.

– U państwa to się ostatnio dużo dzieje – stwierdził, gdy Henryk usiadł po drugiej stronie polakierowanego na biało biurka. Zerknął na jego opuchnięty policzek. – Najpierw pańska żona z kolanem, teraz pan. To co to się stało, panie profesorze?

Opowiedział mu o napadzie pod domem, nie wdając się w szczegóły. Kubica słuchał go, kręcąc głową z oburzeniem i niedowierzaniem. Grabówek nie był szczególnie bezpieczną miejscowością, ale takie wydarzenia były tu rzadkością.

– Dziw, że nie ukradziono panu samochodu – skomentował, gdy Henryk skończył swoją krótką relację. Po czym spojrzał na niego bystro: – Ale rozumiem, że nie o to im chodziło?

Potwierdził skinieniem głowy. Nie chciał rozwijać tematu. Kubica zresztą nie czekał na odpowiedź, kazał mu się rozebrać za parawanem i ułożył go na pokrytej ceratą leżance. Mrużąc pod nosem o cholernych łobuzach, przystąpił do badania.

Trwało długo, bo lekarz był dokładny i skrupulatny. Obejrzał go, osłuchał, obmacał brzuch i klatkę piersiową. Na koniec oznajmił, że obrażeń wewnętrznych nie stwierdził, ale na wszelki wypadek polecił zrobić rentgen i wrócić ze zdjęciem. Wypisał skierowanie. Na szczęście do znajdującej się na końcu korytarza pracowni nie było żadnej kolejki. Zresztą Kubica by go pewnie wprowadził.

Ubrał się za parawanem, zrobił zdjęcie, po czym, żeby nie tracić czasu na jałowe czekanie na wynik rentgena, postanowił pojechać do kwiaciarni. Kupił pięć pąsowych róż.

Czekał na zdjęcie jeszcze dziesięć minut i gdy wszedł z nim do gabinetu, kolejka już się nie burzyła. Kubica przypiął klisze do podświetlonego ekranu i przez chwilę oglądał.

– W porządku. Złamania nie ma – stwierdził krótko. I dodał: – Ale i tak proszę nie szaleć.

Henryk zachnął się lekko. Akurat to mu było w głowie.

Stary lekarz udzielił mu jeszcze kilku innych, dokładniejszych rad, a potem wręczył protokół obdukcji, który, nieproszony, wypisał zaraz po jego badaniu. Henryk wziął zapisaną kaligraficznym pismem kartkę, podziękował, ale wiedział, że z niego nie skorzysta.

Kubica dał mu jeszcze recepty na jakieś cudowne maści i spytał

o zwolnienie. Henryk podziękował. Miał dużo zajęć ze studentami, a za dwa dni była obrona Jaweckiego, nie mógł nie przyjść. Poza tym nie chciał siedzieć sam w domu.

– Zajęty pan profesor – skomentował mrukliwie Kubica. Miał wyraźnie ochotę na krótką pogawędkę, ale Henryk pamiętał o niecierpliwiącej się kolejce za drzwiami i nie chciał przeciągać wizyty. Podziękował mu więc po raz kolejny i szybko wyszedł. Kolejka odprowadziła go niechętnymi spojrzeniami.

Podjechał pod dom pani Jadzi, wyciągnął z samochodu bukiet. Ten wyraz wdzięczności wydawał mu się jakiś niewspółmiernie skromny – kilka roślinek za uratowanie życia? – ale nie miał bardziej oryginalnego pomysłu. Przecież nie kupił jej nowego radia do słuchania toruńskiej rozgłośni!

Zadzwoił, wszedł. Pani Jadzia wydawała się zupełnie zaskoczona, a gdy dziękował jej wylewnie za przepłoszenie napastników, machała tylko ręką i powtarzała: „A nie ma za co, nie ma za co”. Bukiet jednak przyjęła i widać było, że jest bardzo zadowolona. Jeszcze w obecności Henryka włożyła go do wazonu i postawiła na środku stołu. „Czasem niewiele trzeba, żeby zrobić ludziom przyjemność” – pomyślał.

Wycofał samochód, zaparkował na podjeździe i wyszedł. Bramy nie opłacało się już zamykać. I w tym momencie zauważył mijającego ją sąsiada. Szedł różnym krokiem z reklamówką w ręku, w której pobrzękiwały butelki z piwem. Odwrócił głowę w jego stronę, przystanął, przyjrzał mu się z uśmiechem.

– A co to się stało sąsiadowi? – spytał z fałszywą troską w głosie. – Przewrócił się sąsiad? Trzeba uważać, trzeba uważać...

I ruszył dalej, pogwizdując. Henryk poczuł, że krew napływa mu do głowy. Przez moment chciał się za nim rzucić, kopnąć mocno w tyłek, ale zanim się zdecydował, tamten otworzył już furtkę i zniknął za płotem.

I wtedy coś się w nim przełamało. Jeśli miał jakieś wahania i wątpliwości, to teraz zniknęły. Myśl, która niewyraźnie zamajaczyła w nocy, nabrała wyraźnego, realnego kształtu. Już wiedział, co robi.

Wszedł do domu, wyjął portfel z kieszeni kurtki, odszukał wizytówkę i jeszcze przed wyjazdem na uczelnię zatelefonował.

Jego przeciwsłoneczne okulary, które zabrał ze sobą na uniwersytet, aby nie

straszyć studentów swoją twarzą, bardzo ich zaintrygowały. Widząc ich pytające spojrzenia, opowiedział bajeczkę, że poślizgnął się pod domem i przewrócił. Chyba mu nie uwierzyli, a jeden z nich mrugnął do swojego sąsiada, co miało znaczyć: „Nieźle sobie wczoraj profesor przygazował!”.

Przyjął to obojętnie. Po telefonie poczuł pewną ulgę, ale nastrój wciąż miał fatalny. Nie zmienił mu się, gdy wrócił do domu, mimo że Justyna była dla niego czuła i troskliwa. Nie wspominała już o rozstaniu, jakby w ogóle nie było tej, dramatycznej w końcu, rozmowy. Starła się go nawet rozchmurzyć, ale podobnie jak wtedy, gdy sytuacja była odwrotna, dużo to nie dało.

Rozmawiali tego dnia niewiele. Trochę o jego zapuchniętej twarzy (pod okiem zrobił mu się siniec), wynikach rentgena, wizycie u Kubicy, kwiatkach dla pani Jadzi, pacjentach Justyny. O spryciarzu Średnickim, którego pochmurna twarz mignęła mu na ekranie telewizora w popołudniowym programie informacyjnym. Jak głosił podpis na dole ekranu, został właśnie dyrektorem departamentu w Ministerstwie Nauki i Szkolnictwa Wyższego. Wkrótce po programie Henryk otrzymał esemesa od Witka: „Widziałeś? Teraz da nam popalić”. Nie odpowiedział. W tej chwili było to jego ostatnie zmartwienie.

No i o propozycji Kuisso, o której sobie przypomniał. Justyna bardzo się ożywiła, ale on był tak do wszystkiego zniechęcony, że nawet nie chciał dłużej o niej mówić. Temat wyprowadzki też zniknął – agencje zresztą milczały i nie dawały im pretekstu. Justyna taktownie nie wypytywała go, co zamierza teraz robić. I tak nie mógłby jej powiedzieć. Może kiedyś. Fakt, że potajemnie zrobił pewien krok, również jakoś nie poprawiał mu nastroju. Zasypiał uspokojony wprawdzie, że żebra ma całe, ale był tak samo zdołowany, jak poprzedniego dnia.

Nazajutrz od rana był straszny mróz. Takiego jeszcze nie było tej zimy. Minus dwadzieścia siedem stopni. Clio Justyny nie chciało odpalić, silnik cicho pojękiwał i Henryk musiał podciągnąć kabel od akumulatora toyoty, która szczęśliwie spędziła noc w garażu. Powietrze aż zatykało, ale przynajmniej pogoda była piękna, jak zwykle przy ruskim wyżu. Słońce świeciło tak ostro, że letnie okulary Henryka, służące do zamaskowania sińca, wcale go nie chroniły. Powietrze było czyste jak kryształ. Wszystko stało się jakiejś wyraźne. Mimo to nastrój od poprzedniego dnia wcale mu się

nie poprawił. Tyle że musiał się zmobilizować, bo po południu czekała go obrona pracy Jaweckiego. Nie chciał obnosić się przed kolegami z ponurą twarzą. Wystarczy, że miał zapuchniętą. Siniak pod okiem rósł.

Oczywiście mimo ciemnych szkieł wszyscy go zauważyli. Gdy Henryk przyjechał do instytutu i wszedł z bohaterskim uśmiechem do sali, gdzie o piątej miała się zacząć obrona, rzucili się do niego z pytaniami: a co? a jak? a gdzie? Zbył ich wymyśloną wcześniej bajeczką o nieszczęśliwym upadku. Profesor Socha przyglądał mu się podejrzliwie.

Próbował potem, zgodnie z przewidywaniami, zagiąć Jaweckiego, ale mu się nie udało. Obrona wypadła świetnie, drażał był znakomicie przygotowany i bez trudu odpierał jego zarzuty. Słuchając klarownych, spokojnych odpowiedzi swojego asystenta, Henryk po raz pierwszy od kilku dni uśmiechnął się z zadowoleniem. Prawdziwym, nie udawanym. Ich konsultacje i próby generalne nie poszły na marne. Pozostali recenzenci nie zgłaszali zastrzeżeń, końcowy werdykt był więc tylko formalnością.

Po obronie poszli grupą około dziesięciu osób na kolację do włoskiej restauracji, tej samej, gdzie był na pożegnalnym obiedzie z Agatą. Jawecki zarezerwował tam duży stół. Profesor Socha też wybrał się z nimi; znany był z tego, że nie przepuszczał żadnej okazji do darmowego wyszynku. Zmarznięte towarzystwo szybko zaczęło rozgrzewać się wódką, zwłaszcza bohater wieczoru, Jawecki. Henryk nie pił. Wracał samochodem, poza tym chciał swoją obowiązkową obecność skrócić do minimum. Mimo sukcesu doktoranta nie był w nastroju do zabawy. Czuł też, że w przyciemnionej sali wygląda idiotycznie w tych swoich przeciwsłonecznych okularach. Po godzinie, widząc, że zasilana alkoholowym paliwem reszta gości odjeżdża już za daleko, wymknął się do szatni.

Jawecki usiłował go zatrzymać, ale wobec stanowczości Henryka zrezygnował. Odprowadził go do szatni, całą drogę wylewnie mu dziękując. W szatni znów nie chciał go puścić, nawet wtedy, gdy Henrykowi, ubranemu już w puchówkę, zaczęło się robić gorąco, prawie jak w saunie z Kuisso. Trzymał go mocno za ramię, wciąż zapewniając o swojej wielkiej wdzięczności. W oczach lśniły mu łzy pijackiego wzruszenia. Siwy szatniarz obserwował scenę z kamienną twarzą. Nie takie rzeczy tu widział.

W końcu Henrykowi udało się od niego uwolnić. Wyszedł przed budynek BUW-u. Mróz trzymał. Na zewnątrz było zapewne z minus dwadzieścia kilka stopni. Z ust buchały mu kłęby pary i powoli rozchodziły się w powietrzu

ostrym jak brzytwa. Szybkim krokiem poszedł na Karową, gdzie zaparkował auto. Toyota odpaliła bez problemu. Po pół godzinie był już w Grabówku.

Justyny nie było. Wyszła na koncert do Akademii Muzycznej. Chciała się wyrwać z domu. Rozumiał to. Podkręcił gaz w piecu i poszedł do sypialni. Schował się pod kołdrą z kryminałem Mankella i czytał do zaśnięcia.

Mróz wciąż nie ustępował i wszystko wokół uległo jakiemuś spowolnieniu, jakby zahibernował ludzi i sprawy. Nic się nie działo i nic się nie zmieniało. Może tylko trochę nastrój mu się poprawił. Uruchomił się zbawienny mechanizm zapominania. Udana obrona Jaweckiego też miała na to wpływ. No i świadomość, że coś tym razem jednak zrobił.

Wracał w piątek po zajęciach na uniwersytecie, zadowolony z zaczynającego się weekendu. Następnego dnia miał zamiar zabrać Justynę na spacer (pogoda wciąż była cudna), może zaprosić w niedzielę do restauracji, gdy jednak skręcił w swoją uliczkę, jego dobry humor prysł. Dostrzegł stojący pod domem sąsiadów, a właściwie pod ich częścią, policyjny samochód, znany mu już granatowy passat. Poczul lekki niepokój.

Zachowywał się jednak zwyczajnie, według wyuczonego od lat algorytmu: podjechał pod dom, wysiadł i otworzył bramę. Kątem oka zauważył, że kierowca passata, palący w uchylonym oknie papierosa, przygląda mu się w bocznym lusterku. Udał, że tego nie widzi, wjechał na podjazd, zgasił silnik, otworzył pilotem garaż. Wszedł do środka i poczuł zapach przygotowywanego obiadu. Zmysły miał wyostrzone, ale działał jak automat.

Justyna pochylała się nad kuchenką, mieszając drewnianą łopatką w pyrkoczącym rondelku z sosem. Ucałowała go na powitanie w policzek i cofnąwszy się o krok, przyjrzała się uważnie jego poobijanej twarzy. „Już lepiej” – stwierdziła. Kiwnął głową i poszedł do przedpokoju się rozebrać. Ściągając z siebie kolejne, nałożone na cebulkę warstwy ubrań, spytał ją o policyjny radiowóz. Tak, zauważyła go, ale nie zaprzętała sobie nim głowy. „I tak dziwne, że tak rzadko się tu zjawiają” – powiedziała.

Nie skomentował jej słów. Umył ręce i usiadł do stołu. Czekając, aż skończy szykowanie obiadu, usłyszał nagle dziwny odgłos dochodzący zza ściany. Ledwo było go słyszeć, ale jakoś się przedostawał. Był inny od tych, do których się przyzwyczaili. Przypominał wycie psa. Justyna znieruchomiała z rondelkiem w ręku i spojrzała na niego pytająco. Wzruszył

ramionami. Oboje zaczęli wsłuchiwać się w to opadający, to wznoszący się dźwięk. I dopiero po chwili zorientowali się, że jest to po prostu płacz. Płakała sąsiadka.

– Może gdzieś narozrabiał i biorą go do aresztu – skomentowała Justyna. W jej głosie nie było współczucia. – Wolisz makaron czy ryż?

Nie odpowiedział. Myślał o czymś zupełnie innym i treść pytania do niego nie dotarła. Jego niepokój rósł. Miał przeczucie, że wydarzyło się coś złego. Coś bardzo złego. Żona spojrzała na niego ze zdziwieniem i powtórzyła pytanie. Nie zdążył odpowiedzieć, ponieważ ktoś zadzwonił do furtki.

Justyna wyjrzała przez okno.

– To ten komisarz, jak mu tam, Muszyński – powiedziała z niechęcią. Wciąż mu pamiętała.

Wstał, otworzył furtkę, potem drzwi. Masywna sylwetka Muszyńskiego odcinała się wyraźnie na tle ciemniejszego nieba. Henryk cofnął się o krok, serce zaczęło mu mocno walić. Bał się, że policjant je usłyszy.

Komisarz skinął głową na powitanie, spoglądając z zaciekawieniem na jego podbite oko.

– Dzień dobry.

– Dzień dobry – odparł niepewnie Henryk. Serce waliło coraz mocniej.

– Można? – spytał grzecznościowo policjant.

– To nie jest odpowiedni moment – odezwała się z kuchni Justyna. – Jemy obiad.

– Ja tylko na moment – obiecał Muszyński i zwrócił się wprost do Henryka. Chciałem panu zadać kilka pytań. Zupełnie nieformalnie. Korzystając po prostu z tego, że byłem obok.

– Proszę... – odparł z wysiłkiem Henryk, wskazując mu wieszak.

Policjant szybko zdjął skórzaną kurtkę, której pozostał wierny mimo wściekłych mrozów, powiesił ją i obciągnął energicznie gruby sweter.

– Coś tam się stało? – Henryk nie mógł powstrzymać się od pytania, wskazując mu krzesło.

Justyna stała na środku kuchni z rondlem w ręku i mierzyła mężczyznę niechętnym wzrokiem. Udawał, że tego nie widzi. Usiadł za stołem i dopiero wtedy odpowiedział:

– Tak... Można tak powiedzieć. Państwa sąsiad nie żyje. Znalezione go dziś rano w Warszawie.

Henrykowi zrobiło się ciemno przed oczami, miał wrażenie, że podłoga

otwiera się pod nim, a on sam leci gdzieś w dół. Poczuł słabość w kolanach i usiadł szybko naprzeciwko policjanta. W uszach głośno zatętniła mu krew. Patrzył na Muszyńskiego w milczeniu, nie mogąc wykrztusić z siebie słowa. Bał się, że zdradzi go drżenie głosu.

Na szczęście Justyna przyszła mu w sukurs. Odstawiła garnek na kuchenkę i podeszła do stołu, przypatrując się policjantowi z niedowierzaniem.

– Jak to? A co mu się stało?

– Zamarzł – odparł policjant krótko.

Henryk odetchnął z ulgą. A więc to tylko wypadek. Co za szczęście. Upił się na mieście, zasnął, mróz był ostry, dalej wiadomo.

Muszyński wydawał się czytać w jego myślach.

– Tak, oczywiście miał we krwi alkohol... – potwierdził. I dodał natychmiast, pozbawiając go złudzeń: – ...ale nie aż tyle. Ktoś go przedtem pobił. I to porządnie, tak że stracił przytomność i... – Rozłożył bezradnie ręce. – No cóż... Państwo sami najlepiej wiecie, że nie był aniołkiem. Mógł się z kimś pokłócić po wódce, nawet z kimś przypadkowym.

Znów zrobiło mu się ciemno przed oczami. Więc jednak... Justyna rzuciła mu szybkie spojrzenie, jakby zachęcała go do zadania oczywistego pytania, ale ponieważ nie zdradzał ochoty, zrobiła to sama.

– No dobrze, ale co my mamy z tym wspólnego?

Komisarz nie odpowiedział od razu, tylko przeniósł wzrok na Henryka. Zrobił przy tym minę, która oznaczała: „koniec miłych pogaduszek, teraz przystępujemy do właściwej rozmowy”.

– Pan był jedną z tych osób, z którą miał na pieńku – rzucił, mierząc go uważnym spojrzeniem.

Henryk przełknął ślinę, ale nim zdążył odpowiedzieć, wtrąciła się Justyna.

– No chyba pan żartuje! – zawołała z oburzeniem. – Podejrzewa pan mojego męża, że zabił tego łobuza? To już jakaś paranoja.

Policjant zasłonił się rękami w obronnym geście.

– Nie, nie. Skąd znowu – zapewnił gorliwie. – To czysta formalność. Naprawdę. – Wyciągnął notes i odwrócił się do Henryka. – Gdzie pan był wczoraj wieczorem? Tak między ósmą a dziesiątą.

Justyna sapnęła z oburzeniem, ale tym razem już się nie wtrąciła. Henryk zmobilizował się, aby brzmieć normalnie.

– Na oblewaniu doktoratu mojego asystenta – odparł. Poszło całkiem dobrze.

Policjant z nieprzeniknioną twarzą zapisał coś w notesie.

– Ktoś może to potwierdzić? – indagował dalej.

Henryk wzruszył ramionami.

– Około piętnastu osób – odparł swobodnie. Odzyskiwał pewność siebie. Alibi miał żelazne.

– A gdzie się to odbywało? – nie ustępował Muszyński.

– W restauracji w bibliotece uniwersyteckiej.

Policjant znów zanotował.

– O której pan stamtąd wyszedł?

Henryk zastanawiał się przez chwilę.

– Około dziewiątej.

W oku policjanta błysnęła podejrzliwość.

– Wcześniej – stwierdził beznamiętnym tonem.

Henryk wzruszył ramionami.

– Nie czułem się najlepiej.

Policjant przyjrzał mu się uważnie, ale nic nie powiedział. Zamknął notes, wstał, starannie odstawił krzesło od stołu.

– Dziękuję, to już mi wystarczy – powiedział, idąc do przedpokoju. Zdjął kurtkę z wieszaka. – Przepraszam, że państwu przeszkodziłem w posiłku. Taki mam jednak obowiązek, żeby wszystko sprawdzać.

Zaciągnął z ostrym wizgiem zamek błyskawiczny i podszedł do drzwi. Naciskał już klamkę, gdy nagle odwrócił się i popatrzył badawczo na Henryka.

– A co właściwie stało się panu w policzek?

Henrykowi zrobiło się gorąco.

– Przewróciłem się... – wyjąkał. Nic więcej nie zdołał powiedzieć.

Policjant patrzył na niego w milczeniu. Twarz miał nieprzeniknioną.

– Taaak... – odparł przeciągle. – Ślisko się zrobiło. To do widzenia.

Wyszedł, dokładnie zamykając za sobą drzwi. Henryk głośno odetchnął z ulgą. Justyna rzuciła mu krótkie, zdziwione spojrzenie, chciała coś powiedzieć, ale się rozmyśliła. Podeszła do kuchni i zaczęła nakładać makaron na talerze. Już się go nie pytała, co woli. Ale jedzenie było ostatnią rzeczą, o jakiej myślał. Wiedział, że nic nie przełknie – w miejscu żołądka miał twardą gulę. Teraz chciał przede wszystkim znaleźć swoją komórkę, która, jak zwykle w takich sytuacjach, gdzieś się zapodziała. Nerwowo przetrząsał kieszenie kurtki. Justyna, odwrócona tyłem, nie widziała jego

gorączkowych poszukiwań. Polewała spaghetti sosem.

– Dziwne... – odezwała się jakby do siebie.

– Co? – spytał machinalnie, przechodząc szybko do dużego pokoju. Może ją zostawił na stoliku?

– Powinno być mi jej żal. A nic nie czuję – odparła w zamyśleniu.

Dokończyła nakładanie jedzenia i z dwoma parującymi talerzami ruszyła w stronę stołu. Popatrzyła ze zdziwieniem na Henryka, który nie znalazłszy komórki na stoliku, miotał się teraz po przedpokoju.

– Co ty taki zdenerwowany? Już wcześniej zauważyłam.

„Mam nadzieję, że Muszyński nie był równie spostrzegawczy” – pomyślał. „A w ogóle dlaczego zgodziłem się na to nieformalne przesłuchanie? Można było odmówić”. Wreszcie znalazł: była w teczce, pewnie włożył ją tam po wykładzie. Sięgnął do kieszeni marynarki po portfel, wyjął wizytówkę. W głowie krążyło mu na okrągło jedno zdanie: „To nie tak miało być, to nie tak miało być”.

– Gdzie chcesz dzwonić? Wystygnie – zaprotestowała Justyna. Patrzyła na niego coraz bardziej zdumionymi oczami.

– Do znajomego – rzucił na odczepnego.

Wszedł szybko po schodach, wybierając po drodze numer. Nikt jednak nie odbierał. Henryk ścisnął mocno aparat, jakby liczył na to, że w ten sposób wymusi połączenie, ale nic nie pomogło. Nie odzywała się nawet poczta głosowa. Po prostu sygnał w pewnej chwili się urwał i zastąpiła go krótka melodyjka: ta-da-di, ta-da-da...

Poczuł nagły przypływ panicznego strachu, żołądek podjechał mu w górę jak szybkobieżna winda. Popędził do łazienki. Nie zapalał światła, wpadł do środka i szybko uchylił klapę sedesu. Otworzył usta, ale nie miał czym wymiotować i zaczęło nim spazmatycznie rzucać nad czekającą cierpliwie muszlą. Z ust wysunęła mu się długa nitka śliny. Odplunął ją z obrzydzeniem.

Wreszcie puste torsje ustąpiły. Wyprostował się, spuścił odruchowo wodę i zapalił lampkę nad umywalką. Widok w lustrze był straszny: twarz miał w kolorze surowego mięsa, oczy przekrwione, jakby płakał, w kąciку ust zakrzepł strzępek śluzu. Mył się długo, ale gdy przed wyjściem jeszcze raz zerknął w lustro, poprawa była nieznaczna.

Powoli zszedł na dół. Justyna siedziała przy stole, nad nietkniętym daniem, i przypatrywała mu się badawczo.

– Rozumiem, że nie będziesz nic jadł – ni to spytała, ni to stwierdziła. W głosie wyczuł lekki sarkazm. Musiała słyszeć.

Pokręcił przecząco głową i opadł ciężko na krzesło. Czuł się wyczerpany, jak po długim biegu. Nie spuszczała z niego wzroku.

– Słuchaj – odezwała się wreszcie. – To może mi wreszcie powiesz, co się dzieje? Zachowujesz się dziwnie. Czy... czy to możliwe, żebyś miał z tym coś wspólnego? – W jej głosie słychać było napięcie połączone z niedowierzaniem.

Schował twarz w dłoniach. Jak miał jej to wytłumaczyć?

– To nie tak miało być – powiedział po chwili z wysiłkiem. – Oni mieli go tylko postraszyć. Tylko postraszyć.

W jej wzroku pojawił się lęk.

– O czym ty mówisz?! Jacy oni? – spytała nerwowo.

Opowiedział jej wszystko. O tym, jak spotkał pod domem sąsiada i ten z niego zadrwił. I o tym, jak wtedy dojrzał w nim już wcześniej snujący mu się po głowie pomysł. Jak znalazł wizytówkę kolegi ze szkoły, jak zadzwonił do niego, jak się umówili w kawiarni w centrum i jak poprosił go o pomoc.

– On od razu zrozumiał, o co mi chodzi – ciągnął bezbarwnym, matowym głosem. „W porządku – powiedział – moi chłopcy namierzą go i trochę poturbują. I wytłumaczą za co. Tak nie wprost, żeby nie miał z czym iść na psiarnię, ale na tyle jasno, żeby zrozumiał. Będziesz miał z nim spokój”. Wzdrygnął się na brzmienie ostatnich słów. Miał spokój – nie ma co! Uniósł głowę. Twarz Justyny nic nie wyrażała, jakby była wykuta z jasnego kamienia.

– Oni nie mieli go zabić, rozumiesz? – zakończył z wysiłkiem, jakby przed chwilą przepłynął morze. – Tylko go postraszyć, tylko postraszyć.

Patrzyła na niego w milczeniu. Wyglądała, jakby mu nie wierzyła. A on, choć wszystko jej szczerze wyznał, nie czuł żadnej ulgi. Żaden kamień nie spadł mu z serca. Podniósł się nagle z krzesła.

– Muszę jechać – rzucił, sprawdzając, czy w kieszeni ma kluczyki do samochodu.

– Dokąd? – spytała.

– Do niego. Do Grzegorza. Nie mogę się dodzwonić. – Zaczął się pośpiesznie ubierać.

Patrzyła na niego w milczeniu. Wciąż nie tknęła jedzenia.

– Chyba lepiej by było, żebyś nigdzie nie jechał w takim stanie –

stwierdziła po chwili.

„Rozsądna w każdych okolicznościach. Niezależnie od sytuacji”. Nic nie odpowiedział.

Naciągnął rękawiczki. Czy na rękach miał krew? Nie, to tylko cień od lampy w przedpokoju. Potrząsnął głową.

– Muszę – powtórzył. – Chcę się dowiedzieć, co się tam dokładnie stało. Może to jednak nie oni. Może to tylko przypadek. Muszę wiedzieć.

Nie zatrzymywała go już. Wyszedł przez garaż, wsiadł do samochodu i włączył silnik. Policyjnego passata już na uliczce nie było.

Jechał szybko. Nawierzchnia była sucha i o tej porze ruch w kierunku Warszawy był niewielki – wszyscy jechali w drugą stronę, wracali z pracy. Od czasu do czasu zerkał we wsteczne lustro, aby się upewnić, czy nikt go nie śledzi. Wkrótce uznał, że to zbytek ostrożności. Muszyńskiemu zapewne nawet nie przyszłoby to do głowy.

Co pewien czas dzwonił też do Grzegorza. Na przemian na komórkę i na numer jego sekretariatu w firmie deweloperskiej, ale z takim samym rezultatem. „A mówił, że pracuje po dwanaście godzin” – pomyślał z irytacją, tyle że pod tym drugim telefonem włączała się dwujęzyczna sekretarka automatyczna. Trudno jednak, żeby nagrywał się, dzwoniąc w **takiej** sprawie. Co miał powiedzieć? „Słuchaj, czy to aby nie ci twoi chłopcy załatwili mojego sąsiada?”

Po cichu liczył na to, że gdy w końcu się z nim skontaktuje, usłyszy odpowiedź przeczącą. Bo to rzeczywiście mógł być przypadek. Rzucił to Justynie na odczepnego, ale istniała jednak szansa, że to prawda. Mogło się tak zdarzyć, że kto inny dał mu w łeb, choć było to raczej mało prawdopodobne. Tak czy inaczej, chciał wiedzieć. Chciał mieć pewność. Ale pewność mógł uzyskać tylko w bezpośredniej rozmowie.

Z zamyślenia wyrwał go wściekły wrzask klaksonów. Nadjeżdżający z lewa i z prawa kierowcy trąbili na niego, wygrażali pięściami i stukali się w czoło. Zorientował się, że wjechał na skrzyżowanie w Straszewie na czerwonym świetle. Przydepnął gaz, żeby z niego jak najprędzej zjechać, i o mało co nie wpadł na starszego mężczyznę, przechodzącego na pasach, który szczęśliwie w ostatniej chwili się zatrzymał i krzyknął coś za nim ze złością.

Po przejechaniu kilkudziesięciu metrów skręcił w zatoczkę autobusową, zatrzymał się i włączył światła awaryjne. Musiał ochłonać, jeżeli miał dojechać cało i nie spowodować po drodze wypadku.

„Tylko gdzie ja właściwie jadę – pomyślał. – Nie wiem przecież, gdzie ten cholerny Grzegorz mieszka”.

Jedynym punktem zaczepienia był adres firmy deweloperskiej na wizytówce, ale tam nikt nie odbierał telefonu, możliwe więc, że wszyscy się już zmyli. Był w końcu piątek. Nie miał jednak wyboru. Tylko tam mógł zastać jakąś zbłąkaną duszę, jakąś zostającą po godzinach pracoholiczkę, jakiegoś marudera z niższego personelu – i zasięgnąć języka. To było jedyne wyjście. Ale czy ktokolwiek udzieli mu takiej poufnej informacji?

Uchylił okno, by wpuścić do środka samochodu ostre, mroźne powietrze. „Powietrze morderca, powietrze zabójca” – przemknęło mu przez głowę. Przez chwilę siedział, głęboko oddychając, starając się o niczym nie myśleć i tylko zerkając co pewien czas we wsteczne lusterko, czy nie nadjeżdża podmiejski autobus. Już zamierzał ruszyć, gdy w kieszeni zaćwierkała mu komórka. Sięgnął po nią błyskawicznie jak rewolwerowiec po broń.

– Co tak sraczkujesz? – odezwał się Grzegorz leniwym głosem. Nie wydawał się przejęty ani zdenerwowany, co najwyżej poirytowany.

Henryk się ucieszył. A więc błąkanie się po omacku będzie mu oszczędzone. I choć głos Grzegorza nie brzmiał zachęcająco, spytał, czy mogliby się spotkać. Starał się mówić spokojnie, jakby nie chodziło o nic specjalnie ważnego, i używać ogólnikowych sformułowań, bo przyszło mu do głowy, że jego szkolny kolega może mieć telefon na podsłuchu. Ten po chwili wahania zgodził się, choć czuło się, że bez entuzjazmu, tylko aby mieć go z głowy. Okazało się, że właśnie dojechał do swojego domu w Izabelinie. Podał Henrykowi adres i objaśnił trasę.

Skierował się w stronę Bielan. Krótka rozmowa z Grzegorzem i jego obojętny, beznamiętny głos odrobinę go uspokoiły. Może rzeczywiście z tym sąsiadem to tylko przypadek i kto inny go pobił? Uczepił się tej myśli, choć bardziej prawdopodobne było to, że Mizak po prostu nie wie, co się stało. Skręcił w Żeromskiego i po dwudziestu minutach dotarł do Izabelina. Był tam całkiem niedawno z Justyną, kiedy rozglądali się za domem, ale odstraszyły ich ceny.

Ulica, przy której mieszkał jego dawny kolega, znajdowała się na peryferiach tej snobistycznej miejscowości. Zadrzewione posesje były tu

rozleglejsze niż w centrum, a domy większe i bardziej od siebie oddalone. Ten, który należał do Grzegorza, stał za murem z jasnej cegły, ale nawet to wysokie ogrodzenie nie było w stanie ukryć jego imponujących rozmiarów. Henryk podjechał pod kutą bramę i przez stalowe pręty zerknął w głąb działki. Było stąd widać dom w całej okazałości: wprawdzie tylko dwupiętrowy, ale szeroki jak pałac i rzęście podświetlony, jakby ktoś zapomniał zgasić bożonarodzeniową iluminację. Wsiadł z samochodu, nie wyłączając silnika, podszedł do niewielkiej tabliczki znajdującej się z boku bramy i przycisnął złocisty guzik. Stał przez chwilę, słysząc nad głową obracającą się w jego stronę kamerę. Po chwili brama cicho szczęknęła i zaczęła się bezszelestnie uchylać. Uznał to za zaproszenie. Wsiadł z powrotem do samochodu i nieśpiesznie wjechał na teren posesji. Po prawej stronie, tuż za bramą, stała niewielka budka, w jej oknie mignęła mu blada twarz ochroniarza. Czy to nie był Myszka Miki, ten sam, który chciał go wtedy pobić za obraźliwe słowa? Nie był pewien. Przejechał kilkadziesiąt metrów szeroką, starannie uprzątniętą ze śniegu alejką i zatrzymał się na okrągłym placu pod samym domem. Z boku otaczały go wysokie sosny, świerki i modrzewie. Jeśli był tu jakiś ogród, to musiał się znajdować po drugiej stronie.

Wsiadł z samochodu i rozejrzał się z ciekawością: wśród jego znajomych nikt nie miał takiej willi, nikt nawet o takiej nie marzył. Po obu stronach placu rozmieszczono symetrycznie dwa szerokie reflektory, z których biło ku górze białe, mocne jak na stadionie piłkarskim światło. Z tyłu, w głębokim cieniu, stała czarna terenówka, którą pamiętał z pierwszego spotkania z Grzegorzem w Starczewie. „Boże, co bym dał, żeby do niego wtedy nie doszło” – pomyślał. Zatrzasnął drzwiczki toyoty, co w panującej wokół ciszy zabrzmiało jak wystrzał z pistoletu. Ogromny dom wydawał się pusty i tylko w kilku oknach na parterze paliło się światło. Ruszył w jego kierunku, słysząc pod stopami dziwny chrzęst. Gdy spojrzął pod nogi, stwierdził, że cały podjazd został wysypany drobnym żwirkiem, podobnym do tego, który Witek używał do kociej kuwety. „Nie ma obaw, aby ktoś się tu poślizgnął” – pomyślał. Wspiął się po kamiennych schodach na otoczony kolumnami portyk, stanął przed potężnymi drzwiami i nacisnął mosiężny dzwonek. W środku w odpowiedzi rozległa się jakaś wesoła, elektroniczna melodyjka. „Ciekawe, czy jest tu kamerdyner” – pomyślał. Była to głupia, złośliwa myśl, ale wygląd domu i jego otoczenia uzasadniały takie skojarzenie. Wcale by się

nie zdziwił, gdyby po otwarciu drzwi stanął przed nim starszy, siwy pan, z bokobrodami i w obcisłym surducie.

Drzwi otworzył jednak nie kamerdyner, lecz sam Grzegorz, ubrany w luźne, domowe spodnie i purpurową bonzurkę. Nie przywitał się z Henrykiem, tylko niedbałym gestem nakazał mu wejść do środka. Bez słowa też wskazał mu wieszak, na którym wisiało kilka kosztownych okryć, w tym srebrzyste futro z szynszyli – znak, że w domu przebywa kobieta. Niezrażony mało gościnnym przyjęciem Henryk rozejrzał się po obszernym holu, z podniebnym sufitem, kryształowym żyrandolem w kształcie pająka, krętymi schodami prowadzącymi na piętro i posadzką z marmurowych płyt. Kapiące takim niegustownym bogactwem wnętrza widział przedtem tylko na amerykańskich filmach gangsterskich. Mimo ogromnej powierzchni w domu było bardzo ciepło.

Gdy zdejmował puchówkę i dołączał ją do małej kolekcji płaszczy, kozuchów i futer, przy których prezentowała się wyjątkowo marnie, gdzieś z boku otworzyły się drzwi i wybiegła zza nich może dwunastoletnia dziewczynka. Miała umorusaną jedzeniem buzię, wystającą, nadmiernie rozwiniętą szczękę, rumiane policzki i małe, skośne oczy typowe dla dzieci z zespołem Downa. Wyglądała bardzo sympatycznie, więc Henryk odruchowo uśmiechnął się do niej. Nie odpowiedziała na jego uśmiech, tylko przystanęła i włożywszy palec do ust, zaczęła mu się przyglądać. Na jej widok Grzegorz zeszytniał, chciał coś powiedzieć, nim jednak zdążył się odezwać, z tego samego pomieszczenia wybiegła mocno zbudowana kobieta w średnim wieku i chwyciła małą za rękę. Zgromił ją wzrokiem.

– Przepraszam – wyjąkała zmieszana. – Uciekła mi.

Pochyliła się nad dziewczynką i szepcząc jej coś do ucha, próbowała zabrać ją z powrotem, chyba na kolację. Ta jednak zaparła się nóżkami w białych rajstopach, powiedziała coś, czego Henryk nie zrozumiał, i dalej nie spuszczała z niego oczu. Grzegorz westchnął ciężko.

– Marcysiu, idź do swojego pokoju. My musimy teraz z panem porozmawiać – powiedział łagodnie. W jego głosie była czułość, o którą Henryk by go nie podejrzewał.

Dziewczynka w końcu posłuchała i trzymając opiekunkę za rękę, pozwoliła odprowadzić się do kuchni. Po drodze jeszcze dwukrotnie obejrzała się za siebie i przyjrzała się Henrykowi. „Chyba rzadko bywają tu goście – pomyślał. – Zupełnie jak u nas”.

Grzegorz kiwnął na niego niecierpliwie i ruszył w stronę obitych skórą drzwi na końcu korytarza. Dywan, po którym szli, ugiął się pod stopami jak mech.

– To z drugiego małżeństwa – rzucił za siebie, nie odwracając głowy. – Mam jeszcze dwójkę starszych, ale oni są już na swoim – dodał natychmiast, jakby chcąc podkreślić, że tym dwóm pozostałym, nieobecnym, nic nie jest, że wszystko z nimi w **porządku**.

Henryk nie odpowiedział. Trudno mu było rozmawiać z plecami. Jego szkolny kolega jakby to wyczuł i zwolnił kroku.

– A ty masz dzieci? – spytał, gdy Henryk się z nim zrównał.

– Tak, też córkę – odparł.

Mizak przyjął tę wiadomość obojętnie, otworzył grube jak kołdra drzwi, przepuścił Henryka przodem i wszedł za nim do gabinetu, ale w chwili gdy się w nim znaleźli, zaszła w nim raptowna zmiana. Jego kordialna uprzejmość zniknęła, tak jakby w tym odizolowanym od reszty domu pokoju obowiązywały już inne prawa, a on sam stawał się innym człowiekiem. Oko błysnęło gniewnie.

– Na chuj tak wydzwaniałeś? – spytał z irytacją w głosie.

Henryk zaczerwienił się, poczuł się jak zbesztany uczeń.

– Chciałem się z tobą skontaktować... – wyjąkał. – Uznałem, że po tym, co się stało...

– A co się stało? – Grzegorz przerwał mu ostro. Zabrzmiało to jak szczeknięcie.

Nie czekając na odpowiedź, wskazał mu fotel, a sam otworzył barek ukryty w ciężkim regale w biedermeierowskim stylu.

Henryk usiadł. Czy to możliwe, żeby nie wiedział? Może w takim razie nie ma z tym nic wspólnego? Wstąpiła w niego nadzieja.

Grzegorz wyjął z barku butelkę markowej whisky i popatrzył pytająco na Henryka, który pokręcił przecząco głową i zrobił gest, jakby obracał kierownicą. Gospodarz wzruszył ramionami, nalał sobie bursztynowego płynu do masywnej, kryształowej szklancy i zajął miejsce w fotelu naprzeciwko niego. Pociągnął łyk z głośnym siorbnięciem i odstawił ciężkie naczynie na szklany blat stolika. Ten mebel ich łączył, u nich stał podobny.

– No wal – powiedział, rozsiadając się wygodniej. – Wody niestety nie mam. Nie uznaję.

„Szkoda – pomyślał Henryk. – Bardzo by się przydała”. Nie powiedział

jednak tego na głos. Poprawił się w fotelu i zaczął mu opowiadać o wizycie policjanta i o tym, czego się od niego dowiedział.

Mizak słuchał go z obojętną miną, co pewien czas pociągając whisky, której ubywało w szybkim tempie, a gdy Henryk skończył, nie wydawał się specjalnie przejęty.

– Jednego śmiecia mniej na świecie – skomentował tym samym, co wcześniej, beznamiętnym tonem. Ale zaraz głos mu stwardniał. – Tym bardziej nie powinienes tak do mnie wydzwaniać. Nikt nie powinien w ogóle wiedzieć, że się znamy.

Henryk przymknął oczy. A więc to koniec. Ostatnia szansa przepadła. To jednak on, a właściwie jego „chłopcy”. I w tej sytuacji Grzegorz miał rację, nie powinien był do niego telefonować. W swoim własnym interesie. W końcu wszystkie połączenia się billinguje. Dzwoniąc, zostawił ślad. Gorzej – sam podsunął policji ewentualny trop. Ale cóż, nie był przecież doświadczonym przestępcą.

Nie zamierzał się jednak teraz kajać z tego powodu. Ani też milczeć. Może i popełnił błąd, ale był to drobiazg w porównaniu z tym, co zrobił jego szkolny kolega.

– Nie tak się umawialiśmy – powiedział z twardością w głosie, która go samego zaskoczyła.

Grzegorz pokiwał głową i pociągnął łyk whisky.

– No tak – przyznał z westchnieniem. – Chłopcy trochę przedobrzyli.

Henryk aż zatrzęsł się z oburzenia.

– Przedobrzyli!?! Zabili człowieka! – krzyknął. Teraz rozumiał, dlaczego gabinet był wyciszony. Tego rodzaju rozmowy – a zapewne częściej były tu prowadzone – nie powinny wydostawać się na zewnątrz.

Mizak nie oburzył się, że ktoś podnosi na niego głos w jego domu. Wydawał się nawet nieco stropiony, ale biczować się też nie zamierzał.

– Nie oni go zabili, tylko mróz – odparł spokojnie. – Prawie trzydzieści stopni w nocy było.

– Przestań! – krzyknął znowu Henryk. Był tak zdenerwowany, że głos mu się załamywał. – Nie udawaj, że nie rozumiesz, o co mi chodzi!

Grzegorz popatrzył na niego z rozbawieniem.

– Co ty, Heniu, taki nerwowy się zrobiłeś? W szkole taki nie byłeś.

Henryk chciał wrzasnąć, że w szkole nie zdarzyło im się zabić człowieka, ale uznał, że to nie ma sensu. Opadł bezsilnie na fotel.

Mizak spoważniał. Pociągnął kolejny łyk whisky i z niezadowoleniem starł palcem kółeczko, jakie powstało na blacie stolika.

– Wiem, wiem... – odparł. – Chłopcy przyłożyli mu trochę za mocno. Ale myśleli pewno, że zaraz wstanie, otrzepie się i pójdzie. Skąd mogli przewidzieć, że tam zostanie... – Rozłożył bezradnie ręce.

Henryk tak mniej więcej sobie tę scenę wyobrażał, ale gdy usłyszał ten suchy, rzeczowy opis, przeszedł go dreszcz. Dopiero teraz dotarło do niego, co się stało. Schował twarz w dłoniach.

– Jezus Maria... – jęknął.

Grzegorz popatrzył na niego z pobłażaniem.

– A co ty się nim tak przejmujesz? Sam przecież mówiłeś, że to skurwysyn, że żonę bije, dziecko posuwa, własnego syna! – W jego głosie pojawiła się nuta oburzenia. – Już nie żałuj go tak bardzo.

Henryk nic już nie powiedział. Tłumaczenie nie miałyby sensu. Byli istotami pochodzącymi z dwu różnych planet. Jemu trudno byłoby kogoś uderzyć, a dla Mizaka uśmiercenie kogoś wydawało się czymś najzupełniej dopuszczalnym, usprawiedliwionym i w niektórych okolicznościach właściwie chwalebny. Jak mogli się porozumieć? Jak to w ogóle możliwe, że żyli na jednym świecie?

– Właściwie to powinieneś mi podziękować – kontynuował niezrażony jego milczeniem Grzegorz. – Masz go z głowy. Nic ci już nie zrobi. Nie naśle na ciebie żadnych opryszków, nie będzie ci tłukł szyb, nie będzie hałasować.

Nie mógł tego słuchać. Poderwał się od stolika, zaczepiając o jego krawędź. Resztki whisky zafalowała w szklance i kilka kropli spadło na blat.

– Przestań! – wrzasnął. – Nie o to cię prosiłem!

Mizak zerknął z niezadowoleniem na stolik, po czym uniósł wzrok i popatrzył na niego spokojnie. Westchnął i pokręcił głową.

– Ej, inteligenci, inteligenci... – powiedział z żartobliwą przyganą. – Sami nie wiecie, czego chcecie. Proponuje się wam proste, jasne rozwiązania i też jesteście niezadowoleni.

Jego słowa nagle zelektryzowały Henryka. Przez głowę przemknęła mu straszna myśl.

– Zaraz... – Nachylił się do swojego rozmówcy. – Nie chcesz chyba powiedzieć, że ci twoi chłopcy... – wymówił to słowo z obrzydzeniem – zrobili to celowo?

Grzegorz spoważniał.

– Nie, nie, żartuję. To nie było planowane – wyjaśnił rzeczowo. Zamyślił się na moment. – Ale jak się zastanowić, to nawet lepiej, że tak się stało. Sprawa załatwiona definitywnie. A tak, to nigdy nie wiadomo...

– Nie mów tak! – Henryk znów podniósł głos. – Nawet tak nie żartuj! – „Co to za straszny człowiek – pomyślał. – Zabił człowieka, a teraz sobie dowcipkuje”.

Straszny człowiek popatrzył na niego kpiąco.

– Spokojnie, Heniu... – odezwał się leniwie. – Nie denerwuj się tak. Boisz się, że coś z tego będzie? Nie bój się. Nikt ich nie widział. Żadnych świadków. Poza tym... jakby co, to moi chłopcy nigdy mnie nie sypną. Ja ciebie też nie. Możesz być spokojny.

– Spokojny... – powtórzył szyderczo. Nie wiedział, czy śmiać się, czy płakać.

Tymczasem Mizak dalej ciągnął swój wywód:

– No. – Kiwnął głową. – Nie wyda się. Nie ma prawa. Psy w sprawach takich meneli niespecjalnie się przykładają. Oni w ogóle mało się przykładają, nie zauważyłeś? Za dwa tygodnie śledztwo będzie umorzone, mogę się założyć. – Dopił whisky, odstawił szklanekę i przyjrzał się uważnie Henrykowi.

– Heniu... – zwrócił się do niego z uśmiechem, ale oczy pozostały twarde, nieruchome, badawcze. – Mam tylko nadzieję, że nie przyjdzie ci do głowy... no wiesz... iść na psiarnię...

Henryk popatrzył na niego chłodno.

– Nie myślałem jeszcze o tym – odparł krótko. Niech choć trochę się zaniepokoi ten bezwzględny, pewny siebie skurwysyn.

Tamten jednak nie wydawał się zaniepokojony, tylko w niebieskich oczach pojawił się krótki błysk. Dopiero teraz Henryk zauważył, że mają wyjątkowo jasny odcień, jakby ich błękit rozcieńczała woda.

– To lepiej nie myśl – stwierdził leniwie. – Po co? Wiesz, jaki byłby skandal? Profesor uniwersytetu zamieszany w sprawę zabójstwa... Wprawdzie nieumyślnego, ale jednak zabójstwa. A może jednak umyślnego? Motyw w końcu był. Kto wie, może nawet by cię posadzili? A więzienia byś nie przeżył, gwarantuję ci. Mam tam swoich ludzi...

W głosie zabrzmiała nieukrywana groźba. Henrykowi znów przeszedł po plecach dreszcz. Nie odważył się nic odpowiedzieć.

Mizak uśmiechnął się nieoczekiwanie.

– No, tak na wszelki wypadek mówię – dodał uspokajająco. – Bo takim jak ty różne dziwne pomysły wpadają do głowy. Że w ten sposób uspokoisz sumienie, że spotka cię sprawiedliwa kara, że to, że śmo... A że przy okazji mnie pociągniesz ze sobą, to cię już nie interesuje. – W jego głosie zabrzmiał wyrzut. – Ale mnie się w końcu nic nie stanie, gwarantuję ci to. Więc ci tak tylko mówię, żebyś tego nie robił. Nikomu nic dobrego z tego nie przyjdzie. Jedź do domu, walnij sobie lufę i idź spać. A rano nie myśl za dużo. Wszystkie nieszczęścia na tym świecie biorą się z tego, że ludzie za dużo myślą – zakończył z zadumą.

Po tych słowach podniósł się z fotela. Był to wyraźny sygnał, że rozmowa została zakończona. Henryk pokiwał głową w milczeniu i również wstał.

Grzegorz jeszcze przez chwilę nad czymś się zastanawiał.

– Szkoda, że już się nie spotkamy – odezwał się w końcu. – Powspominalibyśmy stare czasy. No, ale w tej sytuacji... lepiej jednak nie.

Henryk nic nie odpowiedział – było to przecież oczywiste, a i w innych okolicznościach chyba nie miałby na takie spotkanie ochoty – i ruszył w stronę drzwi. Jego szkolny kolega podążył za nim. Teraz on z kolei trzymał się z tyłu. Idąc przez długie, jak w hotelu, korytarze, Henryk czuł się trochę nieswojo – nie było to przyjemne mieć tego niebezpiecznego, bezwzględniego człowieka za plecami. Być może też sprawiła to panująca w domu nienaturalna cisza. Słyszeć było tylko tłumione przez miękki dywan kroki.

Gdy dotarli już do holu, a Henryk sięgnął po puchówkę, na piętrze trzasnęły głośno drzwi. Uniósł odruchowo głowę i zobaczył kobietę stojącą chwiejnie u szczytu wysokich schodów. Na szczęście opierała się o szeroką balustradę. Miała około trzydziestu kilku lat, ładną, ale nieco zapuchniętą twarz, częściowo zasłoniętą nieuczesanymi, ciemnymi włosami. Była ubrana w jedwabny, półprzezroczysty szlafrok, pod którym rysował się kontur proporcjonalnie zbudowanego ciała i ciemniała plama włosów na podbrzuszu. W swoich lepszych latach musiała być bardzo atrakcyjna. Teraz wydawała się mocno zaniedbana. I bardzo pijana.

– Kto to jest? – spytała rozmazanym głosem.

– Nieważne. Wracaj do siebie – rzucił Grzegorz ostrym tonem, otwierając jakiś skomplikowany zamek w drzwiach wejściowych.

Nie było powodu dłużej tam przebywać. Henryk zapiął kurtkę, ukłonił się sztywno kobiecie, skinął głową Grzegorzowi i wyszedł. Kątem oka zdążył jeszcze zarejestrować wyraz ulgi na twarzy Mizaka.

Na dworze mróz był jeszcze ostrzejszy. Henryk opatulił się ciaśniej, ale i tak czuł chłód przenikający przez grubą warstwę puchu. „Nic dziwnego, że tamten zamarzł, jeśli wczoraj było podobnie” – przemknęło mu przez głowę. Wsiadł do stojącego na jasno oświetlonym podjeździe samochodu, włączył na pełny regulator ogrzewanie i skierował się w stronę mającej w oddali bramy. Świecił księżyc. Wysokie sosny rzucały cienie na szeroką aleję, którą powoli jechał. Brama uchyliła się dopiero wtedy, gdy się do niej zbliżył. Siedzący w wartowniczej budce ochroniarz odprowadził go wzrokiem, ale Henryk wciąż nie był pewien, czy to Myszka Miki. Skręcił w pustą, uśpioną uliczkę i ruszył w stronę Warszawy.

Gdy jechał przez ścięte mrozem, wymarłe miasto, ogarniało go coraz silniejsze poczucie zagrożenia. Właściwie dopiero teraz dotarło do niego, jakie to wszystko może mieć dla niego konsekwencje. W pewnym momencie zaczął się trząść – fale dreszczy przelatywały mu przez ciało, szły po plecach z góry na dół i znów zaczynały wspinaczkę ku górze, aż pod kark. Czyżbym coś przy okazji złapał? Jakąś infekcję, grypę, cholera wie co. Stres mógł wyzwolić chorobę. Oderwał prawą rękę od kierownicy, zębami ściągnął rękawiczkę i przytknął dłoń do czoła. Nie, nie miał gorączki. Dopiero po chwili zorientował się, że to krążąca w jego krwi adrenalina.

Wszystko, co mijał po drodze – domy, latarnie, inne samochody, nieliczni przechodnie – zdawało się go atakować. Domy waliły się pod swoim ciężarem i przygniatały jego samochód. Inne auta skręcały w ostatniej chwili i zderzały się z nim, latarnie przewracały się na maskę, piesi rzucali mu się pod koła. Wszystko i wszyscy zwracali się przeciwko niemu. „To tylko paranoja, ostry atak paranoi” – przekonywał sam siebie, ale na niewiele się to zdało.

Marzył tylko o jednym: jak najszybciej dotrzeć do domu, zamknąć się w nim na wszystkie zamki świata, usiąść w ciepłe i światło. Gdyby mógł, toby się teleportował. Niestety, praw fizyki nie udawało się oszukać i choć na ulicach prawie nie było ruchu, to i tak powrót z Izabelina zajął mu całą godzinę. I była to jedna z najdłuższych godzin w jego życiu.

Zatrzymał samochód na rogu Wyszyńskiego, wysiadł i ostrożnie zajrzał w głąb uliczki, czy przypadkiem pod ich domem nie stoi granatowy passat. Uliczka była jednak pusta. Wracając do toyoty, pokręcił głową nad własną

głupotą. Co mu przychodziło z tego, że jako statystyk umiał szacować prawdopodobieństwo zdarzeń? Co z tego, że wiedział, iż ryzyko pojawienia się policji było znikome? Nie panował nad wyobraźnią, robiła z nim, co chciała.

Jego własny dom wydawał mu się po wizycie w pałacu Grzegorza bardzo mały, jakby skurczył się, skulił się w sobie. Parkując na podjeździe, zerknął w okna sąsiadów – były puste i ciemne, patrzyły na niego oskarżycielsko. Wzdrygnął się i szybko wszedł przez garaż do środka. Dopiero tu odetchnął.

W domu było cicho. Nie tak, jak u Grzegorza, gdzie to wrażenie potęgował ogrom wnętrza, ale podobnie. Nie o taką ciszę im jednak chodziło, gdy zaczynali walkę z hałasem. Ta była przytłaczająca, **martwa**. Rozebrał się i wszedł do pokoju telewizyjnego.

Justyna uniosła się z kanapy, mrużąc śmiesznie oczami. Pewnie zdrzemnęła się przed telewizorem. „Ma nerwy – pomyślał z niechętnym podziwem. – Nawet w takiej sytuacji potrafi zasnąć”. Obok kanapy stał pusty kubek po herbacie albo ziółkach.

– Cześć – mruknął.

– Cześć.

Podszedł do barku i wyjął butelkę whisky. Tę samą, którą napoczął po nieszczęsnej kolacji zapoznawczej z sąsiadami. Kiedy to było? Wydawało mu się, że minęły już lata, a przecież upłynęły niecałe dwa miesiące.

Nalał sobie dużą porcję do szklanki i usiadł w fotelu. „Korespondencyjne picie z Grzegorzem – pomyślał – tylko moja szkocka dziesięć razy tańsza”. Pociągnął duży łyk, czując, jak po jego ciele rozlewa się przyjemne ciepło.

Justyna nie spuszczała z niego wzroku, czekała. Powoli zaczął mówić.

Opowiedział jej przebieg wizyty u Grzegorza i streścił ich rozmowę. Pamiętał ją dokładnie, każde słowo – aż się zdziwił. Nie wspomniał tylko o chorej córeczce – to nie miało znaczenia, tłumaczyło jednak łatwość, z jaką jego szkolny kolega potrafił mścić się na świecie, który – jak zapewne uważał – strasznie go skrzywdził. Było to oczywiście bzdurą, bo koleżanka Justyny, ta, która chodziła z nią na koncerty, też miała córeczkę z zespołem Downa, wychowywała ją samotnie i Henryk nie widział szczęśliwszej rodziny – pogodniejszej matki i weselszego dziecka. Z Mizakiem jednak było inaczej. Kochał małą, ale jej upośledzenie traktował jako policzek od losu, strasliwą niesprawiedliwość. Tylko co to miało teraz za znaczenie?

Justyna słuchała uważnie, nie przerywając mu żadnymi pytaniami. Gdy

skończył, pokręciła z niedowierzaniem głową.

– Jak ty mogłeś?

– Niby co? – zdenerwował się. Nie takiej reakcji oczekiwał.

Chyba to wyczuła, bo natychmiast się wycofała.

– Nic, nic... Nieważne.

Popatrzył na nią niechętnie.

– Jak mogłem szukać u kogoś takiego pomocy? O to chciałaś mnie spytać?

Nie odpowiedziała, ale wiedział, że właśnie o to jej chodziło. Problem polegał jednak na tym, że nie umiałby na to pytanie odpowiedzieć. Bo chciał się zemścić za pobicie pod domem? Bo nie chciał czuć się ciągle bezbronny? Bo chciał zademonstrować, że za nim też ktoś stoi, ktoś **silny**?

– Nie wiem – przyznał. – I nawet mnie to już nie obchodzi.

To była prawda. Teraz interesowało go tylko, jak będzie z tym żył. Jak będzie żył ze świadomością, że zabił człowieka. A w każdym razie do jego śmierci się przyczynił. Poruszył pierwszą kostkę domina, potem już poleciało. Gdy jednak powiedział to Justynie, wzruszyła tylko ramionami, jakby pytanie było dziecinne, a odpowiedź oczywista.

– Normalnie – stwierdziła ze spokojem, który go właściwie zaszokował. – Najpierw będzie cię dręczyło poczucie winy, potem będzie coraz słabsze, aż w końcu zapomnisz, że coś takiego się wydarzyło.

Nie mógł uwierzyć własnym uszom. Przedstawiła to tak rzeczowo i beznamiętnie, jakby chodziło o wychodzenie z choroby. Jakby był **prypadkiem**.

– Nie, nie. – Potrząsnął głową. – Tego nie zapomnę.

– Zapomnisz, zapomnisz. – Justyna mówiła do niego łagodnie jak do dziecka. – Wszyscy zapominamy i dzięki temu możemy żyć dalej.

Popatrzył na nią z niedowierzaniem. Nie bardzo rozumiał, o co jej właściwie chodzi. Chce go w ten sposób pocieszyć, podtrzymać na duchu? Trochę to było za naiwne.

– Zresztą, nie wiń się tak – dodała po chwili, jakby chciała potwierdzić jego przypuszczenie.

Tego już było za wiele.

– No j... jak to? – zająknął się. – W końcu jestem za to odpowiedzialny. Ode mnie się to wszystko zaczęło.

Machnęła ręką.

– To prawda. Ale na końcu był nieszczęśliwy wypadek – odparła

bagatelizująco. – Po prostu nieszczęśliwy wypadek. Bo ani te opryszki od twojego kolegi tego nie chciały, ani on sam, ani tym bardziej ty.

Nie mógł wyjść ze zdumienia. Czy to była ta sama Justyna, ta wrażliwa, będąca czystą empatią Justyna, która potrafiła przejąć się losem nieznajomych osób, jeśli przydarzyło im się nieszczęście? A teraz przyjmowała śmierć sąsiada i cierpienia jego żony z kompletną obojętnością. Aż tak zależli jej za skórę? Aż tak ich znienawidziła?

– No tak – przyznał bez przekonania. – Ale gdybym nie zadzwonił wtedy do Grzegorza, to on...

– Równie dobrze mógł sam zasnąć po pijanemu – przerwała mu.

No nie, takiej logiki nie mógł zaakceptować, to już była czysta demagogia. Poczł nagłe rozdrażnienie.

– Przecież sama nie wierzysz w to, co mówisz.

Nic nie odpowiedziała. Wzruszyła tylko ramionami i zapatrzyła się w ciemność za oknem. „Co za głupia rozmowa – pomyślał. – Wszystko odwrócone. Ja się oskarżam, ona mnie broni. Rozgrzesza właściwie”.

– Albo nie – odezwał się po chwili. – Mówisz jak psychoterapeutka do pacjenta. Jakbyś wciąż była w pracy.

Uśmiechnęła się lekko.

– Może i masz rację.

– Ale ja nie jestem dzieckiem! – krzyknął z nieoczekiwaną złością. – Jestem już dużym chłopcem. Więc proszę cię...

Ogarnęło go nagłe zmęczenie. Nie chciał już ciągnąć tej rozmowy. Doceniał, że próbowała go pocieszyć, tylko że on nie potrzebował pocieszenia. Przeciwnie, w jakiś perwersyjny sposób chciał czuć się winny. Poza tym, choć miała dobre intencje, podejrzewał, że nie mówi tego wszystkiego szczerze. Niefrasobliwość, lekkość, z jaką to wszystko potraktowała, wydawała mu się sztuczna. A gdyby jednak była autentyczna? Gdyby ten spokojny pragmatyzm, ten przerażająco zdrowy rozsądek był prawdziwy? To by znaczyło, że nie znał swojej żony. I nie był wcale pewien, czy chce ją taką znać.

– Idź już do łóżka – powiedział ciężko. – Chcę być teraz sam.

Popatrzyła na niego badawczo. Też mu nie dowierzała.

– Dobrze – powiedziała po chwili.

Wstała i zabrawszy pusty kubek, wstąpiła jeszcze do kuchni. Usłyszał szum wody w zlewie. „Porządek przede wszystkim – pomyślał. – Niezależnie od

okoliczności”. Po chwili zakręciła kran, zgasiła światło i poszła po schodach na górę. Wsłuchiwał się w jej szybkie, energiczne kroki, potem w odgłos otwieranych drzwi do łazienki. Został sam, tak jak sobie życzył.

Nalał sobie jeszcze whisky do szklanki, rozsiadł się wygodnie w fotelu i myślał o tej dziwnej rozmowie. Obojętność, z jaką odniosła się do śmierci sąsiada, była czymś, co nie mieściło mu się w głowie. Obojętność? To było nawet coś więcej. Wydawała się wręcz zadowolona, jakby Pyzik był po prostu kłopotem, którego się właśnie pozbyli. „Nie, nie. – Potrząsnął głową. – Teraz już przesadziłeś. To niemożliwe. Nie Justyna”.

Swoją drogą, co za niespodzianka. Spodziewał się, że gdy wszystko jej wyjawii, ona popatrzy na niego z przerażeniem i zawoła histerycznym głosem: „Jesteś mordercą! Masz krew na rękach!”. Albo: „Jak mogłeś prosić o pomoc gangstera? Zabiłeś człowieka! Nie chcę cię znać!”. Była przecież taka pryncypialna i czasem powaga, z jaką traktowała życie, działała mu na nerwy. A teraz proszę: pełny luz, przyzwolenie, bagatelizowanie. Niewiele brakowało, a by mu zaśpiewała: „Nic się nie stało. Henryku, nic się nie stało”.

Nic się nie stało... Kurwa! Co się mogło stać gorszego?

Może jednak udawała? Przed nim i dla niego. Być może w środku, w głębi duszy go potępiała, ale zdawała sobie sprawę, jakie katusze przeżywa, i nie chciała go dobijać, a on okazał się tępakiem i niewdzięcznikiem, nie docenił jej wysiłków. Problem jednak w tym, że czuł się tak bardzo winny, tak nieodwołalnie i bezapelacyjnie winny, że wszelkie próby zdjęcia z niego tego brzemienia wydawały mu się naiwne. I przez tę naiwność denerwujące. Sytuacja była przecież jasna: to on uruchomił cały ciąg zdarzeń, na końcu którego był ten nieszczęsny, zeszywniały z zimna, porzucony na śniegu trup.

Przez okno w kuchni przesunęło się światło reflektorów samochodu. Zeszywniał w fotelu. Wyobraził sobie, że to nadjeżdża radiowóz z komisarzem Muszyńskim, który zaraz tu wejdzie i rzuci krótko: „Idziemy, panie profesorze”. Wstał i bokiem, niemal sunąc plecami po kuchennych półkach, podkraść się do okna. Wyjrzał na uliczkę i odetchnął z ulgą – to Czapski wracał z dziennej zmiany.

Jednak wydarzenie to, które nawet trudno było nazwać wydarzeniem, skoro rozegrało się tylko w jego rozgorączkowanej wyobraźni, sprawiło, że wrócił do niego jego stary, znajomy lęk. Lęk, że cała sprawa się wyda i wyjdzie na jaw rola, jaką w niej odegrał. Grzegorz wprawdzie twierdził, że policja nie

będzie się przykładać do śledztwa, i zapewne miał w kontaktach z nią większe doświadczenie, ale mógł się przecież mylić. Muszyński wyglądał na zawziętego gliniarza, takiego, co to nie lubi zajmować się drobiazgami, jakim zapewne było dla niego zgłoszenie Justyny, ale w poważnych sprawach nie popuszcza. Tym bardziej że zabity sąsiad był przecież jego znajomym. On na pewno będzie węszył długo i wytrwale.

Wrócił na fotel przed zgaszonym telewizorem i popijając whisky, zaczął się zastanawiać, czy komisarz ma jakieś punkty zaczepienia. „Billingi – pomyślał – te cholerne billingi”. Wydzwanając wielokrotnie do Mizaka, mającego zapewne bogate kryminalne *dossier*, zostawił ślad, którym ten niewątpliwie bystry gliniarz mógłby się zainteresować. I spytać go: „Co pana, profesora wyższej uczelni, łączy z Grzegorzem M.? Obecnie wprawdzie szanowanym biznesmenem, ale w przeszłości człowiekiem mającym powiązania z zorganizowaną przestępczością? I skąd to nagłe ożywienie kontaktów akurat przed śmiercią pańskiego sąsiada i wkrótce po niej?”.

„Nie, nie, z tego się jakoś wytłumaczę. Grzegorz to mój kolega ze szkoły, o jego przestępczej przeszłości nic nie słyszałem, wiem natomiast, że prowadzi dużą firmę deweloperską, a my akurat chcemy sprzedać dom i szukamy mieszkania w Warszawie”. To brzmiało wiarygodnie. Muszyński zapewne nie będzie się nawet dziwił, że po tych wszystkich przejściach z sąsiadami postanowili się przeprowadzić. Wszystko się układa w logiczną całość, tak że od strony rozmów telefonicznych nie można go ruszyć.

Co jeszcze? Ślady po pobiciu. Niepotrzebnie mu skłamał, że się przewrócił. Policjant nie wyglądał na przekonanego. Może przecież dotrzeć do dokumentacji lekarskiej u Kubicy, a nawet do niego samego i dowiedzieć się – a lekarz powie mu o tym zapewne w dobrej wierze – że Henryk został pobity. Jak się z tego wytłumaczy? Czemu to ukrył? Może żeby odsunąć od siebie podejrzenia o **motyw**? „Nie, nie. Z tego też się jakoś wytłumaczę”. Odpowiedział na odczepnego. Nie miał przecież obowiązku zgłaszać pobicia policji, zwłaszcza widząc jej dotychczasową bezradność. To również Muszyński powinien kupić.

A więc policja raczej nie ma się do czego przyczepić. Na korzyść przemawia też jego pozycja zawodowa, nieskazitelna opinia, czyste konto w policyjnych kartotekach. Szanowany profesor uniwersytetu nasyłający opryszków na sąsiada? To byłby raczej nietypowy przypadek, nienotowany

dotychczas w historii polskiej kryminalistyki. A więc nawet statystyka, jego ukochana statystyka przemawiała za nim, broniła go.

Ale mimo że tak gorliwie sam się zapewniał, że ryzyko wpadki jest niewielkie, jego niepokój wcale nie malał. Wprost przeciwnie. Coraz wyraźniej wyobrażał sobie, jak Muszyński zjawia się u nich w domu i mówi: „Poproszę pana na posterunek. Musimy coś wyjaśnić”. Albo on dostaje suche urzędowe wezwanie na komendę, a tam dowiaduje się... No właśnie, czego? Że któryś z chłopców Grzegorza wygadał się po pijaku. Albo że został wyrzucony przez niego z pracy i żeby się zemścić, napisał donos na byłego szefa. Albo że policja dotarła do niego przez swoich informatorów – Grzegorz wcale nie mógł być taki pewny swoich ludzi. I w ten sposób, jakby od drugiej strony łańcuszka, idąc od najślabszego ogniwa, trafiają do niego.

„Boże, do czego to doszło – pomyślał nagle. Oto ja, porządny i spokojny człowiek, przykładny obywatel, który nigdy nie oszukiwał nawet na podatkach, myślę teraz zupełnie jak przestępca. Kalkuluję, analizuję słabe punkty, zastanawiam się, w jaki sposób policja może mnie dopaść. Jak strasznie nisko upadłem”. I czuł jednocześnie, że tak już będzie zawsze. Że stale będzie żył w lęku przed aresztowaniem. Że nigdy już nie zazna spokoju i ciągle będzie nasłuchiwał dzwonka u drzwi zwiastującego nadejście policji. I tak do końca życia. A może się to ciągnąć dłużej, bo nawet po jego śmierci sprawa może wyjść przypadkiem na jaw i wtedy jego dobra opinia zostanie zniszczona i pogrzebana. „Popatrz, nie był wcale taki święty, nieźle się maskował” – na pewno tak powiedzą. Profesor Socha – jeśli będzie jeszcze żył – zapieje z zachwytu.

Po raz pierwszy z ulgą pomyślał o wyjeździe Agaty. Dobrze, że jej tu wtedy nie będzie i że nie będzie musiała przeżywać wstydu za ojca, który okazał się kimś zupełnie innym, niż to sobie wyobrażała. W Anglii ta cała sprawa uderzy w nią słabiej, niż gdyby była tutaj, na miejscu.

Im dłużej o tym myślał, tym bardziej był przekonany, że tak właśnie musi się stać. Że tak się stanie. Że wszystko wyjdzie na jaw – także jego osobisty udział w tym ponurym, choć nieumyślnym zabójstwie. „Nie – pomyślał. – To jakiś koszmar. Ja tego nie wytrzymam. Lepiej już mieć to za sobą”.

Tknięty nagłą myślą odstawił pustą szklankę, wstał z fotela i poszedł do przedpokoju. Z wewnętrznej kieszeni kurtki wyjął portfel i wyciągnął z niego wizytówkę Muszyńskiego. Potem wrócił do pokoju i położył ją przed sobą na stoliku.

Nalał sobie jeszcze whisky i zapatrzył się na biały, tekturowy prostokącik leżący na środku blatu. Wciąż miał niezły wzrok i nawet z tej odległości widział wydrukowany pod nazwiskiem numer komórki inspektora. Co by było, gdyby do niego teraz zadzwonił i przyznał się do wszystkiego? Przynajmniej skończyłaby się ta potworna niepewność, ta męka wyczekiwania na nieuniknione. Muszyński kazałby mu przyjechać, złożyć oficjalne zeznania, aresztowałiby go, albo i nie, później osądzili, odsiedziałyby swoje, a potem miałyby już spokój. Jego rachunki z losem zostałyby wyrównane.

Zresztą... Czy od razu musiałyby się to skończyć więzieniem? Jego przypadek z prawnego punktu widzenia był bardzo skomplikowany. Jak to się nazywało? Namawianie? Poduszczenie? „Zlecenie” brzmiało znacznie gorzej. Ale w końcu śmierć tamtego była niezamierzona, nieumyślna, przypadkowa. A jeszcze, biorąc pod uwagę jego niekaralność, wykpiłby się pewnie wyrokiem w zawieszeniu.

Wziął wizytówkę w dwa palce, przybliżył do oczu i odczytał numer telefonu Muszyńskiego. Mieli tego samego operatora, może to jakiś znak? Wyjął z kieszeni komórkę. Teraz wystarczyło tylko wybrać dziewięć cyfr i jego życie zostałyby określone raz na zawsze. Paradoksalnie chyba jeszcze nigdy nie czuł się w takim stopniu panem swojego losu. Przebiegał opuszkami palców po klawiaturze telefonu, bawiąc się myślą, jak to dzwoni i wszystko opowiada policjantowi. Wszystko, ze szczegółami. Tamten na pewno jeszcze nie śpi, nie było w końcu tak późno. Zerknął jeszcze raz na wizytówkę i wystukał starannie numer. Teraz wystarczyło już tylko nacisnąć guzik z zieloną słuchaweczką. A może jednak z czerwoną? Zielona, czerwona, zielona, czerwona...

„Nie, nie, to szaleństwo. Szaleństwo...” Szybko wycofał numer, jakby się bał, że może się jeszcze rozmyślić, i odłożył telefon na stolik. Potem odsunął go jeszcze dalej od siebie. „Co ci przychodzi do głowy? – skarcił się w myślach. – Odwaliło ci? A może już się upiłeś? Miałbyś złożyć donos na samego siebie? Zniszczyć swoją przyszłość, której, umówmy się, nie zostało już tak wiele? Przekreślić swoje życie? Zawsze miałeś opinię przyzwoitego człowieka, takiego, co to nigdy nikomu nie zrobił świństwa. Do partii się nie zapisałeś. Może nie namawiano cię do wstąpienia jakoś bardzo namolnie, ale jednak próbowano. Mamiono awansami, obiecywano. Nie donosiłeś też, choć przed wyjazdami za granicę zawsze składała ci propozycje, a gdy

odmawiałaś, kilka razy cofała ci paszport. Po wielkim przełomie nie wpychałeś się przed kolegów w walce o stanowiska i zaszczyty. Wszyscy o tym wiedzieli. Teraz miałbyś to wszystko zniweczyć?! Przecież nawet gdyby cię nie posadzili, straciłbyś posadę na uniwersytecie. Uznano by, poniekąd słusznie, że nie nadajesz się na wychowawcę młodzieży. W środowisku naukowym byłbyś spalony. Tu oceny wystawia się szybko i nie ma szansy poprawki. Nikt by nie wnikał w szczegóły. Wystarczyłoby, aby się rozeszło, że zleciłeś coś gangsterowi i że w efekcie zlecenia ktoś tragicznie zginął. Pracy nigdzie byś nie znalazł, o kontrakcie z Nokią mógłbyś zapomnieć, o innych też. Ostatecznie mógłbyś anonimowo robić jakieś chałtury, gdyby ktoś się zlitował, tak jak ty w latach osiemdziesiątych dawałeś zarobić podpadniętym politycznie kolegom, ale to byłaby wegetacja. Może nie umarłbyś z głodu, ale nic więcej”.

Na górze skrzypnęły drzwi łazienki. Justyna szła po kąpieli do łóżka. Ciekawe, jak ona by zareagowała? Jeszcze wczoraj byłby pewien, że szczerym przyznaniem się do winy i gotowością poniesienia kary bardzo by jej zaimponował. Uznałaby to za męską decyzję, dowód siły charakteru i wysokiego poziomu moralnego. Wspierałaby go i – gdyby przypadkiem poszedł siedzieć – wiernie czekała. Ale dziś, gdy odsłoniła swoją nieznaną wcześniej twarz, nie mógł być pewien jej reakcji. Być może uznałaby to za idiotyczny, samobójczy gest. I może nawet by się z nim rozstała, a już na pewno nie wzięłaby takiego kretyna na utrzymanie.

A Mizak? Z nim sprawa przedstawiała się najgorzej. „On by na pewno ci nie darował. Nawet gdyby z procesu wyszedł obronną ręką i nic by mu się praktycznie nie stało, tak jak chełpliwie przepowiadał. Nie wybaczyłby ci, że go wydałeś i spałaś mu opinię. Ostrzegał cię zresztą i nie były to z pewnością czcze pogróżki. Swoją drogą, przenikliwy z niego człowiek, z intuicją – świetnie przewidział, jakie pomysły będą ci chodzić po głowie. Więc nawet gdybyś wywinął się przed sądem, znowu żyłbyś w lęku, tym razem przed jego zemstą. To z dwojga złego lepiej już żyć w lęku przed przyjściem policji”.

Opadł ciężko na fotel. „Skąd mi się to wzięło? – pomyślał. – Ta kretyńska gotowość do przyznawania się do winy. Czyżby jeszcze z dzieciństwa?”

Przypomniał sobie, jak rodzice ciągle mu powtarzali, że żadne przewinienie się nie ukryje, prawda wcześniej czy później wyjdzie na jaw. Widocznie przekonali go, bo gdy zdarzyło mu się coś nabroić, nic wielkiego, żadne

poważne wykroczenie – ot, rozbił piłką ulubiony wazon matki czy ubrudził farbami ścianę, to najpierw oczywiście próbował zamaskować ślady przestępstwa, ale później zawsze mówił o tym rodzicom. I to sam, na ochotnika. Nie mógł znieść napięcia, tego nieznośnego oczekiwania, że sprawa się wyda i rozpocznie się domowe śledztwo. A gdy już się przyznawał, to wprawdzie najpierw obsztorcowywali go za wyrządzone szkody, ale szybko mu wybacжали i jeszcze chwalili za odwagę i uczciwość. „Przyznanie się do winy zmniejsza karę o połowę” – mówiła matka. A on widocznie wziął głęboko do serca to absurdalne twierdzenie i wyrobił w sobie automatyzm, który działał nawet teraz, po kilkudziesięciu latach. Gotów był dać się aresztować, byle mieć spokój.

„Co za idiotyzm” – pomyślał. Te cholerne zasady wpojone w dzieciństwie zostają potem na całe życie i trzeba naprawdę dużo siły, aby je z siebie wyrwać. Oj, nie ma przed sobą spokojnego życia, o nie! Będzie już na zawsze naznaczone poczuciem winy, z wciąż tkwiącym z tyłu czaszki gwoździem lęku, ale lepsze to jednak od gnicia w więzieniu. Znów przypomniał sobie matkę, jak mawiała z westchnieniem: „Trzeba jakoś żyć”. Mierziły go te słowa, gdy był zbuntowanym nastolatkiem, drażnił minimalizm zawarty w słowie „jakoś”, jego niemrawość i rozlazłość, ale teraz przyznawał matce rację.

Wstał chwiejnie, otworzył drzwiczki wygasłego kominka i wrzucił do środka wizytówkę Muszyńskiego. Jutro spali ją, żeby go więcej nie kusila. Opadł na fotel i zaczął sobie wyobrażać, jak będzie wyglądał jutrzejszy ranek. Obudzi go dzwonek, tak, niech będzie dzwonek. Niech się w pierwszej chwili zaniepokoi, należy mu się. Uniesie głowę z poduszki i wymieni spojrzenia z wyrwaną ze snu Justyną. Spojrzy na zegarek, będzie dochodziła ósma.

„Więc to już” – pomyśli. Muszyński okazał się bystrzejszy, niż przypuszczał. Bardzo szybko wszystko ze sobą skojarzył i teraz z dwoma mundurowymi policjantami stoi przed furką i naciska domofon – no bo kto inny mógłby przyjść tego dnia o tak wczesnej porze? Tylko policjanci nie mają niedziel. I lubią poranki.

„A więc właśnie teraz wali się moje życie” – pomyśli i ze zdziwieniem stwierdzi, że jest całkiem spokojny. Więcej w nim będzie rezygnacji niż strachu czy rozpacz. Powstrzyma podnoszącą się z łóżka Justynę, rzuci krótko: „Ja otworzę”. Będzie chciał stanąć z komisarzem twarzą w twarz – to

będzie **jego** gość. Narzuci na siebie wiszący na oparciu fotela szlafrok i zejdzie szybko na dół. Potem naciśnie guzik otwierający furtkę, przekręci zamek w drzwiach, uchyli je i zacznie czekać. Ktoś – po krokach pozna, że to jedna osoba – będzie powoli szedł wysypaną popiołem ścieżką. Powoli i bardzo długo. Albo będzie mu się tylko tak wydawało.

I nie będzie to Muszyński. Co to, to nie! W półotwartych drzwiach stanie sąsiadka. Od stóp do głów ubrana w żałobną czerń: czarne buty, czarne pończochy, czarny płaszcz, czarny beret. Czarny, tłusty anioł.

Ulga zmiesza się w nim z niepokojem. „Czego ona może chcieć?” – pomyśli. Sąsiadka zerknie na jego szlafrok i wymiętą od snu twarz. „Przepraszam, jak obudziłam” – powie schrypniętym głosem. W powietrzu rozejdzie się woń przetrawionego alkoholu. „Nie szkodzi – odpowie jej lekko. – I tak miałem już wstawać”.

Z zewnątrz zaciągnie chłodem od wciąż otwartych drzwi. Przesunie się więc obok stojącej niezdecydowanie kobiety i zamknie je za nią. W tym samym momencie na schodach usłyszy kroki schodzącej na dół Justyny. Z ulgą wycofa się do kuchni, żeby teraz to żona porozmawiała z sąsiadką. Sąsiadka pewno też tak będzie wołała. „Przepraszam, że tak wcześniej przychodzę – powtórzy, zwracając się do Justyny – ale mam dzisiaj straszny pierdolnik (czy powie „pierdolnik?”). Pogrzeb, no i tego...”

Nastawiając wodę na kawę, zerknie na nią spod oka. Wcale nie będzie wydawała się szczególnie przybita ani załamana. Wdowi strój to tylko taka tradycja, nic więcej. A jednocześnie poczuje, że w jej dwukrotnie powtórzonych przeprosinach kryje się jakaś dziwna uniżoność. W niczym nie będzie przypominać agresywnej, rozparzonej baby, która rzuciła się kiedyś z pazurami na Justynę. Ona też to chyba zauważy. „Słyszeliśmy – powie z wahaniem. I doda: – Bardzo pani współczujemy”.

Czy na pewno zdobędzie się na takie opanowanie? Na taki – zważywszy na kontekst – cynizm? W świetle niedawnej rozmowy to całkiem prawdopodobne. On by tak nie potrafił, nie umiałby złożyć sąsiadce obłudnych kondolencji, jeszcze do tego patrząc jej prosto w oczy. Wydawałoby mu się to zbyt już bezczelne. Ale ona? Czemu nie?

Sam poprzestanie tylko na niewyraźnym ukłonie potwierdzającym jej słowa. „Dziękuję” – odpowie tamta z roztargnieniem i nieoczekiwanie machnie ręką. – To musiało się tak skończyć, tak, ten mój był na stracenie”. Nie będzie patrzył akurat w jej stronę, ale poczuje wtedy ulgę, wielką ulgę.

W jej słowach nie będzie cierpienia, tylko spokojna rezygnacja.

Na chwilę zalegnie cisza. Czajnik elektryczny zabulgotze i wyłączy się z głośnym szczęknięciem. Stary typ. „Kawy?” – spyta ze sztuczną swobodą, rozlewając wrzątek do kubków. Tamta powinna odmówić, tak, odmówi. „Nie, nie mam czasu – odpowie. – Przyszłam się tylko pożegnać. Wracam z małym do matki”. Potem zawaha się przez chwilę, aż wreszcie wyrzuci z siebie to, co będzie właściwym celem tej dziwnie przebiegającej wizyty. „I tego... Jakby państwo mieli kogoś chętnego na tę drugą połowę, to ja zostawię numer”. Sięgnie do kieszeni czarnego płaszcza, wyjmie złożoną na pół kartkę kratkowanego papieru, wyglądającą jakby wyrwała ją ze szkolnego zeszytu, i przesunie ją po kuchennym blacie. „Teraz nie jest łatwo sprzedać dom” – doda usprawiedliwiającym tonem. Potwierdzą. W końcu wiedzą coś o tym. „No tak – przyzna obłudnie Justyna. – Kryzys”. „Kryzys – powtórzy tamta z roztargnieniem. – No... to do widzenia. Co złego, to nie my”. – Uśmiechnie się blado. „Do widzenia” – odpowie Justyna i zamknie za nią drzwi. On też może zdoła wydusić jakieś pożegnanie ze ściśniętej krtani, ale będzie już za późno. Poda Justynie kubek z parującą kawą, ona podniesie go do ust i upije mały łyżeczek. On popatrzy na nią z podziwem. Co za spokój! Jaki tupet! Ale potem zobaczy jej ściągniętą twarz i drżące ręce ściskające kubek i zrozumie, ile ją kosztowała ta krótka rozmowa.

Przez chwilę będą pili kawę na stojąco, w milczeniu. A gdy on skończy i odstawi kubek do zlewu, poczuje nagły przypływ energii. Teraz jego kolej na działanie. O Muszyńskim zapomni, a swoje wcześniejsze obawy uzna za śmieszne. Weźmie leżącą na kuchennym blacie kartkę i przybliży sobie do oczu. Numer będzie zapisany ołówkiem, dużymi, kulfoniastymi cyframi – z jego odczytaniem poradzi sobie bez okularów. Weźmie komórkę zostawioną wczoraj koło kominka i zacznie wybierać numer. Justyna popatrzy na niego ze zdziwieniem. „Gdzie ty dzwonicz? Do niej? Chcesz jej jeszcze coś powiedzieć?” – spyta nerwowo. „Nie, no skąd – roześmieje się (czy aby tak szybko będzie do tego zdolny?). – Do Witka. Nic jeszcze nie znalazł”.

Po drugiej stronie linii włączy się poczta głosowa. On spojrzy na zegarek i zorientuje się, że w niedzielę o tej porze przyjaciel najpewniej śpi. Ma wolne. Też ma wolne. „Wszyscy dzisiaj mamy wolne” – pomyśli wesoło (nie za wcześnie?). Powie „cześć”, przedstawi się, poprosi o oddzwonienie i się rozłączy. Kartkę z numerem sąsiadki schowa do kieszeni szlafroka, ale po

chwili wyjmie i odłoży z powrotem na blat stołu. Z Witkiem może nie wypalić. Numer jeszcze się przyda, lepiej, żeby się nie zawieruszył.

Justyna w tym momencie też dopije kawę, zanieś kubek do zlewu i bardzo starannie umyje. Jakby chciała zatrzeć ślady. Zakręci wodę i przechyliwszy śmiesznie głowę, spojrzy na termometr za oknem. On spyta: „Ile?”. „Plus dwa” – odpowie i minąwszy go, przejdzie w kierunku schodów. Będzie już chciała się przebrać. „Odwilż” – rzuci za siebie. „Odwilż – pomyśli on. – Nareszcie odwilż”. Odwilż w każdym sensie, na całej linii i na każdym froncie. Happy end tej całej koszmarnej historii.

Potrząsnął głową. „Co za bzdura! Jaka odwilż, jaki happy end? Naprawdę myślisz, że wszystko tak pięknie się ułoży? Sąsiadka nie będzie płakać po mężu, wyprowadzi się, a na jej miejsce wprowadzi się najbliższy przyjaciel z instytutu? Nie, nie, kochany. Tak to się układa tylko w amerykańskich filmach. Niepotrzebnie je oglądasz, bo ci to zniekształca perspektywę spojrzenia na życie. W życiu zwykle układa się źle. Takie historie – sam je nazwałeś koszmarnymi – nie kończą się happy endem. Jesteś statystykiem, wiesz o tym”.

Dopił whisky. I nagle poczuł oślepiająco jasną pewność. Wiedział już, co ma zrobić. Co **musi** zrobić. Bez względu na koszty, bez względu na być może tragiczne konsekwencje. Musi to zrobić, aby wyrównać rachunki z losem. Aby przywrócić porządek, bez którego nic nie ma sensu. Aby mieć porządek we własnej metafizyce, odbudować ład w kosmosie, zbilansować winę i karę.

Bez tego nie będzie umiał żyć.

Otworzył kominek i wyciągnął z niego ubrudzoną popiołem wizytówkę. Dobrze, że nie zdążył jej spalić. Dmuchał na nią, przesunął poślinionym palcem po gładkiej powierzchni i sięgnął po komórkę. Po chwili jednak odłożył ją na miejsce. Nie, nie. To byłoby za łatwe i prawdopodobnie odwlekłoby rozwiązanie całej sprawy. Musi to zrobić na posterunku, bezpośrednio, stojąc twarzą w twarz z policjantami.

Wstał, ubrał się cicho, aby nie obudzić Justyny. Mogłaby próbować odwozić go od tego, płakać, histeryzować, kłaść się na progu. Nie byłoby to potrzebne.

W tym momencie uświadomił sobie, że przecież wypił dwie duże whisky, co mogłoby zainteresować policjantów, gdyby dotarł tam samochodem. Ale na piechotę było za daleko. Wstąpił więc jeszcze do małej łazienki,

napakował do ust pasty do zębów i przeżuwał ją przez chwilę. Potem wypluł do umywalki i dokładnie przepłukał usta. Powinno wystarczyć. Tylko jechać musi naprawdę ostrożnie.

Samochód na szczęście stał na zewnątrz, więc nie musiał otwierać garażu, co też mogłoby obudzić Justynę. Miała czujny sen, a brama otwierała się głośno. Wyszedł na palcach, docisnął za sobą drzwi, nie zamykając ich na zamek. Wróci pewnie niedługo, chyba go tak zaraz nie zatrzymają.

Mróz wciąż trzymał. Czarne niebo usiane było gwiazdami, a z boku, nad dachem domu Kulczyków, unosił się blady księżyc. Wyglądał jak wycięty z pergaminu. Noc była jasna, powietrze wydawało się czyste i przejrzyste, kontury domów i drzew wyraźnie odcinały się od tła. Nie wiadomo dlaczego uznał to za dobry omen: „Gdzie spojrzeć, klarowna sytuacja” – pomyślał. Powoli otworzył bramę wjazdową, usiadł za kółkiem i ostrożnie wyprowadził samochód na pokrytą wyslizganym, gładkim jak porcelana śniegiem uliczkę. Potem też jechał wyjątkowo ostrożnie. Jeszcze tego by brakowało, żeby kogoś po drodze potracił. Albo nawet miał głupią stłuczkę. Na szczęście było pusto, minął się z zaledwie dwoma samochodami jadącymi w stronę Warszawy, a przechodniów w ogóle nie zauważył. Mróz zagnał ludzi do domów i pozamykał drzwi.

Okna posterunku były jasno oświetlone. Zaparkował na wprost budynku i wysiadł z samochodu. Przejście przez niewielkie podwórze, gdzie w kącie stał zaciemniony passat, a obok niego dwa cywilne samochody, zajęło mu tylko chwilę. Wspiął się po kilku schodkach, wytarł oblepione brudnym śniegiem buty o niepraktyczną, słomianą wycieraczkę i pchnął ciężkie, metalowe drzwi.

W przegrzanej, jak poprzednio, dyżurce siedziało dwóch policjantów. Przy za małych biurkach, naprzeciwko siebie. Żaden z nich nie był Muszyńskim, co stwierdził z pewną ulgą, ale jednego – zwalistego, z okrągłą twarzą i rozrośniętą, komicznie wysuniętą dolną szczęką – pamiętał ze swojej pierwszej wizyty na posterunku. To on wyszedł interweniować pod sklepem nocnym. Teraz, podobnie jak jego kolega zza drugiego biurka, przyglądał się Henrykowi z zaciekawieniem.

Uklonił się niezgrabnie.

– Dobry wieczór – powiedział chyba trochę za głośno. – Chciałbym...

– Czy to pan zaparkował w bramie wyjazdowej? – przerwał mu nieuprzejmie drugi z policjantów. Był drobniejszy, miał trójkątną, lisią

twarzyczkę z cienkim wąsikiem i dziwną nerwowość w ruchach.

Wyjrzał przez okno. Faktycznie. Jak mógł być takim idiotą?

– Tak, przepraszam – wyjąkał z trudem. – Nie za... Nie zaważyłem znaku.

Policjanci wymienili między sobą szybkie, krótkie spojrzenia.

– Czy pan jest pijany? – spytał ostro ten mniejszy.

Przełknął ślinę.

– Nie, no skąd – zaprotestował.

Policjant zerwał się energicznie i podszedł do niego. Spojrzenie miał złe.

– Proszę chuchnąć – zakomenderował zdecydowanie.

Henryk chuchnął nieśmiało, ale jemu to widać wystarczyło. Pokręcił głową z wyrzutem.

– Pił pan – stwierdził.

– Odrobinę. Tylko wino do kolacji.

„Do niczego jednak ta pasta” – pomyślał.

– Sprawdźmy – odezwał się drugi z policjantów. On również wstał od biurka i podszedł szybkim krokiem do alkomatu. Rozpakował z celofanu jednorazowy ustnik i osadził go na końcu brudnej rurki.

– Proszę wziąć głęboki wdech i wydychać powietrze przez pięć sekund – polecił rzeczowo. I dodał: – Tylko bez symulki.

Henryk spełnił polecenie. Dmuchał chyba nawet dłużej, bo gest policjanta, który wyjął mu z ust rurkę, zdradzał pewne zniecierpliwienie.

Obaj policjanci pochylili się ciekawie nad elektronicznym licznikiem.

– Zero sześć dziesiątych – mruknął ten z wysuniętą szczęką. Przypominał jakiegoś amerykańskiego aktora. – Niedużo. Ale wino do kolacji to na pewno nie było.

– Wie pan, że jazda w stanie nietrzeźwym jest zabroniona? – wtrącił drugi oficjalnym tonem.

– I to jeszcze pod posterunek policji. – Pierwszy pokręcił głową. – Nie ma co, ma pan tupet.

– Ale ja chciałem... Mam coś ważnego do powiedzenia w sprawie swojego sąsiada... I chciałem złożyć... – Język mu się plątał ze zdenerwowania. Sytuacja robiła się absurdalna.

– Nieważne, co pan chciał – przerwał mu tamten. – Po wódce nie wsiada się do samochodu. A gdyby pan spowodował wypadek? Nie pomyślał pan o tym, profesorze?

„Poznał mnie” – pomyślał Henryk. Z niejasnych powodów go to ucieszyło.

– To niedaleko – próbował się bronić. – A jechałem bardzo wolno. Czterdzieści na godzinę.

– To nie ma znaczenia – przerwał mu nerwusik. – Jazda w stanie nietrzeźwym jest zabroniona – powtórzył swoją ulubioną formułkę.

Drugi z policjantów, ten znajomy, przypatrywał mu się uważnie.

– Nawet jak pan chciał złożyć jakieś ważne zeznania, to nie możemy ich przyjąć – powiedział wyjaśniającym tonem. – Chyba że przespałby się pan u nas. I ewentualnie rano.

„No nie, to chyba niekonieczne – pomyślał Henryk. – W tej sytuacji całe to moje zeznanie jest w ogóle niekonieczne”. Pokręcił przecząco głową. Ogarnął go nastrój dziwnej, błogiej rezygnacji.

Grubas zaprosił go do biurka.

– Spiszemy teraz protokół – powiedział z energią w głosie.

Henryk zdjął kurtkę, którą przez cały czas, mimo panującego w pomieszczeniu gorąca, miał na sobie, i powiesił na podniszczonym wieszaku. „Nic tu się właściwie nie zmieniło” – pomyślał.

Policjant poprosił go o kluczyki, dowód i prawo jazdy i zaczął spisywać protokół. W trakcie pisania rozluźnił się i nawet żartował („Żeby taki poważny człowiek...”). Obaj zresztą wyglądali na zadowolonych. W końcu złapali przestępcę, i to nawet bez ruszania się z za biurka.

Grubas w pewnym momencie przerwał pisanie i popatrzył na Henryka z rozbawieniem.

– A pan mi powie, tak szczerze – zwrócił się do niego. – Ile pan wypił?

– Dwie whisky – przyznał Henryk. – Z wodą – podkreślił.

– Musiały być duże – mruknął ten drugi z za swojego biurka. – Albo wody było mało. – Zachichotał, po czym wstał i zarzuciwszy służbową kurtkę na plecy, wyszedł na dwór na papierosa.

Pierwszy nic nie powiedział. Podsunął Henrykowi protokół do podpisania. Był krótki, przypominał mandat. Henryk przeleciał wzrokiem po zapisanym długopisem tekście: „Jazda w stanie nietrzeźwym. Wskazanie alkometru – 0,6 promila”. Wszystko się zgadzało. Podpisał.

Policjant wyjął kopię i wręczył ją Henrykowi.

– Na pamiątkę – zażartował, ale nagle spoważniał. – Za dwa tygodnie proszę oczekiwać wezwania do sądu grodzkiego. – Coś chyba jeszcze miał do dodania, bo odchylił się na krześle i długo mierzył wzrokiem siedzącego naprzeciwko Henryka. Zmrużył oczy.

– No to co z tym pana sąsiadem? – spytał. – Już pana przecież nie niepokoi.
– Roześmiał się krótko.
– Nie – przyznał chłodno Henryk.
Policjant wciąż patrzył na niego wyczekująco.
Machnął ręką.
– To już nieważne...
Policjant pokiwał w zamyśleniu głową, jakby się z nim zgadzał.
– I co mam z panem zrobić, panie profesorze? – rzucił nieoczekiwanie. –
W zasadzie powinienem pana zatrzymać, ale... – Machnął ręką. – Niech pan
już idzie. Tylko na piechotę.
– Oczywiście – odparł Henryk. Dopiero z opóźnieniem zrozumiał, że
policjant sobie z niego zażartował; nie miał już przecież kluczyków. Wstał
i zaczął się ubierać.
– Zaraz... – zafrasował się policjant, gdy Henryk był już w kurtce. – Tylko
jeszcze pana toyotę trzeba przeparkować. No nic, poprosi pan kolegę. On nic
nie pił. – Zachichotał, wręczając mu kluczyki.
Henryk kiwnął posłusznie głową, pożegnał się i wyszedł na dwór. Zimne
powietrze nocy uderzyło go w twarz jak mokra szmata. Drugi z policjantów,
oparty o zardzewiałą poręcz, kończył papierosa.
– Skaranie boskie z tymi zakazami – poskarżył się. – Z fajką przecież lepiej
się pracuje.
Henryk ponownie kiwnął głową. Też tak kiedyś uważał.
Policjant zdusił peta w wypełnionej poskręcanyimi niedopałkami, stojącej
na nóżce metalowej popielniczce.
– Pan nie zamyka drzwi – mruknął.
– Kolega pana prosił o przeparkowanie – przypomniał sobie Henryk.
– A, faktycznie – zreflektował się policjant. – Pan da kluczyki.
Zeszli po schodkach i ruszyli w stronę tarasującej bramę toyoty. Ciężkie
buty policjanta szurały po oczyszczonym chodniku. Ulicą Piłsudskiego
przejechała szybko jakaś zielona furgonetka.
– Idiota – mruknął policjant.
Wsiadł do auta i odpalił silnik z krótkim, głośnym rykiem.
„Nieprzywykły do delikatnych samochodów” – pomyślał Henryk.
Pan władza przestawił toyotę kilka metrów dalej i wysiadł.
– Tu się parkuje – powiedział na powrót oficjalnym tonem. – To tak na
przyszłość.

Henryk skinął głową. „Gdybym stanął prawidłowo, wszystko mogłoby się potoczyć inaczej” – pomyślał. Nie po raz pierwszy w życiu docenił rolę przypadku. Zresztą kiedyś napisał o tym pracę. *Między przypadkiem a prawidłowością*, tak się nazywała.

– Po kluczyki zgłosi się pan jutro – ciągnął dalej policjant. – Takie przepisy.

Henryk pokiwał głową. Gdy wyjeżdżał z domu, spodziewał się większych represji.

Policjant się zawahał. Nie odchodził jeszcze.

– Pan naprawdę jest profesorem? – spytał. W jego głosie niedowierzenie mieszało się z uznaniem.

Henryk potaknął w milczeniu. Jakie to miało teraz znaczenie?

Policjant sięgnął po następnego papierosa. Widocznie był niedopalony.

– No to niech pan wraca do domu, profesorze – rzucił, zmagając się z zapalniczką.

Henryk tak zrobił. I przez całą drogę myślał o tym, że i tak jutro wróci. I to nie tylko po odbiór kluczyków i samochodu.

Ale nie był już tego taki pewien.

Warszawa, 2015 rok

Spis treści

[Część I](#)

[Część II](#)

[Część III](#)